



ZBIGNIEW UNIŁOWSKI

---

# Żyto w dżungli

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

ZBIGNIEW UNIŁOWSKI

## Zyto w dżungli

Z Kurytyby — stolicy stanu Parana w Brazylii — zdarzało mi się wiele razy wyjeżdżać w głąb kraju komicznym pociągiem z zasapaną, niby tłusty kucyk, lokomotywą z małymi wagonami, roztrzęszonymi w czasie jazdy. Na peronie trzeba było się zjawić o siódmej rano, z niesmakiem w ustach i czadem w głowie na skutek wczesnego wywleczenia się z łóżka. Szarość i chłód stacyjny stwarzał tutaj nastrój mrocznej wilgoci, ale kiedy się powiodło wzrokiem wzdłuż toru, raptem podłe samopoczucie opadało ze mnie jak łachman, bo tam dalej działo się coś bardzo ślicznego; wschodziło słońce oślepiającą bryłą jasności; samotna — wiecznie ta sama — palma, drżała smukłym srebrem w namiętnej i już upalnej, poczynającej się sile i myśl, że pociąg ruszy ze mną prosto w tę kipieli kolorów, stwarzała gwałtowną chęć jechania natychmiast! To prawda, że tam dalej nic się nie działo, doznawało się jeszcze jednego zawodu przy zetknięciu z naturą w Brazylii. Słońce stawało się suche i białe, kolory ginęły, palma traciła swą dziwność, pociąg mijał domki ziejące smutkiem i brudem, jakieś fabryczki, ludzi stojących na drogach i głupio wgapionych w rozdzwonioną, parszkającą lokomotywę. W wagonie zaczynało się przewalać wściekle gorąco, razem z kłębam czerwonego pyłu i sadzy. Zawsze jednak doznawałem pewnego wrażenia, natomiast dziś wszystko maże się i pulchni w uporczywym deszczyku, zasila on jeszcze jadowitą, kurytybską wilgoć, razem z nią przenika odzież i ciało, nawet duszę. Z tą wilgocią, to jest tak jakoś... że wiatry przynoszą parę od mórz, uderzają one o łańcuch gór i... Nie jestem uczony w tej materii!

W Kurytybie, słowem, jest wilgoć.

Zawlokłem worek z rzeczami do wagonu, teraz stoję na peronie i rozmyślam na temat, że właściwie wybieram się w głąb kraju podobno dosyć dzikiego, na dość długą włóczęgę, gdzieś tam są Indianie, których nie znam, bo poprzednie moje wyjazdy w okolice nie docierały do nich. Poradzono mi także ubrać się odpowiednio, jak na tak daleką wyprawę; mam wysokie buty i na ramionach tutejszą *capę*: długą szarą pelerynę, która ma chronić od deszczów i służyć za przykrycie lub poduszkę. W worku leży siedmiostrzałowy rewolwer marki Smith<sup>1</sup> i dużo wielkich, ołowianych kul. Słowem, akcesoria niebezpiecznych zamierzeń. Na domiar towarzyszy mi człowiek, którego znam krótko i trochę ze słyszenia. Nazywa się Grzeszczyszyn i akurat dla jakichś tam swoich celów jedzie tym samym szlakiem. Właśnie spotkał znajomego, stoją obok i gawędzą. Grzeszczyszyn jest ubrany jak ekonom do wyjazdu w pole, ale ten drugi ma taką samą *capę* jak i ja, oraz wielki czarny kapelusz z paskiem pod brodę. Twarz sucha, szerniała i pomarszczona, wargi wąskie, nos jak dziób i wielkie, groźnie błyszczące oczy. To jest taka postać, o jakich dotychczas tylko czytałem. W ogóle przypominam sobie opisy podróżników naszych i obcych, zaraz też przenika mnie marna myśl, że ja przecież jestem taki pisarz od spraw istotniejszych niż głupie podróże i że w ogóle miejski i „psycholog”. Jasne jest, że lękam się trudów i nieznanego. Po co tam jądę? Może zginę gdzieś nędznie od kuli, noża czy pazurów! Bo przecież niedawno czytałem choćby opisy naszych przedzieraczy brazylijskich dżungli — i cóż? Roi się wprost od stworów dybiących na życie człowieka! Może nie jechać? Czy mnie aby nie szkoda? Przecież w ciszy kawiarenki mogę obmyślać powieści obyczajowe i także rzetelnie przysłużyć się naszej literaturze. Zaraz jednak między te myśli wkrada się obrzydzenie do siebie i śmiało podnosi głowę, bo na peronie orkiestra dęta gra hymn brazylijski. Widzę kilkunastu oficerów w mundurach, w rozpiętych płaszczach

Podróż

<sup>1</sup>rewolwer marki Smith — w dalszej części tekstu zwany po prostu: smith. [przypis edytorski]

wojskowych, w czapkach to z czoła, to na ucho. Czekają widocznie na tęgiego cywila, który właśnie zbliża się do nich. Podchodzę do Grzeszczyszyna, który wyjaśnia mi, że to jest *interventor* stanu Parana (to tak jak u nas wojewoda). Wyjeżdża na kilka dni, więc orkiestra żegna go hymnem, a także schodzi się właśnie reszta oficerów, aby mu — odjeżdżającemu — oddać honory. Robi się tłumno i gwarno. W szeregu różnych drobiazgów widzę tabliczkę, gdzie jest napisane, że Kurytyba<sup>2</sup> leży 896 m nad poziomem morza. To tak mniej więcej jak u nas w Kuźnicach<sup>3</sup>? Już myślę o tych stronach, zaczynam mdło tęsknić za krajem, przypominają mi się różne rzeczy, z tym wszystkim wsiałam do pociągu, lokomotywa urządza piekielny hałas, popiera go orkiestra, wszędzie mgła, deszcz i czerwone, tłuste blocko parańskie.

\*

Naprawdę nie wiem, dokąd jedziemy. Gdzieś w lasy, znane mi z okropności opowiadanych na zimno przez tych którzy je znali. Prócz tępego zdenerwowania i oszołomienia, przeżywam ordynarny niepokój. Nie ma we mnie nic z młodzieńca, rozgrzanego żądzą przygód. Trudno, muszę się ująć w garść i poznać wnętrze Brazylii, skoro już tutaj jestem. Więc jadę i kombinuję jakby tu, w razie czego... Wagon trzęsie tą moją nieszczęsną, kombinującą głowiną. Za oknem wlecze się pejzaż deszczowy, podobny do widoków z wagonów całego świata o takim czasie. Tylko pinior<sup>4</sup>, ten posepny arystokrata brazylijskiego drzewostanu, mający wyniosłe na widnokręgu, o pniu nagim i wysokim, z kręgiem wygiętych ku niebu gałęzi u samego szczytu. Jak parasol wielkoluda. Czasem mignie wiotka i rozwiana na wietrze palma albo zażywny, jasnozielony krzak banana. Ale dzisiaj to wszystko nie sprawia wrażenia egzotyizmu, a boleśnie znieruchomiale krowy podkreślają raczej zwyczajność krajobrazu.

Grzeszczyszyn nagle przedstawił mnie swemu znajomemu, który podał mi niemylim zwyczajem tubylców końce palców. Znajomość ta ożywiła mnie trochę, chociaż słowa nie przemówiliśmy do siebie, bo Brazylianie<sup>5</sup> dalej rozmawiał z Grzeszczyszynem. To co mówił, było bardzo nieciekawe; rozwlekle, powoli wypowiedane zdania odpowiadały sennej atmosferze w wagonie. Mówił o pogodzie, o jakiejś bójce i o spadku cen na świnie. W monotonicznym zmieszonym rytmie kół, w szmerze deszczu na szybach i przyciszonych rozmów, słowa jego ciekły, mazały się po wagonie. Otuliłem się *capą*, chłód parański dokucza mi w ostatnich dniach bardzo; czekam na to słońce brazylijskie, które „pali”. Teraz jest początek września, za dwa tygodnie zacznie się tutejsza *primavera*<sup>6</sup>, na razie wieczorami opada przejmująca mgła, wydaje się wtedy, że można ją ugryźć jak kłębek waty. Podobno w grudniu, styczniu i lutym mają tu być wielkie upały; myślę o tym z utęsknieniem.

Jedzie z nami może osiem osób; liczba ta pomniejsza się lub powiększa o pasażerów, którzy nie mogą usiedzieć na jednym miejscu, przelażą z wagonu do wagonu. Dwóch pochylonych negrów rozmawia szybko i cicho, z rękami opartymi na kolanach. Nie patrzą na siebie, jak gdyby każdy oddzielnie mówił do pustej, przeciwległej ławki. Dalej siedzi kobieta bardzo tęga, ale młoda i o pięknych oczach. Wierci się u jej kolan kędzierzawa dziewczynka o śniadej twarzyczce; podchodzi co chwila do siedzącego o dwie ławki dalej żołnierza, kopie go i zmyka na stanowisko u kolan matki. Co kilka minut przechodzi wzdłuż wagonu, między ławkami, kierownik pociągu, olbrzymi mulat. Kładzie on dłoń na głowę dziecka, potrzyma trochę, potem chwyta za podbródek, odwraca się do matki i pyta o coś, co tyczy małej. Powtórzyło się to już z dziesięć razy. Odchodzi z uśmiechem, dziewczynka znów kopie żołnierza, który z kolei częstuje ją pomarańczą, mała odmawia, znów kopie, trwa to już z pół godziny i niedobrze jest tam patrzeć. Siedzi także rozparty przy oknie młody człowiek, rozgląda się ciągle wokół, czasem wyjdzie, wróci i siądzie; ma pełną twarz z wąsikami, kapelusza na bakier, włosy czarne i lśniące. Nudzi go pewnie jazda,

<sup>2</sup>Kurytyba, port. *Curitiba* — miasto w Brazylii, założone w 1654 roku; w XIX i początku XX wieku przeżywało intensywny rozwój wskutek osadnictwa z Europy, głównie włoskiego i niemieckiego, a także polskiego. Nazywane stolicą Polonii w Brazylii, „Chicago Ameryki Południowej”. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>Kuźnice — część Zakopanego, położona na wysokości ok. 1010 m n.p.m. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>pinior — gatunek drzewa iglastego występującego w Brazylii, Argentynie i Paragwaju. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>Brazylianie (przestarz.) — Brazylijczyk. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>primavera (port.) — wiosna. [przypis edytorski]

kupił sobie kilka pierożków z mięsem od przechodzącego sprzedawcy, zjadł je i począł gwizdać sam sobie, smutno, bo nikt uwagi na niego nie zwracał. Wagon był brudny, ławki zbite z listew drewnianych, poumieszczane są różnie, tak jak u nas w tramwajach. Koleje w Brazylii są w rękach francuskich kompanii, również zdaje się, że i w angielskich.

Wagony są budowane prymitywnie, wnętrza ich są niewygodne, ławeczki z miejscem tylko na dwie osoby, w pierwszej klasie plecione, żółte, w drugiej drewniane, z listew, trzeciej klasy nie ma zupełnie. My jedziemy drugą klasą, nie przez oszczędność, bo koleje tutaj są bardzo tanie, tylko w drugiej klasie jedzie publiczność, która mnie bardziej interesuje. Zatrzymaliśmy się już na kilku stacjach o zadeszczonych, smutnych budynkach. Wydaje mi się, że teraz jedziemy prędzej, lokomotywa co pewien czas gwizdzie żałośnie i rozdzierająco. Do wagonu wszedł człowiek w ubraniu khaki, usiadł naprzeciw znudzonego młodzieńca i podał mu kilka biletów loteryjnych. Wziął, począł obracać na wszystkie strony, coś wypytywał, po czym oddał, znów wziął, trzyma w rękę i patrzy przez okno, mówi do umykającej przestrzeni. Trwało to z dziesięć minut, wreszcie odmówił kupna, zwrócił bilety, wstał i wyszedł, do drugiego wagonu chyba. Kolektor zbliżając się do nas nie omieszkiał dotknąć dłonią główki dziewczynki, uczynił to także kierownik pociągu, który znów przechodził przez wagon. Podszedł do nas, wyciągnął bilety z kieszeni i trzymał je przed nosem Grzeszczyszyna bez słowa. Spojrzałem na jego twarz i bezczelnie, na pewniaka, zapytałem go, czy nie ma biletów loterii riograndeńskiej<sup>7</sup>, bo właśnie takie mam zamiar kupić. Odpowiedział, że nie ma, tylko parańskie, wygrana dwadzieścia pięć kontów<sup>8</sup> (25 000 milreisów<sup>9</sup>). „Kup, pan, może pan wygrasz!” Znajomy Grzeszczyszyna wziął bilety do ręki, potrzymał je, obejrzał, oddał i wrócił do rozmowy. Kolektor odszedł, odwrócił się jeszcze raz i powiedział do mnie: „Kup pan, może...” i poszedł sobie dalej.

Przysłuchuję się teraz rozmowie moich znajomych. Brazylianie opowiada o Polakach-kolonistach znad rzeki Ivahi<sup>10</sup>, jak żyją, ile który ma alkrów<sup>11</sup> ziemi, on też mieszka trochę za Teresina<sup>12</sup>, wymienia nazwiska, wreszcie mówi, że naród to dla niego dziwny.

— Ja na przykład urodziłem się tutaj, jestem dość pracowity, nie tak jak inni *gente do matto*<sup>13</sup>, mam dwadzieścia alkrów ziemi, z tego *rosuje*<sup>14</sup> jakieś osiem, mam dwa konie, czterdzieści świń, trzy krowy, *karosę*<sup>15</sup>, dom, niezłą gospodarkę. Ale ja się tutaj urodziłem, mam już czterdzieści lat. A tu przyjeżdża Polak, dziesięć lat temu, może go znasz — Gonczak; z pustymi rękami, kupuje sześć alkrów ziemi, nie ma pieniędzy na konia, jego żona nagotuje fiżonu<sup>16</sup> na cały dzień, bez tłuszczu, i jedzą to tak z dziećmi. I pomyśl tylko, *senhor*<sup>17</sup> żreszcze... trzeszczy... szcuszczu... ależ macie imię trudne dla mnie, teraz ten Polak ma siedemdziesiąt alkrów ziemi, ze sześć koni, ze sto świń, dużo bydła, wszystko przez dziesięć lat, i to na moich oczach, bo przy mnie ma ziemię. Dawniej on chodził do mnie na robotę, teraz ja do niego! To nie jeden, bardzo dużo jest takich. Co to jest? Ja też pracuję i nie mogę narzekać, powodzi mi się, ale on przez dziesięć lat dorobił się trzy razy więcej niż ja. Tfy, czary jakie, *barbaridade*<sup>18</sup>!

Ten towarzysz Grzeszczyszyna to typowy *kaboklo*<sup>19</sup>, można już o nim mówić, że jest niebiedny. Ludzi tych nazywa się właściwie *gente do matto* — ludzie z lasu. *Kaboklo* to nazwa pogardliwa, w oczy się tak nie mówi. *Kaboklo* przez swoje leniwość, gnębiony przy tym przez choroby, żyje bardzo nędźnie, póki ma trochę pieniędzy, nie weźmie się do żadnej pracy. Przeważnie wszyscy są bardzo biedni, ale ludźmi pracującymi pogar-

<sup>7</sup>Rio Grande — miasto w południowej Brazylii. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>konty — w ówczesnym systemie walutowym Brazylii „conto de réis” oznaczał jeden milion réis. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>milreis — 1 milreis równał się 1 tys. reisów. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>Ivahi (Ivat) — rzeka w brazylijskim stanie Parana. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>alkr (port.) — miara powierzchni stosowana w Brazylii: około 2,5 hektara. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>Teresina — miasto portowe w północno-wschodniej Brazylii. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>gente do matto (port.) — ludzie z lasu. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>rosować — uprawiać ziemię na rosach, czyli miejscach po wypalonym lesie. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>carroça (port.) — wóz z dachem, zaprzężony w kilka koni lub mulów. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>fiżon — brazylijska potrawa z czarnej fasoli. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>senhor (port.) — pan. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>barbaridade (port.) — barbarzyństwo. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>kaboklo (z port. *caboclo*) — potomek autochtonów, brazylijskich Indian. [przypis edytorski]

dzają, Polaków nazywają mułami: *Polaco burro*<sup>20</sup>, są ambitni, z przeczulonym poczuciem godności i honoru, łatwo się obrażają i obrazy nie darują, zabijają. Mają piękne i długie nazwiska, są uprzejmi i gościnni, cenią przyjaźń bardzo wysoko. Bogactwo ziemi pozwala im wegetować, uważają, że ich kraj jest tak piękny a życie tak krótkie, iż jedynie człowiek bez czulej duszy może się zajmować czymś tak zwierzęcym i wstrętnym jak praca. Znajomy Grzeszczyszyna jest już nieco spolszczony, ma majątek, jest inny niż ci z lasu, mieszkający ze swą rodziną samotnie. Ci, co mieszkają w pobliżu cudzoziemskich skupisk, przejmują trochę ich obyczaje. To co piszę jest powierzchowne, aby poznać ich psychologię trzeba lata żyć między nimi, każdy przyjeżdżający tutaj cudzoziemiec uważa, że są łatwi do poznania i po kilku tygodniach pobytu w interiorze wygłasza stanowcze opinie o tych ludziach. Aby choć trochę scharakteryzować lenistwo i powolność kabokla, przytoczę dwa — podobno autentyczne — zdarzenia.

Kilku kabokli odwiedziło świeżo osiadłego kolonistę polskiego. Pogawędzili sobie, jak zwykle, o błahych sprawach; kiedy odchodzili, żona kolonisty dała im bochenek żytniego chleba, oglądali ten bochenek, powiedzieli, że zjedzą później, po czym wyszli, uszli kilkanaście kroków i rozdubali chleb na mnóstwo kawałków. Po kilku minutach kolonista przechodził obok nich i zapytał zdziwiony: „Co wy robicie, przecież to się je!” „Tak, ale my szukamy nasienia!” Trudno im sobie wyobrazić, że można coś przetworzyć. U nich wszystko rośnie, prawie wszystko jest gotowe.

Drugie zdarzenie. Drogą w lesie przejeżdżał samochód ciężarowy jakiejś kompanii, szofer widzi wlokącego się pieszo kabokla i proponuje mu, aby usiadł obok niego. Kaboklo wsiadł, ale po kilku minutach jazdy powiedział, że chce zejść. „Dlaczego?” — pyta szofer. — „Za prędko!”

Pociąg nagle zaczyna wściekle gwizdać i raptem zatrzymuje się. Nie widać nigdzie budynku, więc wyglądam oknem i jestem doprawdy wzruszony, bo przecież o czymś takim słyszało się tylko w anegdotkach z dawnych czasów. Na torze leży krowa, żuje sobie i nawet nie patrzy na pociąg, za nią stoi cielę zapatrzone, znieruchomiałe, prześlicznie głupie. Żołnierz również poszedł zganiać krowę z toru, na pomoc maszynie. Za chwilę jedziemy, mijamy krowę i cielę; patrzą powłóczyście za pociągiem. Żołnierz przezornie usiadł na innej ławce, dziewczynka popatrzyła za nim smutno, potem przytuliła się do matki i usnęła. Kiwamy się wszyscy w wagonie, papieros mi nie smakuje, ciągle mam przykre poczucie bezsensu tej podróży. Konduktor wraca, pokazuje znów nam bilety, namawia ruchami głowy, idzie dalej, zatacza się między ławkami jak pijany, siada obok młodzieńca, tamten bierze bilety, coś mówi, patrzy, w okno, oddaje bilet, a niech ich szlak trafi, nie mogę na to patrzeć. Odwracam się do okna, żadnej zmiany, równina, trochę zieleni, w zieleni mignie jadowicie czerwony kwiatek, palma, banan, wszystko w deszczu, cała ta *terra de Cruzeiro do Sul*<sup>21</sup>.

Na małej stacyjce zatrzymujemy się krótko, wychodzimy do stoliczka z kawą. Jest już osłodzona w czajniku, stara mulatka napełniła filiżanki, pije się w tłoku, potracając mnie ciągle, kawa jest za słodka, przez co traci smak, ale ogrzewa, czyni umysł jaśniejszym. Duża filiżanka kosztuje dwieście reisów (sześć groszy). Grzeszczyszyn ze swoim towarzyszem wypijają przed kawą po dużym kieliszku *kaszasy*, wódki cuchnącej denaturatem, pędzonej z trzciny cukrowej. Ta wódka jest niesmaczna i słaba, innej w Brazylii nie ma, poza zagranicznymi trunkami. Głowę moją otacza zapach tego paskudztwa, wracamy do wagonu, przez okno patrzę na peron, kręcą się po nim romantyczne postacie w *capach* i wielkich kapeluszach, długie ostrogi, groza! Ocierają się o nich słabowici, brudni kabokle o szlachetnym, godnym wzroku. Kilku Murzynów zagląda do okien wagonu jak do klatki ze zwierzętami.

Znów jedziemy, lubelski pejzaż, w wagonie nastrój ospały, czasem ktoś głośniejszemu zdanie, przelotne chwile ożywienia, nowa twarz, przykra podróż, żalosa bzdura. Oto duże miasteczko Ponta Grossa, tutaj przesiadamy się, godzina do drugiego pociągu. Grzeszczyszyn żegna się ze swoim kaboklem, klepią się po ramionach, taki zwyczaj, cała Brazylia się

<sup>20</sup>*Polaco burro* — Ma to zresztą tylko znaczenie pogardy kabokla dla pracy, „Tylko osioł pracuje”. Poza tym kaboklo żywi dla polskiego kolonisty podziw i lęk. [przypis autorski]

<sup>21</sup>*Cruzeiro do Sul* — miasto i gmina w brazylijskim stanie Parana. [przypis edytorski]

klepie — znaczy przyjaźń, serdeczność<sup>22</sup>. Grzeszczeszyn prowadzi mnie do Polaka, Bukowskiego, właściciela hotelu. Mamy się tam dowiedzieć, gdzie i jak lepiej jechać. Miasto dobre, czyste — Kalisz. Na koniu jedzie jakiś Rinaldo Rinaldini, Grzeszczeszyn mówi do niego: „Jak się masz, Zieliński!”. „A, nic, deszcze!” I pojechał dalej, wyniosły, małowówny. Bukowski wita nas, niedbale, jakbyśmy dziesięć razy dziennie składali mu wizytę. Na głowie ma pończochę, wąsy mu sterczą jak u huzara, każe nam podać obiad, ciągle chodzi jak nakręcony, znika w pokojach, zjawia się, mówi dalej to, czego nie dokończył gdy wychodził, usiadł na chwilę, podsunął półmisek, znów wstał, dręczony własną, chroniczną, hotelową nudą. Odradza nam jazdę do Iraty — to miasteczko, do którego chce jechać Grzeszczeszyn, a także i ja muszę tam chcieć jechać, bo nic nie wiem, muszę tam jechać, gdzie Grzeszczeszyn.

— Złapią was deszcze i będziecie gnili w Iraty ze dwa tygodnie. Lepiej przenocujecie u mnie i jutro pojedziecie *kaminionem*<sup>23</sup> do Prudentopolis. Po kiego diabła macie się tam narażać! No, mówię czy nie — nie jedźcie do Iraty, co?

Wsadził ręce w kieszenie spodni, rozkraczył się i raptem mówi do mnie:

— Ma pan jaki interes w interiorze, po co pan jedzie do interioru?

— Mówił mi Wietkowski w Kurytybie, że parę miesięcy temu zostawił u pana kapelusz. Mam go odebrać. Jest u pana ten kapelusz?

— Duży, riograndeński kapelusz? Jest, dałem go do odświeżenia, kosztuje dziesięć milów, wykupuje pan za dziesięć milów?

— Zapłacę. Jadę do interioru tak, rozejrzeć się. Chcę poznać, jakie tam życie.

— No i czego pan od razu nie odpowiada, tylko zawraca pan głowę kapeluszem. Kapelusz jest. Czego pan nie je? Gra pan w szachy?

Odpowiadam, że nie gram w szachy. Bukowski powtarza to samo: „He, nie gram w szachy”. Poszedł po kapelusz.

Grzeszczeszyn powiada, że to, co mówi Bukowski nie jest ważne. Jedziemy do Iraty, to stara kolonia polska, warto żebyśmy zobaczyli. Bukowski przyniósł mi piękny kapelusz o szerokich skrzydłach, płacę za niego i za obiad, wstajemy od stołu i powiadamy, że idziemy na stację. Jedziemy do Iraty. Do widzenia.

Bukowski idzie za nami w stronę drzwi i mruczy:

— Nic, tak jak woda po psie. Ja mówię, żeby nie jechali, zgnijecie tam, nie lepiej to przenocować u mnie?

— Do widzenia, jedziemy do Iraty — woła z ulicy Grzeszczeszyn.

Słyszymy trzask drzwi. Idziemy pod domami, bo deszcz siepie teraz ostro. Na stacji odbieramy rzeczy od bufetowego, stajemy pod murem na peronie i czekamy na pociąg.

Grzeszczeszynowi nie chce się z mną mówić, ani mnie z Grzeszczeszynem. Obok nas spacerują podróżni, różnie poubierani, przeważnie jednak po europejsku i nawet dość elegancko, psują sobie tylko swój szyk niedbałym poruszaniem się, kapeluszem na bakier i w ogóle niepodopinaniem. Jest to zresztą cecha prawie wszystkich Brazylian, to niedbalstwo zewnętrzne. Przy okazji, czy też dlatego, że mi to dopiero przyszło do głowy, przyglądam się Grzeszczeszynowi. Poznałem go kilka dni temu w jakiejś kawiarni, rodak, zgadaliśmy się o interiorze, właśnie jedzie na północ oglądać tereny. Patrząc na niego i dopiero teraz orientuję się, jak bardzo w ostatnich dniach byłem roztargniony, skoro nie spostrzegłem zewnętrznej dziwności Grzeszczeszyna. Ma on krótkie nogi — iksy, szerokie biodra, od nich tułów krzywo, bardziej na prawą stronę, szyja cienka z karczkiem chłystka, na tej cienkiej szyi głowa wielka, odstające uszy. To wszystko jest niechlujnie ubrane, koślawe buciory, sztylpy<sup>24</sup> z grubej skóry, zeschłe, popękane, potem trochę spodni khaki i marynarczyna czarna, wizytowa, z wąskimi rękawami, bardzo poplamiona. Kapelusz zawadiacki, na lewe ucho, spojrzysz pod ten kapelusz, zobaczysz twarz i wybuchniesz śmiechem, bo ta twarz, to karykatura drapieźności, pełna i cała w dziobach po ospie, oczka — brudne szafiry, nieregularnie rozstawione, niby w pośpiechu powtykane, nos zakrzywiony do dołu i na bok, zachodzący za usta, tak że nawet przykro myśleć o tym, bo Grzeszczeszyn pewnie nigdy nie zaznał rozkoszy pocałunku, bo

<sup>22</sup>*Cała Brazylia się klepie* — zwyczaj z dawnych czasów, kiedy witający się wzajemnie doszukiwali się broni. [przypis autorski]

<sup>23</sup>*kaminion* — samochód ciężarowy. [przypis autorski]

<sup>24</sup>*sztylpy* — ochraniacze na buty, do jazdy konnej. [przypis edytorski]

jakże czuła kobietka miała się dostać do jego ustek. Przypomniałem sobie, że Grzeszczeszyn w czasie podróży zwrócił się do mnie kilkakrotnie dość ostro, tonem nieznoszącym sprzeciwu, i pomyślałem, że pewnie w całej naszej podróży zechce mnie wziąć, jak się to mówi, „za mordę”, więc teraz, patrząc na niego, ocknąłem się niejako, zainteresowała mnie przeszłość, stał tu obok mnie, mały, sięgający mi do ramion, śmiesznie poważny, „męski”. Kiedy podjechał pociąg, kiwnął na mnie zakrzywionym palcem i pobiegł drobnym kroczykiem, krzywy, nóżki w iks. Tak zwana *skuka*<sup>25</sup> poszła precz. Grzeszczeszyn nagle mnie ożywił.

Siedzimy teraz w wagonie przepelnionym, głośnym od ruchu i rozmów. Przed nami siedzi trzech pijanych kabokli. Są nieruchomi, mówią powoli, cedzą, nie przerywając sobie. Stoi przed nimi młody człowiek z mocno zafrasowaną miną i tłumaczy jednemu z nich, promiennookiemu w kapeluszu obszytym skórą na krzyż, że nie może jechać, ma ku temu powody.

— Zapłacę ci podróż, a dom mój jest na twoje usługi, jedź przyjacielu, ja cię polubiłem!

— Nie mogę, bardzo chcę, ale nie mogę, czekam na pracę, obiecano mi.

— U mnie znajdziesz pracę, siadaj, jedź. Blisko mego domu jest tartak, właściciel, to mój *camarado*, u niego popracujesz, jedź ze mną.

— Wybacz, z tobą nie mogę jechać.

— Dlaczego?

— Bo tak już jest!

— To jedź, siadaj!

— Nie, nie mogę...

Namowa jest bardzo powolna i uporczywa. Słucha jej z powagą cały wagon. To kwestia przyjaźni, poznali się tutaj w mieście, gdzieś przy bufecie, dużo wypili, trudno im się rozstać, za chwilę pociąg rusza. Odmawiający jest szczerze zmartwiony, taką przykrość robi przyjacielowi. W tym kraju te rzeczy bardzo się ceni, co wart pieniądz i dobra doczesne! Tu, w środku, jest cała wartość, w duszy.

— Jedź, zobaczysz moją ziemię nad Ivahi, zapolujemy, jedź!

Ale pociąg rusza, więc klepią się serdecznie, młody człowiek wyskakuje w biegu, macha ręką, drugi siada prosto, twarz jego wyraża powagę smutku. Zaczęła się trzęsionka, Grzeszczeszyn ziewa, odwraca się do mnie i pyta rubasznie, pobłażliwie:

— No jak tam, znosi się jakoś podróż, hm, co, nieprzyzwyczajonemu. No, głupstwo, będzie gorzej.

Odpowiadam, że wszystko dobrze, „powolutku”, jednocześnie odmawiam pomarańczy, którą nas częstuje jakiś przechodzący kabokło. Wciąż trzeba czegoś odmawiać — piwa, ciastek, owoców, ciągle ktoś częstuje. Grzeszczeszyn mówi mi dużo o sobie. Jest specem od kolonizacji, nikt nic nie wie. On czyści, segreguje, utracił wielu ludzi na wysokich stanowiskach, nędznych karierowiczów.

— Szary ja jestem, panie, niepokazny, ale ci panowie, tam w kraju wiedzą coś niecoś o Grzeszczeszynie. Oczywiście, to nie ja, to nie ja — po prostu talent, znajomość duszy chłopskiej. Mam tu misję przez siebie samego narzuconą i misję tę wypełnię. Jaka — o tym później! Przyczaiłem się na posadzie skromnego nauczyciela w Antonio Olindo, zarabiam trzydzieści milów miesięcznie, ale tam kuję rzecz wielką, panowie, tam w kraju nieprędko się podniosą po moich ciosach. No, pan nic nie wie, głupstwo, nieświadom jeszcze! W Brazylii się z głodu nie umiera, przetrzymam, a ja tu, panie, miałem kiedyś wielkie stanowisko, jeśli chodzi o kolonizację. No głupstwo! Martwisz się pan, że ja nie mam pieniędzy — hehehe! Pal pan, młody człowieku, *ainda senhor verá minha vitória*<sup>26</sup>!

Poufale i szeroko wetknął mi papierosa w zęby. Rozgadał się: jestem znośny; chcę coś wiedzieć, to tylko od niego; na ogół dobrze mi z oczu patrzy. Powoli przestał mówić, zaczął się przysłuchiwać rozmowie trzech pijanych kabokli, wreszcie przysiadł się do nich, dużo mówili, pili piwo.

\*

<sup>25</sup>*skuka* (z ros.) — nuda. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*ainda senhor verá minha vitória* (port.) — jeszcze pan zobaczy moje zwycięstwo. [przypis edytorski]

Robi się mroczno. Nie wiem, dlaczego pociąg tak często przystaje; raz się zatrzymuje przed jakimś sklepem, to znów w szczerym polu. Zwracam na to uwagę i widzę, że przy drodze poukładane jest drzewo, gotowe, porąbane. Zabierają trochę tego drzewa do lokomotywy, fiufiu! I jedziemy dalej. Także często przystają, aby nabrać wody. Zapalono lampy, żółte światło rozmazało się po wagonie, w tym świetle twarz Grzeszczyszyna nabrała demonicznego wyrazu. Przez okno widzę uciekające małe domki, coraz więcej zabudowań, w końcu stajemy przed zatłoczonym peronem, na budynku stacyjnym wisi tablica z napisem: Iraty. Grzeszczyszyn jest znów przy mnie, ożywiony, pomaga mi ściągnąć rzeczy z półki. Po wyjściu z wagonu zostawiamy je w kancelarii stacji i wlecemy się w błocie, w deszczu i mroku do miasta. Mijamy szare budynki, zięjące straszliwą, prowincjonalną tęsknicą. Z trudem stawiamy kroki w błocie, płaszczę ono niemile, ludzie przechodzący obok nas wykonywają dziwaczne ruchy, starają się stąpać po lepszych miejscach. Doznaję głupiego uczucia, smętnej nijakości, działa na mnie ta uboga obcość. W drodze Grzeszczyszyn zastanawia się, gdzie przenocujemy: u księdza, czy u wojującego z nim postępowca, jakiegoś nauczyciela Mariankowskiego. Ja chcę do hotelu.

— Nie, jakże! Jest pan przecież wśród Polaków, wstyd byłoby mieszkać w hotelu, najlepiej będzie u księdza, tylko gdzie on mieszka? Zaraz, zapytamy się tego gościa z parasolem, co gada z tym grubym...

Zresztą wszystko mi jedno, byleby gdzieś się położyć. Może jutro nie będzie mnie to wszystko tak denerwowało. Człowiek z parasolem to Polak, ale o jakiejś wstrętnej, scudzoziemszczałej twarzy. Opatulony jest szalikiem, nie ma palta. Żegna się ze swym towarzyszem i namawia nas, aby koniecznie odwiedzić księdza Grzywę.

W tej wilgotnej, rozpaćkanej ciemnicy jego słowa lepią się, cuchną podgorączkowaniem, są natrętne.

— Koniecznie, panowie, bo Mariankowski to łajdak, bolszewik, tak! Ksiądz Grzywa to szlachetny duchowny, nie zwraca uwagi na tego marniaczynę, ech, panowie, ważne rzeczy tu się dzieją. Uwaga!

Stoimy przed torem, z lewej strony syczy lokomotywka. Obok stoi słup z wąską, pionową tabliczką. Przytwierdzona do niej lampka oświeca słowa „*Pare — Olhe — Escute — Passe* (Stój — Patrz — Słuchaj — Idź)”. Słowa te mieszczą się jedno pod drugim, zatrzymują nas kilka minut. Myślę o tym szmatławcu, naszym przewodniku, który powiada, że w tej parszywej dziurze dzieją się ważne rzeczy. Pociąg przemknął, pefen łebków w oknach.

— A ten Mariankowski, to myślicie panowie, że nie kradnie. Hoho, mnie wygrzył z towarzystwa, byłem tam prezesem, w lewo, panowie. Ja ostatecznie posiadam tutaj fabrykę wody sodowej, nie jestem pierwszym lepszym łatkiem, nauczycieliną. I jakież to życie bez księdza? Z kim on walczy! Teraz jest sam prezesem w tym towarzystwie. Tutaj panowie, zaklaskajcie przed oknem, to może ksiądz wyjrzy.

Stanęliśmy przed ładnym czystym domkiem. Grzeszczyszyn klaskał, pomagał mu trochę fabrykant wody sodowej. Zapaliła się elektryczna lampa u drzwi, z okna wyjrzała wesoła, pomarszczona staruszka.

— A co tam, panowie, co?

Obaj mówią, że chcą do księdza. Księdza nie ma, jest u zakonnic. Ona nie wie, kiedy wróci, może się zasiedzi. Gaśnie lampa, skrzypi okno. Fabrykant radzi do hotelu.

— On panów przekabaci, ten marniaczyna. Ja was tam nie zaprowadzę, nie przyłożę do tego ręki.

Wreszcie Grzeszczyszyn wyprasza pokazanie domu, chociaż z daleka. Jestem rad z obrotu sprawy, jasne, że czuję sympatię do tego łajdaka Mariankowskiego. Plust, chlup, potrącamy się, idziemy w inną stronę. Fabrykant przycichł, tylko gwizdzie ironicznie. Skręcamy tu, skręcamy tam, w końcu przechodzimy płotek, fabrykant mówi ponuro, wskazując parasolem: „to to” i znika w ciemnościach jak szatan, rozgwizdany, chichoczący. Przed oknem Grzeszczyszyn znów klaszcze, to zwyczaj całej Brazylii, dom prywatny, to świętość, żadnego dobijania się. Z okna pyta ktoś energicznie:

— Co za cholera się tu tłucze?

— To ja, Grzeszczyszyn, panie Mariankowski! Przyjechaliśmy!

— Zaraz otwieram, idźcie tam od frontu, trochę niezdrów, wyleguję się, zaraz...



Ten ci to Mariankowski, co tu tyle złego narobił, co ma nas „przekabacić”! W drzwiach stoi dwudziestoparoletni chłopak, ładny, wesoły, z czupryną. Taki typ, co to żadnej dziewczusze nie przepuści. Zaprasza nas do środka, powiada że wrócił niedawno z jakiejś *lapy*.

— *Lapa* to sanatorium dla chorych na płuca, pan tu niedawno, to pewnie nie wie. Coś nietęgo byłem ostatnio z gardłem, teraz lepiej, miesiąc tam siedziałem, dopiero dwa dni temu wróciłem. Wcześniej się kładę, odpoczywam, gawędzimy sobie z żoną, nie pali się światła, plucha taka. Siadajcie panowie, ja zaraz wrócę, trochę się przyczeszę. Grzeszczeszyn, to was aż tu przyniosło, już wracam!

To pewnie jest sala tego „towarzystwa”, gdzie siedzimy, bo dużo krzeseł, pisma, książki na półkach... Moje buty wyglądają jak stęporę, tak są oblepione błotem. Grzeszczeszyn informuje mnie, że ten Marianowski to może i porządny chłopak, tylko młody i nerwus. Grzywa to jest ksiądz! Jutro zaraz pójdziemy do niego. Szkoda, żeśmy go nie zastali, trudno, trzeba będzie przenocować u tego młokosa, lepiej to niż wydawać na hotel.

— Ale czekaj pan, ja mu tu dam szkołę, ja mu wybiję z głowy te ateuszostwa, nie darmo, panie, tu zdrowie straciłem na robocie społecznej. Ja go się zapytam, kto to go upoważnił do tych walk religijnych? Z narodowym księdzem sztamę trzyma, smarkul. Będziesz pan widział.

Więc to jest poznawanie puszczy, dzikiego życia brazylijskiego! — myślę sobie. Po nieciekawej i męczącej podróży spotykam się tutaj z jakąś marniutką polityczką i atmosferą Lubartowa na jesieni. Patrzę na Grzeszczeszyna jak na okiennicę czy inny słupek. Teraz widzę, że jest brudas, ma brudny kołnierzyk, czarno za paznokciami, śmierzdząca mina. Są tacy mężczyźni, jak się spojrzy na ich twarz, to się wie, że są brudasy i śmierzdzą, choćby nie wiem jak elegancko byli ubrani. Grzeszczeszyn jest mi już wstrętny, nie wiem jeszcze, może się do niego przekonam, ale w tej chwili twierdzą, że jest paskudna posturka.

Mariankowski wraca, chudy, gładki, sylwetkowy i siada obok nas.

— Ciągłe pan bujasz po świecie — zwraca się do Grzeszczeszyna.

— Robi się, co można. Jak tam u was kartofle tego roku?

— W Iraty rodzą się najlepsze kartofle — informuje mnie Grzeszczeszyn.

Mariankowski odpowiada, że są tu ważniejsze kwestie niż kartofle i od razu traci w moich oczach razem z tymi swoimi ważnymi kwestiami. Zaczynają ze sobą rozmawiać, wymawiają nazwiska, które mi są nieznane, w końcu już nie słucham nawet tego co mówią. W starym „Światowidzie” widzę głębię znajomego bęcwała, że niby coś tam napisał czy wystawia. Oglądam inne pisma, dużo fotografii z powodzi w Polsce. Znów „Światowid”, na pierwszej stronie fotografia arystokratycznej grupki na balu, bardzo przystojni ludzie, trochę ładnych hrabianek, wszystko jedno, choć i hrabianki, zdrzemnąłbym się z którąś z nich tu, w tym Iraty. Za ścianą nieznana mi żona Marianowskiego coś pitrasi, skwierczy to, łączy się ze słowami Grzeszczeszyna: „...a przecież ksiądz Myszka nalał im za kark gorącego łoju”. Podchodzę energicznie do Marianowskiego i zadaję mu szereg pytań istotnych: ile zarabia, ile dzieci chodzi do szkoły, dlaczego wyklóca się z księdzem Grzywą? Wstaje i tłumaczy mi wszystko szczegółowo. Księdza Grzywę nazywa „Rzymianinem”, bo jest to ksiądz rzymsko-katolicki.

— Wcale się z nim nie wyklócam, tylko nasz chłop na tutejszym gruncie nie jest tak ciemny jak w kraju, i wszelkie księżę bujania i wyludzanie grosza nie może tu mieć miejsca.

Potem mi mówi dużo na ten temat, i rzeczywiście, jeśli to prawda, to ten ksiądz jest niedobry człowiek, nie ma co gadać. Do pokoju wchodzi kobietka z zadartym noskiem i prosi nas do stołu. Ładniutka jest ta żona Marianowskiego i nic dziwnego, że sobie z nią gawędzi w ciemnościach, o tak wczesnej porze. Jemy różne smaczne historyjki i gdy się przy tym patrzy na tak młodą, przystojną parę, wszystko nabiera zdrowego sensu życiowego, nawet słowa Grzeszczeszyna, że... „ci panowie z Polski przysyłają tu różnych bałaganiarzy, a ja, który wiem coś niecoś, jestem im niewygodny, bo lubię prawdę; ale to się wyklaruje”. Po kolacji znów słowa: spółdzielnia, szkolnictwo. Siedzę z nimi, przyklejają się do mnie te słówka, omal że się nie trzymam stołu, tak mnie ciągnie szerokie łóżko Marianowskich. Wreszcie, żeby coś powiedzieć, pytam się Grzeszczeszyna, kiedy się nabawił ospy, w jakich warunkach. Rzucam przy tym podłg uwagę, że musiał być kiedyś ładnym chłopcem. Grzeszczeszyn bardzo grzecznie mi odpowiada, że zachorował

na ospę na Górnym Śląsku, robił właśnie propagandową „robotę”. Mariankowski patrzy na mnie i zaraz proponuje nam jakiś pokój na górze, tylko go trzeba wpierw uprzátnąć. Z radością myślę, że zaśpię ten nudny, oleisty dzionek mojej podróży po Brazylii. Idziemy na górę, rzeczywiście pokój trzeba uprzátnąć ze śmieci i zakurzonych butelek, tylko potem należy coś w niego wsprátnąć, bo jest bez łózek.

— Trzeba poznosić łózka — powiada Mariankowski.

Tylko oni pracują, znoszą te deski, składają je, stukają młoteczkami, bo ja otworzyłem okno i zasnąłem na parapecie jak nieopanowany wałkoń, leniuch.

Rano oczekiwałem czegoś poważnego, przypuszczałem, że mnie ugryzła jakaś „specjalna” mucha, kiedy wyjrzałem przez okno albo że kwiaty jakieś mnie odurzyły. Przecież w takim nieznanym kraju czort wie co może człowieka spotkać. Ale Grzeszczyszyn powiedział mi najpierw: „...młody człowieku, pan jest niewytrwały”, potem: „rozespał się pan, trudno się pana było dobudzić, ale to tak pierwszy dzień, później się pan włoży<sup>27</sup> do niewygód, nie przejmuj się pan tym”. Wcale nie mam zamiaru się przejmować, gniewa mnie tylko ton Grzeszczyszyna, wodzi oczami po ścianach, jest za wyrozumiały, dobry, pełen pobłażania. Przy tym za oknami jest sina popielatość, znów wyglądam przez okno, mówię do Grzeszczyszyna, że może stary Bukowski miał rację, jest błoto, deszcz. Nie będzie można wyjechać stąd Bóg wie ile czasu.

— Gdzie panu tam deszcz? — mówi Grzeszczyszyn. Ziewa zapinając spodnie.

— Jak to — mówię — nie widzi pan, że pada, spójrz pan na szybę!

— Ale, ładnie jest, zdaje się panu — cedzi Grzeszczyszyn.

Patrzę na niego i widzę, że ma lisią minkę, z paskudnym, niteczkowatym uśmiechkiem. Uprzytamniam sobie, że jestem silny, Grzeszczyszyn sięga mi do ramion i najlepiej będzie, jeśli go od razu trzasnę w głowę. Jest taka sytuacja, że nie ma mowy tu o żartach, po prostu jakaś niesamowitka. Wyraźnie pada, nawet krople spływają po szybie. W tej chwili Grzeszczyszyn mówi:

— Pójdziemy najpierw do księdza Grzywy, potem na miasto, rozpytać się o konie. Nie ma pan czasem agrafki? Bo muszę przypiąć skarpetkę.

Wyciągam agrafkę z worka podróżnego, daję ją tej histerycznej, rozkapryszonej małpie. Zakrywam łóżko kocem, schodzę na dół z myślą o śniadaniu, on idzie też za mną, mruczy coś w rodzaju: „Kurzu w tej szkole, pożał się Boże! Je-je-jej!”

Żonka Mariankowskiego, rozgospodarowana, wesoła kobietka, podaje nam kawę, pyta, jakeśmy spali. Jej furkocząca sukienka rozprasza nalot niedobrej rozmowy z Grzeszczyszynem, tam na górze. Chlipię kawę, staram się nie patrzeć na Grzeszczyszyna, więc siedzę niewygodnie, patrzę w okno, widzę smutne piniory w zadeszczonej, rozpacznej dali. Przez ścianę, ze szkolnej sali słyhać monotony głos Mariankowskiego. Mówi coś o Sobieskim, o Turkach. Wstajemy ciężko od stołu, jak dwóch parobków, naciskamy kapelusze, Mariankowska mówi nam o obiedzie, aby się nie spóźnić. Grzęźniemy w błocie, rozglądam się po tym Iraty. Jednopiętrowe domki po obu stronach szerokiej, niebrukowanej drogi, *wendy*<sup>28</sup> — sklepy ze wszystkim, zięjące mrokiem i stęchłymi zapachami. Drzemiące w słońcu Iraty nasuwa wspomnienia z przypadkowych niepotrzebnych podróży i przejazdów przez Rawę Mazowiecką albo Lubartów. Daleko, w szarzyźnie mającą postacie na koniach. Sylwetki kilku mężczyzn w kapach i szerokich kapeluszach wolno przesuują się przez drogę, jak widziadła. Wokół cisza, czasem jakieś człapanie. Miasteczko jest przemokłe i zaspane. Grzeszczyszyn wchodzi do wendy, tłumaczy mi, że to wenda bardzo bogatego Polaka, Hessla. Idę za nim, gdzie on tam i ja, trudno, tylko żeby mi tak często nie wyjaśniał różnych rzeczy, przecież nie jestem taki skończony niedojda, o tym Hesslu już mi wczoraj wspominał. I żeby był ścisły, ale w ciągu tej krótkiej podróży przyłapałem go kilkakrotnie na mylnych informacjach, mówi sam z siebie, niepytany — okłamuje mnie. Wita nas tęgi właściciel wendy, prowadzi nas do swojej kancelarii. Zapytuje, dokąd jedziemy takim tonem, jak gdyby miał nam jakąś wizę wystawić. Ale jest to rubaszny, zażywny jegomość, raczej sympatyczny. Siedzimy przy stole, jest tu maszyna do pisania, liczydło, dużo rachunków na drutach, pachnie naftą, mąką. Obaj znów mówią na temat księży, wypowiada się Grzeszczyszyn, Hessel od czasu do czasu wtrąca:

<sup>27</sup> włoży — wdroży. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> wenda (port.) — karczna, sklep; w dalszej części tekstu używana jest forma spolszczona: wenda. [przypis edytorski]

„Ha, trudno. Jakoś tam będzie, cierpliwości”. Na mnie patrzy dziwnie, powiedziałbym — porozumiewawczo. Właśnie przechodził jakiś młody człowiek, Hessel zatrzymał go, przedstawił nam jako syna, polecił mu coś tam przynieść, coś do wypicia. Nic nie rozumiem, o czym oni mówią, ciągle słyszę obce mi nazwiska i nazwy miejscowości, słowa takie, jak zrzeczenie nauczycieli, kółka rolnicze, *rosy*<sup>29</sup>, hodowla jedwabników. Syn Hessa przynosi wódkę, bułki i masło. Widać, że stary jest z gatunku tych ludzi, którym trudno rozmawiać na sucho. Podsuwa nam kieliszki, mówi: „Aby się nam dobrze działo”, a ja nagle doznaję jakiegoś straszliwego wstrząsu, bo to co wypilem było nad wyraz niedobre, jakiś cuchnący ogień, znów ta okropna *kaszasa*<sup>30</sup>. Poweseleliśmy. Smaruję bułkę masłem, nie wiem dlaczego wstałem i jedząc tę bułkę, przytupnąłem nogą w podłogę. Hessel, gwałtownie jak ulewa, zaczyna się natrzasać z Grzeszczyszyna. Że robi zamęt, obiecuje a nie wykonywa; miał przecież przysłać mu nasiona morwy.

Grzeszczyszyn mówi teraz o koniach. Żeby Hessel wystarał się nam o konie albo o karosę. Hessel obiecuje, że jak tylko będzie coś wiedział, zaraz nas zawiadomi. Nagle tematy się wypaliły, już nie ma o czym mówić, żegnamy się, wychodzimy. Jestem otumaniony wódką, zawsze sobie mówiłem, że rano nie należy pić. Znów doznaję wrażenia niesłychanej, lepkiej od bezsensu bzdury. Przecież ta cała rozmowa to było nic. Ale czego ja właściwie chcę? Ma się zaraz dziać coś wielkiego. Może dlatego, że ja raczyłem tu przyjechać. Dlaczego się ciągle przyczepiam do Grzeszczyszyna? Pragnę z niego na siłę zrobić dziwną postać, dominującą potworę w mojej podróży. Moja sprawa, to wszystko po kolei opisać jak należy i nie robić żadnej atmosfery, jakichś tam nastroików. Zwracam się do Grzeszczyszyna, klepię go po ramieniu i mówię:

— No co, kochany panie, mieliśmy pójść do księdza Grzywy? Idziemy, co?

— Zaraz, zaraz — wolnego! Już niech pan mnie zostawi, dokąd mamy pójść, młody człowieku.

Przystanęliśmy na środku drogi. Grzeszczyszyn uchwycił się ręką za brodę i zastanowił się. Przewaliło się nad naszymi głowami kilka ociężałych ptaków i opadły na pobliski dach. Znam już je, wiem, że to są ścierwce brazylijskie: *corvy*. Są czarne, wielkości kury, uważają je tutaj za spełniające funkcje asenizacyjne. Nie wolno ich zabijać, są traktowane jak u nas bociany. Siedzi ich teraz kilka na dachu, wstrętne, ponure, niechlujne w ruchach. Mają na pół opuszczone skrzydła, poruszają się ociężale. Symbol beznadziejności, nędzy istnienia.

Więc Grzeszczyszyn postanawia pójść do księdza. Zdążamy tam w rozkracznych podskokach, boleśni. Domek księży jest jak uzewnętrzniony pokój paniński. Anemiczny, czyściutki. Wczoraj wieczór nie dostrzegało się tego wyraźnie. Obskoczyły nas czarne, zuchwałe pieski; podskakujące, znaczące nasze ubrania plackami błota. W drzwiach zamajaczył ksiądz czarną, groźną plamą. Wielki mężczyzna z twarzą jak pajda razowego chleba. Nad wypukłymi, brązowymi policzkami tkwiły oczka wypukłe, szkliste, przesłonięte skądś mi znaną mgłą. Zacząłem nerwowo i szybko myśleć, u jakich ludzi widzi się takie oczy. Ale ksiądz machnął przed nami ręką jak łopatą, chwilę przypatrywał się Grzeszczyszynowi, następnie powiedział: „Wejdźcie panowie do środka” i zaraz potem wykrzyknął:

— Ależ to przecież kochany pan Grzeszczyszyn! Proszę, proszę! Gdzieśmy to się ostatni raz widzieli? A, na zjeździe nauczycielskim! O, to bardzo się cieszę — tu, tu! O, do tego pokoju!

Pokój pachniał jak wszystkie księżę mieszkania. Przyjemnie i świeżo. Na ścianie wisiała reprodukcja obrazu przedstawiającego Chrystusa i Łazarza, poniżej to samo na płótnie, tylko jakieś inne, zamazane. Grzeszczyszyn przystanął przed tymi obrazami i zapatrzył się okiem znawcy.

— To ja sobie tak kopiuję w wolnych chwilach — wyjaśnił ksiądz.

Grzeszczyszyn plasnął w dłoń i opuścił je na „podolek”.

— Jakie to jest śliczne, proszę księdza. Taki talent.

<sup>29</sup>*rosa* (z port. *roça*) — obszar po spalonym lesie, przygotowany pod zasiew (za: *Słownik portugalsko-polski kolonisty polskiego w Brazylii*, Kurtyba 1925). [przypis edytorski]

<sup>30</sup>*kaszasa* (z port. *cachaça*) — popularny w Brazylii napój alkoholowy, produkowany z fermentowanego soku trzciny. [przypis edytorski]

Ksiądz machnął ręką, pousadawiał nas w fotelach i powiedział, że zaraz przyjdzie, tylko przyniesie piwa. Wyszedł. Grzeszczeszyn jeszcze wpatrywał się w obrazy, cofał się parę kroków, to znów stawał tuż przy obrazie.

— Panie, powiedz pan: ksiądz i do tego tak ślicznie maluje. Ile w tym koloru.

Rzeczywiście wzrok Grzeszczeszyna wyrażał zachwyt i jeszcze coś: ekstazę, zażenowanie, szczęście. To wszystko zauważyłem w nim, jak tylko zobaczył księdza. Twarz mu wyszlachetniała. Ksiądz przyniósł cztery butelki piwa, ponapełniał szklanki, wypił swoją jakoś chciwie, smacznie. Wyjął gdzieś tam z tyłu chusteczkę (przypomniał mi się Reymont, bo „zapachniało jak z trybularza”), wytarł nią usta i czoło, splótł ręce i oparł na nich brodę, po czym powiedział:

— Więc w podróż, w podróż po świecie? O, dawno nie wyjeżdżałem, pracy tyle, zło się tu nas wylęgło, trzeba je niszczyć, trzebić. Co to! Psy! A szelmy, *sai, sai*<sup>31</sup>!

Rzucił się do tych piesków z dziwną pasją, wyganiał je jakby to była grupka szatanków. Wreszcie trzasnął drzwiami, usiadł i powiedział:

— Pijcie panowie piwo.

Grzeszczeszyn jest podniecony, mówi piskliwie, z gardła.

— Ach, słyszałem, słyszałem, proszę księdza. Księża narodowi zakorzeniają tu niepokój. Mój Boże, co za czasy, poprzyjeżdżali jacyś wycirusy, bez Boga w sercu, tumanią ludzi. Myśmy musieli się zatrzymać u Mariankowskiego, może mi się uda przekonać tego wichrzyciela. Mam misję i muszę ją wypełnić. Ach, jak cierpię, gdy widzę lotrów podnoszących głos na prawych duchownych.

— E, nie jest tak źle. Damy sobie z nimi radę — odpowiedział ksiądz. — Nie trzeba się znów tak przejmować. A wiecie co, moi drodzy? Może zjemy coś i napijemy się czegoś mocniejszego, co? Mam dobrą kaszase, starą. Chichutko, zaraz każę ją podać i coś do przegryzienia. No bo jakże tak na sucho?

Grzeszczeszyn ukrył twarz w dłoniach i wysyczał czy wyjęczał: „Pocziwina — wszelkie łajdactwa rozbijają się o jego dobroć”. Zaciągnąłem się papierosem łapczywie i poprawiłem się w fotelu. Z rozkoszą byłbym zrobił teraz Grzeszczeszynowi jakąś wyrefinowaną krzywdę, na przykład zanurzyłbym mu twarz w łajnie, już nie wiem, coś w tym rodzaju. W tej chwili był ohydnie sztuczny, śliski, trudno to wyrazić. Za jakiego durnia musiał mnie uważać, skoro sobie pozwalał wobec mnie na takie komedie. Raptem spojrzał na mnie kwaśno i żałośnie i powiedział:

— E, pan tego wszystkiego nie rozumie!

— Rozumiem to, że jest pan skończona małpa — powiedziałem wreszcie.

Twarz mu się skurczyła, nabrała wyrazu. Powiedział słodko:

— Pan się upił, młody człowieku.

Ksiądz wszedł dużymi, energicznymi krokami. Zatarł ręce, powiedział coś na temat pogody i że zaraz nam podadzą przekąskę. Na chwilę zaciekały go nasze miny i zaraz dodał:

— Mówmy o czymś weselszym, wy jesteście młodzi, ja też nie stary. Co tam słychać w Kurytybie, mówcie no ploteczki, moi drodzy.

Więc mówili o rzeczach dla mnie dziwnych, nieznanym mi zupełnie. Grzeszczeszyn zachowywał się teraz wspaniale; mówił powoli, a gdy mówił, patrzył w oczy księdzu, był opanowany, czułem że wie o moim zdenerwowaniu, że strzeliłem głupstwo ubliżając nie jemu, lecz mnie. Ja czułem się teraz marnie, ubogo i niepotrzebnie. Kiedy pomarszczona, znajoma mi od wczoraj pogodna staruszka z okna przyniosła karafkę z żółtą wódką i coś do zjedzenia, kiedy ksiądz przyjemnie zmrużył oczy i napełnił kieliszki, nie czekając na słowa księdza, coś w rodzaju: „Aby nam się dobrze działo”, wychyliłem gwałtownie kieliszek i kiedy go postawiłem, spotkałem się ze wzrokiem Grzeszczeszyna, wyrażającym upomnienie, zrozumienie i może jeszcze litość!

Piliśmy wódkę, przekąski były na ząb, ksiądz często mówił takie słowa: „Co tam, panowie! No, trzaśnijmy jeszcze po jednym! Wypić można, byle w miarę!”. Wszelkie symptomy pijackie, bo teraz już wiedziałem, że ksiądz to alkoholik, przypomniałem sobie wrażenie jakie na mnie zrobił, gdy go zobaczyłem, jego wypukłe, szkliste oczy i nalaną twarz.

<sup>31</sup>*sai, sai* (port.) — wyjdź, wyjdź. [przypis edytorski]

Byłem odurzony, zły, wykrętnie odpowiedziałem księdzu na pytanie, co mnie tu sprowadza. Rozmowa ożywiła się, gasła, wreszcie ksiądz zaproponował, aby pójść obejrzeć kolegium, które się buduje i przy tej okazji złożyć wizytę siostram. Wstaliśmy, poszurgaliśmy trochę nogami, ksiądz wziął kapelusz i parasol i ze słowami przy drzwiach: „Proszę, proszę, pan będzie łaskaw, ja tu gospodarz” — wyszliśmy na rozmokły trakt. Nic się nie poprawiło na niebie, było brudne jak pomyje, wiatr ciął rzadkim deszczykiem, marszczył kałuże na drodze. Szliśmy w milczeniu, ksiądz lewą ręką podciągał sutannę, podskakiwał, pomagał sobie parasolem w utrzymaniu równowagi. W oddali ostrzyła się wieżyczka kościoła, właśnie zbliżała się do niej spasała, brunatna chmura, brzuchem nadziała się na szpic, pomyślałem sobie nieprzytomnie, że teraz z tego brzucha wypłynie może coś wstrętnego. Ale nic takiego się nie stało, tylko ksiądz wskazał parasolem w stronę wieżyczki i powiedział: „O, tam jest nasz kościół”. Grzeszczeszyn zapytał, gdzie, ale właśnie tam już nic nie było widać, bo chmury zakryły. Kiedy jest niepogoda i kiedy się widzi nieskończoną czerwoną budowlę i obok poukładane cegły, a wokół jakieś strużyny i w ogóle nieporządek, to jest to widok nieprzyjemny i nadzwyczaj nudny. Kolegium było, owszem — solidne, postawne, miało być kiedyś skończone. Obchodziliśmy wokół to kolegium, ksiądz nam tłumaczył gdzie co będzie, bronił ręką kapelusza przed wiatrem, wyjaśniał ile brak cegieł, wszystko to było bardzo ludzkie, istotne, ale dla mnie obce i nieciekawe, przyznaję się do tego rzetelnie. W pobliżu stały jakieś domki, stamtąd z okien wyglądały — prawdę mówię — upiorne twarzyczki kobiece, obserwujące nas z chłodną, bezmyślną ciekawością.

— No to teraz pójdziemy do sióstr — powiedział raptownie ksiądz.

Lecz nie, społecznik-Grzeszczeszyn polecił sobie obliczyć, ile jeszcze potrzeba pieniędzy na ukończenie gmachu, on zrobi składkę, tak, on na pewno przyczyni się, aby było jak najlepiej. Już w Kurytybie słyszałem coś niecoś, że Grzeszczeszyn jest bardzo ubogi, że właściwie jest to człowiek bez znaczenia.

I teraz zatrzymuje nas na deszczu. Więc ksiądz zaraz obliczy, nie ma ołówka, daję mu ten ołówek — oblicza.

Grzeszczeszyn ma twarz skupioną, powiedziałbym — cierpiącą.

— Potrzeba by jeszcze ze sto dwadzieścia tysięcy milreisów — mówi ksiądz.

— No, tak... to się jakoś zrobi — powiada Grzeszczeszyn.

Idziemy do sióstr, widać poruszenie twarzą w oknach. Grzeszczeszyn obiecuje przysłać nasiona morwy: trzeba, aby ten placyk nie był taki pusty. W drzwiach witają nas dwie siostry, smutne ptaki w czepcach. Siadamy w pachnącym czystą stęchlizną pokoiku, znów się mówi o morwach, przyśle je Grzeszczeszyn, na pewno przyśle. Ksiądz siedzi — zuchowato czerwony na twarzy — naprzeciw jednej z sióstr.

Chwytam ich spojrzenia — co mi jest? Jakies pijane przypuszczenia. Może wydaje mi się, ale te spojrzenia wcale nie są takie znow duchowne, raczej poufne i porozumiewawcze spojrzenia mężczyzny i kobiety. Brr, jestem stanowczo przedenerwowany, przesiąknięty wyimaginowanymi nastrojami, atmosferą tajnych dziwności w tej miejscinie. Teraz siedzę w tym chłodnym pokoiczku, słucham bezpłciowej rozmówki murrurur, czup-czszup, pszz — i wspominam szeroką, widną przeszłość, twórczą i męską. Wstają, pokazują ochronkę, tu salka taka a taka. Gdzieniegdzie migają śmiertelne twarzyczki, upiorki takie blade.

— Do widzenia, szczęśliwej podróży, tylko niech pan nie zapomni o morwach, panie Grzeszczeszyn!

Ksiądz wyszedł z nami, żegnamy się na rozstaju, z uśmiezkami jak szkiełka na twarzy. Oglądam się za księdzem: wiatr miota jego sutannę, ksiądz zatacza się zdziebko, czarny jest, parasol nad nim czarny, dziwny sprzęt w rękach człowieka. Biorę Grzeszczeszyna pod rękę i mówię mu coś o przeproszeniu, że się uniosłem, że jestem nerwowo. Powiada:

— Głupstwo, tego nie było, tego się nie pamięta, chodźmy prędko, bo się spóźnimy na obiad.

Częstuje mnie papierosem, jest dobry, wybaczył mi.

Jemy teraz obiad u sympatycznych Mariankowskich. Opowiadam, jakie na mnie zrobiły wrażenie dzisiejsze wizyty, opowiadam ja, bo Mariankowski mnie o to pyta. Mówię, że to wszystko jest może interesujące dla tutejszych ludzi, ale dla człowieka, który świeżo

przyjedzie z Europy, bardzo szare, małe i ubożuchne. Że przy tym dręczy mnie niepogoda, że tutejsze deszcze są dziwnie posępne, tęskliwe. Mówię o wizycie u sióstr, że ksiądz zachowuje się tam tak swobodnie, że bardzo po męsku...

— Bo przecież żyje z tą mniejszą — mówi Mariankowski poważnie.

Patrzę na Grzeszczyszyna, ale on się za czymś ogląda, wreszcie powiada, że mu potrzebna jest sól, że lubi słono. Mariankowski mówi dalej:

— Wie pan, ja tu niby z nim, jak to się mówi, walczę. I nie wypadałoby mi o nim źle się wyrażać, zwłaszcza o jego prywatnych historiach. Ale ten jego stosunek z przełożoną jest wszystkim wiadomy. Ludzie tutaj są tacy, że się szybko do największych dziwactw przyzwyczajają i lubią spokój. On przy tym wszystkim jest zdecydowany alkoholik, często zdarza mu się mszę odprawiać po pijanemu, raz nawet zatoczył się z monstancją przy ołtarzu. Chodzi sobie często do tych sióstr, one mu tam warzą różne nalewki, śpiewają mu — żyją sobie dość dobrze, tak pospołu. Widzi pan, ja jestem człowiek młody, muszę się wyżyć, mam dużo energii, czytam Russella, czytam Boya i oni mnie nauczyli, co to jest człowiek, świat wali naprzód jak wściekły, a tu taki lump w sutannie robi sobie z ludności stado owiec, rzeczywiście, pasterz. Teraz to się trochę po moim przyjeździe zmieniło, ale dawniej to przecież on ze swego stolca kapłańskiego zbierał masę pieniędzy, i gdy się w tym zorientowałem, to aż mi się niedobrze zrobiło, tak ludzie byli nim otumanieni. Sprowadziłem księdza narodowego, ten znowuż tuman i niedołęga — ot, ksiądz bez praktyki. No, o tyle jest potrzebny, że chrzty i pogrzeby robi za darmo. Ludzie zaczynają się trochę orientować. Grzywa robi na gwałt kolegium, oczywiście po to, aby umocnić swoje wpływy. Kolonia jest bogata, udało mu się zebrać trochę pieniędzy, ale teraz koniec, zabrakło. Teraz tak trzeba by wykombinować, żebyśmy my ukończyli to kolegium, żeby ostatnie słowo zostało przy nas. No, robi się coś niecoś,- zobaczymy, co będzie dalej. Pobędzie pan tu w Brazylii nieco dłużej, to się pan zorientuje we wszystkim. Chorobą i pasożytem naszych kolonii tutaj jest ksiądz-misjonarz. Wyleczy się z tego, będzie zdrowie, będzie rzetelna, twórcza i ludzka robota.

Grzeszczyszyn siedzi niemrawo uśmiechnięty i gdy patrzę na niego, przychodzi mi na myśl, że przecież on nie posiada za grosz wyrazu, że ta twarz nic nie mówi. Ot, dupotwarz. Widzę, że Mariankowski nie ma właściwie wyraźnego stosunku do niego, traktuje go jakoś niepewnie. No, ale dosyć już o tym Grzeszczyszynie, postać ta korci mnie bardzo i ciągle się nią interesuję. Wstajemy od stołu i w sali towarzystwa Mariankowski nakręca patefon. Żalodne melodie kaboklerskie snują się między nami, wytwarzają nastrój banalnej lecz przyjemnej tęsknoty, pobudzają umysł do wspomnień o kraju, zdają się łączyć ze szmerem kropel na szybach, nie sposób się z tego otrząsnąć, choć się wie, że jest to bardzo naiwne.

Potem gramy w preferansa. Grzeszczyszyn znów nam się ukazuje. On przecież tyle nie licytował... a to mu się nie dorzuciło do koloru... czego pan wistuje, jak pan nic nie ma, bylibyśmy go położyli...

Rano pokazało się słońce w Iraty, ale deszcz pada ciągle — nie przeszkadzają sobie wzajemnie. Ciągle nie możemy jechać dalej, nie ma na czym, drogi rozmokły. Pali się dużo papierosów, swoim zwyczajem zadaję dużo niedyskretnych pytań żonie Mariankowskiego. A to, jak się poznali, a czy go kocha, czy dobrze im tu razem, czy nie tęskni za krajem. Odpowiada na wszystko, dodaje jeszcze parę słów od siebie, świetna kobietka z tej pani Mariankowskiej. Wierci się koło kuchni, coś tam sieka, furkocze jej powiewna sukienka. Mariankowski ma przerwę w lekcjach, więc wychodzimy na plac przed dom, kropimy ze *smithów* do celu. Ocknięte wystrzałami, ciężko odrywają się od ziemi *corvy*. Wszyscy trzej dobrze strzelamy, nic sobie nie mamy do zarzucenia. Na obiad przyszła ze swej szkoły, oddalonej o cztery kilometry od Iraty, panna Genia. Budzi we mnie bardzo zdrowe, choć ordynarne pragnienia, natomiast Grzeszczyszyn robi się sentymentalny, oczka robią mu się smutne, Piotr Plaksin, psiakrew! Panna Genia pali papierosy, choć jej szkoda, jest marlenowata, co mnie rozbycza i denerwuje. Ponieważ panna Genia jest tam, w tej swojej szkole, nauczycielką, więc Grzeszczyszyn obiecuje poprawić jej byt, on już to robi, że panna Genia zostanie „przeniesiona” do Kurytyby, po co ma się w tej dziurze marnować. Ona słucha, uśmiecha się poprzez kłęby dymu, przechyla głowę do tyłu, jest troszkę oszołomiona *vermouthem* — najwytworniejszym trunkiem, jaki tu można dostać, jest nawet dość interesująca.

Już dość nasłuchaliśmy się patefonu, Grzeszczeszyn, roztańczony, wodzirejowaty, usiadł przyjemnie znużony na krześle, ja nie tańczyłem, bo nie umiem, panna Genia zbiera się do powrotu, musi wrócić do siebie, zanim się zrobi ciemno. Pójdzie sobie górną ścieżką, nie chce, abyśmy ją odprowadzali na takie błoto. Zupełnie słusznie. Poszła, zostawiła po sobie trochę kobiecego ciepła w naszych bardzo tego spragnionych sercach. Do kolacji Mariankowski opowiada nam o różnych strasznych zdarzeniach, jak łatwo tu w lasach postradać życie. Tak mnie pokrzepia na duchu do dalszej podróży. Po kolacji idziemy do kina, bo jest kino w Iraty. W sali tupią nogami postacie groźne, w wielkich kapeluszach, gryzące orzeszki i obejmujące swoje dziewczęta. Tak, tutaj już jest trochę Ameryki.

Opowiadali mi, że ludzie z lasów mają zwyczaj strzelać do antypatycznych postaci na ekranie, że właściciele kinoteatrów często zmieniają płótna. Bardzo ciekaw jestem, czy przy mnie też się to zdarzy. Ale nie. Film nie jest awanturniczy, to przeróbka z operetki Abrahama: *Kwiat Hawai*. Dziwnie się patrzy tutaj na taki film ze śpiewami. Czy ci ludzie myślą, że to prawda o tym księciu malajskim, czy też traktują to jako bujdcę? Cicho jakos siedzą, bierze ich.

Z kina wysypujemy się jak z worka w gęstą czerń ulicy, jacyś niewykończeni wewnętrznie. Więc powstaje pomysł zabrania do domu wódki; Grzeszczeszyn ma to załatwić. Widzieliśmy jak wszedł do spelunki ziejącej na milę morderstwem, jak przy bufecie wsunął coś do kieszeni i jak wyszedł do nas zdrów i cały. Ale w domu okazało się, że Grzeszczeszyn nabył rzecz straszną, mianowicie kupił butelkę *pingi*, wódki, przy której nasz denaturat jest nektarem. Uradziliśmy, że ma to odnieść i kupić za osiem milów butelkę *underbergu*; jest to ziołowa, gorzka wódka, przypominająca „angielską gorzką”. Poszedł, wrócił z tą wódką i z dwiema butelkami piwa. Wypiliśmy po jednym kieliszku tego trunku, co najmniej z pięć minut trwało milczenie, wreszcie gwałtownie i nieopanowanie Grzeszczeszyn wyrzucił z siebie szereg nazwisk kobiet, które jakoby miał, potem zaśmiał się niesamowicie, wstał, uderzył pięścią w stół, wykrzyknął:

— No, lejcie jeszcze, do jasnej cholery! Dziś ja się muszę upić!

Siedzieliśmy przy stole przez chwilę oszołomieni wybuchem Grzeszczeszyna. Ja, własną ręką napełniłem mu drugi kieliszek i zanim zdążyłem nalać nam, Grzeszczeszyn wessał chciwie wódkę, krzyknął jeszcze raz: „Lać, lać dalej!”. Więc nalałem mu — a jakże — znowuż, Grzeszczeszyn i to wypił, poczym wydał swe wątle piersi i wyrzekł zimno, ze świstem.

— Dziś mógłbym zabić człowieka.

Teraz dopiero roześmialiśmy się we troje bardzo wesoło i serdecznie. Grzeszczeszyn, nie zwracając uwagi na żonę Mariankowskiego, zaczął nam opowiadać niesłychanie drastyczne intymne przeżycia. Wychylił się bardzo nad stół i wymówił nazwisko pewnej mężatki.

— Oho, ta! Może ją mieć każdy za piętnaście milów. Tak, panowie! A jak była rewolucja, to kto poderznął gardło brzytwą generałowi Caio Machado? Ha, nie wiecie, to teraz się dowiecie: ja, Grzeszczeszyn, własną ręką, bo jestem nieubłagany, gdy chodzi o sprawę.

Mariankowski pił właśnie piwo i parsknął tak śmiechem, że opryskał nam głowy.

— Ależ panie, przecież Caio Machado żyje, siedzi w Sao Paulo!

— To może brat tamtego, czy co u licha — wyszeptał ponuro Grzeszczeszyn. — E, zresztą bierz was diabli, upiłem się jak rzemieślnik. Głupstwo, tańczmy, grajmy — kto wie, co człowieka może jutro spotkać!

Przeszliśmy do sali, Grzeszczeszyn szalał, tańczył sam przy dźwiękach *Śmierci Azy*. Wychyliliśmy się na chwilę z Mariankowskim przez okno, aby zobaczyć jaka pogoda zapowiada się na jutro, gdy raptem usłyszeliśmy za sobą pisk pani Mariankowskiej; obróciliśmy się i zobaczyliśmy pochylonego Grzeszczeszyna jak biegł szczypiąc palcami powietrze za łydkami niewiasty. Usadowiliśmy Grzeszczeszyna na krześle, zanosząc się od śmiechu. Mruczał coś o swym parszywym życiu i konieczności zrobienia czegoś wielkiego. Potem wstał, wyjął z kieszeni pomarańczę — zdziwiło nas to, że nosił w kieszeni taką wielką pomarańczę — rozdarł ją palcami i zjadł łapczywie po pijacku.

Tak nas ciągle absorbował sobą, że ciągle byliśmy tylko nim zajęci. Siedzieliśmy teraz sennie, przeglądając pisma. Grzeszczeszyn wstał powoli z twarzą bladą i zdumioną,

szybko podszedł do okna, otworzył je i zwisał tam jak szmata, w okropnych, przejmujących torsjach. Wynieśliśmy się do drugiego pokoju, Mariankowska zaczęła ślać łóżko, a myśmy patrzyli sobie w oczy i bardzo serdecznie zanosiliśmy się od śmiechu.

Postać Grzeszczyszyna zjawiała się przed nami niby duch. Trzymał rękę na sercu i wyszeptał grobowo:

— Pomarańcza mi zaszkodziła.

Patrzył na nas przez chwilę badawczo, jakie też wrażenie sprawiła na nas diagnoza. Po chwili powiedział jeszcze:

— Słusznie mówią Brazylijanie: pomarańcza jest rano złotem, w południe srebrem, a wieczorem zgrabą. Idę spać.

Poszedł. Rozmawiałem jeszcze z Mariankowskim z godzinę, a kiedy poszedłem na górę, zobaczyłem Grzeszczyszyna rozebranego i w łóżku, kolba smitha sterczała spod poduszki. Spał skulony jak embrion, ze złą miną.

Rano wstałem z energią i myjąc się, podśpiewywałem sobie jak stary kawaler. Pogody nie było, za oknami ciekło jeszcze z nieba. Z dołu, spod podłogi dochodził mnie energiczny kobiecy głos. Czasem słyszałem portugalskie słowa. Grzeszczyszyn spał na wznak, a może i nie spał, bo choć oczy miał zamknięte, mina jego była błoga, jakby wsłuchana w coś — marząca. Schodząc na dół, wypadało mi przejść przez salę szkolną, z dzieciakami w ławkach wpatrzonymi w tablicę. Przy tablicy stała bardzo ładna panna, brunetka w białym, lekarskim płaszczu. Rysowała coś na tablicy i objaśniała w języku portugalskim. Skłoniłem się i poszedłem do kuchni, przywitałem się z panią Mariankowską i zapytałem, kto jest ta panna. Wyjaśniła mi, że to nauczycielka, Brazylianka pochodzenia polskiego. W każdej polskiej szkole musi być wykładowca w języku portugalskim. Pijąc kawę wspomniałem o wczorajszym, wesołym wieczorze, pogawędziliśmy trochę o pogodzie, powiedziałem kilka słów na temat kłopotu, jaki im sprawiamy sobą, otrzymałem zapewnienie, że na tej pustce jest to raczej dla nich tylko przyjemność, po czym wyszedłem przed dom, ale zaraz przejęła mnie wilgotna mgła, więc stanąłem w drzwiach i paląc papierosa, z rękami w kieszeniach przewalkoniłem tak z dziesięć minut. Znowu mnie ogarnęła nuda, przeszedłem przez salę, zerknąłem w stronę nauczycielki, powtórzyłem sobie jeszcze raz w myślach, że jest ładna, i przemierzwszy trzeszczące schody, wszedłem do pokoju. Grzeszczyszyn jeszcze leżał, palił papierosa, a na mój widok poruszył się w łóżku kokieteryjnie, wstydliwie. Powiedziałem mu dzień dobry, posterczałem trochę w oknie, bo Grzeszczyszyn zaraz odezwał się do mnie tonem kapryśnej wymówki:

— Zamknij pan okno, bo przecież zimno, Jezus Maria!

Usiadłem na swoim łóżku i zacząłem przewracać kartki geografii portugalskiej, którą wiozłem ze sobą. Na dole brzmiały powolne i mocne słowa dziewczyny. Grzeszczyszyn uniósł się na łóżku i powiedział:

— Panie, niech pan zejdzie na dół i powie tej nauczycielce, co tam uczy, żeby tu do mnie przyszła, niech pan powie, że do Grzeszczyszyna, to ona już będzie wiedziała. Niech przerwie lekcje. A pan niech tu nie wchodzi z pół godziny, niech pan połazi trochę po mieście...

Odłożyłem książkę na bok, wstałem i podszedłem wolno do łóżka Grzeszczyszyna. Z początku uśmiechał się z wysuniętym językiem, ale na widok mojej miny, posunął się do ściany, podciągnął kołdrę pod szyję i wyszeptał:

— No co...

Zatrzymałem się nad nim i chwilę patrzyłem jak na robaka. Widziałem, że zbladł i nerwowo wpatrywał się we mnie. Powiedział cicho:

— Ojej, jaki pan dziwny, co panu szkodzi...

Przecież nie będę go bił, bo jakże bić takie paskudztwo. Odwróciłem się w milczeniu i poszedłem ku drzwiom. Dogoniły mnie słowa:

— Powiedz jej pan, powiedz! Nie bądź pan ten, co ryje...

Kiedy przechodziłem obok niej po raz trzeci, spojrzała na mnie dość ostro i zaraz odwróciła się. Mruknąłem po portugalsku coś w rodzaju przeproszenia. Do obiadu włożyłem się w pobliżu domu z obrzydliwym samopoczuciem, w czasie jedzenia wyraziłem zniecierpliwienie w związku z przymusowym postojem tutaj. Mariankowski odpowiedział mi, że w Brazylii używa się ciągle słowa *paciencia* — „cierpliwości"! Jakoś mnie uspokoili, głądziło się o tym i owym, w pewnej chwili weszła znajoma mi od rana nauczycielka,



przywitała się z nami wesoło, do mnie powiedziała: „A, to pan tak ciągle w tę i nazad”... Grzeszczeszyn zaczął się jej przypominać, że byli razem na kursach w Kurytybie. Nie pamięta go, nie może go sobie przypomnieć. Odwołała na bok Mariankowską, bo przyszła w interesie. Znowu całe popołudnie graliśmy w preferansa, przy kolacji mówiło się wiele o Sowietach, ale to wszystko było wodniste, bez humoru. Toteż wcześniej poszliśmy spać. Leżeliśmy już w łózkach, w głowie tłukły mi się idiotyczne myśli, coś tak bez sensu, że aż brzydziłem się samym sobą. Przy tym wwiercały mi się do ucha obłe słowa Grzeszczeszyna:

— ...a raz miałem jedną malarkę w Częstochowie — żyłem z nią — wie pan... Namalowała raz mój portret w smokingu i obtoczyła mnie namalowanymi nagimi kobietami... to ja jej mówię: „Coś ty Nenka zwariowała, przecież jakże ja to komu pokażę... taką nieprzyzwoitość”... No to ona zmalowała te baby... Tak, mówię, to teraz rozumiem... bo tylko powiedz pan...

Wcześniej rano obudził nas Mariankowski z wiadomością, że Hessel przysłał karosę, która jedzie do Prudentopolis. Pokój pełen był słońca, jasności, pogody. Na dole czekał na nas rudy Ukrainiec, handlarz owoców, ze swoją karosą. Siedem drzemiących mułów i jeden koń stały w zaprzęgu. Karosa była szeroka, miała płócienny dach — cygańska buda na czterech kołach. Z ochotą zbierałem swoje drobiazgi, uradowany pogodą i ruszeniem nareszcie z miejsca. Pożegnaliśmy się z Mariankowskimi, powiedziało się trochę słów na temat ich gościnności, umówiliśmy się z karośnikiem co do opłaty za przejazd, po dziesięć milreisów od osoby, i muły leniwie ruszyły. Z piętnaście minut jechaliśmy przez miasto. Iraty na skutek rozstania z nim wydało mi się miłsze, pogodniejsze, takie sobie ciche, prowincjonalne miasteczko. Droga nieco podeschła, była czerwona i tłusta. Leżałem na deskach, trzęsło mną jak worem, sielankowo gryzłem sobie jakąś trawkę. Grzeszczeszyn siedział obok Ukrainca, który mu opowiadał, że przywiózł tysiąc pomarańcz, nie mógł ich sprzedać, wreszcie sprzedał je wendziarzowi<sup>32</sup> za dwadzieścia milów. Stracił, my pokryliśmy mu tę stratę. Jakies cztery kilometry za miastem, Grzeszczeszyn poprosił aby chwilę poczekać na niego, sam pobiegł do pełnego wrzasków dziecięcych budynku, przywitał się tam na ganku z wiotką postacią kobiecą, chwilę stali, on coś zapisał, potem ona odprowadziła go do furtki i teraz zobaczyłem pannę Genię. Kiwnęła do mnie ręką, przechyliła głowę z leniwym uśmiechem na twarzy. Kiedyśmy ruszyli, patrzyłem na nią, w jej błękitne oczy pełne uspiionych, dziewczęcych tęsknot. Odwróciłem się i spotkałem tuż za sobą zmętniałe i kleiste oczka Grzeszczeszyna, wpatrzone we mnie ze śmieszną badawczością.

— Ja ją kocham, tę pannę Genię — wyszeptał spierzchniętymi wargami.

Wyraz twarzy miał idiotyczny, jego wyznanie obruszyło mnie. Czyż myśli — dureń — że mnie to cokolwiek obchodzi. I mówi mi takie rzeczy w tej karosie, w Brazylii, w słońcu. Potnik — psiakrew! Robił na mnie wrażenie starego potnika.

Jechało się tak po cygańsku, wesoło. Ukrainiec wykrzykiwał, nie miał nawet bata, bo w Brazylii rzadko się używa bata; muły wcale by od tego prędzej nie biegły; lubią się wlec powoli. Czasem, z górki, ruszały trochę prędzej. Droga była dość szeroka, zarosła po obu stronach drzewkami spletanymi z krzewami i trzcina — *takuarą*. Ciągle jeszcze było mało egzotyzy, czasem samotna palma. Mijały nas czasem wlokące się ciężko karosy, pozostawiając na mnie atmosferę nużącej, powolnej podróży, zaniku energii. Powożący kabokle byli przeważnie w portkach tylko i koszuli, w wielkich, słomianych kapeluszach na głowie. Z tyłu, za pasem tkwił długi czasem na łokieć nóż — *fakon*. Pozdrawiali nas skinieniem głowy, czasem który powiedział: *bom dia*<sup>33</sup>. Po dwóch godzinach jazdy zatrzymaliśmy się przed przydrożną wendą. Ukrainiec kupił kukurydzy dla koni, zaprosił nas do środka i wendziarz postawił przed nami pół szklanki wódki z błękitnym kolorkiem nafty. Pijcie, powiedział do mnie Ukrainiec. Popatrzyłem z determinacją na szklankę, słyszałem, że to wielka obraza odmówić wypicia, przy tym przyszło mi na myśl, że widać wendziarz nie ma więcej szklanek, trzeba więc ją opróżnić. Wychyliłem całą dozę straszliwego trunku i chwilę trwałem niemy, oglupiały. Posłyszałem za sobą śmiech wendziarza, podniosłem głowę i spotkałem się z groźną miną Ukrainca. Grzeszczeszyn zaczął mu

<sup>32</sup>wendziarz (z port.) — kupiec. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>bom dia (port.) — dzień dobry. [przypis edytorski]

gwałtownie coś wyjaśniać, że jestem tu od niedawna, że wiele rzeczy jeszcze nie wiem. Potem zwrócił się do mnie ze słowami, że zrobiłem głupstwo, bo tutaj wódkę piją wszyscy z jednej szklanki, Ukraińiec nas zaprosił, mam go przeprosić. Zrozumiał, roześmiał się, kazał podać nową porcję, wypili i wleźli do karosy. Idiotyczny jakiś wypadek. Brr!

Śmieszny truchcik, na jaki się zdobywają muły, to chyba największy ich wysiłek. Na ogół jedziemy wolno w zaczynającym się skwarze. Miejscami przejeżdżamy obok spalonych obszarów, tzw. ros. Tę rabunkową gospodarkę powoduje ilość i taniość ziemi w Brazylii. Rolnik tutejszy rzadko karczuje i pługiem uprawia ziemię. Nacina *foisq* — wyostrzonym żelazem, umocowanym na kiju — zarośla, pozostawiając tylko co większe drzewa, następnie podpala to wszystko. Zarośla-krzewy, tzw. *capoeira*, podcięte i wysuszone, palą się z trzaskiem i kanonadą pękającej od ognia *takuary*<sup>34</sup> w brunatnych kłębach dymu migają czerwone płachty ognia. Bój, piekło. Na czarnej i nasyconej węgloną roślinnością ziemi sterczą kalekie kikuty opalonych drzew. Na tym pogorzelsku kolonista wykopuje w ziemi dołki i prymitywnie, ręką, sadi w nich nasiona kukurydzy, fizonu (fasoli), żyta i jeszcze innych trudnych dla mnie w tej chwili do wyliczenia płodów rolnych. Mijając te żalosne, śmiertelne obszary, widzimy budzące się na nich nowe życie: zielone krzaczki przyszłych plonów. Czasem wśród ciemnej gęstwy dalekich lasów widać jasną plamę żyta czy pszenicy. Te czarne placki nagiej ziemi pośród skołtunionej flory brazylijskiej sprawiają wrażenie jakiejś paskudnej choroby, która niszczy bujną czuprynę puszczy i zarośli. Po obu stronach drogi teren staje się coraz dzikszy, daleko ciemniej posępne, obrosłe lasem wzgórze. Coraz częściej zrywają się spośród gałęzi drzew stadka, to znów po dwie i trzy papugi; wrzeszczą brzydko, trzepocąc szybko skrzydłami. Czasem przesunie się przed oczami masywny krzak banana z kiścią zielonych owoców. U końca tej kiści coś do złudzenia przypominającego serce, ciemnoczerwone, matowe. Serce ofiarne.

Słońce grzeje duszno, nie widać go wyraźnie na niebie, różowieje bezkształtną, chorowitą plamą na tle wyblakłego i bez chmur oblicza niebios. Dzwonki, poruszane szyjami ciągnących nas bydła, tną nerwowo powietrze. Trochę leżę, to znów siadam, jest mi gorąco, rozsadza mnie coś od wewnątrz, czuję w sobie jakieś jady. Tak podle zresztą miewam się już od paru miesięcy, powiadają, że to aklimatyzacja. Ospowata twarz Grzeszczeszyna także pokryła się kroplami potu, wygląda teraz kostropato, niechlujnie. Jest zajęty rozmową z Ukraińcem, ciągle coś mówi, wypytuje. Rozmyślam o czasie, cóż to za bujda straszliwa wymyślona przez nas, przecież to nic nie znaczy, raz za krótko, raz za długo, teraz na przykład dłuży mi się w lepka, nieskończoną nitkę, tu na tym wozie. We łbie mam wodę, myślę bzdury. Po co ja teraz jadę? Co ja tu robię? Co to za zajęcie dla mnie objąć się w tej budzie na kolach. Co! Wojna! Ucieczka! Muszę, do jasnej cholery!

Widać muszę, skoro jadę. Lecz żaden ze mnie dzielny podróżnik. Histeryczna, warszawska, kawiarniana wywłoka!

Odwraca do nas swoją czerwoną twarz Ukraińiec i radzi, żeby zostawić broń, jaką mamy, u księdza w Prudentopolis, bo tam dokąd jedziemy, aż do Hervalzinho krąży lotna policja z Beniaminem Branco na czele, odbiera wszystkim broń, obją pyski *szikotami*<sup>35</sup> i wylapuje zastarzałych bandytów, takich, co to kilka lat temu kogoś ukatrupili, i teraz nareszcie policja się za nich zabrała. Grzeszczeszyn odpowiada, że bardzo by chciał się z tymi facetami spotkać, to by było dopiero pierwszorzędne poznanie, już oni prosiliby Boga, aby on tej broni nie wyjmował: „Mowy nie ma, nie rozstaję się ze swoim smithem-pewniakiem”. Tak mówi Grzeszczeszyn, człowiek odważny, zaprawiony w tutejszym życiu. Ale we mnie coś się dzieje po słowach Ukraińca, niedobrze się ożywiam, chwytam mnie wstrętne lęk przed tym, co mnie spotka, bo z góry wiem, że broni nie oddam, bo w Brazylii nikomu nie oddaje się broni, po takim czymś i tak się od razu dostaje kulą w łeb i to z własnego rewolweru. Droga robi się nagle wściekle interesująca, wszystko jakoś wyplastycniało. Zaczynam dużo i szybko myśleć. Słowo „wracać” staje się dla mnie nagle bardzo istotne, otula mi głowę, nagli. Grzeszczeszyn gwizdże, przesłania oczy dłonią i mówi: „Hej, jakież to żyto wspaniale widzę”. Udam, że się rozchorowałem i wrócę. Takie straszne spotkanie, już widzę: otaczają nas... Nie, nie mogę przecież oddać

<sup>34</sup>*takuara* — pospolity gatunek trzciny. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*szikota* (z port. *chicote*) — bicz. [przypis edytorski]

broni, więc co? Strzelam, pakuję cały magazyn, ich jest więcej, koniec ze mną, ciągną za nogi i w *capoeirę*, tam gniję, rozdziobią mnie *corvy*. Ja się tu męczę, a to bydlę gwizdże. Jakże mu powiem, że chcę wrócić, domyśli się tchórzostwa. Ale to nie tchórzostwo, to lęk przed sytuacją tego spotkania, przed obrzydliwą, idiotyczną śmiercią. Kładę się, rozklejony zupełnie i wije się pod świdrem ohydneho lęku. I to jeszcze tak dostać parę kul w tym upale, w tym żarze, gdzieś na pustej drodze. Nie, ale nie wrócę. Komu innemu wyraziłbym chęć powrotu, ale Grzeszczeszynowi nie. Jadę dalej.

*Karosa*<sup>36</sup> zatrzymuje się przed domkiem bez szyb, z samymi tylko okiennicami. Tamci schodzą, wołają mnie abym szedł na *szimaron*. Zwlekam się z wozu, nieomal, że sam siebie biorę na ręce, czuję pełny ciężar swych osiemdziesięciu kilo. Jestem mokry od gorąca, tak zdenerwowanym można być w chłodny, deszczowy dzień, ale teraz jest to okropne. Wchodzimy do izby czystej, przewiewnej, do warsztatu krawca, gdzie dwóch chuderlawych ludzi pracuje, jeden siedzi na stole i podszywa podszewką marynarkę, a drugi prasuje spodnie przez mokrą szmatę. Siadamy, zaraz wyjaśnia się, że krawiec-właściciel to Żydek z Łodzi, który przyjechał tu przed trzema laty. Założył sobie warsztat krawiecki. Tutaj, w tej dziczy. Nic się nie boi? Jaką ma klientelę? Różni; kabokle, koloniści w przejeździe zamawiają u niego ubrania. Zaczyna mnie chciwie wypytywać, odpowiadam, z wolna opada ze mnie to, co przeżyłem tam, w wozie. Gadam jak najęty, zaspokajam cały jego trzyletni głód nowin. Przynoszą kuję, bombę i czajniczek z gotowaną wodą. Kują to okrągłe naczynie drewniane, duże jak garść, bomba to metalowa rurka, przez którą pije się szimaron, bardzo ważny napój w całej Brazylii. Suszone i tłuczone liście z drzewa herwowego sypie się do kui z umieszczoną w niej bombą, zalewa się wrzątkiem i trzymając to wszystko jak fajkę, pije się szimaron. Do tego napoju trzeba się przyzwyczaić: jest to gorąca, piekąca gorycz. Dawniej nie mogłem tego pić, ale teraz coś mi się odmieniło, piję z przyjemnością, czuję, że mnie ochładza i podnieca. Kują z szimaronem idzie z rąk do rąk, wkoło. W Brazylii, przeważnie w lasach, przyjmuje się tym gości, pije się w czasie wieczornych pogawędek. Jest to środek lekko podniecający, czyni myśl jaśniejszą. Jakoby nie jest szkodliwy. Przykro jest może pić po kimś, ale z czasem człowiek się przyzwyczaja, właśnie ja teraz, u tego krawca czułem, że będę pił często szimaron.

Popiliśmy tego szimaronu może z pół godziny, opowiedziałem krawcowi wszystko, co wiem z ostatnich lat o Polsce, Ukrainiec przymierzył w czasie poprzedniego przejazdu zamówioną marynarkę, coś tam zapłacił, pożegnaliśmy się i ruszyliśmy dalej. Szimaron stłumił mój niepokój w związku z Beniaminem Branco, teraz bałem się tylko troszeczkę, lekkomyślnie rozmyślałem, że może się uda jakoś z tego wymigać. Jechaliśmy nieco prędzej niż poprzednio, zrobiło się trochę chłodniej, słońce było okrągłe, białe i niewyraźne jak lampa z matowym kloszem, świecąca się w biały dzień. Jadąc tak, odczuwałem od dłuższego czasu pewną dziwność mieszaniny dźwięku i wspomnienia. Teraz zaczęło mnie to uporczywie prześladować. Wreszcie chwyciłem: to te dzwonki u mułów! Dziwne, bo taki żar, a przecież to takie zimowe. Tak dźwięczą dzwonki, gdy trochę zmęczone konie ciągną sanie z Zakopanego do Kuźnic. Na tej czerwonej, brazylijskiej drodze, w sennej spiekocie, jest to doznanie niedobre i niemiłe. Godziny zdają się wkręcać w szprychy kół leniwie, niechętnie. Grzeszczeszyn umilkł, ciągle teraz coś notuje. Rzadko się kogoś spotyka, pejzaż jednostajny; *kapuejra*<sup>37</sup>, czasem palma, rzadko papugi, rzadziej inny ptak. Zmierzch następuje bardzo szybko, słońce straciłem z oczu w ciągu dwu może minut, opadło krwistym kręgiem za jakieś wzgórze. Otumaniony zmęczeniem kiwam się w mroku. W pewnej chwili zamajaczyły odległe światła. Ukrainiec zapytał się Grzeszczeszyna, dokąd ma zajechać. „Do księdza proboszcza, na plebanię” — odrzekł mu sennie.

Karosa stanęła przed plebanią. Na oświetlonym ganku pojawiła się szczupła postać w czerni, otoczona kilkoma poszczekującymi psami. Zbliżyliśmy się do siebie, był to ksiądz, chudy, chorowitej twarzy, z głową jak szczotka, bo cesał się na jeża. Stał pochylony, z lewą ręką w tyle, gdzieś tam za sutanną, przyglądał się nam. Rozpoznał Grzeszczeszyna i powitał go głosem skrzypiącego na wietrze okna. Do mnie podszedł blisko,

<sup>36</sup>*karosa* — wóz z dachem, zaprzężony w kilka koni lub mułów. [przypis autorski]

<sup>37</sup>*kapuejra* — spolszczona forma od port. *capoeira*: zarośla. [przypis edytorski]

twarzą w moją brodę, bo był niższy, tchnął mi w nos niezdrowo, szybko pomyślałem, że jest chory na żołądek, i wyskrzypiał:

— A to kto znowu?

— To literat z Polski, przyjechał aby się zapoznać z życiem w Brazylii — wyjaśnił Grzeszczyszyn, powiedział przy tym moje nazwisko.

— A! Literat, zapoznać się... no to chodźcie do środka... Pisarz, powieściopisarz... zaraz tu nam co napisze... Patrzcie... przyjechał... zapoznać się... Juści... juści...

Wykrzykiwał tak sobie przez drogę, czułem w tym wykrzykiwaniu charakterystyczne ustosunkowanie się chlebożercy do artysty: mieszanina pogardy, podziwu, pobłażliwości, niezrozumienia i jeszcze tam czegoś. Z żalem pomyślałem, że nie jest to sobie taki ksiądz z brzuchem, wesoły, lubiący wypić i zakąsić, pożartować trochę. Grzeszczyszyn znów zachowywał się dziwnie. Kręcił się koło księży bieder, patrzył mu w oczy, pochyłony, potakujący. Z miejsca, jak tylko usiedliśmy w zatęchłym gabinecie, Grzeszczyszyn napomknął o nasionach morwy, pogadali trochę na ten temat, potem obaj tak się pogrążyli w rozmowie, w plotkach, że jakie dwie godziny już nie ja, ale zwłoki moje siedziały na krześle. Wreszcie ksiądz spojrzął na mnie i złożył ręce:

— Więc powieściopisarz... Juści, juści... pisze, drukuje i potem ludzie czytają... Hej! No to chodźmy co zjeść!

Ksiądz był chory na żołądek i myśmy musieli jeść to jego chore jedzenie. Smarował bułkę miodem, zapijał to mlekiem i my także. Nie spodziewał się nas, a zresztą nie należy obmawiać ludzi, u których się jest w gościnie, nawet księży, chociaż powinni mieć sute spiżarnie. Oni gadali. W pewnej chwili wstałem od stołu i zacząłem jęczeć na temat zmęczenia i chęci snu. Przywołał starą — niestety — gospodynię i kazał zaprowadzić mnie na górę. Wszedłem do miłego, przytulnego pokoiczku, stały w nim dwa brzuchate, czyściutkie łóżeczka. W takich podróżach człowiek się martwi samymi tylko fizycznymi drobiazgami. Ażeby miał wygodne spanie, dobre siodło, mógł się jako tako wymyć. Nie myśli się wtedy o pacyfizmie, przyszłości Polski czy Hitlerze. Z drugiej strony jednak, kiedy po całym dniu jazdy dostaje się takie wygodne łóżeczko, wcale się w nim tak dobrze nie śpi. Jest za wygodnie. Lepiej wtedy spać na podłodze, na słomie. Każdy człowiek, który przeszedł niewygody, wie o tym dobrze. Wierciłem się w pachnącej pościeli, słuchałem spod podłogi pocziwej rozmowy księdza i Grzeszczyszyna. Obaj chcą postawić gdzieś tam kościół, jest już na dom Boży trzysta tysięcy milreisów, brakuje jeszcze ze dwieście. Ja się tu wyleguję, a oni męczą się w nocy i omawiają takie cudne kwestie. Przyszło mi do głowy, że nie za tych pięćset tysięcy, lecz za te trzysta, które już są, można by postawić jeszcze jedną szkółkę dla dzieci, urządzić boisko sportowe i stworzyć niezłą bibliotekę. Ale taki postawiony kościółek z plebanią zapisuje się zaraz na biskupa, natomiast to, o czym ja tak brudnie rozmyślałem w księżym łóżeczku, byłoby własnością stowarzyszenia kolonistów danej miejscowości. Wstydzilibym się!

Zaczynają mi się jawić różne wesołe obrazki w związku z Beniaminem Branco. Jedziemy, daleko widać grupkę ludzi, już są przy nas, krótka rozmowa, strzelanina i najgorsze, co mnie prześladowa, to zaciąganie mojego trupa w zarośla. Do pokoju wpada nagle wściekłe wietrzysko, za oknami dzieje się jakaś atmosferyczna awantura. Wyskakuję z łóżka i biegnę do okna, wychylam się, pakuję głowę w gęstą ciemność. Ryk wiatru tasuje się z błyskawicami, zaczynają walić pioruny, i obfita, brazylijska burza ryczy nad miasteczkiem. Rzęsisty prysznic siecze z nieba, wszystko się kłębi, piekli i hałasuje. Trwa to ze trzy minuty, potem pyzata gęba księżycy wylania się nad moją głowę i wszystko w porządku. Cisza. Kładę się. Zасыpiam.

Koło szóstej z rana budzę się, siadam i patrzę na przeciwległe łóżko. Śpi tam Grzeszczyszyn, w ogóle ma cechy sera francuskiego, jakiegoś *camembert* albo *brie*. Znów zasypiam i budzę się o siódmej. Łóżko Grzeszczyszyna próżne, nie ma go. Ubieram się, schodzę na dół. Gospodyni mówi, że ksiądz poszedł do kościoła razem z Grzeszczyszynem. Pogoda jest jakaś wiotka, bez wyrazu. Ciepło, ale bez słońca, wiatr gna postrzępione chmury. Całe Prudentopolis mam przed sobą. Rzadkie domy, łączki między nimi. Na dachach sterczą nieruchomo *corvy*. Ludzi nie widać zupełnie, trochę kur i kilka czarnych świń. Miasteczko nieładne, ale przyjemne. Spokój. Do kościoła jest blisko. Włazę do wnętrza, staję w kącie i rozglądam się. Ksiądz odprawia mszę, twarz ma jakby narysowa-

na murze, czasem złoży ręce, wzniesie je. Pracuje dość szybko. Może ze dwadzieścia osób siedzi w ławkach, są to jacyś kabokle, większość kobiet. Przypatrują się badawczo księdzu, śledzą w milczeniu każdy jego ruch. Domyślam się, że jest to rodzina zmarłego, za którego odprawia się mszę, albo też ci ludzie zakupili mszę na deszcz, może w ich okolicy od dawna nie było deszczu. Grzeszczeszyn też siedzi między nimi. Nikt mu nie umarł, nie potrzebuje deszczu, przyszedł z księdzem i czeka pewnie aż skończy. Co do tych mszy deszczowych, opowiadano mi kiedyś, że w pewnej miejscowości kilku kabokli złożyło się i dali na mszę deszczową. Ale deszcz spadł wcześniej, przed mszą, więc poszli odbierać pieniądze i w rezultacie obili księdza, bo im nie chciał oddać. Klął ich potem z ambony. Nie jest więc tak świetny los sługi Bożego w Brazylii.

Wyszedłem na palcach z kościoła, stanąłem sobie na gołym placu w środku miasteczka i rozglądałem się po świecie. Wokół bezbrzeżnie smutne piniory, wysokopienne, z kręgiem wyciągniętych błagalnie ku niebu gałęzi u samego czuba. W wietrznej szarości, na widnokregu w jednym miejscu, samotny pinior tworzył wielką i równą literę T. Łącząc po tym placu poczułem się nagle ogromnie sieroco i samotnie. Opadła mnie przy tym wściekła tęsknota, porównałem martwość brazylijską z pełnym dziwnego czaru smętkiem naszych pól i lasów nawet w takie niepogodne dni. Obliczyłem, że teraz jest tutaj ósma, więc w Polsce dwunasta. Co się tam dzieje? Zaczęły mnie gnębić różne przypomnienia, więc poszedłem na plebanie, pomówiłem trochę z gospodynią, palcami zatrzepotałem przed dwiema oswojonymi papugami, pies milczkiem i z tyłu uszczypnął zębami cholewę mego buta, dość długo w związku z tym mówiłem z gospodynią, potem tamci dwaj przyszli z kościoła, wypiliśmy kawę, zaraz poszedłem na górę i zwałiłem się na łóżko, pełen wstrętu do wszystkiego, co mnie otaczało.

Słyszę jak na dole Grzeszczeszyn wałkuje z księdzem sprawę dalszej jazdy. Od czasu do czasu zajadłe społecznikują i co chwila Grzeszczeszyn swoje: „Bo jeszcze złapie nas tu deszcz i będziemy ciężarem dla księdza”. Z dziesięć razy to powtórzył. W końcu obaj gdzieś wyszli, potem wrócili, znów mówili o półkach doświadczalnych, o spadku cen na herwę...

Zawołali mnie na obiad. Dalej zawiezie nasz kolonista, Polak, niejaki Jonczyn. Do obiadu dostajemy pomarańczowe wino, wypijam od razu cały kieliszek, robi mi się jaśniej na duszy. Po jadle łązi mnóstwo much, ksiądz łapie je dłonią, robi to z wprawą i mówi: „A, co za paskudny robak!”. Te muchy są zupełnie takie same jak nasze, te domowe nieznośne takie. Przyszedł Jonczyn — przygarbione chucherko z jasnymi wąsiskami, w słomianym kapeluszu. Pocałował dobrodzieja w rękę i powiedział, że chyba nie da rady nas zawieźć, bo ma kobietę i chłopaka ze sobą, a wóz mały. Ksiądz go chwyta za ramiona, prosi i nakazuje nas zabrać, więc Jonczyn godzi się ostatecznie, idzie po wóz i po kilku minutach podjeżdża po nas. Żegnamy się, siedzimy już na wozie, ksiądz grozi mi palcem i mówi:

— Literato... Pisarzu!... A nie opiszeć mnie ta gdzieś... Juści... juści rad bym nie był.

A, wio! Jedziemy. Żona Jonczyna ubrana jest obficie, kolorowo. Typowa chłopka z Lubelskiego. Między ojcem a matką siedzi dwunastoletni chłopak i przytrzymuje na głowie obiema rękami nowy kapelusz. Próbuje pomówić z nim trochę, ale on nie ma chęci do rozmowy. Wóz też rzeczywiście mały, ale dwa konie, co nas ciągną, są silne i wypasione. Grzeszczeszyn jest teraz rubaszny, wypytuje Jonczyna łaskawym tonem:

— A ileż to alkrów ziemi macie, he? No i co... dobrze, wszystko dobrze idzie, co? A chłopak do szkoły chodzi? Masz tu cukierka, nie bój się, jam w strachu. Cóż matko, dużo jeszcze macie dzieci? Co, dziewczęta... Hiho! Cztery. Ładne pewnie... no no, zajdź do was na szimaron, to zobaczem. O, moi drodzy, zatrzymajcie się przed tą wendą, to sobie kupimy trochę rozmownej wody, hejże!

Zeszliśmy do wendy. Grzeszczeszyn kupił butelkę kaszasy, pogadaliśmy trochę z wendziarzem, Polakiem. Prosił nas, abyśmy pozdrowili jego matkę, bo będziemy pewnie przejeżdżali przez Baradarei, ona ma tam też wendę, więc i tak będziemy musieli zająć. Mimo że w karosie można było leżeć i w ogóle było przestronniej, wolę jednak ten wesoły, turkotliwy wózek. Jakoś lepiej odczuwa się świat niż w tamtej dusznej budzie. Wita nas teraz wesoły pejzaż, żywsza zieleń. Z wolna wjeżdżamy w kraj górzysty. W dali czernieje martwa puszcza, nierówna, wyniesiona wzgórzami i opadła dolinami, rozfalowana gęstwa. Powietrze robi się chłodne i wilgotne, przenikliwe. Grzeszczeszyn z Jonczynem

pociągają z butelki, gryzą kielbasę i tak są zagadani, że kobieta co chwila szarpie lejce w rękach męża. Siedzę zgarbiony, leniwie zagaduję chłopaka, ale on rzadko odpowiada, czasem się uśmiecha głupawo. Przejeżdżamy przez miasteczko Serra de Esperança, kilku kabokli gapi się na nas bezmyślnie, zaraz za miasteczkiem wylania się łańcuch gór Serra de Esperança — mroczne i dalekie. Teraz, po obu stronach drogi spotykamy co paręset metrów zagrody kolonistów-Polaków. Jonczyn wskazuje, do kogo jaka gospodarka należy, jak się nazywa kolonista. Obszar, przez który przejeżdżamy, nazywa się Linha Parana. Spotykamy na drodze pojedynczych ludzi, mówimy im „dzień dobry”, odpowiadają nam po polsku, bez żadnego zdziwienia. Za drewnianymi ogrodzeniami tzw. *portrery*<sup>38</sup>, patrzą za nami ociężałe rogacie łby krów, konie i muły wyciągają do nas ciekawie szyje. Jest w tym wszystkim przyjemna atmosfera spokojnego dostatku, czegoś bardzo czystego i bez błagi.

Późną nocą wjechaliśmy do zagrody Jonczynów. Z budynku zięjącego ruchomymi poblaskami wyskoczyły do nas dzieci Jonczynów, ale zaraz cofnęły się, przestraszone naszym widokiem, tylko dwóch chłopów zostało wyprzęgać konie. Budynek ze światłem to była kuchnia. Zaprowadzono nas tam. Na glinianym podwyższeniu paliło się duże ognisko pośrodku izby. Dym i tłuście kłęby kopciucha waliły pod osmaloną, czarną i błyszczącą powalę, uchodziły przez kwadratowy otwór na dwór. Pod ścianami stały długie ławy, siedziały na nich z rękami na podłokach cztery dziewczyny, staruszka i mały, rozespany chłopczyk. Podaliśmy wszystkim po kolei ręce, potem usiedliśmy w kącie i długą chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Jonczyn przyniósł węzełek, dzieci zgrupowały się wokół niego i wśród głuchych, hamowanych pokrzyków wyciągano różne prezenty. Tylko staruszka siedziała cicho wpatrzona w ogień. Cała izba zdawała się drgać od błasków z ognia. Na uklepaną podłogę z gliny wysunął się paskudny, rudy kot z obciętym ogonem i jął bojaźliwie węszyć. Z dworu, przez próg, zaglądało kilka bardzo chudych psów z podtulonymi ogonami. Po jakim kwadransie może przypomniało sobie o nas, Jonczyn podał mi kuję z szimaronem, wszyscy, oprócz Jonczynowej, porozsiadali się po ławkach, ona tylko krzątała się koło kolacji. Milczenie przerwał Grzeszczyszyn, zagadnął najmłodszą dziewczynkę o jej imię. Odpowiedziała mu, że się nazywa Franciszka. „Aha, Szikinja”<sup>39</sup>? No to masz tu trochę cukierków. Tylko podziel się ze wszystkimi”. Dziewczynka poczęła dzielić cukierki, rodzeństwo poszturchiwało ją i kpilo. Wszyscy czuliśmy się sztucznie, przypływy dymu gryzły w oczy, nie było o czym mówić, byliśmy pomeęczeni. Staruszka coś tam sobie osobno uwarzyła przy ogniu, z półeczki w kącie wzięła łyżkę i jadła samotnie, powoli. Trzy duże, dorosłe dziewczyny w przyciasnych sukienkach ssały cukierki, czasem coś szeptały sobie, chichocąc. Jonczyn coraz śmieiej zaczął nas wypytywać dokąd i po co jedziemy. Żywo rozprawiał z nim Grzeszczyszyn, zaczepiał dziewczęta, był niepożyty. Staruszka umyła swoje naczynia i powiedziała:

— A tam w Polsce to ponoć zliwa<sup>40</sup> była okropna... Boże, Boże... siła narodu się namarnowało? Ponoć cmentarze zmyło, groby splukało, że aż umarłe prądy niosły, i truchły i wszelki sprzęt mogliń... Ot, i kara spadła na tamtych nieszczęśników... Boże mój, Boże!

Skuliła się żalownie i, pijąc szimaron, tkwiła posepnie i nieruchomo w czerwieni buzującego ognia. Grzeszczyszyn coś niecoś jeszcze jej dopowiedział, podniósł groźbę nieszczęścia. Jonczyn powiedział, że jeździli po koloniach i składki zbierali na powodzian. Mówili jeszcze długo o tym, aż Jonczynowa zawołała nas do drugiej chałupy, na kolację. W czystej, obszernej izbie, pełnej obrazków świętych na ścianach, z wysoko posłanymi, brzuchatymi łózkami, podała nam smażoną kielbasę, gotowany fiżon, chleb razowy i butelkę z wódką. Jedliśmy we trzech z Jonczynem. Później zaprowadzono nas do osobnego pokoju, gdzie na podłodze przygotowano nam posłanie ze słomy nakrytej prześcieradłami. Wyciągnąłem się jak najdalej od Grzeszczyszyna. Czuć go było grzybem jakimś czy koprem.

Koło szóstej rano wstałem i wyszedłem na dwór. Mgły się powłóczyły tu i ówdzie, powietrze było parne, piały koguty, ranek był cichy i smutny jak w Polsce na wsi w niepogodne dni. W kuchni u Jonczynów palił się już ogień, po kątach włóczyły się rozespiane dziewczęta, staruszka siedziała na swoim miejscu i ssała szimaron. Usiadłem pod ścianą,

<sup>38</sup>*portrera* (z port. *portreiro*) — ogrodzone pastwisko. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*Szikinja* — po portugalsku zdrobniałe od Franciszka. [przypis autorski]

<sup>40</sup>*zliwa* — powódź. [przypis edytorski]

przez drzwi widziałem Jonczyna, jak z zadartą głową laził po podwórzu, wypatrywał pogody. Przystąpił do niego Grzeszczeszyn, coś tam mówili, obaj mali, pokraczni, pokazywali sobie coś na niebie, choć tam nic nie było, sama zamglona siność. Zacząłem rozmawiać ze staruszką. Zapytałem ją, jak dawno jest w Brazylii. Mówiła wolno, jękliwie:

— Oj, dawno, panie, dawno. Ze czterdziści chyba roków nazad. Z Galicjiśmy przyjechali. A i kiepsko tu było z początku, oj jak marnie. Ni wody dobrej, gadów przeróżnych kupa, sama gorączka ogromna i choróbska. Sześcioro nas było: zięć z córką, ja ze swym mężem nieboszczykiem i jeszcze dwie córki. Tośmy zaczęli się parać z borem, jej, toż to marne życie było. Postawiły chłopcy barak, trzebiły las, ogniem go pleniły. Jadło było byle jakie, miljeśmy<sup>41</sup> w stępach tłukły, fiżonu trochę się nagotowało i tak się to ćpało bez okraszy żadnej, bo i zwierza jakiego ubić nie było czym, a jak i się co uchyciło, to człowiek nie jadł, bo się bał że jaka strutka. A było nas może ze sześć familii, tośmy ta między sobą się wspomagali, bo z kabokłami nijak się dogadać nie było można. A jakieśmy posiali pierwsze żyto, to i nawet pięknie wyrosło, tylko ptaszki ogromnie piły ziarno i mało co się zebrało. A potem jakoś lepiej poszło, wytrokowaliśmy<sup>42</sup> się z kabokłami na świnie, krowinę się jakąś sprawiło. Dziewczyny poszły za mąż, pobudowali się dalej, mój chłop umarł, a zięć zaczął się dorabiać i ma teraz niezgorszą gospodarkę. Ja sobie ta dokańczam dni swoich, a źle było z początku, oj źle panie...

Weszli Grzeszczeszyn z Jonczynem, Grzeszczeszyn przymówił się o szimaron. Kto wypił, podawał kuję następnemu, długi czas siedzieliśmy w milczeniu. Wreszcie Jonczynowa podała nam czarną kawę, racuchy i jajecznicę. Jedząc, Jonczyn co chwila wypatrywał na niebo i postękiwał: „Oj, ciężka będzie droga, na deszcz się zbiera, chyba nie dam rady”. Ale w godzinę może mgły pierzchły, pojaśniało na świecie i Jonczyn zaczął zaprzęgać konie. Powynosiliśmy na dwór co było do siedzenia, usadowiliśmy całą rodzinę Jonczynów i porobiliśmy zdjęcia fotograficzne. Obiecaliśmy te zdjęcia im przysłać, Grzeszczeszyn oddał resztę cukierków dzieciom, usadowiliśmy się na wozie, wszyscy wylegli nas żegnać, długo machali do nas rękami, dopiero na jakimś zakręcie straciliśmy tę pocziwą grupę z oczu.

Ciągle mijaliśmy pojedyncze gospodarstwa polskich kolonistów. Droga smużyła się czerwonym pasmem, kręto, z góry na dół. Po raz pierwszy w ciągu całej tej podróży Grzeszczeszyn zagadnął mnie dość ciepło, jak mi się to wszystko podoba, czy te polskie gospodarstwa nie budzą we mnie pewnego wzruszenia, kiedy się weźmie pod uwagę, ile same tylko ręce miały tu do pokonania, ile na to trzeba było cierpliwości i uporu, aby stworzyć to wszystko. Odpowiedziałem mu, że budzi to we mnie wzruszenie i podziw. Byłem zdziwiony jego rozumnym i ludzkim ujęciem tej sprawy. Zaczął mi opowiadać historię poszczególnych rodzin, był zajmujący. Otaczały nas te same zarośla co i poprzednio, na ten temat nic się nie zmieniło. Dzień był jasny, ale bez słońca, w oddali ciągle czerniło się pasmo wzgórz. Po dwóch godzinach jazdy zatrzymaliśmy się przed jakąś chałupą, wyszła do nas młoda, roześmiana kolonistka i Jonczyn zapytał się jej o księdza Urszulika. Wskazała nam małeńki kościółek oddalony o jakie dwieście metrów. „Jest chyba w kaplicy” — powiedziała. Poszliśmy tam i pod rusztowaniem z małym dzwonem zastaliśmy księdza. Siedział na belce, gryzł trawkę i rozmawiał z dwoma chłopakami.

Na nasz widok wstał. Był niski, trochę garbaty, w wypłowiałej sutannie i wielkim, czarnym kapeluszu. Miał ładną, trochę chłopięcą, smagłą i roześmianą twarz.

— No, nie nudźcie mnie teraz, smyki — zawołał do chłopców. — Mamy gości.

Podszedł do nas i szerokim ruchem podał nam rękę. Grzeszczeszyna, który mu coś zakomunikował od księdza z Prudentopolis, znał już dawno. Skoro się tylko dowiedział, że świeżo przyjechałem z Polski, zaraz zaczął mnie wypytywać o sprawy muzyczne. Muzyka to właściwie jego zawód, zanim został księdzem. Powiedziałem mu wszystko, co wiedziałem na ten temat. Bardzo był ciekaw, co w ostatnich czasach napisał Szymanowski, a co się dzieje z takim młodym muzykiem Perkowskim<sup>43</sup>? Nad czym pracuje Maklakiewicz<sup>44</sup>?

— Żeby tylko tang nie pisał, bo to taki zdolny kompozytor, a tanga — panie — tanga to zabójstwo! To śmierć!

<sup>41</sup>milja — kukurydza. [przypis autorski]

<sup>42</sup>wytrokowaliśmy — zamieniliśmy. [przypis autorski]

<sup>43</sup>Perkowski, Piotr (1902–1990) — kompozytor i pedagog. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>Maklakiewicz, Jan Adam (1899–1954) — kompozytor, dyrygent i pedagog. [przypis edytorski]

Z zadartą głową patrzył mi w twarz, ciągle uśmiechnięty, bardzo zainteresowany tym, co mówię. Z kolei zaczął mi mówić o chórze, jaki utworzył w Kurytybie. Szedł koło mnie bardzo wzruszony, pokazywał mi lepszą drogę, bo szliśmy przez zarośla: „O tędy, panie, tędy lepiej”. Składał ręce, wykrzykiwał co chwila tytuły utworów. Posmutniał, kiedy się dowiedział, że już musimy jechać dalej. Ucisnął mi dłoń obiema rękami:

— Panie, jak to pięknie, że mi pan tyle powiedział o polskiej muzyce. Ten Szymanowski, to najczystszy geniusz! Panie kochany, a Strawiński<sup>45</sup>, co? W Paryżu, co? No naturalnie, przecież nie w Rosji! Tu nie ma z kim mówić o muzyce, nie ma! A gdyby pan wracał tędy, koniecznie niech się pan zatrzyma u mnie!

Stał na szeroko rozstawionych nogach i machał w naszą stronę kapeluszem. W pewnej chwili upadł mu ten kapelusz, podniósł go, włosy opadły mu na czoło, wymachiwał dalej kapeluszem zapamiętale. Poczulem, że jest dla mnie pełnym uroku i nastroju zjawiskiem, ten ksiądz-muzyk w brazylijskiej głuszcy.

Z drzew przy drodze zrywają się coraz częściej stada papug, lecą nieładnie, jakby ostatkiem sił. Napotyka się miejsca bardziej egzotyczne z krzakami *abacaxi*<sup>46</sup> i bananów. Jak delikatne są tutaj różnice klimatu, świadczą te niewielkie dwustumetrowe przestrzenie, gdzie rosną właśnie ananasy, kawa czy banany, natomiast nieco dalej klimat jest inny i niczego takiego się nie spotyka. Niebo nad nami jest teraz bure, nawisłe, ale wokół, na widnokręgu, błękitny pas zdaje się je oddzielać od ziemi jak niedomkniętą pokrywę. Jonczyn proponuje zejść na szimaron do swoich kuzynów, którzy nazywają się Zabawa. Zatrzymujemy się przed ładnym i dużym domem, dalej widać inne budowle, wszystko wygląda dostatnio. Bardzo tęga, wesola kobieta prowadzi nas do kuchni, jest gościnna, mówi dużo dobrym polskim językiem. Dowleka się do kuchni jej mąż, stary, schorowany na reumatyzm człowiek. Potem jej córka z dzieckiem i zięć, sympatyczny, trzydziestoparoletni mężczyzna w koszuli i portkach z lnianego płótna. Jest zgrzany, bo wraca prosto od roboty w polu, ma rumianą twarz i pogodny uśmiech. Rozmawiamy od razu hałaśliwie, jakbyśmy dawno się znali. Częstość nas szimaronem, potem wódką własnego wyrobu i słodkim ciastem.

Emigrant, Chłop, Praca

Tęga kobieta pije za pomyślność Polski, entuzjazmuje się, jest wielką patriotką, ma krewnych gdzieś w Lubelskim, od nich wie doskonale wszystko co się w kraju dzieje. Siada koło mnie, wypytuje, namawia do picia i jedzenia, tak że czuję się jak na jakimś weselu. Wyczuwa się tu atmosferę pewnej indywidualności tych ludzi, bez uniżoności i zahukania, tak właściwych chłopom polskim w kraju. I oni także mieli trudne początki, opowiadają to jedno przez drugie. Przyjechali bez grosza, pierwsze miesiące myśleli, że nie wytrzymają biedy i tęsknoty za krajem. Teraz mają najwięcej ziemi i najlepsze zabudowania z całej kolonii Linha Parana. Zabawiliśmy u nich może z kwadrans. Mimo całego mego sceptycyzmu, była to może moja najmiłsza wizyta w ciągu ostatnich kilku lat. Na drogę dali nam koszyk pomarańcz, żegnali jak najbliższych, matka i córka popłakały się, te nasze przypadkowe odwiedziny urosły do jakiegoś wielkiego przeżycia. Kiedyśmy odjechali spory kawał drogi, Grzeszczyszyn szepnął mi poufnie:

— Panie, to wszystko sztuczne, najbardziej bezbożna rodzina z całej kolonii — ja panu to mówię.

Czort go bierz tego Grzeszczyszyna, znów mi się zmienił na złe, bo przecież zorientowałem się, że to są dobrzy i niegłupi ludzie. Grzeszczyszyn był cały przesycony stosunkiem do chłopów jakiegoś ekonomy z czasów pańszczyźnianych. Czulem, że drażni go wszelki objaw samodzielnego myślenia u kolonisty. Z przykrością pojąłem, że to co mówił poprzednio o tych „samych tylko rękach”, to była obłuda. Wobec kolonistów zachowywał się dość arbitralnie, niby taki, co to zna duszę i psychologię „ludu”. A, nie chce mi się już o nim pisać.

Ujechalśmy może kilometr, kiedy Jonczyn znów chce odwiedzić jakiegoś krewniaka. Zastajemy go w ogrodzie, pochylonego nad krzakiem kawowym. Odrywał zwiędłe listki i szukał liszek. Ma tych krzaków kawowych ze dwadzieścia, pokazuje je nam chętnie i ma się czym chwalić, bo w tej okolicy hodowla kawy to rzadkość. Pierwszy raz widziałem kawę w naturze. Taki krzak, sięgający mi do ramion, porusza w człowieku pewne myśli.

<sup>45</sup>Strawiński, Igor Fiodorowicz (1882–1971) — słynny rosyjski kompozytor, autor m.in. baletu *Święto wiosny*. Większość życia spędził na emigracji, m.in. we Francji i USA. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>*abacaxi* — odmiana ananasu. [przypis autorski]



Kawa stworzyła tutaj miasta i magnatów, kawa jest przyczyną upadków i wzniesień. Krzak ten wygląda delikatnie, ma drobne listeczki i czerwone owoce. Rozłupuję jeden taki owoc, prawda, jest kawa — dwie połówki. Kolonista nazywa się Kapuściński. Zaprowadził nas do domu, tam poznaliśmy się z jego żoną, dała nam się napić tej własnej kawy. Napój niedobry, przesłodzony i słaby. Źle przyrządzona kawa. Grzeszczeszyn entuzjazmował się tą kawą, zabrał z sobą parę gałązek, obiecał pomoc w tej sprawie, interwencję w konsulacie.

Jest już dobrze po południu, Jonczyn pogania konie i zapewnia, że już nigdzie przed noclegiem nie będziemy się zatrzymywali. Jedziemy wertepami, droga się znacznie pogorszyła. Grzeszczeszyn już od godziny może zajęty jest swą kawą. Rozłupuje ziarenka, rozciera je w dłoniach, wacha, mruczy coś, wreszcie mówi do mnie, że ta kawa to wielka rzecz, że założy się tutaj plantacje, będzie bogactwo, to szczęście że on to odkrył, bo kto inny by to zbagatelizował. Na to odwraca się Jonczyn i powiada, że z tą kawą to bujda, nigdy ona nie dojrze. Kapuściński ją sztucznie suszy i nic nie jest warta, piliśmy przecież. Grzeszczeszyn powiedział tylko te parę słów:

— Już ja będę w tym, że będzie dojrzewała.

Po raz pierwszy w ciągu wspólnego obcowania Jonczyn przyjrzał mu się uważnie, potem pytająco spojrzął na mnie, podciął znów konie, splunął i odwrócił się tyłem. Jechaliśmy ciągle bardzo złą drogą. Wóz trzął i Grzeszczeszyn nie mógł robić swoich notatek. Dotyczyły one zapewne kawy. Czas mi się dłużył ogromnie, czułem się przy tym zawiedziony, bo podróżnicy opisywali swe niesłychane przygody z ludźmi i zwierzętami, a tu stale jedzie się nudną i najzwyczajszą drogą, przez którą nawet mysz nie przebiegnie. Zeskoczyłem z wozu i ze dwa kilometry szedłem pieszo. Przyszedł mi do głowy Benjamin Branco, pomyślałem sobie trochę na jego temat, ale już bez nerwów, tylko na zimno i z uporem powtarzałem sobie ciągle, że bronie nie oddam. Tak mi trochę czasu zeszło, potem znów wskoczyłem na wóz. Na świecie znów się robiło brzydko, szarawo. Jonczyn zakasłał, więc Grzeszczeszyn zaczął go wypytywać o zdrowie. Stary wyraził obojętne przypuszczenie, że być może ma suchoty, ale to go nie obchodzi, bo i tak już jest chory na starość. Grzeszczeszyn bardzo się tym zainteresował.

— Panie, lecz się pan na miłość boską, bo przecież dzieci jeszcze pan pozarażasz! Kiedy byłem nauczycielem w Cruz Machado, przyszedł raz do mnie pewien bardzo chory na suchoty człowiek. Ledwo przyszedł. Błady, wychudły — Łazarz! Znałem sposób, owszem. Powiedziałem mu, że jak chce być wyleczony, niech przyjdzie jutro ze zdrowym koniem. Przyszedł, zwołałem chłopów, konia zabili, rozcięli na dwie połowy, chorego rozebraliśmy do naga i wsadziliśmy między te dwie połowy. Tak poleżał dwa dni i wyzdrowiał. Na kolanach mi dziękował!

Niceśmy z Jonczynem nie mieli do powiedzenia wobec tego cudownego sposobu. Mijało nas dwóch chłopaków, jeden niósł strzelbę na ramieniu, drugi trzymał za ogon zabitego pancernika.

— Dzień dobry! — woła do nich Grzeszczeszyn.

Odpowiadają po ukraińsku.

— Cóż wy, nie rozumiecie po polsku? — pyta Grzeszczeszyn.

— My nie z tych Mazurów co rozumieją — odpowiada jeden po polsku. Zaśmieli się obaj i poszli dalej. Zgniewali tym bardzo Jonczyna.

— A to juchy, ścierwy dopiero! Widzą, że jadą miejskie ludzie, to żadnego poszanowania nie mają, tylko jakie toto harde! Czekać, spotkałem ja was kiedy, to wam sprawię za takie gadanie!

Zaczęła się rozmowa na temat Ukraińców. Są tu w znacznej mniejszości, ale hardo się stawiają. Koloniści wobec nich zachowują się wyniośle, czasem zdarzają się bójkę w wendach po pijanemu. Przejeżdżaliśmy właśnie przez okolicę, gdzie Polacy stanowili mniejszość. Droga znów zrobiła się bardzo ciężka, duże pochyłości, jechaliśmy nad przepaścią, po prawej stronie mieliśmy prostopadłą ścianę górską. Ściemniało się już, kiedy w dolinie zobaczyliśmy wylaniające się z mgły zabudowania. Stanęliśmy przed wendą Marii Radomińskiej. Przez ladę przywitaliśmy się z tęgą, niestara jeszcze kobietą. W sklepie czuć było charakterystyczną gamę zapachów, na ladzie leżała związana kura, przyniesiona przez dwóch chłopców. Radomińska zważyła tę kurę w rękę, dała za nią chłopcom parę skar-

petek, kawałek *fumy*<sup>47</sup> i dwa cukierki. Pożegnali się po ukraińsku i wyszli. Grzeszczeszyn z Jonczynem odpręgli konie, ja rozglądałem się po półkach, mieściły się tam najrozmaitsze rzeczy aż do materiałów na ubrania włącznie. W kącie *espingarda*<sup>48</sup> z odwiedzionym kurkiem. W zastępstwie Grzeszczeszyna powtórzyłem Radomińskiej pozdrowienie od jej syna. Podziękowała grzecznie i zapytała czy sprzedał już świnię do Pontagrossy i po czemu. Nic o tym nie wiedziałem. Zostawiła mnie samego w wendzie, powiedziała, że idzie przygotować nam kolację. Siedząc na ławce patrzyłem przez szerokie wejście na okolicę. Była to posępna, zamglona dolina, otoczona wysokimi wzgórzami, miejsce nieprzyjemne, ponure. Za ladą zjawił się rosły chłopak, blondyn w zawadiackim kapeluszu, z zawiniętymi po łokcie rękawami koszuli. Pozdrowił mnie, usiadł na ladzie i znieruchomiał. Zapytałem go, jak mu się żyje na takim pustkowiu. Odpowiedział po polsku, ale źle, ochryplym mutującym się głosem.

— Tu jest, panie, dużo roboty koło handlu, ciągle ktoś przejeżdża, jesteśmy tylko z matką, no i mała siostra, ale to się nie liczy. Dobrze tu się żyje, lepiej niż u was, w kraju. Byłem tam pięć lat temu, mieszkałem półtora roku w Lublinie. Bardzo marnie było, panie. Ludzie tylko myślą, jakby zarobić na jedzenie, złe powietrze, zimno, mury. Kobiety są równe mężczyznom, rozpusta, panie. Wszyscy się pysznją, a są zgnilki. A pan dawno tu jest?

Powiedziałem mu jak długo jestem w Brazylii. Wypowiedział mi swoje mętne poglądy na świat, mówił to ze sztuczną powagą, dał mi odczuć, że uważa się za rozumnego, trzeźwo myślącego młodzieńca. Miał dwadzieścia dwa lata. Weszło kilku kabokli, podał im szklanekę z wódką i patrzył z pobażaniem i wyższością jak piją.

Nie wiem, co ze sobą zrobić. Najchętniej wyciągnąłbym się na czymś miękkim i kopał papierosy. Wstaję z ławki, łażę po wendzie, natknąłem się na worek z owocami bawełny, staram się tym zainteresować, ale nic! Takie sobie baze, nie większe od fasoli, w środku — rzeczywiście — bawełna, wata. Kabokle kolejno całują swoją szklanekę z kaszasa, przyglądają mi się. Wszyscy, jak jest ich czterech, sięgają mi wzrostem do ramion. Są chuderlawi, wynędzniali o żółtawej cerze — mikrusy. Syfilis, *ankilostoma*<sup>49</sup> szimaron i różne *biszki*<sup>50</sup> pokurczyły ich, zniszczyły prężność i mięśnie, nie pomagają dumnie wzniesiona głowa, godnie i powoli wymawiane zdania, płomieniste oczy. Można ich zgarnąć jednym ruchem ręki jak butelki ze stołu. Wyszedłem przed wendę i rozglądałem się w tym kotle. Cicho tu jest, trochę smętnie i dziko, drzewiny jakieś pokraczne, gdzieś gdzieś trochę trawy, parę chałup, mała drewniana cerkiew na wzgórzu, w pyle kapliczka polska, gdzieś gdzieś pokazują się światełka, czerń nocy przyprósza to wszystko, opada i na duszę, nudzi. Ach, jak nudzi!

Spotykam się w ciemnościach z Grzeszczeszynem i Jonczynem. Wchodzimy do wendy, na ladzie świeci lampa naftowa, przybyło trochę ludzi, wszystko to w kłębach dymu, załamujące się cienie na sprzętach. We trzech schodzimy po schodkach do kuchni, na podłużnym stole blaszane talerze i kolacja: kura na szmalcu i jajka, w rodzaju sadzonych, też na szmalcu. Wypijamy po kieliszku ciepłutkiej kaszasy, inaczej tych potraw nie można by przełknąć. Po kolacji ci dwaj czują się znakomicie, ale ja siedzę osowiały, czuję ten szmalec w żołądku, wiem, że mi pomoże trochę szimaron, więc proszę o kuję, piję i od razu wszystko się staje jakieś prostsze i lepsze, staję się lekki, rozmowny. Wspaniałe świństwo.

Powoli i ostrożnie, omijając się delikatnie słowami, Grzeszczeszyn i Jonczyn krążą powiewnie niby duszki taktu wokół pieniądze temat. Jeden drugiego nie chce urazić. Wreszcie na śmiałe pytanie Grzeszczeszyna, co się za tę całą podróż i nocleg należy, pada skromniutka odpowiedź:

— A to już ile pan uważa!

— Powiedźcie sami, panie Jonczyn. Ja tam tego nie mogę wiedzieć, ile — mówi Grzeszczeszyn.

— Nie wiem, panie. Ja z tego nie żyję, to i nie wiem. Wykalkulujcie sami i powiedźcie.

<sup>47</sup>*fum* — tytoń w kawałku sprzedawany na wagę. [przypis autorski]

<sup>48</sup>*espingarda* — fuzja. [przypis autorski]

<sup>49</sup>*ankilostoma* — robactwo przedostające się do żołądka. [przypis autorski]

<sup>50</sup>*biszki* — popularne określenie na wszelkie robactwo i zwierzęta. [przypis autorski]

Jonczyn zachowuje się, jakby go ta kwestia mało obchodziła. Parę razy zmienił temat, zagadnął wendziarkę o jej handel, coś tam zaczął mówić, kiedy Grzeszczeszyn nagle zdecydował się i palnął:

— Dam panu dwa mile i *pronto*<sup>51</sup>. Co, już?

Poderwało mnie to z ławki. Jonczyn na chwilę się skrzywił, ruszył wąsami i zaraz spokojnie i z godnością odpowiedział:

— Co tam panie o pieniądzach będziemy mówili. Nic mnie nie ubędzie, jesteście z Polski, to co tam od was będę brał!

Patrzyłem ze zdumieniem na tego bezczelnego faceta, Grzeszczeszyna. Dwa mile! Przecież to ostatnie draństwo coś takiego zaproponować za półtora dnia jazdy i nocleg. Sześćdziesiąt groszy. I na dobitkę, po ostatnich słowach Jonczyna, powiada:

— No, jak tak, to napijmy się piwa. Pieniądz to jeszcze nie wszystko na świecie!

Ale Jonczyn powiada, że pora mu już wracać, bo późno i ma trochę roboty w domu. Muszę ratować sytuację. Mówię, że nie możemy traktować tej podróży za darmo, bo chociażby samo żywienie koni kosztuje parę milów, przy tym czas Jonczyna też jest coś wart. Dziesięć milów musi pan przyjąć koniecznie.

Kolonista wymawiał się, Grzeszczeszyn przyjrzał mi się uważnie i powiedział:

— Tak, rzeczywiście. Dziesięć milów musi pan przyjąć, już płacę, proszę!

Wręczył pieniądze Jonczynowi. Miałem z Grzeszczeszynem rachunki i umówiliśmy się, że on będzie płacił, a później się rozliczymy. Napiliśmy się jeszcze piwa, Jonczyn pożegnał się z nami i poszedł zaprzęgać konie. Grzeszczeszynowi widać nie chciało się ze mną rozmawiać, więc zaraz za nim wymknął się do wendy. Tkwiłem na ławce w kuchni dość długo, odurzony sennością, kiedy wreszcie wdowa Radomińska wskazała mi pokój przy wendzie, gdzie stały dwa łóżka, zapraszające załamany rogiem koldry, jak ręką — na siebie. Rozebrałem się, zgasiłem świecę i leżąc, słuchałem monotonnych rozmów z wendy, przez niedomknięte drzwi sączył się stamtąd dym i smuga światła. Mówiono po portugalsku. O kryzysie, żartowano z prezydenta Brazylii i z tych kilku bezceremonialnych powiedzeń wywnioskowałem, jak niezależny od rządu i jego polityki jest interior. Gdzieś tam, w Rio de Janeiro czy miastach stanowych, mieszkają ci utrzymankowicze hojnej i z gestem, niewyczerpanej Brazylii. Pobierają wysokie pensje i cała ta kieszeniowa polityka oparta jest jakby na pasożytniczej administracji niesłuchanie bogatego majątku. Ten lepszy milion żyje ze sprzedaży. Mniej więcej co dwa lata kilkunastu generałom i politykom zaczyna brakować gotówki i wtedy robi się rewolucję. Postrzelają sobie parę tygodni, którąś z partii zmęczył upał i niewygody, kapituluje albo idzie na kompromis i zwycięzcy znów zakupują serię wytwornych samochodów nowego typu, powiększa się zastęp kochanek. Pewien generał w czasie rewolucji utrzymywał pozycję wzdłuż toru kolejowego. Nadeszła depesza od prezydenta z Rio de Janeiro, że rewolucja skończona, należy cofnąć pułki do garnizonów. Odpowiedź brzmiała: „Potrzeba mi trzystu kontów<sup>52</sup>, jeśli nie otrzymam, zniszczę tor kolejowy”. Pieniądze natychmiast przysłano. Porządeczek musi być.

Dla kabokla siedzącego przed swą ranszą<sup>53</sup> i pijącego szimaron, wszystko to jest tylko przedmiotem do żartów. „Nasza niezmierna Brazylia jest tak cudowna, kiść bananów dojrzewa na słońcu, które znów grzeje cały rok. Cóż mnie to wszystko obchodzi. Bóg przecież mieszka w Brazylii!”

Przez uchylone drzwi wbiegła po pasie świetlnym mała czarna świnka, postukała kopytkami pod moim łóżkiem i wróciła tą samą drogą. Usnąłem w powodzi informacji Grzeszczeszyna. Coś im tam tłumaczył, wykladał.

\*

Rano spojrziałem na posłanie mego towarzysza podróży — było opuszczone, lecz i zmięte, znaczy, że wstał wcześniej. Oto mi żywotność: ostatni dzień żegna i pierwszy go wita. Należało przemyślnego chłopca odszukać i pomówić na temat wyjazdu z tej kotliny. Ubrałem się w poziewaniach, nieskory do rozpoczęcia dnia. Zajrzałem przez szparę

<sup>51</sup>*pronto* — gotowe, załatwione. [przypis autorski]

<sup>52</sup>*kontów* — tysięcy. [przypis autorski]

<sup>53</sup>*ransza* — szalas, chata. [przypis edytorski]

w drzwiach do wendy; odbywał się tam zwykły handel, kilku kabokli z batami w rękach stało u wejścia. Podawali sobie szklaneczkę z wiadomym płynem, za ladą wdowa zaglądała babie w węzelek. Już prawie ubrany, tylko jeszcze nieumyty i bez marynarki wylazłem na ganek od podwórka, rozejrzałem się po świecie. Przed sobą miałem błotny, ogrodzony wądół pełen tucznych świń w najrozmaitszych pozach, pod parkanem od wewnętrznej strony stał Grzeszczyszyn i patykiem pieścił rozwaloną maciorę po brzuchu. Twarz jego wyrażała słodycz i czułość. Dalej widać było krzewy, nad krzewami niebo z rzadkimi chmurami. Dzień był bezsłoneczny, ale jasny jakiś, białawy. Przez kilka minut w milczeniu przyglądałem się czynnościom Grzeszczyszyna. Właśnie zajął się inną pupilką, chciał nawet zapuścić się dalej, lecz wpadł nogą aż po kolana w zielonkawą maź i trwał teraz w dziwacznej koślawiznie, zabrął widać jakoś, bo zaczął popiskiwać, nie mogąc się jednak zdobyć na okrzyk o pomoc. Schodziłem właśnie po schodach z rękami w kieszeniach, pogwizdując sobie pewną smutną, polską melodię, kiedy mnie zobaczył i całą rzecz swoją począł traktować na wesoło:

— A tom się dostał, powiedz no pan tylko... Ugrzązłem. Ale ładne sztuki, co?

— Pś, tak sobie. Nie wie pan, jakby tu wody do mycia dostać? — odpowiedziałem.

Wiedziałem, że znajdował się w rozpaczliwym położeniu, bo mała kładeczką usunęła mu się spod lewej nogi i brnął dalej. Tylko ambicja wstrzymywała go od krzyku. Wreszcie wyjąkał:

— A możebyś mi pan jako pomógł, bo tu psia...

I w tym momencie zatrzepotał rękami i leżał obok swej ulubienicy. Świnie widać nie lubią, gdy ludzie chcą się wylegiwać w błocie razem z nimi, bo za ogrodzeniem wszczęło się istne piekło, przed oczami migać mi zaczęły szare cielska, podniósł się kwik wściekły, bryzgi błota ulatywały w górę jak z jakiego wulkanu, zrobiła się taka kotłowanina, że wprost rozeznac nie mogłem, gdzie ten człowiek się znajduje. Z kuchni wybiegły dwie tegie dziewczuchy i jak spłoszone kury zaczęły biegać w kółko, nie wiedząc co począć. Ale zaraz rwetes ucichł, trzoda zbiła się w kącie chlewu i, fukając gniewnie, patrzyła na punkt, gdzie coś się poruszało. Wybiegł ze sklepu syn wdowy, a za nim sama wdowa. Zaczęli szukać widel albo drąga. Akurat poginęły takie rzeczy w obejściu i w końcu kabokle wynaleźli gałąź i zaczęli koniec jej podawać nieszczęsnemu. Ta gałąź okazała się za krótka. Patrząc na to, rozmyślałem, jak z blahego wprost powodu, ot ze zwykłej sympatii dla zwierząt może powstać tak niesłychana awantura. Grzeszczyszynowi udało się jakoś usiąść, obtarł sobie trochę twarz i tak czekał na ratunek w milczeniu. Zapaliłem papierosa i patrzyłem na towarzysza, nie mogąc mu w istocie pomóc. Nikt nie chciał wyjść za ogrodzenie, żeby bydlaki znów się nie rozpierzchły. Ludzie krzatali się po cichu, nic nie mówiąc. W końcu sam się wygrzebał. Pomyślałem, że mógł to wcześniej uczynić, ale widać stracił — jak to mówią — głowę. Poczłapał myć się gdzieś do komórki, pogrubiony od tego błota. Ludziska się rozeszli. Co tu gadać, ten wypadek rozproszył mój zły humor ranny. Dziewucha połała mi wody na podwórzu, umyłem się jak ułan na biwaku i ubrany poszedłem do wendy, gdzie omawiano wypadek Grzeszczyszyna. Przybiegła córka wdowy, żeby wskazać jego rzeczy, bo chce się przebrać. Wyjąłem jakieś portki i koszulę, po czym sam mu to zaniósłem. Stał w komórcie w chustce na gołym ciele, coś postękiwał, że cholera... bydło... żadnego zabezpieczenia... przecież tam za dużo błota jak dla świń... Że nie umięją hodować...

Przynieśli mu do kuchni dużą szklanę wódki na rozgrzewkę i w rezultacie Grzeszczyszyn urznął się trochę, poszedł potem pić piwo z kaboklami, nie zwracając uwagi na moje słowa, że przecież trzeba jechać dalej. Zjadłem śniadanie w kuchni, potem znów poszedłem do wendy, zabawa tam wrzała w biały dzień, postawili jakieś zachryple gramofonisko, właśnie płyta była mówiona, jakiś komiczny monolog brazylijski.

Dobiegało południe, zwróciłem się do wdowiego syna, aby coś z tą jazdą wykombinować. „Dobrze, dobrze, tylko trzeba posłać na portrę po konie”. Cała ta sprawa wlokła się do drugiej po południu, wreszcie załadowaliśmy pijanego Grzeszczyszyna na wóz i ruszyliśmy w drogę. Usnął natychmiast. Para tłustych koni ciągnęła nas po drodze pełnej rozpadlin, rozmokłej jeszcze i stromej. Otaczały nas gęstwą obrosłe pagóry, tak, że miejscami niebo znikało nam z oczu i ciepły zaduch zielenizny bił z tej puszczy. Znów zaczęło się dłużyć, cmokania na konie nastrojało sennie, a z kolei trzęsienie wozu nie do-

puszczało do najsłabszej drzemki. Od dziecka nienawidziłem szczerze jazd na wszelkich brykach czy wozach, teraz jednak chwilami popadałem w pasję, kiedy zza zakrętu ukazywało się nowe „pod górę”. Z tyłu leżał Grzeszczyszyn. Trzeba się obejrzeć i obudzić go nawet, choćby dla rozrywki, bo młodzieniec przy lejcach nie nadawał się do pogwarki. Więc przrzuciłem nogi na tamtą stronę. Wyglądało „toto” jak żywy trup, bo oddychał i przez sen gwizdał cichutko i jakoś przejmująco nosem. Włosy mu się rozsypały po czole i przyklepnęty kapelusz wyglądał jak piróg na płaskorzeźbie. Budziłem go długo i różnymi sposobami, wreszcie poderwał się, usiadł. „Co, co! Gdzie są?” — wymamrotał. Nie tłumaczyłem nawet, dlaczego go obudziłem, tylko z miejsca nawiązałem rozmowę o misji inteligenta w Brazylii i na co człowiek się naraża w długich i niewygodnych podróżach, choćby na przykład ranny wypadek w zagrodzie świń. Słuchając mnie, wyjął ze spodni potrząskane lustreczko, ziewnął w nie kilkakrotnie, zgarnął włoski z czoła, zwilżył je trochę śliną, krzepko nasunął kapelusz na ucho, skręcił dulca<sup>54</sup> długiego na ćwierć łokcia, zakurzył i powiedział:

— Co pan możesz o tym wszystkim wiedzieć.

Speszyło mnie to męskie zdanie. Rozejrzałem się bezradnie, znikąd ratunku, tylko gdzieś między gałęziami skrawek nieba i nieruchomy ptak na niedopalonym szkielecie imbui<sup>55</sup>. Grzeszczyszyn przekręcał głowę, palił i chmurnie czasem popatrywał na mnie, wreszcie zaczął od słowa „bo”:

— Bo... uważa pan... ja jestem społecznik, ja... mnie gryzie troska o dobro tego wychodźstwa tutaj, żeby ci ludzie nie zmarnieli, żeby im od czasu do czasu coś powiedzieć, poradzić, a i też przejechać się po nich, jak źle żyją. Pan sobie czasem patrzy na mnie i myśli: o, ten Grzeszczyszyn to prostak! Nic dziwnego, młody pan, wychowany w mieście i w dobrobycie pewnie, dopiero pan w piórka obrastasz, a ja stary wyga kolonizacyjny, ja mam, nie chwając się, panie, ale mam, no mam od Boga ten talent rozumienia mas chłopskich, ja umiem do nich pogadać, chwycić ich za serce. Bo już temu się poświęciłem, bo jestem tym cichym, nieznanym bohaterem społecznym, tym pionierem oświecenia tego wychodźstwa naszego, co błądzi, idzie na manowce, od misjonarza stroni; a kimże jest misjonarz jak nie tym łącznikiem ludzi z Bogiem, tym klejem, co ich trzyma, aby nie zmarnieli. Taki, panie, kolonista jeden z drugim za parobka był w kraju, a tu wielki pan, chce się usamodzielnąć, a nie widzi, że jest tą ciemnotą, co musi słuchać rozumniejszego, co by ich za pysk trzymał. I dlatego ja jeżdżę po tych licznych skupiskach naszego chłopstwa i radzę, do porządku nawołuję, krew i pot z siebie wypuszczam, żeby sługi bożego słuchali, bo religia jest od wieków i będzie, bo ciemnota musi się czegoś trzymać. Oto moja misja, panie, którą sam sobie narzuciłem i nie spocznę, dopóki jej nie spełnię.

Musiałem tego wysłuchać, bo przecież wyskoczyć z wozu i zwać do lasu, to mi nie odpowiadało. Co to miało oznaczać: „nie spocznę, dopóki nie spełnię misji”? Chciał zostać tutaj królem chłopów, czy co, do diabła? Chciałem mu powiedzieć, że to usamodzielnienie się chłopów w Brazylii jest właśnie piękne i normalne, bo gdzie się ma usamodzielnąć? Zawdzięcza przecież wszystko własnej pracy, a Grzeszczyszyn chciał, aby rezultatami dzielił się z misjonarzami. I w ogóle co znaczy ten termin „misjonarz”? Czy nasi chłopci to jacyś Murzyni, aby potrzebowali misjonarzy. Już w Kurytybie zauważyłem, że w Brazylii roi się od tego rodzaju „społeczników”. Chłop polski, który właśnie tutaj stał się kimś, nie chce znów tak bardzo, aby się nim opiekowano. Chce szkoły i polskiej gazety, na misjonarzu poznał się należycie, przeszedł szybko proces asymilacji i wcale się nie wynarodowił, jest Polakiem w granicach wystarczających, bo przecież tej nowej ojczyźnie też z siebie coś dać musi. I podczas kiedy banda tych „społeczników” żre się o „prezesury” różnych towarzystw, kolonista spełnia swe rzetelne obowiązki, żyje spokojnie i z pogardą patrzy na pasożytów, którzy chcą go za łeb uchwycić i znów otumanić. Liczne zjazdy delegatów do tej Abdery<sup>56</sup>-Kurytyby wykazały, do czego może dojść bzdura ludzka. Przecież ci ludzie nie wiedzą, kim ten chłop jest w istocie, jak piękny jest jego czyn na tej ziemi obcej. Nie znają go.

<sup>54</sup>dulec — papieros. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>imbui — gatunek drzewa. [przypis autorski]

<sup>56</sup>Abdera — starożytne miasto greckie. Mieszkańcy Abdery mieli opinię tępych i ograniczonych prowincjusz. [przypis edytorski]

Społecznik, Chłop,  
Emigrant

Przyglądał mi się i czekał na odpowiedź, ale nuciłem wesołego marsza z miną, jak gdyby bieg jego w myśli był mi za głęboki i nieprzystępny. Wóz akurat włókł się pod górę, więc Grzeszczeszyn wyskoczył na ziemię ze słowami: „Tak, mój młodzieńcze”, po czym zdjął marynarkę i szybko wyprzedził furę, a po chwili znikł w zaroślach, u szczytu.

Odwrociłem się do powożącego syna wdowy Radomińskiej i zapytałem, co to za rewolwer, co ma u pasa.

— Smith, dostałem go od Beniamina Branco — wyjaśnił obojętnie, następnie wyjął kule z bębena i podał mi rewolwer. Znow to straszne nazwisko poraziło mi serce. Trzymałem broń w ręku, znieruchomiały, pełen rozhukanych, przeraźliwych myśli. Obejrzałem rewolwer bez entuzjazmu i zwróciłem go. W zasepieniu jechałem z dziesięć minut, wreszcie zapytałem ponuro:

— A cóż to za jeden, ten... gdzie on mieszka?

— Mieszka niby w Prudentopolis, ale tak to stale jest w objazdach. To komisarz lotnej policji, wyłapuje bandytów, odbiera broń, ma z pięciu ludzi. On — ile to?... Z tydzień temu był u nas, ale zaraz pojechał do Prudentopolis, tylko jego ludzie zostali. Pili całą noc, strzelali w naszej wendzie, a rano pojechali dalej, też za nim.

— Za nim, powiada pan? To... tutaj ich nie ma?

— Nie, zrobili swoje, poturbowali trochę ludzi, zrobili co komu należało i pojechali dalej. To właśnie jeden z tych skonfiskowanych smithów, zaraz postrzelamy.

Wtykał kule. Wytarłem twarz chusteczką i śmiało patrzyłem wokół. Nad uchem huknęło mi dwukrotnie, konie poszły prędej, zapachniało „przyjemnie” prochem. Syn Radomińskiej wysympatyczniał mi nagle, w ogóle poweselałem. Na drodze leżał przyczajony Grzeszczeszyn, ze skupioną twarzą, z obnażonym rewolwerem w dłoni. Konie stanęły. Chwilę trwało pytające milczenie z obydwu stron, wreszcie Grzeszczeszyn podniósł się ostrożnie i chyłkiem, pod krzakami szedł ku nam. Radomiński także wyjął swój rewolwer. Wtedy Grzeszczeszyn przystanął i zapytał głosem jakby z kiszek:

— Co jest z wami?

— Schowaj pan broń wpierw, co jest z panem? — powiedział Radomiński.

Teraz dopiero Grzeszczeszyn zorientował się; wyglądał dziwnie w ubraniu khaki, w sztylpach i z tym rewolwerem. Jak jeden z tych, co to „pieszo” podróżują naokoło świata. Schował rewolwer ze słowami:

— Wy tu sobie żarty stroicie z wiwatami, a człowiek już jest gotów do roboty.

Radomiński też schował broń, splunął, zaciął konie, Grzeszczeszyn wskoczył w biegu na wóz, i, wkładając marynarkę, rzekł do mnie:

— Bo, uważa pan, tu u nas to nie ma żartów!

Umieszczał się wygodnie w słomie czy grochowinie z tyłu wozu, jak skunks albo inne zwierzątko; coś tam szemrał i pomrukiwał. Mieliśmy przed sobą przestrzeń rozfalowaną, górzystą, ziejącą ogromem i dałą. Mijaliśmy przepaście, następowały prostopadłe ściany gór, powietrze było świeże, jak gdyby trochę kwaskowate. Gdzieniedzie w dolinie szarzała pośród zieleni zagroda kolonisty; było to maleńkie, z niteczkami ścieżek, wydeptane przez człowieka miejsce. Zresztą były to przeważnie polskie osiedla. Zaczęły się też coraz częściej pokazywać chałupy, w końcu już cała wieś jakby, z rzadkimi domostwami po obu stronach drogi.

Chłop, mijając nas, rzucił z fury pozdrowienie po polsku, widać poznał w nas rodaków. Grzeszczeszyn znow ocknął się i wreszcie polecił zatrzymać się przed jakąś szopą, z szybami posklejanymi papierem, słowem wietrznym jakimś i posepnym domostwem. Pół do ściany, pół do furtki przybity był napis po portugalsku, że jest to szkoła publiczna. Na turkot wozu wylazł z chałupy jakiś człowiek „leśny”, boso i ze zmierzwioną wiechą kudłów, w połatanych portkach na pasku i bardzo brudnej koszuli. Ukłonił się nisko i jakby z abnegacją. Grzeszczeszyn zaczął z nim rozmawiać, bijąc się patykiem po cholewie. Zlazłem i ja z wozu i we trzech weszliśmy do środka. W izbie stało kilka ławek z pulpitemi i tablica z wyrysowaną kredą gębą i napisem: „tratata”. Nędznie odziany człowiek przedstawił się nam jako nauczyciel i kierownik szkoły. Usiedliśmy w przyciasnych trochę ławkach. Grzeszczeszyn wyjął notatnik, plasnął nim energicznie o pulpit i począł wypytywać stojącego przed nami nauczyciela:

— Ile jest dzieci w szkole, dlaczego nie zamiecione i kiedy się odbywają lekcje?

Nauczyciel zaczął coś mówić, ale ja mu przerwałem; poprosiłem, żeby usiadł i możliwie grzecznie zapytałem, jak się nazywa i jak dawno tu jest? Usiadł w ławce z tyłu tak, że się trzeba było do niego wykręcić i odpowiedział, że się nazywa Kędzierski, że jest tu dwa lata, ale żyje trochę z tego co uprawia, bo dzieci jest tylko osiemnaście, z tego nie wszystkie przychodzą, także i nie wszyscy rodzice płacą tego miła od dziecka, że w ogóle szkoła jest jakby trochę zamknięta; dawniej to było lepiej, ale od czasu jak chłopci podzielili się na partie, a misjonarz Kiełta zaczął ich buntować, to się mało kto uczy i rzadko który dzieciak przyjdzie. Z Kurytyby żadnej zapomogi mu nie dają, chłopci gadają, że źle uczy, co prawda to i sam wiele nie umie, trochę tylko czytać i pisać. Chciałby pojechać na kursy nauczycielskie do Kurytyby trochę się poduczyć, ale faktycznie to i nawet butów nie posiada. Był taki jakiś zapiekły w swej nędzy, że nawet nie znał było skargi w tym, co mówił. Tak więc dzieci tutejsze uczyć to się nie uczą, bo rodzice ogromnie się żrą między sobą, w zeszłym tygodniu na zebraniu towarzystwa to się nawet postrzelali, a wszystko przez tego misjonarza Kiełtę, misjonarza, co jeździ na koniu i buntuje. Ano, chce, aby mu się ludzie opłacali za pogrzeby, śluby i chrzciny, a oni się wzbraniają.

— A i wy pewnie też z misjonarzem wojujecie? — wrzeczył Grzeszczyszyn gniewnie.

— Wojować, to ja z nim nie wojuję, tylko wydaje mi się, że bardziej on na wendziarza się nadaje niż na księdza. Ogromnie lubi pieniądze. Baby za nim by w piekło poszły, bo przemawia do nich na gołym powietrzu, a ładny jest, blondynek, to i baby w bek, i dalej węzeł rozsupływać i ofiary to na to, a to na tamto. Do szkoły to tu nawet nie zaszedł, choć przejeżdżał nieraz. A wtedy chodziło dzieci ze czterdzieści. Ano chce jakąś tam inną szkołę po swojej myśli, przy kościele. Jak tam sobie kombinuje, to jego sprawa, tylko, że jako misjonarz nie powinien mieć w sobie takiej niekatolickiej złości i zająć chociaż, odwiedzić tę szkołę, jaka by ona nie była.

— Ano, dlategoż tak się wam i dzieje marnie, że z diabłem trzymacie! — rzucił Grzeszczyszyn na odchodnym.

Ponieważ mroczniało już na świecie, podszedłem do Radomińskiego i zapytałem, gdzie będziemy nocować? Odpowiedział, że o jakie dwa kilometry stąd, u wendziarza. Nauczyciel dorzucił, że zna tego wendziarza, Seniuk się nazywa. Odpowiedziałem mu, żeby przyszedł tam później, to jeszcze trochę pogadamy.

Przyszedł, że przyjdzie. Uśmiechnął się jakoś boleśnie, jakeśmy odjeżdżali. Zaraz po kilkunasu metrach Grzeszczyszyn mnie ofuknął, że gadam z ludźmi i tylko ich psuję. Dostyc łagodnie powiedziałem mu, żeby pilnował swoich spraw. Zresztą przyszło mi jednocześnie na myśl, że może gdzieś w dalszej drodze jak trafi na zły humor, to i obiję tego Grzeszczyszyna. Wdałem się w pogawędkę z Radomińskim, wyjaśnił mi, że ta miejscowość nazywa się Herval. Ale o sprawach „społecznych” nie bardzo mu się chciało mówić, a może niewiele wiedział. Zresztą wylaniały się budynki zza drzew, psy zaczęły ujadać, i po chwili tuż przy drodze zobaczyliśmy wielki, podłużny dom z gankiem przez całą długość, bez ludzi, choć szeroko otwarte drzwi od wendy świadczyły, że ktoś jest w domu.

Poschodziliśmy z wozu, w oknie coś zamajaczyło tajemniczo i ukazał się w drzwiach właściciel tego całego interesu, chłop olbrzymi i tęgi, o wyglądzie jakiegoś króla cygańskiego. Miał czarny zarost, rumiane policzki i oczy chytre, niespokojne. Nie bardzo też nas uprzejmie powitał, a kiedy weszliśmy do wendy, to jakby taksował nas i obmacywał wzrokiem, chociaż od razu powiedzieliśmy „kto zac i w czym rzecz”. Nie pomógł także syn wdowy, mimo że się znali przecież, zresztą ten chłopak nie był przyjemny; mrukliwy i nabzdyczony. Gadatliwość, kręcenie dulców, plaskanie w palce Grzeszczyszyna, cała jego swoboda towarzyska nie rozproszyły chłodu Seniuka. Dopiero, kiedy weszła jego żona, wesoła i czerstwa kobiecina z kopytkowatym nosem, kiedy tak po sierocemu zacząłem opowiadać jej, jak się czuję w podróży i co się dzieje w Polsce, wówczas Seniuk rzucił jedno i drugie pytanie, wreszcie kazał podać wódki i słodkiego piernika, tak że w pół godziny już nas zaprosili do mieszkania, a gospodyni zakręciła się koło kolacji, wtrącając się z kuchni co chwila do rozmowy.

Otóż byli pod silnym strachem, bo jakiś tydzień temu najechała ich banda Beniamina Branco i niby pod pozorem szukania broni splądrowali cały dom, nakradli ile wlezie, a syna wyprowadzili na drogę, tam kazali mu uklęknąć i tak klęczącego sprali batami aż do krwi. To prawda, że ów syn, dwudziestopięcioletni mężczyzna, zabił pół roku temu kabokla w sprzeczce. Jakoby był napadnięty zresztą, co udowodniono w śledztwie. Ale „policja”

Beniamina Branco wymierzyła po swojemu sprawiedliwość, po czym odjechała, strzelając dla postrachu z winchesterów. Szefa przy tym nie było, pojechał naprzód, w odwiedzinę do bogatego *fazendera*<sup>57</sup>, Niemca.

Wszystko to opowiedział Seniuk dość barwnie i ciekawie, w tonie zadraśniętej dumy, bo sam musiał być zabijaka nie lada. Ale kiedy tuż przed kolacją przyszedł nauczyciel Kędziński i okazało się, że ta sama banda obila go w straszny sposób i dwuletnie dziecko porwali matce z rąk i z wysokości konia cisnęli w krzaki, wtedy ta cała sprawa już naprawdę nabrała grozy. Kędziński dodał, że to wszystko za namową owego Niemca, przyjaciela Beniamina Branco, co nienawidził polskich kolonistów. Jechali tak od Hervalzinho, i gdzie jakiego Polaka napadli, to go bili, zabierali broń i co się dało, wszystko zresztą po pijanemu. Całe rodziny pouciekały do lasu, przerażenie było takie, jak za czasów rewolucji. Pomyślałem przy tym samolubnie, że gdyby te deszcze nie zatrzymały nas w Iraty, to — byśmy mieli miłe spotkanie.

Seniukowie i Kędziński byli także tym zgnębieni, że znikąd żadnej pomocy, telegrafowali z Gurapuawy do konsula polskiego, a ten odpowiedział, że będzie załatwiał tę sprawę z *interventorem*<sup>58</sup>; ale oni są pewni, że nic z tego nie będzie. Uspokoilem ich, że przecież konsul nie ma swego wojska, żeby przysłać dla ukarania winnych, tylko musi to załatwić urzędowo i winni zostaną ukarani. Nic na to nie odpowiedzieli, tylko jękliwie dalej opowiadali szczegóły.

Przez cały ten czas Grzeszczyszyn siedział szeroko rozparty za stołem, bez marynarki, tylko w koszuli khaki z kieszeniami na piersiach (pieszo naokoło...), brodę wtulił w rozwarte palce lewej dłoni, cały wsłuchany, z miną surową i neutralną, prawą ręką notował co chwila w swym pokaznym notesie. Kiedy już cała treść się wyczerpała, a zaczęły się komentarze, wówczas klapnął notesem, wstał i w drodze ku oknu powiedział dobitnie:

— To się załatwi doraźnie jutro i z pewnością u delegata policji, a pan ze mną pojedzie!

To ja miałem z nim pojechać, bo w moją stronę był skierowany jego palec. Ha, trudno.

— A co pan tam możesz załatwić, jeszcze pan co oberwie od delegata, boć to przecież przyjaciel tamtych — powiedział Seniuk tonem człowieka znającego stosunki tutejsze.

Grzeszczyszyn odwrócił głowę w jego stronę, „szarpnął się” głęboko papierosem i pokiwiał tą odwróconą głową. Seniuk wstał, poprawił kopczą lampę i zaczął pomagać żonie w nakrywaniu stołu. Zasiadliśmy do tłustej i obfitej kolacji, przy butli z nalewką kaszasy na jakichś mocnych ziołach, humory się trochę poprawiły, rozmowa zesłała na drobne opowiadania z tutejszego życia.

Seniuk stał pod ścianą, nieco oddalony od stołu, z rękami do tyłu, zapatrzony w swoje buty. Rosły, brodaty, rzucił ponury cień na posmużoną żółtawymi refleksami podłogę. Żona stała w drzwiach kuchni i uważała czy nie trzeba dopełnić półmisków. Kędziński jako gość częsty, jadł delikatnie i niewiele, odsunięty o jakie pół metra od stołu. Właśnie do niego Seniuk zaczął mówić, jakby porozumiewawczo a jednocześnie informacyjnie dla nas.

— Właśnie niedawno, bo zeszłej niedzieli, zebrało się trochę ludzi przed szkołą i gadając o byle czym, przeszli na to, który kraj ma jaką chorągiew. Aż tu Ukrainiec Pałakiewicz jak nie wykrzyknie: „A Polaki to nie mają teraz nijakiej bandery”! Poruszyło to chłopów okropnie i dopiero jeden, Kotus, powiada: „Zamknij lepiej gębę! Konsula mamy to i bandera jest: białe z czerwonym, głupi Hryciu!” A Pałakiewicz na to: „Ot mi konsul! Szikotami oprali wam pyski benzaminy<sup>59</sup>, a tak wasz konsul banderowy siedzi cicho w Kurytybie i kulak ssie!” Dopieroż jak go na to syn Kotusa nie praśnie przez gębę, to Pałakiewicz przycichł, gębę utarł, pogroził i poszedł, bo naszych było więcej. Ale że oto człowiek musi wysłuchiwać, co taka swolocz wygaduje, to już doprawdy wstyd.

Całe to opowiadanie osnuło nas ośmą posępną nudą. Jeszcze raz napomknął o fazenderze Niemcu. Czuło się w słowach Seniuka wstyd w związku z hańbą jego syna i własną bezradnością. Różnie jeszcze pogadywali Seniuk i Kędziński, czasem Grzeszczyszyn wtrącił coś w swoim stylu, ale było nudno, a także wódka i suty posiłek odurzyły nas i rozprażyły<sup>60</sup>. Siedzieliśmy objedzeni i porozwalani przy stole, kopciliśmy tytoń.

<sup>57</sup>*fazender* (z port. *fazendeiro*) — właściciel dóbr ziemskich, farmer. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*interventor* — administrator rządowy. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>*benzaminy* — chodzi zapewne o podkomendnych Beniamina Branco. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>*rozprażyć* — rozgrzać. [przypis edytorski]



Zrobiło się późno, nasłuchałem się rozmaitości, jakoś to mnie otumaniło, przy tym widziałem przez uchylone drzwi posłane łóżko w pokoju obok, więc wstałem, serdecznie się pożegnałem z zaszczytnym przez los Kędzierskim i ze zwierzęcą uciechą, omal nie skowycząc z zadowolenia, wpełzłem do łóżka. Pościel pachniała miodem i wilgocią. Usypiałem w niejasnym poczuciu, że ta podróż zaczyna nabierać istotnego znaczenia, że na tle tej sennej gęstwy brazylijskiej zarysowuje się człowiek i jego sprawy.

Grzeszczeszyn jest jakiś nieswój tego ranka. Jego nijakie oczy produkują powłóczysty smutek, lękliwą powagę. Wzulem już buty, tupię nimi, żwawo się krzątam, nucę coś i pokaszuję energicznie, a on ciągle leży na wznak — kobiecy — z ręką pod głową i białym ramieniem ku górze. „Dałby pan co zapalić” — mówi obolało. Daję mu papierosa, podsuwam zapalną jemu i sobie, zaciągam się i mówię:

- Zwleczyć się pan, pogoda dzisiaj, słońce — trzeba jechać dalej!
- A on tylko: „a”, i nic więcej, ta tylko żalosna pierwsza z abecadła.
- Co pan taki mętny dzisiaj? — pytam pusto.
- A... cholera!
- Co, chory?
- A, człowiek to tak się czasem wygłupi, że już nie wiem...
- Gadaj pan z sensem! — ryknąłem.
- A...

I westchnął rozzdzierająco, po czym opuścił nogi na podłogę i siedział na łóżku kilka minut, w długich kalesonach z tasiemkami i flanelowej koszuli w błękitno-żółtą kratę. Wyglądał jak żebrak indyjski. Włosy sterczały mu jak wiecheć siana, tylko oblać naftą i podpalić. Stał wreszcie, przeciągnął się, zaraz też zrobiło się ciasno i duszno, więc wyszedłem myć się przed dom.

Tutaj w słońcu, na samym środku zajezdnego placu stały na cienkich nóżkach dwa zamartwione konie ze zwieszonymi łbami, krzątał się koło nich gibki mężczyzna, przelał pod ich brzuchami, ściągnął popręg jednemu, stęknął głęboko, drugiemu coś tam poprawił i wesoło zapytał mnie, za czym się rozglądam? Odpowiedziałem, że za studnią. Kazał mi chwilę zaczekać i obiecał przynieść wody. Chód jego był tak elastyczny, że nawet cień zdawał się kurczyć i rozciągać. Lekko przeskoczył drewniany płot i pochyłony, znikł w zaroślach. Zdawał się być uosobieniem sprytu i przemysłowości, a wyraz jego twarzy posiadał przyjemną zagadkowość.

Tymczasem na placu robiło się coraz skwarniej, a jego pustka, senne koniska i dookolne kłęby zarośli podkreślały charakter tej samotni. Stałem nieruchomo z rękami w kieszeniach spodni i poprzez bezmyślną moją zadumę przedzierało się zaciekawienie dalszą podróżą. Dziś na przykład po raz pierwszy od chwili wyjazdu z Kurytyby mieliśmy w dalszą drogę wyruszyć na koniach. Rumaki te zdawały się oczekiwać na małą tylko zachętę, aby legnąć na ziemi w błogiej drzemce. Jakies muszki bzykały mi koło uszu. Zapraгнаłem się od nich oddalić i zobaczyłem siedzącego na krawędzi ganku Grzeszczeszyna z bezradnie opuszczonymi, bosymi nogami, zdającymi się wyrażać wzruszającą beznamiętność i śmieszne oddanie. W tym słońcu i całym nieporządku garderoby, mój Grzeszczeszyn ciągle jeszcze wyglądał jak żebrak indyjski. Głowa jego była okolona wiankiem muszek. Obok stał Seniuk i z zaciętością palił, a szerokie skrzydła słomianego kapelusza ocieniały jego posępną, cygańską twarz. Przez kilka minut patrzyliśmy na siebie we trzech, jakby nas tutaj kto ustawił i polecił milczeć. To idiotyczne znieruchomienie i ciszę przerwał gibki mężczyzna, który okazał się być synem Seniuka, owym zawadiaką i *valentonem*<sup>61</sup>, tak sromotnie pohańbionym przez ludzi Beniamina Branco. Widać cały wstyd przejął na siebie tata, bo młodzian był usposobiony do świata jak najbardziej beztrosko i przyjaźnie. Właśnie przyniósł mi wiadro z wodą i miednicę. Podziękowałem mu za to miłym słowem i uśmiechem, po czym zabrałem się do mycia.

— Będzie się pan mył?

Te słowa przyleciały od Grzeszczeszyna na skrzydełkach bezsensu i nie doczekały się odpowiedzi. Wytarłem twarz i szyję, chlusnąłem brudną wodę koniom pod nogi i przechodząc koło Grzeszczeszyna, powiedziałem mu, że w wiadrze jest jeszcze woda.

— Coś pan taki zgaszony? — dodałem jeszcze.

<sup>61</sup>*valentão* (port.) — zabijaka, drab, awanturnik. [przypis edytorski]

Zeskoczył z ganku na ziemię, zadął do mnie głowę i zaskuczał<sup>62</sup>:

— A, panie! Niepotrzebnie się wczoraj piło; mnie to szkodzi.

— O jakim picu pan mówi? Przecież wczoraj robił pan to wcześniej i minimalnie, powinien pan już o tym nie myśleć.

— A, to się nazbierało; wtedy, w Iraty i w ogóle, wczoraj po tych świniach... ja się ostatnio bardzo wewnętrznie rozprężyłem i teraz muszę się zebrać w kupę, bo inaczej nigdy nie osiągnę tego, co zamierzam.

— Przestań pan bredzić, trzeba się zbierać do drogi.

Powlókł się do miednicy, mdły i rozkapryszony. Widać przechodzi jakieś swoje stany specjalne. Jakże inny jest od wczorajszego Grzeszczyszyna z okresu wieczornego, kiedy notował, junaczył, obiecał bronić pokrzywdzonych. Skomplikowany człowiek. Wszedłem do pokoju razem ze starym Seniukiem. Usiedliśmy przy stole, Seniukowa szykowała śniadanie, słychać było skwierczenie z kuchni. Przez otwarte drzwi napływały fale upalnej duchoty, mieszały się z zapachem smażonego tłuszczu i sprawiały przykrość. Ponury Seniuk stał pod ścianą i ciężko sapał, wpatrzony we mnie wyczekująco.

— Co, Radomiński pojechał? — zagadnąłem.

— A pojechał, zaraz jak pan poszedł spać.

Wszedł Grzeszczyszyn uczesany na mokro, z uszami obklejonymi pejsami swych przydługich włosów. Usiadł obok mnie, ziewnął rozdzierająco i wymamrotał:

— Rany Boskie, jakim że ja nieswój!

Ten temat się jednak nie przyjął, milczeliśmy dalej i kiedy Seniukowa przyniosła talerz pełen smażonej kielbasy oraz chleb i kawę w kubkach, zabraliśmy się do jedzenia. Wszedł syn Seniuka i stanął obok ojca. Zaczął mówić o tym, że konie będzie trudno sprowadzić z Tereziny i że musi z nami chyba pojechać, żeby konie z powrotem przyprowadzić. Porozumiał się z ojcem, którego konia jeszcze osiodłać i wreszcie wyszedł ze słowami: „Raźniej będzie we trzech jechać i drogi też panowie nie znacie”.

Rad byłem temu; mój kontakt z Grzeszczyszynem ciągle jeszcze nie był wyjaśniony i wołałem uniknąć sam na sam. Obfite śniadanie, upał i zapachy z kuchni, wszystko to sprawiło, że czułem się jak opuchnięty i z przyjemnością pomyślałem, że na koniu się nieco przetrząsnę. Seniuk, mimo moich nagabywań, nie chciał przyjąć pieniędzy za pobyt w jego domu, ani też za wynajem koni. Kiedy już bardzo nastawałem, przerwał mi stanowczo: „Niech pan da spokój, to jest po mojemu i nie ma co mówić! Znajdą się tacy, co od pana wezmą i to będzie znów po ich myśli”.

Nie należy walczyć z zasadami. Dał mi do potrzymania kilogramową rękę, uściśnięm także niezdatną kończynę Seniukowej, powiedziałem jeszcze szereg niepotrzebnych zdań w związku z ich gościnnością i „wsiadłem na koń”. Senne zwierze lekko się zachwiało, następnie ugięło podę mną. Małżonkowie stali na ganku i żegnali nas w milczeniu. Wiało od nich obojętną serdecznością.

Trzej jeźdźcy wyjechali na szeroki...<sup>63</sup> Więc jechaliśmy w słońcu, lekkim truchtem, rozmaicie siedząc na swych koniach. Syn Seniuka trzymał się niedbale, nogi zwisały mu obok wolno opuszczonych strzemion. Próbowałem anglezować, co było niewygodne w szerokim, brazylijskim siodle. Trząsałem się, ciągle coś mnie ugniatało. Natomiast Grzeszczyszyn zmuszał mnie do obserwowania go co chwila. Nawet siedzieć w siodle nie umiał przyzwycieć. Hojdał się<sup>64</sup> na prawym udzie, pogrążony w bolesnej zadumie. Co kilka minut ciężar ciała przesuwiał na lewo lub prawo. Zwiślał tak rozchybotany, żalony. Nie smutne to było i nie wesołe, raczej wyrafinowanie i uporczywie drażniące. Co jest w tym człowieku? W rozmaitych rozważaniach na temat mojej podróży niejednokrotnie zadawałem sobie to — zdawałoby się — nieistotne pytanie. Cokolwiek powiedział, zrobił gest jakiś, wszystko to nie zawsze było śmieszne, ale inne niż u zwykłych ludzi. Oto, czym zmuszał mnie do uporczywego obserwowania go. Niechlujstwo jego umysłu kojarzyło się z jego sposobem poruszania się, mimiką. Zdawałoby się, przygodny towarzysz podróży, człowiek na tyle obojętny, aby skonstatować jego dziwność i zająć się innymi sprawami. Lecz ja na punkcie Grzeszczyszyna dostałem pewnej obsesji. Niepokoił mnie sobą uporczywie, zmuszając do poszukiwania w nim materiału dla mego zmysłu obserwacyjnego.

<sup>62</sup>zaskuczyć — zaskomleć. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>na szeroki... — tak w oryginale. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>hojdać się — bujać, unosić się. [przypis edytorski]

Niewątpliwie właśnie ten zmysł obserwacyjny i moja literackość natrafiły tutaj na istną kopalnię dziwności. Nie był przeciętny, oto moja udręka. Nie zawsze jednak irytował. Był tak śmiesznej postury, mimikę miał zabawną, jego zadumy lub kaprysy, znudzenia i miny pełne wyrozumiałości malujące się na tej, w gruncie rzeczy, plugawej twarzy, wszystko to po prostu interesowało. Właśnie odwrócił się do mnie — był w takiej pozycji, że powinien według moich obliczeń, zsunąć się z siodła — i wystękał:

— Wie pan, jest mi trochę lepiej, to i dobrze... Te Seniuki panie, to zbóje, och zbóje! Wiem ja coś o nich. Pański jest trochę większy, ale mój to *marszador*<sup>65</sup>, niesie jak w kołysce... Za jakie dwie godziny będziemy w Terezynie, cholera — gorąco... tam sobie odpoczniemy u Suchodolskiego... jedźmy prędzej, hu-ha! *Filho da puta*<sup>66</sup>!

Po tym wściekłym okrzyku, pomknął dalej zwisający, diaboliczny Grzeszczeszyn.

Zboczyliśmy z drogi, jadąc teraz wąską ścieżką leśną. Ogarnął nas parny zaduch zielenizny i stężala, leśna cisza. Seniuk jechał na przedzie, ja za Grzeszczeszynem. Raptem z gęstwy wysunął się wąsaty mężczyzna z kolorowo ubraną i w kapelusiku na czubku głowy, dziewczynką. Oboje byli na koniach i wyjechali z bocznej, niewidocznej ścieżki. Seniuk pozdrowił dłonią mężczyznę i powiedział: *bom dia*. Odpowiedział na ukłon; dziewczynka też coś tam zakwiliła. Przyglądali nam się z chłodną ciekawością. Seniuk odwrócił się do Grzeszczeszyna i powiadomił go, że to jest delegat policji i że wczoraj słyszał przez ścianę, jakieś o nim mówili. To wyjaśnienie podane było z uśmiechem przypomnienia. Zaraz też wdał się w rozmowę z delegatem. Jechaliśmy teraz razem, gęsiego. Grzeszczeszyn świstał przez zęby i badawczo spoglądał w gęstwę. Delegat mówił Seniukowi, że jedzie z córką do Suchodolskiego, po zastrzyk, bo dziewczyna, zdaje się, cierpi na malarię. Jechała o metr przede mną i trochę z boku. Podobna była do obrazka z dawnych czasów. Śniada, drobna, mogła mieć dwanaście lat. Wyglądała przyjemnie w swym słomianym kapelusiku z czerwoną aksamitką na czubku głowy. Siedziała na koniu po kobiecemu.

— Może by pan porozmawiał z delegatem o Beniaminie Brance, przedwczoraj mówił pan o tym? — zagadnąłem Grzeszczeszyna.

— Rozmyśliłem się, zainterwenjuję listownie u konsula z Tereziny. A jak wrócę do Kurytyby, to osobiście pogadam z Ribasem.

— Przecież pan go nie zna, co mi pan tutaj opowiada!

— Ja nie znam Ribasa? Niech pan się nauczysz najpierw myśleć a potem mówić, nie odwrotnie. Hu-ha, prędzej, bo wlecemy się jak za pogrzebem!

Kłamstwo bym mu darował, ale ton, w jakim mi zaprzeczył, znów mnie poirytował. Czulem na policzkach wypieki ze złości. Z lękiem pomyślałem, że ja tego człowieka kiedyś zbiję na kwaśne jabłko. Niepodobna się z nim klócić, trzeba będzie sprać i patrzeć, co z tego wyniknie.

Jechaliśmy prędko i w dudnieniu kopyt końskich usłyszałem słowa Seniuka:

— Panie Grzeszczeszyn, mówiłem delegatowi, że chce pan z nim porozmawiać o Beniamin Branco, chce z panem gadać? Zwolniliśmy, delegat czekał, aż Grzeszczeszyn zbliży się do niego i zapytał:

— Czy pan jest jakimś urzędnikiem, że pana to obchodzi?

— Ja nie, ale ten pan jest dziennikarzem z Polski i będzie o tym pisał, co tu nawyprawiali ludzie Beniamina Branco.

Z kolei delegat zaczął, aż ja się do niego zbliżę.

— Pan jest dziennikarzem?! Niech pana to wszystko lepiej nie interesuje, bo Beniamin Branco spełniał polecenia z Kurytyby. Seniuk powinien być zadowolony, że go nie zabrali do więzienia. Zabił Brazylijanina. Nie trzeba się w to wtrącać, radzę panu. Wszystko się odbyło jak potrzeba!

Nieoczekiwanie musiałem coś odpowiedzieć.

— Tak, ale podobno bili dzieci i kobiety i rabowali.

— Czy pan to widział?

— Opowiadali mi o tym.

<sup>65</sup>*marszador* — koń o specjalnym kroku, łagodnie niosący jeźdźca. [przypis autorski]

<sup>66</sup>*filho da puta* (port.) — skurwysyn. [przypis edytorski]

— Proszę pana, my tutaj jedziemy sobie prywatnie i tak też się rozstańmy. Ja nie chcę od pana żądać wyjaśnień urzędowo. Jest pan cudzoziemcem i nie należy się wtrącać w sprawy, o których się nie ma pojęcia!

Delegat pognął konia i wszyscy pędziliśmy w nieprzyjemnym milczeniu. Tak się skończyła ta idiotyczna rozmowa, w której mimo woli musiałem wziąć udział. Dziewczynka wyminęła nas i po chwili razem z ojcem znikła nam z oczu. W pewnej chwili zrównałem się z Grzeszczyszynem. Zagadnął mnie troskliwie:

— Pewnie się pan odparzył, bo jak kto nieprzyzwyczajony do konia i to w takie gorąco, to może sobie bólu narobić. W Terezynie zrobię panu okłady z herwy i jutro będzie pan zdrow. Patrz pan, jaki ładny widok, Brazylia to kraj, psiakrew, tylko ludzie dranie. Ta rzeczka nazywa się Rio de Cavalhos, rzeka końska, mała rzeczka, ale ładna.

Gdzież panu znów ta rzeczka tak się nazywa! — wykrzyknął Seniuk. — To jest Rio-zinho i nic więcej, wiem chyba lepiej od pana, bom się tu urodził!

Grzeszczyszyn uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo. Nie pojąłem tego. Kiedy sobie uświadomiłem, że cała poprzednia rozmowa z delegatem i to, co sobie powiedzieli na ostatku ci dwaj, odbyło się w dżungli, z którą się zetknąłem po raz pierwszy, że głupstwo przechodziło z ust do ust ludzi jadących w podrygach, otoczonych rozbawionym kolorytem słońca zieleni, pomyślałem sobie, że spotkać się można z brednią w najbardziej nieprzewidywanych warunkach; słowem, byłem w takim nastroju, że gdyby na ścieżce ukazał się jakiś znajomy Rozenbaum z Warszawy i zagadnął mnie, czy nie widziałem Fogelnesta, wcale bym się nie zdziwił i odpowiedziawszy przecząco, pojechałbym dalej.

Kołysząc się w siodle, popadłem w leniwe rozmyślanie. Niepokój i zmienne nastroje towarzyszące mi od Kurytyby ustąpiły teraz miejsca spokojnej reakcji na wszystko, co ma nastąpić, z tym, że nie spodziewałem się nadzwyczajności. Tak to sobie umyśliłem. Doszedłem do pesymistycznego przeświadczenia, że wszystko to jest diablo nieciekawe, oprócz nieznaney mi dotychczas bliżej postaci polskiego chłopaka-kolonisty, w której na podstawie luźnych obserwacji dopatrywałem się sensu i rzetelnej prostoty. Czekałem też okazji trwalszego zetknięcia się z tymi ludźmi, aby poświęcić im maksimum uwagi. Jasno sobie uświadomiłem, że nie jestem urodzonym podróżnikiem i że ta wędrówka od chałupy do chałupy razi mnie nudną pospolitością. Uroda natury brazylijskiej raziła mnie swym przesadzonym bogactwem i rozwydrzeniem barw, jak razić może niegustownie ubrana żona właściciela dwudziestu jatek mięsnych w jakimś mieście. Brakowało tu pejzażu, który by wzruszył połączeniem drzew, łąki i rzeki, ową delikatnością i umiarem barw, nastrojów, jaka cechuje sielskie widoki europejskie. Roślinność tutejsza, upojona chamskim dobrobytem, kłębiła się w tłoczonym rozpasaniu, drzewo wrastało w drzewo, mchy, trzciny i paprocie do spółki z lianami nachalnie tłoczyły się wokół drzew, tworząc jeden wielki, skołtuniony macecznik. Słyszałem zachwyty o zachodach słońca. Dotychczas jeszcze ani razu nie widziałem solidnego widoku na ten temat. Zielska napęczniała od nadmiaru soków, prażone złośliwą gorączką z nieba, wydzielają odurzające wapory, dalekie od tego, co nazywamy balsamicznym powietrzem. Na domiar, widok ten, który by pierwszego dnia mógł się nawet spodobać, powtarzał się bezczelnie i dowodził złego smaku. Tutaj doświadczyłem, że natura może nudzić. Pozostał mi więc człowiek. Muszę sobie powiedzieć, że dotychczas w wyczerpującym znaczeniu tego określenia, nie zetknąłem się z nim jeszcze. Wszystkie te figury wydały mi się poprzetręcane psychicznie. Nie mam tu na myśli Jonczyńców lub innych w ich rodzaju. Niedwuznacznie podejrzewałem klimat o te spaczenia. Należało czekać potwierdzenia tych wniosków. Na razie byłem nowicjuszem i posuwałem się w głąb kraju bez planu właściwie i celu. Grzeszczyszyn też jeszcze nie wiedział. Na pytanie moje odpowiedział mi któregoś dnia: „Wszystko będzie wiadome w Candido do Abreu”. Wiedziałem, że to miasteczko to krańce polskich kolonii. Gdzieś w pobliżu były *tolda*<sup>67</sup> indyjskie. Na razie trzeba było cierpliwie posuwać się naprzód. Teraz jechaliśmy we trzech na kiepskich szkapach; karykatury podróżników. Popręg obsunął się do tyłu ze wzdętego brzucha mego konia, siodło starało się wypełnić spode mnie, zeskoczyłem w porę, odpiąłem popręg, tamci dwaj pojechali, zostałem sam. Zdjąłem siodło, koń łakomie ukrył łeb w gęstwie takuary, usiadłem na ziemi, poczułem się dobrze, położyłem się, ogarnęła mnie błogość nieomal. Przy zbliżeniu ucha do ziemi

<sup>67</sup>*tolda* (z port.) — wieś indiańska. [przypis edytorski]

dało się słyszeć utajone życie pośród roślin, ciche trzaski, szmery. Koń rytmicznie mełł zuchwami, pobrzękiwał wędzidłem, szło od niego potem. Byłem w nastroju szybkiego nawiązywania kontaktu z przyrodą brazylijską, być może nawet trwałego i pozytywnego pod wpływem błogostanu, kiedy nagle na ścieżce wyłonił się Grzeszczeszyn na koniu, wykrzykując na mój widok:

— Przytrafiło się panu co? Dlaczegoś pan został w tyle, jestem zaniepokojony!... Rany Boskie! Rany Boskie! Co pan robisz, wstań pan w tej chwili! Leżysz pan w Brazylii, w *selwie*<sup>68</sup>, jak na otomanie w hotelu! Wstań pan natychmiast!... *Jararaca*<sup>69</sup>, *jararaca* może pana!...

Podniosłem się przerażony, szukając wzrokiem tego jadowitego gada, ale na wygniecionym miejscu i w pobliżu nie zauważyłem niczego niepokojącego.

— Gdzie *jararaca*, gdzieś pan ją widzisz, u pioruna!?

— Jeszcze nie ma, ale przecież w Brazylii roi się od tych żmij! Jak pan możesz być tak lekkomyślny, ukąsiłaby pana i pewna śmierć!

Zsiadł z konia i począł badawczo patrzeć w trawę. Siodlając konia, powiedziałem:

— Napędził mi pan tylko niepotrzebnie strachu, myślałem, że już ją mam gdzieś za pazuchą.

— Ale mogła być, niech pan się nigdy nie kładzie na gołej ziemi, nigdy!

Szybko opuściliśmy to miejsce, gdzie po raz pierwszy — wnioskując ze słów Grzeszczeszyna — zetknąłem się z utajoną grozą dżungli. Więc już nigdy, jak długo tutaj będę, nie będzie mi danym marzyć, leżąc? Na drzewo też nie będę wlaził, by nie spotkać się z pumą. Ktoś mi opowiadał dość sugestywnie, że często z gałęzi drzew zwisają żmije, czekając na ofiarę. Wyobraziłem sobie te żmije zwisające w kędziorach i jeśli ja, jadąc konno, trafię głową w takie kędziory, to już po mnie. Nie mogę więc leżeć, jeździć konno, i przesiadywać na drzewach. Życie stało się nagle wściekle trudne. Grzeszczeszyn zdawał się myśleć ze mną jednakowo, bo nagle odezwał się:

— Tak panie, to nie hihi, tutaj trzeba uważać, a jeszcze choroby, a jeszcze pijany kaboklo! Wracaj pan lepiej do Warszawy, na pół czarnej!

Zaśmiał się rubasznie i zaraz po tym jego śmiechu ukazała się w dole rzeka, a nad rzeką młody Seniuk poił konia. Na przeciwległym brzegu tkwiły w słonecznej ospałości drewniane budynki. Cała miejscina wyglądała nędznie i odpychająco.

— Dlaczegoś pan został? — zapytał mnie Seniuk, kiedyśmy przejeżdżali w bród rzekę.

Powiedziałem o popręgu, z niechęcią myśląc jednocześnie o tej groteskowej solidarności, jakbyśmy przejeżdżali przez najszerszą puszcę, pełną dzikich ludzi i zwierząt. Naprzeciw nam posuwała się trzoda świń, z dwoma chłopakami w podkasanych portkach. „Cie, gdzie leziesz, kurwo jedna!” — krzyczał jeden rodzimym językiem. „A gdzie, ryju cholerny, a gdzie!” — wrzeszczał drugi. Na rzece — słowem — panowało ożywienie, między palmami, pod obcym słońcem, słychać było tęgą polszczyznę. Wylądowaliśmy na zakurzonym wybrzeżu i jechaliśmy pod górę, w miasto. Między chałupami przebiegł pies z podtulonym ogonem i wywieszonym językiem, kudłata dziewczyna rozwieszała bieliznę na sznurze, zza węgła wybiegło drobnym kroczeniem dwóch ludzi, z drągami na ramionach, z przymocowanym do drąga niby zabity jeleni, mężczyzną w portkach i koszuli, bosym i bez kapelusza, ze zwisającą głową i wielką, napiętą grdyką. Minęli nas i znikli na zakręcie, kiedy raptem ocknąłem się i zawołałem do Grzeszczeszyna:

— Panie, panie, co to, co to takiego?

— A bo ja wiem, nieżywy, czy co do cholery! Trzeba będzie zapytać się Suchodolskiego!

W głowie mi huczało od tego widoku i od gorąca. Podjechaliśmy do obszernego, parterowego domu z szyldem: „Suchodolski Srokon”. Przez dwa narożne wejścia widać było mroczne wnętrza wendy, na progach stało kilku mężczyzn, bosych, palących *pajowce*<sup>70</sup>. Przywiązane do słupów, stały cztery konie i dwa muły z *kalgiarami*<sup>71</sup>. Kabokle patrzyli na nas obojętnym, leniwym wzrokiem i przepuścili, nie przerywając gawędy, kiedyśmy wchodzili z Grzeszczeszynem do wendy. Seniuk został, aby przywiązać konie.

<sup>68</sup>*selwa* — dżungla. [przypis autorski]

<sup>69</sup>*jararaca* — żararaka: gatunek jadowitego węża. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>*pajowce* — papierosy skręcane w liściach z kukurydzy. [przypis autorski]

<sup>71</sup>*kalgiery* — juki. [przypis edytorski]

Weszliśmy do chłodnego i wielkiego sklepu z ową charakterystyczną mieszaniną zapachów, gdzie pod ścianami stały worki i blaszanki, na drągu biegnącym ponad ladą zwisały nowe, barwne siodła, farbowane pelegi futrzane, wszelki sprzęt konny, za ladą uwijało się kilku subiektów, na tle półek z różnokolorowymi perkalikami, materiałami na ubrania, obuwiem. Wenda zawalona była wszelką prowincjonalną tandetą, tutaj ściągali ludzie z okolicy, aby zaopatrzyć się w niezbędne sprzęty, tutaj załatwiano się najrozmaitsze handlowe interesy, intrygi, ścierały się ambicje, szef firmy był jak każdy większy wendziarz w swej okolicy, kacykiem, sędzią, nieomal dyktatorem, nazwanym przez kabbokli *manda chuwa*, czyli czarodziejem mogącym sprowadzić deszcz. O Suchodolskim słyszałem wiele w Kurytybie. Był on tutaj agentem banku, kierownikiem poczty, aptekarzem i korespondentem pism. Burżuazyjny radykał, zwolennik kościoła narodowego, bogaty i przedsiębiorczy wendziarz, Suchodolski miał opinię solidnego kupca z dużymi ambicjami. Wyemigrował z Polski do Brazylii kilkadziesiąt lat temu, tutaj się dorobił, rozpoczynając w swoim fachu. Był aptekarzem. Grzeszczeszyn przedstawił mnie jemu, kiedy stał pochylony nad ladą i coś obliczał. Był rostry, o wielkiej głowie ze śladami ospy na twarzy, miał jakieś czterdzieści parę lat. Moje nazwisko, granatowa koszula z plecionej wełny, bryczesy; wspaniałe, żółte buty, wszystko to nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Nigdy o mnie nie słyszał, specjalność moja ogłoszona przez Grzeszczeszyna obudziła w nim nieufne spojrzenie. Zaprowadził nas schodkami w dół, poprzez aptekę, do pokoju umeblowanego przyzwoicie, ale bez gustu. Tutaj zaczął się jeden ze znanych już popisów społecznych Grzeszczeszyna. Suchodolski słuchał go siedząc wygodnie w fotelu i co pewien czas mówił: „Tak, to wiem” — „Znam go”. — „A, o tym już słyszałem!”

Chłopak przyniósł imbryk z gorącą wodą i kuję z *herwa*<sup>72</sup>, Suchodolski popił szimaronu, dolał wody i podał mi ze słowami: „Nie wiem, jak pan tam — pija to nasze picie?” — Wziąłem kuję z ochotą, rad, że się czymś zajmę. Dziwnie nie lubiłem tych społecznych rozmów, były one nieważne, a cała sprawa, o którą walczyli ci operetkowi politycy, była nędzna, powodowana niską ambicją wzbogaconego wendziarza i spekulanta. Zresztą atmosfera tych rozmów była niepoważna, ubożuchna w sens, a zwłaszcza tego dnia, w połączeniu ze skwarem, z nieprzyjemną drewnianą oschłością tego miasta, sprawiała wrażenie kołowej przymusowej bzdury. Przez wzorki firanki zwisającej u okna, widziało się gołębia, czarną świnię i psa, jak zgodnie wylegiwali się w gorącym pyle. Bez gołębi byłoby przykro na to patrzeć. Już z góry domyślałem się zarzutów ogorzałych pionierów kolonizacyjnych, strzelających tygrysy jak kaczki, kochających trud i ciężką pracę: „Pana wszystko nuży i nudzi, nie widzi pan rzeczy pozytywnych”.

Nie, ja tylko stwierdzam rzeczywistość brazylijską, która jest parszywa i wściekle nudna jak dotąd. Dla mnie, dla człowieka, który stwierdza, jak jest. Taki Suchodolski, być może, jest typem dodatnim, ale jego wyniosły sposób bycia jest mi wstrętny. Przecież wegetuje w paskudnej dziurze i stwierdza tym swój nieciekawy stosunek do życia. Niewątpliwie jest to kraj dla ludzi łatwych, bez wymagań.

W tej chwili czułem się na tej wizycie jak człowiek, który nie wie czego chce. Suchodolski zdawał się wyczekiwać z naszej strony jakiejś prośby, żądań. Zachowywał też pewien dystans, aby móc odmówić. Toteż czułem się dość fałszywie, bo przecież mogłem go nigdy w życiu nie widzieć. Miał na sobie białą marynarkę, szare spodnie i solidne półbuciki na grubych podszewkach. Czyściutki, pachnący złą wodą kolońską, na przegubie dłoni zwisała mu złota bransoletka z dwoma wisiorkami: małpką z kości słoniowej i słoniem ze złota. Na palcu miał sygnet z herbem i obrączką. Zachowywał się, jakby nam dawał posłuchanie, audiencję. Z apteki pachniały lekarstwa. Wbiegł kudłaty pies, obwąchał nas i usiadł u nóg pana. Grzeszczeszyn właśnie kończył swoje wywody na temat nowego konsula w Kurytybie. „Jest zdaje się chłop z charakterem, tylko nie zna jeszcze stosunków, i nie wiadomo jaką drogą pójdzie”. Suchodolski nic na to nie odpowiedział, tylko po chwili zwrócił się do mnie z mętnym pytaniem, jak mi się podoba Brazylia? Odpowiedziałem, że dotychczas mi się bardzo nie podoba, ale może w dalszej podróży trochę się poprawi. Na to on: „Tak, to nie jest kraj dla artystów — publiczność nie-

<sup>72</sup>*herwa a. herba mate, yerba mate* — popularny napój z suszonych i zmielonych liści ostrokrzewu paragwajskiego. [przypis edytorski]

wdzięczna, nieuczona”. Nic na to już nie odpowiedziałem. Jaka publiczność? Przecież nie jestem śpiewakiem estradowym!

Napełnił kuję, psa poczochnął butem.

— No, a teraz dokąd panowie zmierzają?

— Pobędziemy tu kilka dni i dalej, do Candido do Abreu — odpowiedział Grzeszczyszyn. — Wybieramy się drogą przez lasy, na północ, do Londryny.

— A, to ciekawa podróż. Ale, skoro panowie tu trochę zostaną, to proszę zejść do mnie na szimaron. Radzę wam zamieszkać u Smyków, tam dość czysto i niedrogo. W hotelu drogo, i te dziewczyny — Gomora; wprost fantastyczne, co się tam wyprawia!

Podniosłem się z krzesła, pies warknął.

— Proszę pana, tu na drągu ponieśli jakiegoś człowieka, co to takiego? — zwróciłem się do Suchodolskiego.

— Aa, to pewnie ten kaboklo... widział to pan? Mówilem, psiakość; żeby w nocy!... Umarł, nędzarz — na *maleitę*<sup>73</sup>, tylko niech pan nie przypuszcza, że tutaj tak wszystkie pogrzeby się odbywają! To wyjątkowa sprawa, za późno mi dali znać o śmierci, ciało się zaczęło psuć, ale też... że nie chciało się dzikusom ponieść go na jakiej desce. Sami sobie winni, nie przychodzą do mnie po zastrzyki.

Był poruszony trochę tą nowiną, pożegnał mnie niespodziewanie uprzejmie, prosił, żeby koniecznie zejść.

W wendzie oczekiwał nas Seniuk, jedząc bułkę. Poprosiliśmy go, aby zaczekał, przemocowaliśmy nasze worki do jednego konia, rozpytaliśmy się o drogę do Smyków, i ruszyliśmy, Grzeszczyszyn prowadził konia za uzdę. Szliśmy na przełaj, zaśmieconym płacykiem pełnym kóz. Uprzytomniłem sobie, że na pewno wyglądamy jak na komicznym obrazku lub ilustracji do nienapisanej książki. Tu i jeszcze tam, kiedy odjeżdżaliśmy z wendy starego Seniuka. Nad głowami ukazało się słońce z otokiem, niby sadzone jajo. Chałupy były przeważnie drewniane, kryte ceglaną dachówką, często bez szyb, z drewnianymi okiennicami; przewiewne. Kiedy dotarliśmy do zagrody Smyków, podniosło się z progu kuchni dwoje staruszków, przydreptali do nas żywo, posłuchali, że to z polecenia Suchodolskiego, i zaprowadzili przez kuchnię, do izby. Zdjęliśmy worki z konia; Grzeszczyszyn poszedł odprowadzić go młodemu Seniukowi. Wyjąłem z worka toaletowe drobiazgi i umieściłem je we wskazanym przez Smykową pokoiku. Powiadomiła mnie zachęcająco, że w tym pokoju zatrzymuje się stale ksiądz Kiełta, ilekroć jest w przejeździe. Umylem się, poleżałem trochę na łóżku i zaproszony przez Smyka, poszedłem do kuchni na szimaron. Pachniało tu spalenizną, koło otworu w suficie lśniły się czernią spękane belki. Podano mi maleńką kuję pogniłą na brzegach, z blaszaną rurką. Pod ścianą, pochylona nad ławą, zawałoną kawałami świńskiego mięsa, stała Smykowa i polcie słoniny zaprawiała solą. Nad ogniem wisiał duży gar, gotowały się w nim świńskie nogi. Niezle siedziało się z tymi starymi ludźmi. Kilka minut trwało milczenie, w końcu zagadnąłem:

— Jakie tu życie? Spokojne pewnie?

— A, nam starym... to co tam narzekać — odpowiedziała Smykowa. — Oby świat, ale my przywykli.

O czym tu z nimi gadać? Znow żęśmy sobie pomilczeli. Miny mają życzliwe, wiadać małowmni. Na progu turlają się dwa szczeniata: pies i kot. Piesek ma załzawione i zdziwione oczka, gładki, brązowy, gryzie puszysty łepiek kotka i warczy z uporem. Przyszła duża kotka, prychnęła, piesek potoczył mi się pod nogi, skomlać. Kotek wpęłzył pod matkę, poczał ją ssać łakomie. Próbuję nawiązać rozmowę ze Smykiem, ale pytania moje brzmią sztucznie. Czy mają jakich krewnych w Polsce?

— A, są — odpowiada Smykowa. — Są, ale co napiszą, to o pomoc proszą. Myślą: amerykany, bogate... a tu taka i Ameryka, nieprawdziwa. Mil nie dolar, idzie go ponoć trzy na złotego.

— A nie chce im się do was przyjechać?

— Jakże panie, toć przecie koszt, tyli świata... a kolej, a statek... Niech lepiej siedzą na tym gruncie, jaki tam mają.

— Tak, panie — wtrąca Smyk — pracowali my całe życie, teraz na stare lata mamy chałupę i co do gęby włożyć, ale żeby tak pomagać, to nie możemy. Co mamy, to dla

<sup>73</sup>*maleita* — pospolita nazwa malarii. [przypis autorski]

nas wystarcza, a więcej nie chcemy... Nie chłopska rzecz się bogacić, a i to na obczyźnie, jak jakie zesłance żyjemy. Wiadomo, kraj niebogaty w ziemie, ludzi musi się pozbywać, pretensji nie mamy, a to przyjemnie nam słuchać, że rząd teraz w Polsce jest mocny, własne wojsko i obce wyrzucone.

Znów się urwało.

Wszedł Grzeszczeszyn, pokracznie przestąpił koty na progu, zdjął kapelusz, przysiadł, łapczywie pochwyił kuję z rąk Smyka. Otulając dłońmi kuję, ssał, sapiąc. Mruczał:

— Znów się natknąłem na bagno w Terezynie: Janicki żre się ze Stachurskim, a Suchodolski chce obu za mordę trzymać! Będę musiał zaprowadzić tu porządek... co za ludzie! Suchodolski nie chce ze mną gadać, widać boi się silnej ręki!...

Człowiek czynu był rozeźlony, nie podał kui dalej, tylko sam sobie nalał wody i pił w gniewie. Smykowa przysmażyła mięsa na patelni, podała do stołu razem z kapustą i kartofłami. Jadłem w spokoju, daleki od złych myśli. Piłem kawę z blaszanego kubka, paliłem i przyglądałem się Grzeszczeszynowi. Był spocony, kostropaty na twarzy, fakonem czyścił sobie paznokcie.

Po południu przeszła nad Tereziną burza, kozy beczwały, zrobiło się ospale z przymusowego lenistwa. Leżałem na łóżku, ubrany, w butach. W krzakach za oknem opadały krople z liścia na liść, zmoknięte kury poruszały się niemrawo. Przez uchylone drzwi widziałem pogrążonego w notatkach Grzeszczeszyna. Co robić u licha — nuda, spać się chyba?! Ale z kim? Grzeszczeszynowi alkohol nie służy. Leżę bezmyślnie wpatrzony w sufit. Wcale nie jest znów tam tak nieciekawie; jakieś ornamentacje, gęby, okręt, zwierzaki, a wszystko z niczego: wapno na deskach, trochę włosia z pędzla. Oto życie moje szalone, wymarzone podróże po zamorskich krajach! Przygoda! Chwytam się na wewnętrznym dialogu: Po co masz się spijać, nie myśl o głupstwach, nie leń się, po coś tu przyjechał? Obserwuj, patrz, poznaj myśli tych ludzi, może warto. — Jakich ludzi, jakie myśli? Wiem już co powiedzą: „A, żyje się jakoś panie”. Albo: „Książd ten wyzyskuje, ogłupia naród”. — A nie możesz to rozejrzeć się w naturze? Egzotyzm przecież, obce, ciekawe!

Zrywam się z łóżka i wychodzę przed dom. Już po deszczu, pojaśniało. Senny muł czochra mordę o pniak. Nad przysadzistymi domostwami snują się dymy, pachnie spalone drzewo, ścieżka biegnie kręto poprzez wyleniałą trawę, błyszczą kałuże, czerwonawo, lśniące liście palmy wychylają się zza chałupy, cicho i pusto jakoś. Idę ścieżką, bez celu. W oddali, na prawo cztery litery T — cztery piniory; na lewo — olbrzymi, leśny pagór. Na to wszystko splywa barwiczka z nieba. Brudny szkarłat. Pogrążony w nieciekawych rozmyśleniach, mętny spacerowicz po mokrych wertepach, podszedłem mimo woli pod wendę „Suchodolski Srokoń”. Zatrzymałem się przy słupku, namyślając się czy wejść do środka, kiedy podszedł do mnie niezmiernie otyły chłopiec lat może dwunastu, z procą w rękę. Starał się ze mną nawiązać znajomość bez żadnych wstępów:

— Ten supeł od sznurka ciągle mi się zsuwa z gumy, co tu poradzić?

— Nie wiem, może ci kto inny poradzi.

— Ale niech pan wpierw obejrzy... przeciera się... lichu!

Obejrzałem procę i oddałem mu ze słowami:

— Tu trzeba... nową gumę, ta jest jakaś marna.

Zasepił się:

— Ba, a skąd wzięć nowej?

Wzruszyłem ramionami. Stał na swych grubych nogach w iks, gołe kolana miał podrapane i zablocone, beret sterczał mu na czubku głowy, a całość ważyła ze sześćdziesiąt kilo.

— Jak ty się nazywasz? Czegós taki gruby?

— Nazywam się Srokoń. Gruby? Taki już jestem... No, z tej procy od bidy można jeszcze postrzelać. O, w tego gołębia!

Napuszony gołąb spacerował po dachu i nie zwracał uwagi na przelatujące kamienie. Podniosłem kamień i cisnąłem gołą ręką w stronę ptaka. Gołąb spadł, chłopak przysiadł ze zdumienia, a ja stężałem. Też traf, rzeczywiście! Mógłbym konać z głodu w puszczy i coś podobnego by mi się nie zdarzyło. Z wendy wyjrzało dwóch kabokli i patrzyli na mnie z otwartymi gębami. Młody Srokoń ochłonął i przyniósł gołębia za skrzydło. Weszliśmy obaj do wendy, kabokle rozstąpili się z szacunkiem. Zza lady wyszedł tęgi mężczyzna



o nalanej, nieruchomej twarzy i pytająco patrzył na nas. Chłopak wyczuł coś niedobrego, bo rzucił gołębia i zaskrzeczał:

— To nie ja... to ten pan!

Mężczyzna powiedział z trudem i powoli:

— Co to pan wyprawia, to rasowy gołąb, po co to było?

Poczułem się idiotycznie, kilku ludzi spoglądało na mnie, za ladą sterczał Suchodolski i też się patrzył.

— Wie pan, to przypadek... Mogę zapłacić, cisnąłem kamieniem na chybił trafił!

Zapanowało milczenie. Podszedł Suchodolski, poruszył nogą gołębia i powiedział:

— Trzeba go zabrać do kuchni. Nudzi się pan czy co? Trudno... A ty z tą procą wynos mi się, jeszcze komu oko wybijesz!

— Ile taki gołąb wart, ja chcę zapłacić — zagadnąłem niepewnie.

— Niech pan już zostawi, szkoda mówić — odpowiedział Suchodolski.

Wybąkałem coś, przepraszając i, nie zatrzymywany, wymknąłem się z wendy. Szedłem w fatalnym nastroju, jakiś speszony tym bzdurnym zdarzeniem, ośmieszony. Zrobiło się ciemno, wokół nikogo, droga do chałupy Smyków stała się dla mnie tajemnicą. Do wendy nie wrócę, spaliłbym się ze wstydu. Co im na tym gołębiu znów tak zależało? Dziwne! Tłukłem się w ciemnościach po oślizgłym gruncie, otoczony poruszającymi się bryłami. Coś tu jest niepokojącego. Przeklęty los, same idiotyczne przypadki. Nagle musiałem przystanąć przed czymś, co mówiło:

— A ty szelmo... zimno ci tu, paś się paś... a ty kosmatku... ty, ty, ty!...

— Kto tu jest?! — wrzasnąłem.

Spod nóg równocześnie: coś się wyrwało, beknęło i dało susa w czern. Jednocześnie wydłużyła się ludzka sylwetka.

— A to pan, panie... co pan tu robi?

No tak, to był Grzeszczyszyn, stał przy mnie, mówił:

— Wyszedłem pana szukać, bo tam z kolacją czekają, a po drodze spotkałem kozę, a ja lubię, panie, zwierzęta domowe i nie mogę wprost przejść, żeby się trochę nie podroczyć. Chodź pan do chałupy, za mną, bo mi pan jeszcze wpadnie w jaką dziurę.

Poszliśmy. W głowie tłukły mi się jakieś nieopanowane wnioski; dziwactwa, swoją drogą! Powiedziałem Grzeszczyszynowi o tym gołębiu.

— A, toś pan celny... no nic, oni tak — wie pan, aby coś pogadać, ja to załatwię. To Srokoń z panem mówił. On jest trochę sparaliżowany na mózgu, opieszały taki... Dopiero kilkanaście sekund minie, zanim uświadomi sobie co pan do niego mówi, jakoś to się nazywa w medycynie... A było to tak: miał on wendę w Palmitalu i tam w nocy przyszli do niego kabole, żeby wziąć na kredyt, nie chciał im dać, na to oni obili go w straszny sposób, potem powiesili za nogi — uważaj pan, bo tu jakaś woda... o, cholera!... Więc całą noc wisiał, dopiero go nad ranem zdjęli i teraz taki kaleka, ale to porządny chłop... tylko syna — ten chłopak, to był jego syn — ma trochę chorego... to chyba ze złej przemiany materii. O, już, to światło, to u Smyków... Chłopak waży ze cztery pudy... My z tym gołębiem jutro załatwimy, może się pośmiać z pana chcieli, tutaj często trafiają się hyziowaci ludzie... Chodźmy, bo tam się już nazbierało kupa chłopa, zobaczysz mnie pan przy robocie!

W pokoju, gdzieśmy w południe jedli obiad, siedzieli w żółtej poświacie naftowej lampy z sześciu mężczyzn; paru na ławie, dwóch przy stole, jeden stał z czapką w ręku. Siedzieli w dymie, po chłopsku, niewygodnie i ciężko. Wcisnęliśmy się między nich pomacawszy zgrubiałe i szorstkie łapy, Smykowa podstawiła nam talerze z jadem, jedliśmy tylko we dwóch w tej nieomal ciżbie, w dusznym pogwarze chłopskich rozmów. Opowiadali sobie najrozmaitsze przypadki, czasem zarechotali. Najwięcej mówił chudy, szerniały na twarzy człowieczek o błyszczących oczach, zapadłych piersiach, pokaszający w swym brązowym, miejskim ubranku; w ważniejszych momentach wstawał z krzesła z palcami w kieszonkach kamizelki, i wtedy spod wklęsłych piersi uwydlatniał się maleńki, zabawny jak u tak chudego człowieka — brzusek. Mówił po wicowemu, „dokumentnie perswadując”. Grzeszczyszyn z gębą pełną kapusty, wpluł mi do ucha razem z jadem informację, że to jest kierownik okręgu „Junaka” — Janicki. Spod ściany spoglądał na mnie opasły, czerwony na gębie syn Smyków, rzeźnik, jak mi wyjaśnił łakomy Grzeszczyszyn. Całe to zebranie nosiło charakter wymiany myśli z nami, lekko konspiracyjnego

spotkania. Odsunęliśmy puste talerze, zapaliliśmy popijając kawę, wsłuchani w gawędy. Z wesołych rozmów zaczął się wyłaniać poważny temat dotyczący księdza Kiełty. Janicki mówił:

— A co to mi za świętobliwy duchowny, który niczym żandarm jaki jeździ na koniu od kościoła do kościoła, od kaplicy do kaplicy, i odprawia te msze na patatajkę, po dziesięć na niedzielę, rewolwer nosi pod kiecką, gdzie może podburzy, ludzi traktuje jak stado baranów, też diabeł wie skąd takiego władcę nam naniesło! I to oplacaj mu się jak jakiemu dziedzicowi, bo inaczej piekłem grozi jak za jakich średniowiecznych czasów. Kiedyś tu się spotkali z Kubistym w stowarzyszeniu. Kiełta patrzy na ścianę, gdzie wisi portret Prezydenta i, dalej go — powiada — zdjęć ten portret, tu te rządy nas nie dochodzą, tu Brazylia, a nie Polska! Tak Kubisty już się do bicia zabierał, tylko Kiełtę baby kieckami zasłoniły, bo by go tam, tego całego duchownego, Kubisty obił jak się patrzy. Żeby to siedział na plebanii, co tam babom potrzeba z kazalnicy w niedzielę powiedział, nabożeństwa odprawiał, a nie wtrącał się w sprawy społeczne, nie jątrzył ludzi! Junacy — powiada — to sami masoni, w Boga nie wierzą i pod przykrywką sportu komunizm odprawiają. A przecież sami wiecie, co ten „Junak” znaczy dla naszej młodzieży! Młodzież naszego wychodźstwa organizuje się, uczy się obok tężyzny fizycznej myśleć po polsku, nie traci kontaktu z Macierzą. I oto tego się te klechy tutaj dociepią, że chłop polski przyjdzie po rozum do głowy i wygna tych darmozjadów na zbity łeb...

Janicki przysiadł ze zmęczenia, zakasłał się i obtarł czoło chustką.

Siedziałem zahukany tym potokiem słów i chociaż czułem, że ten człowiek mówi jakąś prawdę, w gruncie rzeczy nic mnie to wszystko nie obchodziło. Nieważne sprawy nieważnych ludzi. Grzeszczeszyn przycupnął w kącie z neutralnym uśmiechem na swej charakterystycznej twarzy. I oto wybrałem się w podróż, w przygodę... Po chwili milczenia charknął syn Smyków, objechał łapą po obfitej gębie i zaczął:

— Tutaj oni chcą to chłopstwo za łeb wodzić, bo w kraju już u tego chłopstwa żadnego posłuchu nie mają. Tak się tu i zjechali. A poczynają sobie z nami jak z jakim bydłem, jakbyśmy oczy w portkach mieli. Już z niczym się nie liczą! Taki Weiss, werbista<sup>74</sup>, ze szwabów, psia jego mać!... Kawalerzysta — łapie konia i pędzi galopem trzydzieści kilometrów, koń mu pada przed kościołem, a on do chłopów powiada: „O, widzicie! bydlę padło a ja na czas zdążył służbę bożą odprawiać”. I śmieje się, i wchodzi do kościoła jak do jakiego biura. A tu wiadomo, koń czy inne bydło to dla chłopów jakby członek rodziny, to żywiciel, i jak z tym niewinnym bydlęciem taki miłosierny duchowny postępuje. Ale to jeszcze nic! Po mszy każe sobie przynieść puszek z datkami i pieniądze na oczach wszystkich, na ołtarzu liczy, jak jaki kabokło w wendzie. Tak, jakby tego nikt nie widział! A to przecież i wstyd człowiekowi, że go za takiego ciemnego uważa!

Znów przycichli. Argumentacja, rzeczywiście — sugestywna. Właśnie Grzeszczeszyn rzucił niepewnie: „Ksiądz też jeść musi”... kiedy do pokoju wszedł boczkim młody chłopak, blondyn z loczkim na czole i ludzie zaraz umilkli. Młodzieniec szarmancko mi się uklonił, mocno uściśnął rękę, rozsiadł się swobodnie i powiedział wesoło:

— Te ateusze, to pewnie panu tutaj życie zatruwają swymi bajdami! Oni myślą, że tutejszy ksiądz, to to samo co w Polsce, gdzie jest porządek i jakaś wiara. Tutaj ksiądz jest jak żołnierz na posterunku, musi być twardy, surowy i bezwzględny. W takiej spiekocie objechać konno kolonię, kilka mszy odprawić, a często ledwo wróci do domu, znów go do chorego wołają na jakie czterdzieści kilometrów. To jest twarda służba misjonarska, pełna poświęcenia, nie jakiejś tam kariery. Co oni tu wygadują na Kiełtę? Że chce założyć kooperatywę w Hervalzinho! Przecież on sobie tego nie zakłada, tylko żeby usunąć wyzysk wendziarzy. Dalibyście lepiej spokój, drodzy ludzie!

Grzeszczeszyn wygodniej usadowił się i powiedział:

— To święta prawda, co pan nauczyciel Stachurski mówi. Ksiądz jest potrzebny prostym umysłom, bo by sobie rady już choćby w moralności nie dali!

Janicki podniósł się czerwony na twarzy:

<sup>74</sup>werbista — duchowny z zakonu misyjnego, założonego przez niemieckiego duchownego Arnolda Janssena. [przypis edytorski]

— Co wy tu gadacie, myśmy nie to ciemne chłopstwo z Polski, my sobie własną moralność ustanowimy! Jak tu w początkach chłop gnił z nędzy i robactwa, jak karczował te lasy wiekowe, to wtedy tu księży nie było, przyszli dopiero na gotowe!

— Oj, to prawda! — powiedział z kąta stary Smyk.

Rzeźnik znów się poprawił w sobie, charknął i rzekł:

— Pan Stachurski to szpieg Suchodolskiego; oni się kochają i obaj chcą nam dać rady!

To zdanie zamąciło bieg moich myśli do tego stopnia, że wtrąciłem:

— Jak to, pan Stachurski twierdzi, że Kiełta po to założył kooperatywę, żeby uchronić ludzi od wyzysku wendziarzy, a pan mówi, że to szpieg Suchodolskiego? Nie rozumiem! Przecież pan Suchodolski ma wendę!

— A no właśnie — wyszeptał Grzeszczeszyn — właśnie. To jest właśnie taka kombinacja, że tam Kiełta już do spółki z Suchodolskim coś politykuje!

— A ja panu powiadam — wrzasnął Stachurski w moją stronę — że pan tutaj dostał się w grono ludzi, którzy nie mają nic do stracenia, umieją tylko mącić wodę i chcą, aby pan stąd wyjechał z informacjami, które im będą na rękę!

Odetchnąłem, ale nie z ulgą. Oni mnie tu biorą za kogoś oficjalnego. Pomyślałem, jakby im to wyjaśnić, ale zaraz ogarnęła mnie mdła nuda i takie poczucie idiotyzmu sytuacji, że zwiesiłem głowę i dopiero wtedy ją uniosłem, kiedy Janicki ze Smykiem zabierali się wyrzucać wzburzonego nauczyciela. Ten jednak sam się wymknął z pokoju, zlorzczając z przejściem godnym dramatu, a nie tej chamskiej kłótni.

Rozeźleni chłopci skrećali pajowce, z okna wiał podmuch parnej nocy, w krzakach zaskrzeczał kogut jakby dławiony. Janicki przysiadł i powiedział do mnie:

— Widział pan te nasze sprawy?

Kiwnąłem głową obojętnie. Jeszcze trochę pogadali i poczęli się rozchodzić opieszale, z niewyraźnymi minami. Janicki podał mi rękę i powiedział na odchodnym:

— A niech no pan do mnie zajdzie jutro, wyjaśnię panu jeszcze wiele rzeczy.

Coś mu tam bąknąłem, wstałem i poszedłem do swego pokoju. Zapaliłem świecę, wziąłem z okna grubą książkę do nabożeństwa, prawdopodobnie lekturę bohatera dzisiejszego wieczoru, księdza Kiełty i począłem przeglądać, co tam napisano. To pewne, że układał te wiersze zły poeta. W litanii do Matki Boskiej nazywają tę niewiastę „wieżą z kości słoniowej”. Bardzo zła i materialistyczna metafora. Gdzie indziej były zdania: „Wino kosztowne, czystość panieńską ochraniając”. Co to jest?! Albo: „Manno niebieska zakryta! Podróżne zasilenie w Panu umierających!... Jezu przez Twe w niewinnym wieku obrzezanie, racz w sercu moim zgładzić światowe kochanie!” I jeszcze: „Naczynie poważne, Naczynie dziwnego nabożeństwa!!!” Co też tu powypisywali! I to jeszcze w tym wszystkim tyle złota, kości słoniowej, bogactw wszelkich! Ta zachłanność! Chyba ci chłopci mają rację. Oto los, trudno się zdecydować. Wierzyć, nie wierzyć — w co wierzyć? Położyłem książkę na dawnym miejscu, nie moja rzecz ją recenzować.

Wyszedłem przed dom, który podlewał Grzeszczeszyn wzdychając jak utrapieniec. Otaczała nas gęsta czerń. Pies skomlał w przybudówce, Grzeszczeszyn wyszeptał, sapiąc:

— Chyba burza spadnie tej nocy i drogę nam zmoczy, ale to nic, bo pewnie dalej konno pojedziemy, tylko skąd tu wziąć konie?

— Kupić trzeba będzie, nie można ciągle pożyczać!

— Ano zobaczymy, może Suchodolski nam sprzeda... Widział pan, jacy tu zbuntowani ludzie? Ile tu chwastu ludzkiego narosło? Ale nic, jedziem dalej... masz pan ognia?

— Mam — odpowiedziałem cicho.

— Przydałaby się jaka dziewczuszka — szepnął mi prawie na ucho.

— Ach, co pan opowiada, tu w tej dziurze?

— Właśnie; tutaj w hotelu są, ale jedna z nich to kochanka Beniamina Branco, lepiej nie zaczynać. Pozostają kozy.

— Cóż, pan zdaje się dzisiaj uciął sobie romansik z jedną...

— Właśnie, a pan myśli, że nie ma takich, co lubią kozy? Pfiu, panie!

Zorientowałem się, że wystawanie w nocy przed chałupą — i to w takiej ciemni — oraz prowadzenie podobnych rozmów świadczy o moim rozprężeniu duchowym.

— Chodźmy spać, gadamy głupstwa — szepnąłem.

— Ano, chodźmy panie, burza będzie jak cholera, o, łyska się nad Suchodolskim.

Rozstaliśmy się.

Powoli rozbierałem się w dusznym pokoju, brudny blask świecy pełgał po ścianach, książka do nabożeństwa kusila tanią teologią z parapetu okna, za drzwiami usłyszałem cichutkie postękiwania, wyjrzałem: Grzeszczyszyn stał przy oknie w koszuli i długich kalesonach z tasiemkami, drapał się po piersiach, z twarzą zmiętą, jakby nasłuchującą. Zgasilem świecę i popadłem w senne odrętwienie, ocknąłem się w poryku wichury, błyskawicach i stukocie kropel; jak gdyby ktoś grochem sypał w szyby okna. Gdzieś tam pies skuczał przeraźliwie; coś zakwiczało. Spokoju, psiakrew, spokoju!

A rano był spokój i słońce. Siedzieliśmy przy śniadaniu, kiedy wszedł Stachurski i narzekał, że burza zniszczyła mu krzaki truskawek, a kozy tak dobijały się do drzwi, że gdy zeszedł na dół i tworzył, to wpadły z takim impetem na korytarz, że omal go nie obaliły. I że w każdą burzę ma z tymi kozami kłopot. Koniecznie upatrzyły sobie szkołę; biją w drzwi kopytami, bodą, dopóki im nie otworzy. Stachurski próbował nawiązać do wczorajszego zebrania, ale przerwałem mu energicznie, że te sprawy są mi obce i dalekie, i raczej denerwują mnie niż ciekawią. Zaczął fiukać, i powiedział: „To trudno!” Dziwiłem się sobie, jak wobec wielu ludzi napotkanych w mej podróży, zachowywałem się oschle lub niegrzecznie (a taki to miły chłopiec był w Warszawie!). Prawie ciągle czułem się naładowany złem, czułem w sobie jakby jady, w głowie czad; słowem niechęć do wszystkiego. Ale poza tym złym samopoczuciem — klimat, czy co u licha! — działały się przecież te sprawy rzeczywiście; nie zmyśliłem ich. A więc — chyba — począwszy od Grzeszczyszyna, a skończywszy choćby na Stachurskim, nie były to postaci, które bym chciał specjalnie oczerniać! Jakaś głupota w tym wszystkim tkwiła, niewątpliwie! Powiedzmy sobie otwarcie, że nie po to jedzie się dwanaście tysięcy kilometrów morzem, aby spotykać się z podobnymi ludźmi i kwestiami. Pragnąłem nareszcie coś zobaczyć, czymś się zachwycić.

Stachurski widząc, że nie nakłoni mnie do rozmowy — w jego pojęciu istotnej — zaczął mówić o swoim życiu tutaj, że się marnuje, chciałby się ożenić, ale to wszystko takie chamstwo z bogactwem...

Ubóstwo jego myśli, jego dążeń było zastanawiające. Uszedł w końcu, zapewniając, że się zjawi popołudniu. Wrócił jeszcze i powiedział, żebyśmy zaszli do niego na lekcję, zobaczyć jak się dzieci uczą. Obiecałem, że tam przyjdę.

— Pójdziemy chyba rozejrzeć się trochę w okolicy? — zwróciłem się do Grzeszczyszyna.

Zgodził się, był w pogodnym nastroju.

Mogła być jakaś dziewiąta rano, słońce już wysuszyło ślady nocnej ulewy, robiło się gorąco, ale nie odczuwało się dusznej wilgoci w powietrzu. Po wyłysiałym, nierównym gruncie placyku, włoczyły się kozy, zjadając jakieś badyle, nędzną trawkę; zamiast pójść kilkadziesiąt metrów dalej, gdzie było znacznie ciekawsze menu. Na krańcach placyku, naprzeciw siebie stały: szkoła, piętrowy, drewniany budynek i obszerny dom Suchodolskiego. Przed wendą stało już kilka koni; kabokle swoim zwyczajem wystawali przy wejściu, paląc i gawędząc. Minęliśmy wendę, potem aptekę z gankiem obrośniętym winem i zapuściliśmy się w dół, przez gęstwą, ku rzece. Grzeszczyszyn uciął sobie wić, smagał nią po zaroślach, gwizdał, podskakiwał. Las był mroczny, pachniała wilgoć. Mchy i paproć gęsto porastały zbutwiałe pniaki i korzenie. Liany owijały się wokół olbrzymich pni; pnie te porastały kępy pasożytów, gdzieniegdzie w seledynowej smudze słońca lysnął czerwinią kwiat. Z rzadka odzywały się głosy ptaków. Zatrzymaliśmy się nad pochyłością i w dole, przez gęstwą ukazała nam się dość wąska rzeka. Nareszcie coś przyjemnego! Od tego widoku biło dziką samotnią, tęsknym urokiem znanego mi z opowiadań dorzecza Ivahy. Ślizgając się na obcasach, zeszliśmy na stromy brzeg, miejscami nawisły zawilcami, utrudniający dostęp do wody.

A woda płynęła wolno, z powagą wieków, unosząc zeschłe liście, pogniłe trzciny, kawałki kory drzewnej i patyki. Było cichutko, kojąco.

— Tu gdzieś powinna być łódka — zamruczał Grzeszczyszyn.

Wgapiliśmy się w zarośla, szukając łódki. W krzakach coś zatrzeszczało i wychnęła świnia; węsząc ryjem zerknęła chytrze w naszą stronę i szusnęła w gąszcz. Odetchnąłem

z ulgą, bośmy w domu zostawili rewolwery. Nareszcie uwagę moją zwrócił wystający spod szkarpy kawał drzewa z żelaznym kółkiem.

— O, jest łódka! — zawołał Grzeszczeszyn.

Ale łódka przymocowana była łańcuchem do drzewa.

— Idź pan do Suchodolskiego, to panu da klucz! — zawołał Grzeszczeszyn.

— Wybacz pan, ale jako inicjator wyprawy powinien pan wiedzieć coś o tej łodzi...

Przechodziliśmy przecież koło Suchodolskiego.

— Aa, pan to zawsze...

— Ehej! Czekają panowie na tramwaj?

Z przeciwległego brzegu krzychał wysoki mężczyzna w wielkim kapeluszu, wążąc właśnie do łódki. Grzeszczeszyn się uradował:

— O, widzi pan, że dobrze jest! Panie Wójcik, jedziemy do pana, z wizytą! Zabierz nas pan.

Pan Wójcik stojąc, drągiem odpychał łódź w naszą stronę. Był rudawy, rzęsy miał białe, w ustach trzymał fajkę. Oczy mu się śmiały spod krzaczastych brwi. Jadąc mówił:

— Gdzie też pana nie nosi! Aż tu, nad Ivahy pana zapędziło! A kogo to pan ma przy sobie!?

— To pan Łoniłowski, pański kolega po fachu!

Wójcik wyskoczył na brzeg i przywitał się z nami. Przyjemnie zauważyłem, że moje nazwisko nie było mu obce; znał je z gazety kurytybskiej.

— Będzie pan pisał o Ivahy? Błagam pana o to! To najbrzydsza miejscowość na kuli ziemskiej! Rzeczywiście jesteśmy trochę kolegami, ja pisuję do „America Echo!”... No co! Właźmy z powrotem, pojedziemy do chałupy, lubię takie wizyty — *Intelligence Service* Brazylii, znakomity Sierlok Holmes, o czym wszyscy wiedzą: Grzeszczeszyn i literat z Warszawy. Ładnie ja będę wyglądał, czy aby żona zdąży pochować zrabowane skarby... Jestem — uważa pan — piratem Ivahy! Panie Grzeszczeszyn, nie zdejmuj pan w łódce buta, bo nas zamroczy i wpadniemy w paszcze krokodyli!

Rzeczywiście mojemu towarzyszowi znów się coś przydarzyło w nogę. Odchylając kolejno bardzo brudne palce wyglądał w tej łódce kaleko i niemilo. Tymczasem płynęliśmy do brzegu. Wójcik nie przestawał czarować mnie swym humorem, mrugając porozumiewawczo. W ogóle zachowywał się tak, jakby nas coś łączyło, pewna wspólnota, wobec której Grzeszczeszyn jest samym tylko nieświadomym ograniczeniem. Och, gdybym mógł odbiec i rozchyliwszy zarośla przyglądać się tym trzem panom w łodzi! Uprzejme miny tych dwóch, trzeci chciwie wpatrzony w umorusane palce nogi, łódka-pychówka, tło dekoracyjne: chłodny egzotyzm, wiszary nad czarną rzeką... Dokąd zdążają?!

— No, a teraz pójdziemy na piechtę do mojej chałupy — wykrzyknął Wójcik, cumując łódkę do drzewa.

Wyskakiwaliśmy po kolei, jak króliki ze skrzyni. Grzeszczeszyn wciągnął but i stanął na lądzie z miną człowieka, który szukał, lecz nie znalazł. Zaczęliśmy piąć się niewyraźną ścieżką pod górę. Wójcik nawiązał z Grzeszczeszynem rozmowę na temat swego osiedlenia się tutaj.

— Więc tak, mój panie! Graty na wóz, babę i dzieciarnię na sam czubek, dudki w kieszeni i takim puścił się przed siebie. Zajechałem do Tereziny; jest góra do nabycia... i kawałek rzeki. To lubię — pomyślałem, niechże i ja mam na własność trochę wody. Roboty było dużo, ale jakoś żem się usadowił. I wszystko byłoby dobrze, tylkom przejął się uczuciem pokrewieństwa i sprowadziłem z Polski mego szwagra, Janickiego... tak, tego samego! Ano, diabli go wiedzieli, że to taki działacz ludowy! Póki ja się zajmowałem tymi sprawami, to jakoś tam szło, przynajmniej klechy nie mieli tyle powodów wyklinania nas z ambon. A ten mi wszystkich ludzi przechylił na swoją stronę, zaczął tu wiece uprawiać, w końcu już wszyscy dają mu się za łeb wodzić, a ja tu zostałem z pustymi rękami, bo mi przecież ambicja nie pozwala przyłączyć się do nich, a i z księżmi się nie zbratam. I teraz ni pies, ni wydra! Ten tam harcuje społecznie.

— A gdzieżes zalazła, ścierwo rogate! — krzychał Wójcik na krowę ukrytą w gąszczu.

Bydlę niechętnie ruszyło z miejsca, dopiero Wójcik ją okładał po kościstym zadzie, tak że w końcu ruszyła niezgrabnym galopem pod górę. Wójcik zaczął dalej mówić o Janickim, ale w jego pobłażliwym tonie i w ogóle: „bawcie się dzieci, bawcie”, czuło się jad gniewu i zgorzkniałość. Wreszcie przerwał.

Zza kilkunastu krzaków bananowych wypelzła pokraczna chałupka, przykucnięta ni-  
by pies, bo od przodu opierała się na dwóch słupach. Wokół tych słupów pelzało na  
czworakach dwoje płowowłosych dzieci, znieruchomiałych na nasz widok. Niedaleko sie-  
działo żółte ciele, przywiązane do skarłowaciałego drzewka. Podpartą słupami część domu  
łączyły z ziemią delikatne schodki, na schodkach tych siedziała szczupła kobietka i coś ce-  
rowała na szklance. Tchnęło od tego osiedla niepotrzebnym prymitywem, czymś między  
niedbalstwem a nędzą, a przede wszystkim zielonym pojęciem o budownictwie. Po co  
to było budować ten szałas na pochyłości, podierać go jakimiś słupami, skoro obok świni-  
nie ryły równiutki płacyk, wymarzony do budowy. Czuło się tutaj rękę człowieka, który  
gardzi mieszczańskim salonikiem z kolorowymi kulami szklanymi na komodzie, a który  
lubi życie romantyczne, prymitywne, pełne owych codziennych, rozkosznych zajęć koło  
inventarza, zabawnych niewygód. Choć stać go na lepsze, hoho! Na liściach bananów  
wisały świeżo uprane kolory, zresztą liście te poplamione były wapnem. Wszędzie było  
mnóstwo śmiecia, ptasiego i bydłęcego łajna, słowem jakby paskudna choroba usadowiła  
się w potężnym, dziewiczym lesie.

Wójcik zbliżał się do swojej zagrody lekkim krokiem trampa, szerokim ruchem dłoni  
powitał z daleka kobietę, dwoje jasnowłosych szatanków usadowił sobie na rękach, stanął  
naprzeciw nas, głową pokiwał wkoło i rzekł z radosnym uśmiechem, poprzez fajkę:

— Oto mi panowie — życie, naznaczcież mi cenę, abym je zmienił!

Obrócił się do kobiety:

— Stasierńko, oto pan z ojczyzny — rodak! Przyjmijże go godnie w naszej posiadłości.  
Grzeszczyszyna znasz, bo któż by go nie znał! Niestrudzony badacz obyczajów tej ziemi.

Uściskałem drobną dłoń niewiasty, o pokłótych igłą palcach.

— No, panowie, wejdzmyż do wnętrza! Robak! Pfiut, pfiut! Gdzie jest Robak? Chodź-  
że tu, łamago.

Spod łóżka wypelzło brązowe zwierzątko, komiczna niezgraba — mała wydra o ru-  
chach niewspółmiernie ślamazarnych w stosunku do żywotności z jaką się poruszała.  
Obstąpiliśmy ją we trzech swymi buciorami; przewalała się po nich konwulsyjnie. Dzieci  
z ramion swego ojca mrużyły oczy ze znużenia.

Zawsze się źle czułem w ograniczonej przestrzeni, ale pokoik w którym zasiedliśmy,  
był tak mały, że od razu poczerwieniałem na twarzy. Przez szpary w podłodze wi-  
działem różne śmieci. Pani Wójcikowa przyrządziła nam kawy i pijąc ją, odpowiadaliśmy  
wizytę. Na prośbę Wójcika musiałem mówić o sobie. Opowiadałem o swoich wrażeniach  
w Brazylii, Wójcik patrzył mi w oczy i ciągle powtarzał: „Acha, ach, no tak, rozumiem...  
a jakże!” Grzeszczyszyn postękiwał i poruszał prawą nogą. Przerwałem swoje gładzenie  
i zagadnąłem go:

— Cóż panu jest, co pan się wierci?

— Ach, panie, palec mnie piecze, załapałem pewnie bisza!

Wójcik wstał ze słowami: „Zaraz my go tu zoperujemy...” Przyniósł wodę w szafliku  
i wyszliśmy przed dom. Tutaj Grzeszczyszyn zdjął but, Wójcik polecił mu umyć po-  
rządnie nogę, po czym oparł sobie nogę Grzeszczyszyna na kolanie i wskazał mi plamkę  
przy paznokciu dużego palca. Szpicem małego noża przeciął powierzchnię skóry i wyjął  
brunatny pęcherzyk z jakimś robaczkiem.

— Ach, ty dranico — mruknął Grzeszczyszyn, naciągając but.

— Moje dzieciaki ciągle mają tego pełno — powiedział Wójcik. — Pan to już miał  
kiedy? — zwrócił się do mnie.

Odpowiedziałem, że jeszcze nie.

— To są takie pchły, nazwane tutaj *bicho do pe*, nałapie się pan jeszcze ich dość.  
Usadawiają się zwykle koło paznokcia. Z początku nic się nie czuje, dopiero kiedy pę-  
cherzyk z jajkami zaczyna rosnać, zaczyna to świństwo dokuczać. A teraz chodźmy, bo  
kawa ostygnie. No i co dalej, mówże pan!

Ale mnie się nie chciało już więcej mówić o byle czym. Grzeszczyszyn, który się ożywił  
po operacji, delikatnie poruszył temat koni.

— Może pan się z nami wybierze, panie Wójcik... ładna pogoda, przejdziemy się na *faszinal*<sup>75</sup>, później pan sobie z końmi wróci, co?

— No, nie wiem... wybrałbym się ale z żoną, i to wozem, bo żona Psychy jest chora, trzeba się wywieźć... Stasienko, wybrałabyś się z nami do Apucarany?

— Tak, wybieraliśmy się przecież do Psychowej! Ona tam bez żadnej opieki, możemy jechać — odpowiedziała pani Wójcikowa.

— No to pronto, jutro rano, o ile nie będzie deszczu, podjedziemy po was furą; mieszkacie u Smyków?... Zrobione, możemy jechać!

Tak więc, musiałem ocenić organizacyjne zdolności Grzeszczyszyna i celowość naszej wizyty. Chłopak jest milczący i skryty, o zmiennym usposobieniu, ale dobro naszej podróży ma na względzie i jest dbały. Ostatnio jakby nieco wymilał.

Słuchaliśmy teraz opowiadań Wójcika o legionach. Wspominał — owszem — z rozrzwiniem; ale z tego, co się teraz dzieje, nie jest zadowolony...

— W okopach inaczej żeśmy się umawiali — moi panowie!

Denerwował go porządek i system. „Tak, wtedy to były czasy! Pierwszorzędna żołnierka. Napijmy się panowie!”

Wyciągnął butlę z winem pomarańczowym. Napiliśmy się, pogawędziliśmy jeszcze o nieważnych kwestiach, zbliżało się południe, zabieraliśmy się do odejścia. Pożegnałem smutną blondynę — panią Wójcikową — i wyszliśmy na ścieżkę. Uwięzione cielę odprowadziło nas pustym wzrokiem, strzygąc uszami. W kapuejrze zatrzeszczało; pisnęło i wyłoniły się dzieciaki. Na przekór pogłoskom o żmijach i tygrysach.

— Wynoście się do chałupy! — krzyknął Wójcik. — Albo nie, chodźcie z tatkiem odprowadzić panów.

Wracałem rozmarzony wycieczką i winem. Zupełnie, jakbym odwiedził kogoś na wsi pod Warszawą, tylko tutaj bardziej prymitywnie. Taki ten świat, wszędzie jednaki. Wójcik przewiózł nas na drugi brzeg; na czworakach wdrapaliśmy się po pochyłości, Wójcik odjeżdżał, dzieciaki wychyliły się z łódki, ręce zanurzyły w wodzie... Wójcik odpychał się drągiem, fajka mu sterczała spod wielkiego kapelusza, cichutko się oddalali, pomachaliśmy kapeluszami, przestaliśmy się widzieć.

— No, zdobyliśmy lokomocję, byle dalej, byle naprzód — mówił Grzeszczyszyn, kiedyśmy pieli się pod górę.

— A tak, to pan dobrze urządził — odparłem sapiąc.

— Przy Grzeszczyszynie pan nie zginiesz! Wytrwale przeprowadź pana przez ten kraj wszere i wzdłuż!

Miał rację, będę się go trzymał, o ile mi nie będzie wyczytniał różnych szpryngli psychologicznych. Na razie aura między nami. Wyszliśmy na ścieżkę i po chwili minęliśmy pierwsze budynki. Tam, w lesie, było dość chłodno i przytulnie, ale teraz weszliśmy znów w teren zamieszkały, a więc śmierdzący, zakurzony, prażący się pod słońcem szarzyzną chałup. Wszystko było wydeptane i ziejące sennym odrętwieniem, niby te kury zagrzebane w piasku. Minęliśmy rozkraczoną dziewczynę, niemrawe czupiradło, łuszczące kukurydzą na przyzbie. Grzeszczyszyn mało nie wpadł w krzak banana, tak się zapatrzył w ledwie mającą tajemność jej krocza. Kiedy go chwyciłem za ramię, spojrzał na mnie ślepkami w ślup i na policzkach miał rumieńce.

— Ale też, fładra, panie — żeby tak siedzieć w biały dzień... No to, no to... zajdźmy chyba do Suchodolskiego?!

Weszliśmy do chłodnego wnętrza wendy, za ladą stał nieruchomo Srokoń i ruchami *au ralenti*<sup>76</sup> mierzył jakiś pstry perkal. Pokazał palcem, że Suchodolski jest w salonie, przy czym uśmiechnął się do mnie zagadkowo.

— Jak się ma pański chłopiec? — zagadnąłem go, przechodząc obok odchylonej deski w ladzie.

Chwilę uświadamiał sobie moje słowa i odpowiedział tym samym uśmiechem:

— A, on pana bardzo lubi po tym gołębiu... niech pan do nas zajdzie wieczorem, to zagramy w sześćdziesiąt sześć.

<sup>75</sup>*faszinal* (port. *faxinal*) — jak wyjaśnia dalej autor, słowo oznacza „obszary porosłe karłowatymi drzewkami i gęstymi krzakami”. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>*au ralenti* (fr.) — w zwolnionym tempie. [przypis edytorski]

Obiecałem przyjść i przeszedłszy pracownię apteczną wszedłem do saloniku, gdzie Suchodolski siedział w leżaku z wyciągniętymi nogami i czytał „Illustration”.

— A, to panowie — wyszeptał bez entuzjazmu. — Siadajcie, szimaronu, co? Widziałem, żeście szli w stronę rzeki, pewnie z wizytą do Wójcika? O, to fantasta, to fantasta, takich ludzi jest mało. Sziko, przynos no wody na szimaron! Zatem siadajcie! Słyszałem, że tam panów wczoraj odwiedziła delegacja? To huncwtoty i pijaki! Tak się ci ludzie marnują tutaj... Pan rzeczywiście ma fach w ręku! Trafic tak kamieniem w ptaka... rzeczywiście — zdumiało nas to!

Siedziałem zasluchany i z niewyraźnym uśmiechem na ustach. Małomówny stałem się w tej Brazylii. Zastanawiając się tak nad samym sobą, skonstatowałem, że starałem się podczas tych wszystkich wizyt mówić jak najmniej. Może trochę przesadzałem, mając tych wszystkich ludzi za tak nieciekawych, że nie warto do nich mówić! Suchodolski zdawał się to zauważyć, bo powiedział:

— Niech pan coś opowie, my tutaj nie tacy dzicy; widzi pan, czytam po francusku, prenumeruję tu trochę pism z Polski... o, „Tygodnik Ilustrowany”, „Ilustrowany Kurier Codzienny”...

— Czuję się nieco otumaniony tą podróżą i raczej nastawiony jestem, by słuchać, a nie mówić — odpowiedziałem mu szczerze.

Pogładził dłonią włosy i na przegubie zaszemrały wisioriki przy bransoletce.

— Tak, trochę pana rozumiem; teraz pan to wszystko przejmuje w siebie. Może pan sobie poogląda albumy z fotografiami, a ja tymczasem przejdę z panem Grzeszczyszynem do apteki, bo mnie prosił o zastrzyk malaryczny. Panu radzę brać chininę, pan Grzeszczyszyn już dawno nabył malarii. — Wyszli.

Gdy przeglądałem album, uderzyła mnie przeważająca ilość fotografii nagich chłopaków, w grupach i pojedynczo, bez spodenek. Zwłaszcza jedno zdjęcie przedstawiało Suchodolskiego w otoczeniu kilku chłopców, stojących po kolana w wodzie. No cóż! Upały tu musiały doskwierać nieraz silnie, rzeka pod bokiem — dziwne to znów takie nie jest. Przejrzałem, odłożyłem album na stolik. W otwartym oknie lekko porusza się firanka, zdrzemnąć by się, czy co... Wrócili, usiedli, Grzeszczyszyn trzymał się za lewą rękę, Suchodolski mówił, wygodnie rozwalony; agent jakiejś faktorii:

Nie jestem bardzo rad, że pan tu przybył, bo może pan tę miejscowość ukazać w niepochlebnej formie swoim czytelnikom, a jednak w tej pozornej ospałości coś się dzieje; słyszał pan wczoraj, że walczą, a walka jest twórcza... chodzi nam o podniesienie poziomu życia tutejszego kolonisty, należy go wychować, uzyskałem pewne wpływy, posiadam plan... Gdyby też postarał się pan to zrozumieć!

— Obawiam się, że przypisuje mi pan zbytne zainteresowanie się tymi sprawami, a w gruncie rzeczy są mi one dalekie — odpowiedziałem. — Jeśli będę opisywał, to tylko swoje wrażenia i rzeczą czytelnika jest wierzyć mi lub nie. Wolę nawet, aby mi pan nie wyjawiał swego planu, bo ja przejadę tędy, wrócę do kraju i na pewno zapomnę o szczegółach.

— A przecież musi pan zebrać pewien materiał literacki?

— Z ogólnych wrażeń wyciągnę wnioski i będzie to w moim pojęciu najrzetelniej przedstawiony obraz, nie mogę się niczym sugerować.

Bawił się sygnetem na palcu. Nasza rozmowa miała charakter sztucznej powagi. Po co?

Wstałem, aby się pożegnać. Suchodolski zdawał się być zawiedziony. Chciał pewnie, pod pretekstem wyluszczenia pewnych spraw, przedstawić swoją działalność i władzę. Żegnaliśmy się i wychodzę razem z posykanym Grzeszczyszynem. Szpila, jaką mu zaaplikował Suchodolski dawała mu się ciągle we znaki. W wendzie kupił dwie garści cukierków, pakował je do kieszeni ze zbolaną miną. Srokoń jeszcze raz zaprosił nas na wieczór.

— To porządny chłop, ten Suchodolski, szepnął Grzeszczyszyn, kiedyśmy wlekli się niby dwaj maruderzy przez upalną pustkę placu.

Bezwolnie pozwoliłem się zaprowadzić do szkoły. Weszliśmy do sali. Stachurski rysował figury geometryczne na tablicy, dzieci wstały i grzecznym chórem odpowiedziały nam: „Dzień dobry!” Usiedliśmy przy stole nauczycielskim. Przed sobą mieliśmy rzędy główek dziecięcych koloru słomy, a tylko tu i ówdzie czerniły się łepki mieszańców lub też po prostu brunetów; przeważało jednak „blond”. W lewych rzędach ławek jarzyły się



wesołe ślepka wpatrzonych w nas dziewcząt; w prawych — dziwne — siedziały ponure i nieufne chłopaki. Z lewej patrzano na nas ironicznie, z prawej krytycznie. Zapanowało milczenie. Byłem bardzo zażenowany. Wleźć jak intruz podczas lekcji nie wiadomo z jakiego tytułu i nadzieć się na czterdzieści par wyczekujących spojrzeń... nie jest to przyjemne. Spojrzałem na Grzeszczyszyna i trochę się uspokoiłem, bo zauważyłem, że to on jest centralnym punktem tych spojrzeń. Właśnie wstał z krzesła. Jasna czupryna nieomal zakrywała mu uszy i strzępiła się na kołnierzu koszuli khaki.

— No, dzieciaki! pogadamy sobie trochę. Podobam wam się czy nie?

— Podoba! Podoba! — zapiszczało kilka głosów.

— Oj, nie! — zaskrzeczał głosik w tylnych ławkach dziewczynek.

— A to dlaczego nie? Chodź tu do mnie, ty, co ci się nie podobam!

Z ławki wygramoliła się tłusta dziewczynka na cienkich nóżkach i śmiało przydreptała do stołu.

— No, więc, dlaczego ci się nie podobam?

— Pan jest koślawy — odpowiedziała beztrudno dziewczynka i ukazała szczerbate ząbki.

— Gdzież ja jestem koślawy? Popatrz tylko!

Grzeszczyszyn wyszedł zza stołu i przeszedł się przed ławkami.

Buchnął bezlitosny, z całego serca — śmiech. Podziwiałem Grzeszczyszyna. Stał na spocznij, z rękami w kieszeniach spodni i śmiał się także. Istotnie, była to komiczna pokraka!

Stachurski stuknął linią w stół, śmiejąc się także. Dziewczynka w podskokach wróciła na swoje miejsce. Grzeszczyszyn poszedł za nią i dał jej cukierka. Przyjęła. Pogłaskał ją po główce, stanął między ławkami i zapytał:

Powiedzcie mi teraz, co to jest Wisła?

— Woda! — ponuro odpowiedział śniady chłopiec z pierwszej ławki.

— Ale jaka?

— Polska!

— A tak!... No... no dobrze, ale gdzie ona płynie?

— W Polsce!

— No, a duża ta Wisła jest?

— Duża!

— A długa?

— Oj, chyba długa!

— Ryby tam są?

— Chyba nie ma!

— Skąd wiesz?

— Albo są!....

— Co było nad Wisłą?

— Nie wiemy!!! — odpowiedziały dzieci chórem.

— Nad Wisłą był cud!

— Jaki... jaki!?

— Tam żeśmy Polskę uratowali od zalewu bolszewickiego!

— A jaki to... bolszewicki zalew?

Grzeszczyszyn poszedł do Stachurskiego i pochylił się nad nim:

— Wie pan, te dzieci niewiele umieją, trudno się z nimi dogadać.

— Tak, ale przecież mają po dziesięć, jedenaście lat; wszystko to tutaj urodzone, jeszcze czas mają na to.

Grzeszczyszyn usiadł obok mnie i zrobił: hmcho!...

— Trzeba będzie już pójść — powiedziałem bezbarwnie. Grzeszczyszyn wstał, powiedział: „Zaraz” i poszedł między ławki. Tam, niby jakiś dziwny wysłannik aprowizacyjny, począł posępnie dzielić cukierki. Dzieciska nieufnie przyjmowały te dary. Stachurski wy-cierał tablicę.

— Do widzenia, do widzenia!

— Do widzenia! — odkrzyknął nam chór okrutników.

Wychodziłem ze szkoły pełen wątpliwości co do talentu pedagogicznego mego towarzysza. O jakie sto metrów od szkoły mieszkał Janicki i w drodze do jego domu Grzeszczyszyn zdążył mi wyrazić swą niechęć do systemu nauczania Stachurskiego.

— Panie, te dzieciaki nic nie wiedzą, są rozpuszczone, trzeba będzie to na zjeździe nauczycielskim poruszyć!

Zbliżyliśmy się do schodków, gdzie stał Janicki w bamboszach, z palcami przy szelkach, z wypiętym brzuszkiem.

— A, rad jestem widzieć panów u siebie! Proszę do środka!

Usiedliśmy w małym pokoiku, pełnym książek i pism. Tutaj Janicki podał nam szklanki z czerwonym winem, rozsiadł się wygodnie i w ten sposób przemówił, patrząc mi bystro w oczy:

— Panie kolego literacie! Przejeżdżacie przez te nasze placówki polskości, spotykacie różnych ludzi, którzy wam rozmaicie mówią o tym naszym życiu!... Ale każdy ma w tym swój interes, żeby wam to po swojemu oświetlić. Siedzi przed wami człowiek już niemłody: poeta ludowy! Człowiek, któremu dobro ludu przede wszystkim leży na sercu! Nazwisko moje nie powinno być wam obce!... Wasze zdrowie!... O tym, że my tu walczymy o porządek, słyszeliście już wczoraj! A teraz ja wam powiem o sobie, jaką sobie misję obrałem!...

Znów misja! O losie, czy nie masz nade mną litości!

— ...ja tu jestem ten ambasador szerokich mas chłopstwa w Polsce, który ma je informować na ten temat, czy do Brazylii mają przyjeżdżać, czy nie! Ode mnie ta emigracja zależy! A więc będę się streszczał... w wasze ręce... Powiedzcie komu trzeba i z kim tam będziecie w kontakcie, żeby mi władze dały odpowiednie plenipotencje, a ja tu postawię kolonizację na takim stopniu, na jakim ona być powinna. Tyle wam tylko powiem... Napijcie się jeszcze!... Pokażę wam swoje utwory...

Począł grzebać w papierach i wyciągnął kilka starych gazet kurytybskich. Podał mi je ze słowami:

— My z panem Grzeszczyszynem wyjdziemy pogadać trochę, a wy to przeczytajcie i jak wrócimy, to powiecie, co o tych poezjach myślicie.

Kiwnął energicznie na Grzeszczyszyna, ten chwycił szklankę z winem i patrząc na mnie z dziwnym lękiem, wyszedł za Janickim. W tej chwili zrobiło mi się serdecznie siebie żal. Rozpiąłem jeszcze jeden guzik u koszuli i w ten sposób powiększyłem dekolt, myśląc jednocześnie o tym, co czynię. Byłem tak oszołomiony i bezradny. Drugi działacz z misją! W gazecie były poprawne wiersze o tęsknotach za Bożym Narodzeniem, za gruszą... Owszem, pocziwe wierszydła. Odłożyłem gazety i popadłem w głuche otępienie. Nie, trzeba przerwać to oczekiwanie!

Wybiegłem przed dom i zacząłem ohydnie kłamać. Słuchał z rękami po napoleońsku. Wszystko powiem, co trzeba!

— Te wiersze umacniają ludzi w ich ojczystych obyczajach! Są świeże i zdają się pachnieć razowym chlebem. Tak! Wszystko dobrze. A teraz muszę już pójść, bo mi trochę niedobrze od tego wina. Przyjdę jeszcze! Pogadamy! Bądźcie zdrowi!

Nieomal że biegłem; ale wzruszony „działacz z misją” biegł również i podtrzymywał mnie wpół ramieniem.

— Jesteście porządny chłop — mówił w biegu — znacie się na rzeczy! O, ja was po oczach poznałem. No, dajcie się uścisnąć po bratersku!

Przycisnął mnie do swego brzuszka. Ocknąłem się w swoim pokoju, zadyszany, na łóżku. W progu stanął Grzeszczyszyn powiedział jadownicę:

— On taki społecznik, jak ja łyżwiarz!

Zacząłem się nerwowo śmiać:

— Co pan mówi? Dlaczego łyżwiarz? — panie Grzeszczyszyn!

— Ano, tak się mówi! Niech pan słucha byle szarlatanów, to pan daleko zajędzie. Że on wiersze pisze, to już mu pan podkadził! Zobaczysz pan jeszcze moją robotę, w drodze! Nauczysz pan się odróżniać człowieka z sercem od byle kombinatora!

Słuchałem pełen niepokoju. Przecież to wyraźnie scena zazdrości! Stara się mnie pozyskać, zależy mu na mnie! Temu Grzeszczyszynowi z Iraty, który mnie strofował i wydawał polecenia. O, jakże zmienny jest los! Zacząłem go uspokajać... Że bardzo go cenię, że taki porządny i opiekuje się mną w podróży! Latami będę wspominał jego uczynność,

odwagę, talent obcowania z prostymi ludźmi, jego ofiarne serce, a zwłaszcza umiejętność obcowania z dziećmi, że je tak umie rozbawić, rozruszać! Podszedłem i uściśniłem mu rękę. Spoważniał i powiedział:

— No, widzi pan! Już ja pana poprowadzę takimi miejscami, że ten kraj będzie dla pana chustką do nosa, tak go pan będzie znał. I tak go pan opiszesz jak nikt jeszcze!

Poszedłem do jadalnego pokoju z myślą o obiedzie. Tyle wrażeń na dziś. Grzeszczeszyn ciągle mówił o naszym zbliżeniu. Więc trochę się zmienił! Lecz okoliczności zmuszają mnie do blagi. Trudno, przekonałem się, że obojętnością i milczeniem nic nie wskóram, że mnie przemocą wciągają w swoje sprawy. O, banalny dramacie! Jaką mam tu rolę! Bzdura i nonsens!

Staruszka podała tłusty obiad i zacząłem dużo jeść. Zrobiło mi się nagle wesoło. Zacząłem mówić o jutrzejszej podróży, o tym, że rad bym jechać konno, za furą.

— Nie znoszę furi, czas się dłuży!

Obiecał mi pomyśleć o koniu.

— Tylko co z siodłem? — Kupić — drogie, a potem co? Wyrzucić — albo odsprzedać ze stratą?

Długo mówił o tym siodle, temat ten ustroił jeszcze kilkoma anegdotkami; ton jego był poufny, starał się podkreślić nasz kontakt. Oparł się wygodnie o stół, palił i gawędził. Robił kulki z resztek kartofli i okruszków chleba, stwarzając tym nastrój pewnej swobody. Słuchałem popijając kawę, a w jaźni mojej przykre zniechęcenie do samego siebie walczyło o lepsze z odurzeniem, które spowodowało bezmyślne — i sędzę, że nerwowe — objedzenie się wieprzowym mięsem z kartoflami... Ha, cóż! Zrobi się ze mnie kłamczuch i obzartuch; leniuchem dawniej byłem, wkrótce przejmę pijaństwo i będę gotowym materiałem aby osiedlić się w Brazylii. Ziewnąłem i wstałem od stołu. Niegrzecznie, bo poprzez ziewanie, pozdrowilem Grzeszczeszyna. I ziewając, proszę państwa, szeroko ziewając, usnąłem na swym łóżku wędrownika, w to upalne, wieprzowe popołudnie brazylijskie...

... Usiądź tu księżu, zagram ci nowe melodie... Ksiądz w czarnej sukni siada w mrocznej i chłodnej sali, nieopodal lśniącego czernią pianina. Przy pianinie tym siedzi wiotka niewiasta w białej sukni spływającej delikatnymi fałdami na posadzkę. Niewiasta ma czarne, gładko uczesane włosy z przedziałem i granatowe, wielkie oczy. Poczyna grać. Ksiądz słucha, na czarny kołnierz sutanny opadają rozfalowane, jasne włosy, rzęsy ma białe, kędzierzawe, brwi golone, przeciągnięte niebieskimi krechami. Uroczy ten obraz, subtelne tony, zdolne usmierzyć bitwę najzagorzalszą, przerywa biały wieprz, który z chrząkiem wpada na salę, ślizga się kopytkami po posadzce, a za nim gna człowiek o dziwnie znajomej twarzy. Dama przerywa grę i dumnie powstaje od pianina. Twarz obcego staje się znajomą i... Grzeszczeszyn przypada do nóg księdza. Ten go gładzi po głowie i płacze. Wieprz oparł przednie kopytka o kolana niewiasty, ona spogląda na zwierzę w zadumie. Rozlega się silne pukanie w drzwi. Wszyscy patrzą w tę stronę pytająco...

— O, macie tu, wyszukałem dla was tomik moich młodzieńczych wierszy. Co, przetrwałem wam sen?... Nie śpijcie po obiedzie; będziecie tyć i gnuśnieć. Chodźcie ze mną na spacer.

Nad moim łóżkiem stoi Janicki z niewielką książeczką w rękę. Powoli spływa na mnie poczucie rzeczywistości, razem z nią uderza fala wściekłości do głowy, zrywam się z łóżka, chwytam Janickiego za łokieć, obracam go ku drzwiom i serdecznym kopniakiem wyrzucam go za drzwi. Ciche domostwo napełniło się łoskotem, tupaniem i przekleństwami.

— Wynoście się, psiakrew! — krzyczę. — Jeszcze mnie tu będziecie nachodzić!

— Czyście zwariowali!? — krzyczy Janicki.

Podskakuję do niego i daję mu jeszcze jednego kopniaka. Widzę zdziwioną twarz Grzeszczeszyna i przerażoną parę staruszków. Z ogrodu Janicki krzyczy:

— Wy się zapominacie! Ja was nauczę! To tak się postępuje z człowiekiem, który przyszedł was odwiedzić! Gdybym ja tu miał broń przy sobie!

— Wynoś się bydłaku, bo ci gnaty poprzetrącam! — krzyczę w podnieceniu.

Z daleka jeszcze słyszę złorzeczenia Janickiego. W domu zrobił się dziwny nastrój. Stary Smyk pijąc szimaron zaśmiewał się, Smykowa płakała, piesek szczekał, a Grzeszczeszyn mówił z kąta:

— No, ale z panem to nie przelewki!... No, ale z panem to nie przelewki!

Odebrałem kuję Smykowi, nałalem sobie wrzątku i pijąc szimaron powoli przychodząc do siebie.

Wreszcie pękło! Struna mojej cierpliwości przeciągnęła się!... Dostałem się między stwory, nie ma co! Dziwnym porządkiem tutejszych moich stanów psychologicznych, nagle fakt ten wydał mi się daleki i bez znaczenia. Wyciągnąłem z torby talię kart i zaproponowałem Grzeszczeszynowi partię sześćdziesiąt sześć. Podczas gry próbował jeszcze komentować to zdarzenie, ale ostro mu przerwałem, że nie ma o czym gadać.

— On jeszcze się na pana zaczał ze smithem!

— Niech się czai, pies mu mordę lizał — wychodź pan, do pików!

Ta idiotyczna gra przeciągnęła się do kolacji. Tym razem, unikając podejrzanych snów, nie tknąłem mięsa wieprzowego, zadawałnając się kawałkiem chleba i porcją tłuczonych kartofli. Popiłem to kawą i już było po wieczery. Oczekiwał nas długi, duszny wieczór, na sen nie miałem ochoty. Lokali rozrywkowych, poza hotelem, jak wiadomo nie było, a w hotelu pokutowało groźne nazwisko Beniamin Branco. Mieliśmy miny ludzi, którzy czekają, aż ustanie zamieć lub też wiatr wydmie żagle okrętu. Ponieważ rozmowa ze Smykami miała bieg ograniczony, postanowiłem pójść do Srokonia. Grzeszczeszynowi było wszystko jedno, zgodził się mi towarzyszyć.

Cała miejscowość pławała się w chłodnym szkarłacie. Idiotycznie rozbawione kozy skakały, bodły się. Na niewielkim skrawku wysiepanej trawki, przechadzał się Stachurski z książką w ręku i co pewien czas strzelał w powietrze ze lśniącego colta. Skoro nas ujrzał, skręcił w bok, ścieżką między zaroślami. Przed hotelem, na ławce, siedziały nieruchomości dwie śniade dziewczyny i w przesadzonej czerwieni wyglądały jak zły obraz któregoś z kapistów. Ominęliśmy je starannie, po czym poprzez aptekę weszliśmy do mieszkania Suchodolskiego, ponieważ wenda była już zamknięta. Powitał nas nastrój wieczoru, jaki spędzają wszyscy ludzie o unormowanym trybie życia. Na stole paliła się naftowa lampa, bo chociaż na dworze zmrok jeszcze walczył z zachodem słońca, to jednak w pokoju mogło być ciemno. Był to znany mi już salon Suchodolskiego, tylko jakiś — pewnie na skutek wieczornej pory — inny. Oprócz gospodarza zastaliśmy tam Srokonia i starszego subiekta — Brazylianina, oraz psa. Wszyscy siedzieli i pili szimaron. Po kilku słowach, jakie zwykle towarzyszą powitaniom, Suchodolski zaczął mówić przyjemnym głosem o moim popołudniowym potraktowaniu ludowego poety. Wszyscy byli bardzo zadowoleni i patrzeli na mnie życzliwie. Próbowałem im wytłumaczyć, że postąpiłem zbyt brutalnie i gwałtownie, że byłem podenerwowany, że snu... Ale oni tylko śmiali się serdecznie i powściągliwie, jak się śmieją starsze panie, kiedy ktoś popełni wesoły nieakt wobec nielubianej osoby. Podali mi szimaron, usiadłem i czułem się niewyraźnie. Subiekt wyszedł na chwilę i wrócił z butelką białego wina i talerzykiem pełnym lukrowanych, niesympatycznych ciasteczek. Popijaliśmy winko na przemian z szimaronem. Wiedziałem, że wszyscy czują się dobrze, są zadowoleni i, pełen nieporządku psychicznego, zazdrościłem im nieco. Srokoń wyjął bardzo powolutku karty z szufladki i zaproponował Grzeszczeszynowi oraz mnie grę w sześćdziesiąt sześć.

I tak rozpoczęła się gra, którą znienawidziłem do końca dni moich. Odbywała się ona *au ralenti*. Zanim Srokoń położył kartę i zgarnął lewę, można było sobie nieco pomarzyć. Aby nie nudzić się podczas tej gry, zastosowałem w przerwach opowiadanie anegdotek. Biedny Srokoń śmiał się zawsze z poprzedniej anegdotki. Był to w gruncie rzeczy przystojny, potężnie zbudowany chłop; swego czasu najlepszy pływak i siłacz w okolicy. W blasku lampy twarz jego była kanciasta, ponura. Nie bawiliśmy się nadzwyczajnie. Grzeszczeszyn fiukał, ja ziewałem często, dopiero kiedy Suchodolski zaczął mnie rozpytywać w kwestiach dotyczących arystokracji polskiej, trochę się ożywiłem. W tym na pół mrocznym saloniku z lampą otoczoną ruchomym wianuszkami nocnych owadów, wpadających do pokoju z dusznym podmuchem brazylijskiego wieczoru, wionęły z ust gospodarza nazwiska tak szlachetne, że aż lęk brał czy nie jest z naszej strony poufałością siedzieć i grać w karty wobec tylu świetnych brzmień. W końcu padło nazwisko wymówione upojnie, po czym nastąpiła pauza i wstrząsająca informacja:

— Tak, pani Walewska, to moja kuzynka... ale cóż to teraz znaczy, w tych czasach, gdzie byle pacholek przewodzi... również generał Zajączek jest moim antenatem... rody zanikają, wieki płyną... tworzą się nowe rody... A, co tam — panowie — gadać! Wy-

pijmy za cienie ojców naszych!... Dziś, cóż! Jest się sklepikarzem na obczyźnie i jedynie wspomnienia są coś warte!

Wszyscyśmy w milczeniu unieśli kielichy. Wypiłem szybko i wyszedłem w młódkę karo.

— Tą młódką karo podegrał mi pan damę — powiedział Srokoń, kiedyśmy się żegnali.

Wyszliśmy, pies zaszczekał za nami kilka razy! W drodze powrotnej, w ciemnościach, Grzeszczeszyn rozplywał się nad tym przyjęciem:

— O, i w takiej dziurze napotkać można kulturalnego osobnika. Widzi pan, wzruszył się, a przecież to wpływowy człowiek, wiele może... Oj, gęba mi się drze, człowiek się wyśpi, a jutro w drogę, panie, panie... huuua — ale żem zmachany.

— Miał pan o koniu pomówić!

— Aha, prawda... rano się załatwi; nie wypadało na wizycie mówić o interesie. Już dom, trzeba dobrze zamknąć drzwi, bo Janicki może szukać odwetu.

Kiedy zasypiałem, zdawało mi się, że Grzeszczeszyn wyszedł jeszcze na dwór. Westchnął i drzwi skrzypnęły. Rano ogarnął mnie nagły niepokój. Dzień wczorajszy wydał mi się jak po nadużyciu alkoholu. Sprawa z Janickim przedstawiała mi się diablo grubiańsko. Pewnie coś knuje, skoro dotychczas nie zareagował. Siedziałem przy śniadaniu naburmuszony. Przez okno widziałem Grzeszczeszyna, jak skakał przez skakankę ze sznurka. Zatrzepotał palcami, skoro mnie zobaczył i zaraz przyszedł, rozśpiewany, radosny.

— Wykombinowałem dla pana *burę*<sup>77</sup> od młodego Smyka, tego rzeźnika, siodło też zaraz przyniosą; stare, ale na jedną podróż wystarczy. Bura z siodłem przyprowadzi z powrotem Wójcik. Zapłaci się za wypożyczenie dziesięć milreisów. Bur tam stoi, pod drzewem, chodź pan obejrzeć.

Wyszliśmy przed dom. W cieniu stał bur, żuł coś i patrzył na mnie drańskimi, skośnymi oczami. Trochę poweselałem. Wróciłem do pokoju i zabrałem się do pakowania manatków. Grzeszczeszyn mówił z drugiego pokoju:

— Czy aby się czego nie zapomniało... czy się wszędzie było...

Postawiłem torbę obok drzwi, nakryłem ją kapą i poszedłem do kuchni zrobić ze Smykową rachunek. Staruszka zażądała po dziesięć milreisów od osoby, cena wydała mi się nieprzesadzoną, zapłaciłem, podziękowałem za dobre przyjęcie, Smyk wetknął mi kuję z szimaronem, popiłem z kwadrans, pogadałem trochę o piesku; że urośnie, że to będzie dobry pies.

— Ano, będziemy widzieć — panie! — odpowiedział Smyk.

Zjawił się wątył chłopak z jakimś rupieciem na głowie, zostawił siodło na progu i uciekł. Poszliśmy z Grzeszczeszynem siodłać burę. Wzdął brzuch, Grzeszczeszyn kopnął go w ten brzuch, w końcu bur dał się osiodłać, ale ze wzdętym brzuchem. Jakoś się wszystko dobrze układało, bo zaraz podjechał Wójcik na furze. Strzelał batem, trąbił na dłoni. Na wozie siedziała jego żona i dwoje dzieciaków. Grzeszczeszyn wgramolił się na wóz, wziął ode mnie worek i kapę i rozsiadł się wygodnie. Powiedziałem im, żeby jechali, to ich wkrótce dogonię. Pojechali. Zostałem z burem.

Zachowywał się nieco dziwnie. Przeszł z nogi na nogę, trząsał głową, łypał ślepiami. Wsiąść nie sposób — rzuca. Wyszedł Smyk i przytrzymał go za wędzidło. Włazłem wreszcie i począłem go kierować ku furtce. Poniósł mnie w krzaki, między drzewa, musiałem przytrzymywać kapelus, bo zawadzał o gałęzie.

— Musi się trochę przyzwyczać — pomyślałem.

Zsiadłem i przeprowadziłem go za uzdę przez furtkę. Próbowałem wsiąść: rzucił i podskakiwał. Podeszedł Smyk, przytrzymał go, wsiałem. Ogromnie ciągnęło go w stronę przeciwną, niż go kierowałem. Było bardzo gorąco i już się zgrzałem. Uderzyłem go dwa razy batem po pysku, przysiadł na zadzie i poszedł, gdzie chciałem. Wypadało mi przejechać plac tuż przed szkołą, aby wyjechać na drogę. Obok szkoły bur znieacka skręcił w stronę furtki, minął ją truchtem i zatrzymał się przed domem Janickiego. Tutaj obaj chwilę odpoczywaliśmy. Wyszedł Janicki, usiadł na schodkach i paląc papierosa, przyglądał się jak wódz defiladzie. W oknach szkoły tłoczyły się dzieciaki, rzucając rozmaite rady pod moim adresem. Obtarłem pot z twarzy i pogladziłem burę po pysku.

<sup>77</sup>*bur* — pochodzi ze skrzyżowania klaczy z osłem; po prostu – muł. [przypis autorski]

Robiłem tak zwykle, aby uspokoić konia. Ale konia, a nie to... to ścierwo! Stale trzymał się tak, aby zadem stać do furtki. Obok Janickiego stanęła jakaś niebrzydka kobieta. Uderzyłem bydlę znów batem po pysku. Okręcił się gwałtownie kilka razy i znów stanął tyłem do furtki. Było mi bardzo przykro. Ze szkoły wybiegł Stachurski i zbliżył się do mnie, krzycząc:

— Co pan tego Smykowego bura wziął! Przecież to diabeł, zostaw go pan!

Odpowiedziałem mu, że muszę na nim pojechać.

Stachurski chwycił go za wędzidło i wyprowadził „nas” przez furtkę, po czym ją zamknął. Bur stał w miejscu i tulił uszy. Do płotu zbliżał się Janicki, kobieta, Stachurski już stał, nadbiegała dzieciarnia. Z daleka widziałem grupę ludzi przed wendą „Suchodolski Srokoń”. Bębniłem palcami w siodło i pogwizdywałem niemelodyjnie. Z nieba sączył się żar, ale tłum przy płocie trwał. W ręku miałem szikotę, brazylijski bat, z żelaznym kółkiem przy rękojeści. Tym kółkiem, zapominając o wszelkich towarzystwach opieki nad zwierzętami, zacząłem prać bydlę po pysku. Jakże się wierci... jakże nieudolnie stara się stanąć dęba... ugina przednie nogi, kręci się w kółko, stara się, (wyraźnie: stara się!) przycisnąć mi nogę do płotu, tuż przed nosem Janickiego. W końcu... W samą porę na szczęście — bo od strony wendy biegli nowi widzowie — w końcu ruszył jakimś niezadarnym galopem w stronę drogi. Jechaliśmy pod górę. Ludzie, a zwłaszcza Janicki zniknęli mi z oczu. Myślałem sobie, jakiej to trzeba cierpliwości, żeby takie niesforne bydlę poskromić. Wydostaliśmy się na równinę. Droga była szeroka, biegła kręto, między rzadkimi zagrodami. Teraz z łatwością dogonię furę, pomyślałem z ulgą. Bur biegł truchcikiem i ochotnie skręcił w bramę wiodącą do jakiejś chałupy. Ale tu go — na moją prośbę — kakobło z dwoma chłopakami sromotnie przegnali drągami. Zawrócił, ale na drodze skręcił w stronę Terezyny. Zdarłem mu tak łeb cugłami, że wyglądał niby rasowy rumak na paradzie. Tańczył. Musiałem mieć niesłychaną minę, bo dwaj kabokle przechodzący drogą usiedli, położyli węzłki obok siebie i poczęli się zaśmiewać. Bur wesoło podążył w dół. Zsiadłem i zacząłem go prowadzić z powrotem. Na to się godził. Znów mijaliśmy dwóch kabokli, którzy zabierali się dalej w drogę, ale na nasz widok znów przysiedli. Uszedłem z godziną jakiś kilometr, wreszcie znienacka wskoczyłem w siodło. To go trochę zdezorientowało, ale już nie zawrócił, tylko skręcił w ledwie widoczną w gąszczu ścieżkę i zaczął schodzić po stromym, obficie zarośniętym zboczu. Spadł mi kapelusz, jakieś kolce darły mi koszulę, szorstkie gałęzie cięły po policzkach, bur ślizgał się na zadnich kopytach, w pewnej chwili omal nie spadłem mu przez łeb, otaczał nas mrok, głusza zupełna. Objąłem ramieniem jakieś drzewo, lewą ręką szarpnąłem cugle — przystanął. Obaj dyszeliśmy ciężko, na twarzy czułem krople potu czy krwi. Z wdziękiem zaczął obgryzać listki takuary. Ciągle trzymając się drzewa, zląłem z tego łotra. Zaszedłem mu do pyska i zajrzałem w oczy. Mrużył je z rozkoszy, jaką mu sprawiało żarcie. Z całej siły wyciąłem mu to, co się u ludzi nazywa policzek. Otrząsnął łeb i żarł dalej. Staliśmy w krzewach po szyję, na niewygodnej pochyłości. Pociągnąłem go za cugle, powlókł się ciągnąc za sobą takuarę. Znów wyszliśmy na drogę i w spiekocie, nurtowany nieludzką wprost wściekłością, szedłem, prowadząc go za cugle. Gdyby nie Janicki i wstyd powtórnego pokazania się z tym szatanem, powróciłbym do Terezyny. Szedłem z godzinę, odpocząłem, znów szedłem, na niewiadome, nie znając drogi. Koło mostu pociągnął mnie w dół, ku rzece, powodowany nieopanowanym pragnieniem. Przemocą dałem się tam zaprowadzić. Skierował pysk ociekający wodą w moją stronę i przez chwilę miałem wrażenie, że mrugnął do mnie lewym okiem. Wróciliśmy na most, tutaj próbowałem wsiąść na niego, ale nie pozwolił, zresztą nie miałem już sił. Nasze kroki ponuro dudniły po moście. Wprawdzie miałem rewolwer przy sobie, mógłbym mu strzelić w łeb, ale pomyślałem, że to nie jest załatwienie sprawy. W tej chwili czułem do niego nienawiść równą nienawiści do człowieka, który się względem nas szczególnie podle zachowa. Naprzeciw turkotał wóz i szybko rozpoznałem — jakże mi bliską w tej chwili — roześmianą twarz Grzeszczyszyna. Wrócili po mnie.

— Cóż się też stało?

Bez fałszywego wstydu, zdecydowanym ruchem wskazałem na bura.

— Nie chce mnie nieść — powiedziałem.

— A któż to panu tego bura znów wytrzasnął?! — zawołał Wójcik. — Przecież to bur Smyka, znany łajdak w całej okolicy... któż to go panu przyprowadził?

— Więc ja... więc ja, bo nie było żadnego konia — odpowiedział Grzeszczeszyn.

— Jak to, i Smyk panu nic nie mówił?

— Mówił że jest narowny, ale ja pomyślałem, że pan Łóniłowski da sobie z nim radę... Pan Łóniłowski nie jest żadna pokraka, hehehe!

Teraz wiedziałem, że Grzeszczeszyn zrobił mi na złość. Chwilę się nad tym zastanowiłem, ale nic nie dałem po sobie poznać.

— Trudno! — powiedziałem. — Dobrze, żeście po mnie wrócili. A teraz zrobimy tak: weźmie go się linką przywiąże do wozu, ja na niego wleżę i w końcu będzie musiał pójść. Ma pan linkę?

— Wójcik poszedł do wozu szukać linki.

— Tak będzie najlepiej... hahabe, cholera... omansuje się<sup>78</sup> w ten sposób! — mówił, rechocząc, Grzeszczeszyn.

Przywiązali go za wędzidło do wozu, pomogli mi wsiąść i ruszyliśmy. Z początku opierał się trochę, ale wędzidło pysk mu uwierało i w końcu na dobre podpretał za wozem, rozglądając się jednak bystro na obie strony drogi. Z wozu patrzył na mnie Grzeszczeszyn, ciągle starając się ukryć rozradowanie. Byłem teraz spokojny. Jeśli człowiek sobie wynajdzie jakiś cel i poweźmie postanowienie, aby go osiągnąć, to wtedy na duszę spływa dziwny hart i opanowanie. Spróbowałem się nawet przyjaźnie uśmiechnąć do Grzeszczeszyna. Co do bura, to czułem, że osiągnąłem połowę satysfakcji. Należało mu jeszcze tutaj coś wymyślić. Toteż kombinowałem, rozglądając się z wysokości tej kanalii po świecie. Było upalne, przeładowane słońcem południe, wszystko zastygło i nieruchomiało. Widok beznadziejny: czerwona, szeroka na dwa wozy droga, po obu stronach popielato-rudawa gęstwa, rzadkie ale potężne drzewa. Niebo piaszczyste i bez wyrazu. Na wozie drzemały dzieciaki, pani Wójcikowa z trudem łapała oczka szydłami, spod szerokiego kapelusza Wójcika wylatywały kłęby dymu. Grzeszczeszyn gryzł słomkę i kiwał się. Obrazek był straszliwie idiotyczny, jak zresztą już niejednokrotnie zdarzyło mi się to stwierdzić poprzednio. Co to będzie dalej? Żeby mi się udało wydobyć choć cokolwiek pozytywnego... Czort wie zresztą! To samo dla kogoś innego może być urocze. Ale jest takie (oszczędźcie tylko!) Ptak tu jest rzadkością, nawet papugi gdzieś się zawieruszyły. Przy tym gorąco, duszno i nieciekawie.

Krzyknąłem na Wójcika, aby zatrzymał konie. Lekko drzemiące towarzystwo ocknęło się, zaczęli przecierać oczy, rozglądać się...

— Co się stało? — zapytał nieprzytomnie Grzeszczeszyn.

... A tu słońce, pustka i nic się nie stało.

— Ma pan jakiś zamiar? — pyta mnie Wójcik, złażąc z wozu.

— Wie pan co... — mówię — wyprzęgniemy konia dla mnie pod siodło, a burę zaprzęgniemy na jego miejsce?

— Dla pana zrobię wszystko!... Dobrze, skoro to pana rozerwie!

Poprosiłem jeszcze Wójcika, aby wsiadł na konia a ja pofurmanię. Zgodził się na to. Zanim ruszyliśmy, bur próbował tylnymi kopytami uwolnić się od wozu, ale bacik uśmierzył te zapędy. Naturalnie: sadysta i okrutnik, mści się na bezbronnym zwierzęciu, ubogi na duchu, wszystko go nudzi, życia wewnętrznego nie posiada. Wszystko prawda, być może! Pojechaliśmy. Diabliszcie szło jak baranek. Chociaż nie wiem, czy baranek dobrze idzie w zaprzęgu. Wójcik jechał obok mnie i opowiadał mi różne bandyckie historyjki. Była to zła narracja; kończyło się na rabunku i śmierci kogoś od kul.

Zarośla zaczęły się trochę przerzedzać, ukazała się jakby duża polana z kilku nędznymi zabudowaniami. Wjeżdżaliśmy do miejscowości zwanej Apucarana. Dwa murowane domy, na pół w gruzach, podkreślały podupadłość i opuszczenie. Tu i ówdzie wily się ścieżki porośłe trawą, krzywe chałupy tkwiły między drzewkami herwy, a jasne południe i zieleń podnosiły ich nędzę. Ale polana była wesoła, słońce kładło na nią świetne plamy, było jakoś przestronnie i wzrok ogarniał cały ten pejzaż z przyjemnością. Z chałup powylazły jakieś ciemne postury i gapiły się na nas, przesłaniając oczy dłońmi. Psy z podwinętymi ogonami zdawały się namyślać, czy obszcekać nas, czy dać spokój. Rozbiegły się po prostu w uskokach przed koniem Wójcika. Pogardliwie skręciliśmy w prawo, nie zatrzymując się na tym miejscu. Krótko jechaliśmy między samotnymi piniorami, ale

<sup>78</sup>omansuje się — oblaskawi się. [przypis autorski]

zaraz droga znów wpadła w szpaler skłębionych krzaków. Jechaliśmy po dawnemu. Bur nie bur, ideał zaprzęgowy. Wójcik objaśnił mnie, że Apucarana miała być miastem dla handlu herwą i kiedy to miasto budowali, Argentyna zaczęła się właśnie zadawać własną *yerbą* i miasto klapnęło na tych dwóch murowanych budynkach i kilku ruderach. Dla mnie Apucarana miała rzeczywiście urok nieudanych, lecz ambitnych zamierzeń. Wolalbym wprawdzie nie wiedzieć nic o jej przeszłości i polegać na wrażeniu, jakie odniosłem. W ogóle irytowały mnie objaśnienia i z każdej rzeczy wołałbym sam wyciągnąć wnioski. Ta ekskluzywność sprzeciwia się prawdopodobnie pojęciu podróży i wiadomości, ale taki to i ze mnie podróżnik.

Grzeszczeszyn obrócił się do mnie i zagadnął zdawkowo:

— Jakże się powozi?

— Iee, tak sobie, jedzie się powolutku, kochany panie.

Pokiwał głową ze zrozumieniem. Milczeliśmy. Spojrzałem spod oka na Wójcika. Zdawał się być jakiś zgaszony. Aby go rozerwać, zapytałem:

— Przepraszam pana, ja — wie pan... to młode pokolenie to ignoranci... ale czy pan wydał coś w książce?

Przechylił się w siodle, okrył twarz powagą i przymrużył oczy, jakby coś obliczając:

— Proszę pana... zaraz... pierwszą powieść wydałem w dwudziestym drugim roku... tak, była to rzecz o legionach... ale wydałem ją pod pseudonimem...

— Więc widzi pan! — zawołałem nieopanowanie — jakież to był pseudonim?

— Władywój, panie! To też panu nic nie mówi. Pisałem tak sobie bez specjalnych ambicji literackich; dziennikarzem jestem z przypadku, po prostu zaproponowali mi korespondencje stąd i w ten sposób zarabiam na życie... O, wydałem jakies sześć książek, powieści, nowel... jeśli pana nazwałem kolegą, to raczej, żeby siebie zironizować.

— O, niech pan tak nie mówi!

— Stara się pan mnie pocieszyć, ale to doprawdy nie jest dla mnie ważne... Tylko pański przyjazd nasunął mi pewne wspomnienia... Dwadzieścia dwa lata nie widziałem kraju... a tu się, proszę pana, w gruncie rzeczy parszywie żyje. Za łatwo i cały ten romantyzm i egzotyzm jest do chrzanu. Mam pretensje być w swoim rodzaju inteligentnym, a tu nie jest kraj dla ludzi z pewnymi aspiracjami... Tak, chłop — rolnik, nabiera tu wartości, inteligent marnieje. Pan to spostrzeże prędzej czy później. Ale oto dojeżdżamy do wendy mego przyjaciela Psychy. To bardzo porządny chłop, był dawniej nauczycielem... teraz założył sobie sklep w tym pustkowiu. To jedyny sposób dojścia do jakiegoś dobrobytu.

Na zakręcie drogi stał dom z przybudówką. Tuż przy drewnianym płocie warowały dzikie zarośla, jakby nie chcąc dopuścić dalej. Wokół czerniło się mroczne kłębowisko puszczy; wysokopienne drzewa prowadziły wzrok ku obojętnym pustkom niebios. Okiennice w domu były zamknięte, drzwi do wendy w połowie były przymknięte, a człowiek, który się podniósł zza lady w mrocznym wnętrzu, przywitał nas smutno i sprawiał wrażenie, jakby trwał na stanowisku w tej głuszy. Wenda była uboga: na półkach błaszane pudła od cukierków, dwa siodła, trochę sprzętu gospodarskiego. Na ladzie leżał zwój fumy obok wagi. Psych był wysoki, twarz miał smagłą i ogorzałą, piękne, rozumne oczy i czarną, starganą czuprynę. Mówił cicho. Jego żona miała silną gorączkę i w domu czuło się ciężką chorobę. Mówił o tym spokojnie, ale z przejmującym smutkiem. Żona Wójcika znikła za drzwiami w tyle wendy. Pałac papierosy, w milczeniu podzielaliśmy przygnębienie gospodarza. Należało coś postanowić, bo w tych warunkach nocleg u Psychy byłby trochę nie w porę. Wójcik zaproponował, abyśmy się wybrali do odległego o kilkanaście kilometrów Tres Bicos, gdzie można by zanoć u kowala Potyrały. Pojechalibyśmy na koniach. Psych grzecznie starał się nas zatrzymać, ale w końcu zgodził się nam pożyczyć jeszcze jednego konia, z tym, że Wójcik przyprowadzi mu go jutro z powrotem. Znalazły się również dwa stare siodła. Wyprzęgliśmy konia i bura z wozu, bura przywiązał Wójcik pod słomianym dachem na drągach, osiodłaliśmy oba konie i Wójcik poszedł powiadomić żonę o naszym projekcie.

Zachodziło właśnie słońce, kiedyśmy czekali na podwórku; nad lasem snuły się różowe opary, niebo pokwitło prześwieconymi czerwienią pierzastymi chmurkami. W powietrzu czuło się chłodną wilgoć i tajemna, skondensowana cisza spływała na świat. Czu-



lem się podniosłe i jakby odchodziły mnie złe wrażenia minionej podróży. Grzeszczeszyn powiedział:

— Ładnie tutaj, co? Brazylia ma swoje ładne rzeczy, szkoda gadać!

Od koni wiało zwierzęcym, ciepłym zapachem, a myśl o nocnej jeździe przejmowała mnie pogodnym nastrojem. Wyszedł Wójcik, powiedział: „załatwione” i wsiedliśmy na konie. Bur odwrócił łeb i złośliwie spoglądał na nasz odjazd. W nim coś siedzi, w tym czorcie — pomyślałem zabobonnie.

Pokiwaliśmy rękami do Psychy na pożegnanie i kiedy mijaliśmy bramę, z przeciwnej strony drogi podjeżdżał do wendy ślepy na jedno oko mężczyzna w towarzystwie dwunastoletniego może chłopaka, siedzącego oklep na koniu. Prowadzili ze sobą trzy chude konie i jednego siwego bura. Obrzuciliśmy się wzrokiem i nic więcej. Puściliśmy się kłusem drogą pod górę i po chwili wjechaliśmy w las. Z pół godziny jechaliśmy w milczeniu, słychać było tylko kopyta końskie i brzęczenie wędzideł. Mrok szybko zasnuwał pole widzenia i wkrótce postacie moich towarzyszy majaczyły w niewyraźnych konturach. Zrobiło się chłodno, ale rzeško. Było już na dobre ciemno i trzeba było zdać się na kierunek koni. Raptem na niebie pokazały się jakby świetne pęknięcia, następnie wypełzły seledynowe smugi; czarne, poszarpane pobrzeża chmur gdzieś znikły i ukazał się wspaniały, jasnozielony księżyc; po czym wszystko jakby się nagle ożywiło, chłodna zieleń ubarwiła drogę i las; powiało jakby czarnoksięstwem i w chwili, kiedy zobaczyłem wątłą sylwetkę palmy, która niby kudłata wiedźma drżała w tym martwym poblasku i niewyczuwalnym wietrze — poczułem nagle cały egzotyzm tego nocnego pejzażu. Poprzez szmery z gąszczów jęło coś pukać tu i ówdzie; drzewa zdawały się wydłużać, konie szły raźniej. Niewesoło, a jednak pięknie i w duszy człowieka poczyna się coś dziać. W tę teatralną noc popadłem w roztrząsania nad sobą, wypominałem sobie błędy i diabli wiedzą, do czego bym doszedł, gdyby Grzeszczeszyn nie zrównał swego konia z moim i nie zagadnął:

— Panie, powiedz pan, co się tam dzieje w Warszawie z tymi aktorkami? Jak tam Ordonka? To, panie, talent jest klasa! A Zimińska? O, to fajna czarnulka!... Modzelewska się tak wybiła podobno... Człowiek — panie — dawniej włóczył się po tych różnych teatrach... hoho... znało się niejedną! Albo panie, Smosarska... i w filmie potrafiła tak zagrać... że aż!...

— Co by tu panu powiedzieć na ten temat... grają swoje role w teatrach; nie znam ich osobiście — odpowiedziałem, zaskoczony nieco.

— Bo ja panie... znałem panią Mydową... to ona jest tam taka *zawiedująca*<sup>79</sup> od tych aktorek... Nieraz mi naopowiadała tajemnic z ich życia... to, panie, pękać można ze śmiechu!... Albo taki Jaracz, panie, to aktor jest... że jejej! Sztuka teatralna u nas w Polsce stoi wysoko, hoho...

Nie starałem się podtrzymywać tej rozmowy. Grzeszczeszyn chciał prawdopodobnie uciąć sobie ze mną kulturalną rozmowę... A tu chęci brak! Księżycowa noc, zapachy, palmy.

Urwał i pogrążył się pewnie w jakichś wspomnieniach. Urok jazdy w milczeniu nie trwał jednak długo, bo Wójcikowi też się chciało trochę pogawędzić. Zaczął mówić o tym, jak niejednokrotnie już próbował uchwycić sens życia i że wszystko wydaje mu się takie beznadziejne.

— Więc nigdy nie był pan szczęśliwy? — zapytałem, aby coś powiedzieć.

— O, drogi panie, człowiek nigdy nie jest szczęśliwy — odpowiedział tonem tak poważnym, że mimo woli zacząłem go słuchać z uwagą.

— Nie ma szczęścia, istnieje tylko przyjemność, gdy ucisk zła nieco folguje. Bo na tym świecie istnieje tylko samo zło i kiedy to zło na skutek jakichś okoliczności staje się mniejszym, wówczas nazywamy je dobrem. Spójrz pan, jakie piękno nas otacza! Jedyne, co jest warte, to przyroda! Zadowala ona najsukuteczniej nasze zmysły i jeśli nawet znajdujemy ją ohydną, wówczas także zadowala nas samo to spostrzeżenie. Teraz już się starzeję i sprawy codzienności nie dopuszczają do roztrząsań filozoficznych, ale w młodości przeżywałem potężne niepokoje. Bardzo wówczas pragnąłem spojrzeć umysłem z góry na ten nędzny świat i być może, pojąłbym wiele, gdybym się kształcił, ale groza wojny i nęda

<sup>79</sup> *zawiedująca* (z ros.) — menadżerka. [przypis edytorski]

nie dopuścili do tego. Dopóki ludzkość gnębi wojna i jad ciemnoty, jaki w ludzkość sączy kler, dopóty nie doszukamy się sensu istnienia. Gdybym mógł wypowiedzieć myśli, które czasem snują się w moim umyśle! A co pan o tym wszystkim sądzi?

Z góry muszę wyznać, że ten temat bardziej przypadł mi do gustu niż poprzedni. Ale ostatnie pytanie nieco mnie przeraziło. Wydało mi się, że nie jest to pora i okoliczności do podobnych rozmów. Pomyślałem, że najlepiej będzie wykręcić się dziełami filozoficznymi, które piąte przez dziesiąte znam.

— Wie pan, o tym już wiele pisano. Byli tacy panowie: Locke, Wolter... czytał pan Woltera?

— Przyznam się panu, że nie.

— A to ciekawe, bo gdyby nie istniał Wolter, myśli pana byłyby znacznie ciekawsze! Niech pan sobie to przeczyta; na język polski przetłumaczył to Boy-Żeleński. Ja tymi rzeczami mało się zajmuję i nie szukam żadnego sensu życia. Polegam w zupełności na swoich doznaniach i później na swój sposób je roztrząsam. Zresztą żyję fikcją i pewną wesołą szarlatanerią — jestem literatem. Nie, ja się nie nadaję do podobnych rozmów.

— A szkoda, ma pan myślące spojrzenie.

— Bo też myślę. Tylko w Brazylii przystosowałem się zupełnie do klimatu umysłowego i ograniczyłem znacznie pracę swego umysłu.

Rozmowę naszą przerwał Grzeszczeszyn:

— Panowie tutaj opowiadają sobie takie duperele, a najpierw trzeba lud wyciągnąć z mroków, dać im chleba i wykształcić inteligencję, a dopiero później będzie pora na te kulturalne szmoncesy. Kler, panie, to jest ważna rzecz, co wy gadacie! Ludzie się za bardzo przyzwyczaili do duchowieństwa i te wszelkie nowe myśli szerzą tylko spustoszenia...

Pognałem konia, żeby uniknąć jakiejś straszliwej dyskusji. Urok nocy wkrótce uśmierzyl mój niepokój. Z kwadrans gnaliśmy galopem. Daleko zamajaczyło światelko, znikło; następnie coraz dłużej trwało i w końcu zatrzymaliśmy się koło jakiegoś ogrodu. Wójcik zaklaskał, w domu pojawiła się jasna dziura i wyszedł z niej człowiek z latarnią.

— Hej, czy to wy, Potyrała? — krzyknął basowo Grzeszczeszyn.

— Ociec w domu, a co wy za jedni?! — odkrzyknął mutujący się głos.

— Powiedz, że Wójcik przyjechał i jeszcze dwóch, a my tu zaczekamy!

— Co macie czekać, zaraz wam *portung*<sup>80</sup> otworzę... No, wjeżdżajta!

Zsiedliśmy z koni i nie przywiązując ich, podeszliśmy do człowieka stojącego w progu.

— Ano, to Wójcik!... A ten drugi? Grzeszczeszyn! U, tegom to dawno nie widział! Pana to nie znam — rzekł do mnie, podając mi dłoń. — Właźcie do środka, to wam baba jeszcze da co jedzenia. Jędrus, konie rozsiodłaj i wypuść je na portrerę, a siodła zanieś do *pajora*<sup>81</sup>!

Weszliśmy do czystej i przestronnej izby; oświetlała ją duża lampa naftowa, wzdłuż ściany stała ława, w rogu duży stół. Na ścianie wisały dwie fuzje, na półce kilka rewolwerów.

Z kuchni wyjrzała niemłoda kobieta i dwunastoletnia dziewczynka. Podaliśmy im kolejno dłonie, po czym usiedliśmy przy stole i zapaliliśmy. Przede wszystkim podano nam szimaron. Potyrała, wysoki, chudy chłop z wąsami i dziwnie łagodną twarzą o niebieskich oczach, zapytał nas flegmatycznie skąd i dokąd jedziemy, następnie dowiadywał się o ludzi z Tereziny. Na to wszystko odpowiadał mu Wójcik, aż w końcu, znanym mi już zwyczajem, rozmowa zesłała na tematy społeczne.

Zaczęło się obrabianie na wszystkie boki Suchodolskiego i Janickiego. Do tej rozmowy żywo się wtrącił Grzeszczeszyn i gawęda potoczyła się żwawo, padały jakieś projekty, czasem się lekko przemówili, ale na ogół zajęci byli sobą ogromnie. Zelżało nieco, kiedy gospodyni przyniosła miskę jajecznicy, chleb razowy i talerze. Popijaliśmy surowym mlekiem i po apetycie Wójcika odgadywałem, że jeśli istotnie poszukiwał sensu życia, to właśnie miał go tuż pod nosem. Gadali jeszcze długo, poprzez drzemkę słyszałem rozmaite nazwiska, między którymi czasem pulchnie zadźwięczało nazwisko konsula.

W końcu podnieśliśmy się do spania, wstałem również, zatoczyłem się lekko i powędrowałem przez podwórze do bocznego pokoju, gdzie wskazano mi przyjemne łóżko,

<sup>80</sup>*portung* (z port. *portão*) — brama. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>*pajor* (z port. *paio*) — szopa, stodoła. [przypis edytorski]

świeżo pościelone... Ach, gdzież te niewygody, ach gdzież te niewygody!... Za okienkiem sylwety drzew wrzynały się w granatową górność, gwiazdy po staremu kpiły ze śmierdzącego globu ziemskiego, cisza opadła na powieki i sen łeb zamroczył.

Obudziły mnie jakieś skrzeki za oknem. Słońce waliło tak silnie, że zdawać by się mogło, że to skondensowane, złotopyłne światło rozsadzi pokój. Do skrzeków przyłączył się chrapliwy dzwoneczek i w końcu wyjrzałem przez okno. Na ganku dwie papugi i małka wykrzykiwały na siebie jakieś paskudztwa, sądząc z mimiki i tonu. Wesoły ranek, pogoda na duchu. Wciągam spodnie i buty, wychodzę na podwórze, tutaj stoją Grzeszczeszyn i Wójcik, pierwszy parska w miednicę, drugi wyciera się ręcznikiem, dwa pieski machają ogonami, w kuźni Potyrała majstruje coś przy fuzji, chłopak porusza miech, z chałupy smuży się do nieba świderek dymu. Kury rzuciły się z dziobami na szarą, niemrawą i chorowitą czubatkę, ta wlała pod deski, napuszczona, z wywieszonym językiem. Gwarno i radośnie. Grzeszczeszyn chlusnął poważnym ruchem wodą z miednicy na psy, chwycił koniec wójcikowego ręcznika i począł się wycierać, postękując. Umyłem się, mokry pobiegłem do pokoju po swój ręcznik, zawiązałem krawat i poszedłem na śniadanie. Usiedliśmy we trzech przy stole i zaczęliśmy obmyślać plan dnia. Wójcik rzucił projekt, aby pojechać na *Faxinal dos indios de Catanduvas*<sup>82</sup>, gdzie generał Strzemiński zakupił niedawno nowe tereny pod kolonizację.

— Mamy tam piętnaście kilometrów, lekko wrócimy sobie pod wieczór, a zobaczymy, jak tam się sprawy mają, bo podobno Indianie nie chcą się wycofać z terenów i warto będzie trochę z nimi pogadać. Dla pana też będzie miała sens ta wycieczka — zwrócił się do mnie Wójcik. — Dotychczas oglądał pan same nieciekawe dziury, pełne kłótni i nienawiści, a doprawdy, to pan jeszcze nie widział dziewiczego lasu, który może pana nastroić jako tako pozytywnie. No cóż, zgoda?

Mnie ten projekt odpowiadał; Grzeszczeszyn kwaśno wprawdzie, ale zdecydował się też jechać. W ogóle ten Grzeszczeszyn znów jakoś poszarzał, stał się nieinteresujący. Dawniej chociaż kapryśny i arbitralny, nieco impertynencki, był jednak żywy; uosabiał pewną postać. Teraz smutnawy, rzadko coś powie, gorzko się uśmiechnie... Co ci jest, koteczku?! Może ma wyrzuty sumienia w związku z burem, może Wójcik go przesłania? Diabli to wiedzą! Być może, zawali mi jeszcze w dalszej podróży to i owo.

Śniadanie było jak w pensjonacie: biała kawa, miód, chleb i masło. Zjedliśmy tego dużo. Wójcik poszedł do kuźni powiadomić Potyrałę o projekcie i o terminie powrotu, Potyrała się wychylił i krzyknął:

— Jędrus, konie przyprowadź z portrery, daj im milji i siodła!

Jędrus wybiegł z kuchni z gębą pełną jadła i pobiegł w głąb podwórza. Potyrała przebrał robotę, przysiedliśmy na progu i pałac, mówiliśmy o Faxinalu.

— Wywiedźcie się... — sącył słówka Potyrała. — Jeżeli tam z tej kolonizacji co będzie, a pewnie gówno będzie, bo *bugry*<sup>83</sup> się zacięły, to może bym ja tam wendę sobie założył. Zawsze mnie najbliższej, znam się na tym, a ten stary Suchodolski Jan, co tu obok ma wendę, to jak zacznie drzeć skórę z chłopów, co przyjadą!... Tyle ich obsłuży, co aby dla siebie.

Z zarośli na końcu podwórza wysunęły się leniwie trzy konie; spojrzały na nas niewesoło i powlokły się do drewnianego żłoba z kukurydzą, którą im wyluskiwała z paki dziewczynka.

— Dobrze! Zobaczymy, jak tam — powiedział Wójcik.

— Warto by, bo taki wyzyskiwacz weźmie w łapy i dopiero zacznie hulać na nieobeznanym narodzie.

Pożegnaliśmy Potyrałę, zapowiadając, że na wieczór wrócimy. Jędrus zaczął wynosić ze stodoły siodła. Pomógł nam przy siodłaniu. W oczekiwaniu, aż konie dokarmią się po nocnym pastwisku, obeszlśmy podwórze.

Gospodarstwo było obszerne, czyste i solidne. Na każdym kroku widziało się dobrobyt. Za nami lazła dziewczynka i wyjaśniała różne rzeczy. Wrzeszcząc, przeleciały tuż

<sup>82</sup>*Faxinal dos indios de Catanduvas* — nazwa terytorium oznaczająca: „obszary porośnięte karłowatymi drzewkami i gęstymi krzakami” (tzw. faxinalem, faszyną) na terytorium Indian z Catanduvas. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*bugier* (od *Bugre*) — szczerp indiański południowej Brazylii. [przypis edytorski]

nad naszymi głowami dwie papugi, a po ziemi przebiegła w gwałtownych podskokach, piekląc się, małpka z postrzępionym sznurkiem na szyi.

— To oswojone — wyjaśniła nam dziewczynka... — Małpa nazywa się Kacper, a papugi nijak.

Grzeszczeszyn wcisnął jej w rękę cukierka za te informacje. Przyjęła, ale zawstydzila się dorośle, po kobiecemu, i śmigła do chałupy. Wsiedliśmy na konie, Jędrus otworzył bramę i pokłusowaliśmy w słoneczną, pokrytą przyczajoną czerwienią pyłu drogę. Kręto posuwaliśmy się pod górę. Ukazywały się senne, dałą zamglone doliny, to znów piętrzyły się górskie lasy, zgęszczoną czernią, odcinające się ostro od przejrzystego błękitu nieba. I ciągle oko ocierało się o te dziko obrosłe dale, zięjące upalną tęsknicą, przyzywające, tajemne. W pewnym miejscu, na granatowo zalesionym wzgórzu, daleko, zabieliło się coś kilkoma punkcikami, i wycięta ręką człowieka przestrzeń lśniła się w oddali, niby blizna na zmierzwionej głowie olbrzyma. Tutaj Wójcik opowiedział mi następującą rzecz:

— Tam mieszka pewien Francuz, *conde*<sup>84</sup> la Guiche, człowiek bardzo bogaty i podobno wpływowo we Francji, trochę dziwak, który zakupił na tym odludziu — bo tam nawet trudno się dostać — całą tę górę, pobudował się, sprowadził trochę służby i rządzi niby udzielny książę. Raz do roku wyjeżdża do Francji, ale na krótko, twierdząc, że cywilizacja jest czymś sztucznym, natomiast własną filozofią oddziela od niej kulturę; sprowadza sobie książki, wie wszystko, co się dzieje na świecie, ma u siebie francuskiego kucharza ale mieszka nędznie, rzadko wyjeżdża ze swej pustelni. Jest świetnym strzelcem. Jako kapitan z czasów wielkiej wojny posiada kilka orderów, sam sprawuje sądy. Niedawno zastrzelił jakiegoś kabokla ze swej służby i miał o to wiele nieprzyjemności, ale przecież w Brazylii człowiek bogaty nie jest zbrodniarzem. Tak to sobie życie urządził. Jeżdżą tam do niego różni, nawet podobno jest gościnnie, ale niemiły i arbitralny. Od czasu zastrzelenia tego kabokla szykują się tu na niego, ale podobno trudny jest do załapania na muszkę. Na mnie ten widok sprawia wstrętne wrażenie, a na panu?

— Tak, to jest taki sztuczny romantyzm; daleko i niewygodnie, przy tym — prawdopodobnie brzydki.

— O, to jest prawdziwy arystokrata, moi panowie — wtrącił Grzeszczeszyn. — Nie nawidzi blichtru, przegniła Europa go nudzi, ale jest pobożny i hojny dla kleru.

Rozmowa się urwała. Dość długo widoczne było miejsce pobytu francuskiego arystokraty. Niesmaczna historia. Wystarczyło tam spojrzeć, żeby sobie obrzydzić to antypatyczne miejsce.

— Szkoda, że pan się przedwcześniej źle czuł wieczorem — powiada do mnie Wójcik, nacierając koniem. — Nawet chciałem do pana po zebraniu przyjść, ale Grzeszczeszyn powiedział, że pan taki chory i w ogóle... A ludzie chcieli z panem pogadać, wypytać o Polskę.

— A... tak, rzeczywiście trudno mi było — wie pan...

I jednocześnie patrzę na Grzeszczeszyna. Ale widzę tylko jego skrzywione plecy i za-rośnięty karczek chłystka. Siedział półdupkiem na siodle i jechał uporczywie przodem. Musiał się jeszcze wtedy wymknąć, kiedy zasnąłem. Kreatura, psiakrew!

Zgrzany i zły, zmęczony jednostajnością pejzażu, jechałem w milczeniu. Wyjechaliśmy na płaszczyznę porośłą potężnym borem; szeroka ścieżka wiła się między wysoką, wypłowiałą i suchą trawą, a dalej, po obu stronach mroczyły chłodne ściany dżungli. Właśnie mijaliśmy granicę indiańskich terenów, jak mnie powiadomił Wójcik. Trwała tu nieprzyjemna i jakby podejrzana cisza, a nastrój był taki, że gdyby w gąszczu traw świsnęła strzała i utkwiała mi w plecach, usunąłbym się z konia z uczuciem naturalności tego zdarzenia. Na słonecznym pasie, w oddali, pojawił się krępy człowiek w słomkowym kapeluszu. W rękach coś trzymał. Na nasz widok przystanął, jakby się namyślając, ale po chwili począł iść w naszą stronę.

— *Bom dia, compadre!* — zawołał przyjaźnie Wójcik, skoro Indianin nas mijał. Był niski i krępy, o wielkiej głowie, wąskich oczach i przyplaszczonym nosie. Jego żółtawe, matowe oczy lysnęły ku nam nieufnie. Był bosy, w obcisłych portkach, białych w różowe paski i w brudnej, płóciennej koszuli. W rękach płótł kapelusz ze słomy. Wyglądał jak opalony wieśniak i był diablo nieciekawym. Z pół godziny jechaliśmy klusa, ale kiedy

<sup>84</sup>*conde* (port.) — hrabia. [przypis edytorski]

po lewej stronie pojawiła się płaska przestrzeń odgradzona od drogi parkanem, porośnięta skarłowaciałymi krzakami, pełna badyli, z dużym krzyżem tuż przy parkanie, Wójcik zszedł z konia ze słowami:

— Zejdźcie panowie, bo tu jest cmentarz indiański, pójdziemy go obejrzeć.

Uwiązaliśmy konie przy parkanie i weszliśmy przez wąską furtkę na ziemię posępną i spieklą, z nieruchomymi krzewami, pomiędzy którymi widniały tu i ówdzie małe jamy, szczerzące się zbutwiałym drzewem. Trzeba było ostrożnie iść, żeby nie wpaść w któryś z tych otworów. Wójcik tłumaczył mi, że Indianie chowają zmarłych w kucki, w niegłębokich dołkach; tak, że powinniśmy zobaczyć całe szkielety. Zaczęliśmy myszkować, aż wreszcie napotkaliśmy jamę, przez którą było widać czaszkę i piszczele. Cmentarz ten wyglądał dziko i wstrętnie. Grzeszczyszyn poradził nam, żeby lepiej go opuścić, bo może przechodzić jakiś Indianin, któremu może to się nie podobać. Szybko porobiliśmy zdjęcia i pojechaliśmy dalej. Nic tam ciekawego w gruncie rzeczy nie widziało się i zastanawiałem się, czy warto było schodzić z konia. Droga była ciągle jednakowa. Gdzieś w pobliżu zapał chrapliwie kogut i Wójcik skierował konia w bok, na wąziutką ścieżkę między trawą. Wjechaliśmy między drzewa i po chwili ukazał się obszerny plac z drągiem łączącym dwa płoty; w głębi placu widać było wielki, szary szałas, przed nim kilka świń, dwa konie i parę kur. Kogut zapał powtórnie. Zatrzymaliśmy się przy drągu i Wójcik zaklaskał kilkakrotnie, po czym zawołał:

— Hej, *compadre! O de casa!*<sup>85</sup>

Z szałasu wyrzwał chłopak indiański, cofnął się, po czym w otworze ukazało się kilka obrzydliwych łbów, jeden wysunął się wraz z resztą ciała i Indianin począł biec w naszą stronę. Chrapliwym bełkotem porozumiał się z Wójcikiem; w tej jękliwej portugalszczyźnie zrozumiałem, że Indianin przypomina sobie Wójcika z poprzedniej jego bytności. Odsunął drąg, zesłiliśmy na ziemię i przywiązaliśmy konie do palmy. Mimo powietrza i przestrzeni plac śmierdział, ale kiedy wleźliśmy do szałasu, ujrzałem tak straszliwą, wypartą z wszelkiej oryginalności, zwykłą, jadowitą ludzką nędzę, że mimo woli, przez kilka sekund przeszły mi przez głowę dziecięce marzenia o indiańskich awanturach; wszystkie szalone i barwne opowieści nagle poszarzały, a wyobrażenia z owych czasów dostała sromotnie po pysku. Przy ledwie żarzącym się ognisku leżał na uklepanej ziemi trup z przygasłymi oczami; a wyszczerzone zęby brzęczały ohydny, uporczywym dźwiękiem. Te okropne, bo żywe zwłoki, okryte były wilgotnym łachmanem, obsypanym popiołem, żdźbłami słomy, śmieciem. Indianin, który nas przyprowadził, usiadł w kucki przy popielisku, rozgrzebał kilka tlejących się węgielków, położył trochę drzewa i powiesił nad ogniem obrosły sadzą imbryk. Indianin ten miał twarz w jakimś potwornie zdegenerowanym typie mongolskim; gęste kudły porastające uszy i kark odcinały się od pokrytej kilkunastu włosami twarzy. Przysiedliśmy na niziutkich stołeczkach i z lękiem przyglądając się Indianinowi przyrządzającemu szimaron, skierowałem na chwilę wzrok w głąb szałasu. Była to nad wyraz marna szopa, przez którą słońce kładło pręgi na nierównym klepisku. W kącie, na kupie leżała kukurydza, obok jakieś graty, których przeznaczenia trudno by było mi się domyśleć. Wszystko to pokryte było warstwą pyłu jak w najbardziej nędznej, chłopskiej ruderze. Nieco dalej stała, sięgając pod słomiane poszycie, drabina i koło tej drabiny stał oparty o szczebel dziwaczny, groteskowy elegant. Był to młody Indianin, w słomkowym kapelusiku okolonym czerwoną wstążką. Miał na sobie szare, płócienne portki w granatowe paski, a koszula pod szyją przewiązana była czerwoną kokardką. Był czysty i jakby upozowany. Stał tam już od chwili, kiedyśmy weszli. Zatem stał... i taki... i po co?! — czyżby się gdzieś wybierał? — chyba do lasu, bo w promieniu kilkunastu kilometrów nie było nawet wendy. Wyjąłem z kieszeni pudełko papierosów i poczęstowałem siedzącego przy ogniu Indianina. Wyciągnął papierosa niezgrabnie, pogrubiałymi palcami, zaraz też poruszyły się zwłoki i upiorna rączka także sięgnęła po papierosa. Skierowałem z daleka pudełko w stronę eleganta. Rozwarł wystające szczęki i cichutko zaskuczał. Stał jednak ciągle w miejscu. Podeszedłem do niego, wówczas wyciągnął papierosa i trzymając go w palcach czekał, aż mu podam ognia. Zapaliłem zapalkę, puścił kłąb dymu i zarechotał jękliwie. Wróciłem na swoje miejsce i właśnie w tej chwili Indianin wysunął do mnie rękę z nadgniłą kują. Przeszło mi przez głowę: Ha, już

<sup>85</sup>*Hej, compadre! O de casa!* (port.) — Hej, przyjacielu! Ty tam w domu! [przypis edytorski]

wszystko jedno!... i pociągnąłem szmaronu. Był wściekle mocny i świetny, taki, jakiego nie zdarzyło mi się dotychczas pić. Fircyk stał przy drabinie i palił. Był nieznośny w swojej pozycji, chciało go się zestrzelić stamtąd. Trwało grzeczne i jak mi się zdawało, w swoim rodzaju dystygowane milczenie. Kuja przechodziła z rąk do rąk. Nagle usłyszeliśmy z zewnątrz takie głosy, jak gdyby — choć to się nie zdarza — stado kotek pomiaukiwało. Zaraz też zaczęły wchodzić, jedna po drugiej, Indianki z płachtami pełnymi kukurydzy; płachty te opasywały wąskie ich czoła i ciężar opierał się na plecach. Szybko zsunęły z czoł opaski i przykucnęły wzdłuż ściany. Było ich ze sześć; małe jak karlice, a głosy ich do złudzenia przypominały miauczenie. Fircyk stał na swym miejscu i przyglądał im się cieleco ironicznym wzrokiem. Znów wyciągnąłem papierosy i przespacerowałem się wzdłuż kobiet, częstując je. Przyjęły wszystkie, piszcząc.

— Co mu jest? — zapytał Wójcik Indianina przy ognisku, wskazując na leżącego.

Odpowiedział jęklwym bełkotem, że jest to jego ojciec, chory na malarię, który już od trzech tygodni ma co drugi dzień ataki i pewnie wkrótce umrze z wycieńczenia. Chory przygasłymi oczami o żółtych białkach wodził po nas i za każdym jego oddechem mały tumanik popiołu zrywał mu się sprzed nosa.

— A nie możecie iść po lekarstwa do Tereziny? — zapytał Wójcik.

— ...on nie chce brać lekarstw, chce tu umrzeć... biali znów wyganiają ich z terenu, ale oni dalej się nie ruszą.

Z kąta zapiszczała żałośnie niemłoda Indianka:

— Nas już pędzą od samej Kurytyby, dalej nie pójdziemy... w Brazylii jest tyle ziemi gdzie nikt nie mieszka, to dlaczego nas pędzą... powiedzcie białym, że my się stąd nie ruszymy...

Wszyscy patrzyli na nas małpimi, przymrużonymi oczkami. niesprawiedliwość wobec nich była tak jasna, że nie warto było na ten temat dalej mówić.

— Te kobiety przyszły do was z innych stron? — zapytałem Indianina.

Odpowiedział, że wszyscy tutaj to jedna rodzina; żona, córki, ojciec i syn. Jeszcze raz ogarnąłem wzrokiem szopę.

Pomieszkanie mają — rzeczywiście — pierwotne. Chociaż w Europie też widziałem jednopokojowe mieszkania zajęte przez dziewięć osób. Tylko ta nędza była tak skondensowana, szara, bez kolorytu i to w kraju, gdzie podobno kwestia głodu nie istnieje. Wspaniałe, pyszne słońce i przebogata przyroda otaczała te zgniłe istnienia. Odczuwałem przekorne wrażenie śmieszności na widok cuchnących strzępów dawnych panów tego kraju. Jeszcze raz zapiał kogut, komiczny melodią sielskości, zdrowia, „życia na łonie przyrody”. Powstałiśmy i uściskawszy drewnianą jakby rączkę Indianina, wyszliśmy z szałasu.

Zaraz jednak Grzeszczeszyn zawrócił, wsadził głowę do szałasu i z wewnątrz słyszałem, jak namawiał całe towarzystwo, aby pozwoliło się sfotografować. Indianin odpowiedział, że sfotografowanie jednej osoby kosztuje milreisa. Grzeszczeszyn gwałtownie odwrócił do nas głowę z ożywionymi oczkami:

— Widział pan tych sukinsynów! Po milu chcą za fotografię! Jak to sobie obliczyli? A gównu w maśle, parszywe dzikusy!

— Jak już pan wszczął tę całą historię, to zdejść pan ze dwóch i zapłać te dwa mile.

Głowa Grzeszczeszyna znów zniknęła w szałasie.

— Po pół mila chcecie, to was wszystkich zdejmę!

— Nie, nie — po milu, taka jest cena; obok w toldzie biorą tak samo.

— A to cyganie, ścierwy, indiańska ich mać! — biadał Grzeszczeszyn po polsku. W tymże języku zaprosił ich do fotografii:

— Wyłaźcie! Czarna swolocz, śmierdziuchy, psia wasza mać!

Po chwili opamiętał się i rzekł po portugalsku:

— No to wyjdźcie! Wy i tamten chłopak ze wstążką na kapeluszu i trzy kobiety, tylko młode, lepiej sam sobie wybiorę!

Wszedł do szałasu i po chwili wrócił z trzema młodymi, roześmianymi Indiankami. Ustawił grupę na tle szałasu i polecił nam stanąć między nimi. Stanęliśmy. Pstryknął, nastawił powtórnie aparat i biegnąc do Indian, prosił aby go Wójcik zdjął z kolei.

Gotowe. Ale przy płaceniu wszczęła się kłótnia, bo Indianin żądał za dwa zdjęcia, czyli dziesięć milów zamiast pięciu. Pociągnięci kłótnią, mimo woli weszliśmy znów do szałasu

i zapaliliśmy. Przy drabinie fircyk stał już z powrotem, kobiety usadowiły się na dawnych miejscach. Wreszcie Grzeszczeszyn zapłacił, klnąc obrzydliwie, wszystko, czego żądali i po raz drugi wyszliśmy z szałas.

Kilku chłopaków rozbiegło się na nasz widok. Przyszło mi do głowy, że przecież jakżeśmy tu przyjechali, z szopy wyjrzało co najmniej czterech Indian, a zastaliśmy tylko trzech i jeden był przecież chory, bez sił. Było to jakieś tajemnicze. Wsiedliśmy na konie. Obejrzałem się.

W progu szopy stał z wdziękiem wygięty elegant i barwił się swymi wstążkami na brudnym tle. Poza nim nie było nikogo. Ostro pognaliśmy konie i po chwili wyjechaliśmy na dawną ścieżkę.

— No, cóż — zagadnął mnie Wójcik. — To nie węgwy, mokasyny, pióra i tomahawki, co! Niech mi pan wierzy, że gorzej się dzieje niejednokrotnie na przedmieściach wielkich miast Europy.

— Ma pan słuszność — odpowiedziałem z przekonaniem.

Jechaliśmy prędko, pragnąc nadrobić stracony czas. Droga ciągle była nudna aż do bólu. Żadnego życia, same stężale w upale zarośla, przez całą drogę widzieliśmy zaledwie trzy czy cztery ptaki; i chociaż wiem, że jest ich w tym kraju mnóstwo, ale dziwnie jakoś nie widzę ich na swoim szlaku. Chrapliwie wrzeszczący tukan, który przeleciał nad nami, stał się zdarzeniem, o którym rozprawiałem z Wójcikiem jakieś pół godziny. W ogóle od jednostajności tej drogi aż mdliło. Jeśli zdarzył się zakręt, to byłem pewien że ujrzę tam powtórzenie minionego. Gdybym usnął i obudził się po pewnym czasie, śmiało mógłbym pomyśleć, że spałem na jednym miejscu. Ale wreszcie pejzaż uległ zasadniczej zmianie. Ukazał się solidny most z dachem, zza mostu wyłoniła się pusta przestrzeń z rzadkimi piniorami, ukazał się także jakiś budynek, dość okazały, z gankiem, nieco dalej garbiły się dwie niepozorne chałupiny, na trawie pasły się konie i z przestrzeni tej wiało wietrzną samotnią. Zadudniły kopyta na moście (z dachem), po czym wesoło skręciliśmy w lewo po niewielkiej pochyłości i zatrzymaliśmy się przy płocie obiegającym dom z gankiem. Z domu wyszła mała, pulchna kobieta (Grzeszczeszyn od razu wszczepił się w nią spojrzeniem) a za nią równie drobny mężczyzna z gołą głową, czarniawy na twarzy i potulnie uśmiechnięty. Jego żona, ta właśnie pulchna smyrda z erotycznym uśmiechem pod zadartym noskiem, zakręciła się koło nas żwawo, powiadomiła, że „kapiton” wyjechał do Candido do Abreu i wróci późnym wieczorem.

Para ta była czymś w rodzaju służby i administracji tego posterunku. „Kapiton” był tu przełożonym i opiekunem Indian. Po to też zbudowano ten dom, gdzie się mieściło biuro z telefonem. Z kobiety emanowała nieprzyzwoita chutliwość, zdawała się tylko oczekiwać okazji, aby się wsunąć pod mężczyznę. Ponieważ fluidy te nie pozostały bez wpływu na nasze zachowanie, więc Wójcik tonem surowego przywódcy polecił jej przyrządzić obiad i powiadomił nas jednocześnie, że ta *morena*<sup>86</sup> długi czas zanim wyszła za mąż, zamieszkiwała dom publiczny niejakiej Stefanii w Kurytybie. Wzmianka ta zdawała się jeszcze bardziej podniecać Grzeszczeszyna. Przechadzał się, znów siadał, oczka mu biegały, słowem zachowywał się niespokojnie.

Tymczasem zachmurzyło się, wszystko to, na co patrzyliśmy z ławeczki na ganku, przykro współniało, ciepły wiatr szesał grzywy końskie. Rozsiódaliśmy te konie i puściliśmy wolno, po czym znów usiedliśmy na ganku. Oczywiście piliśmy szimaron, pałac i plotac o byle czym. Grzeszczeszyn zaczął raptem opowiadać, jak kiedyś koło Matto Grosso spotkał Indianina albinosa, który miał osiemnaście lat i był biały jak owieczka, wszystko: włosy, rzęsy, brwi, a oczy czerwone jak u królika. Na piersiach i nogach był też obrośnięty na białą, kędzierzawo. Wypuszczał strzałę z łuku, kładł na ziemi dwa rozsunięte palce, i między te palce strzala wbijała się w ziemię. Było to przyjemne, białe kłamstwo odcinające się na tle ciemności, jaka opadła w tej chwili na ziemię. Wójcik z nudów zatelefonował do Tereziny, zapytał się Suchodolskiego co słyhać, ten mu odpowiedział, że nic i z kolei zapytał, czy się co nie stało. Wójcik zakończył rozmowę powiadomieniem Suchodolskiego, że nic się nie stało. W międzyczasie pobudliwe kobieciątko przygotowało nam gotowaną kurę, jajecznicę na sadle, postawiła na stole butelkę kaszasy i zasiedliśmy do stołu z minami, jakbyśmy właśnie mieli spełniać misję i osiągnąć cel naszej podróży.

<sup>86</sup>*morena* (port.) — brunetka. [przypis edytorski]

Tutaj też po raz nie wiem który, odczułem nieważność wszelkich zamierzeń w tym kraju. W Europie przed pójściem do kawiarni na rozmowę o niczym jest się przejętym; tutaj można by jechać z niefrasobliwym gwizdem wydobywać ojca z niewoli indiańskiej (akurat ci nędzarze zdolni są do tego!) i żadnej atmosfery niepokoju nie odczuwałoby się. To stwarzają: jednostajność pejzażu, długa podróż i te wszystkie postoje z szimaronami.

Nad niesmacznym, mdłym jadłem snuje się między naszymi głowami ckliwy zaduch kaszasy, obok stołu kręci się pobudzające wyposzczoną wyobraźnię żeńskie paskudztwo; w sumie obżarstwo, pijaństwo i cudzołóstwo zdają się siedzieć na ramieniu każdego z nas niby oswojone ptaki. A za oknami żalobny całun jakiegoś niezdecydowanego huraganu. Pod wpływem denaturatu wyobraźnia zaczyna pracować niechlujnie i jakieś mętne porównania spod ciemnej gwiazdy snują się po głowie. Jakby dla podkreślenia groteskowej uczty usiadł w kącie mąż zdziry i zaczął brząkać na gitarze jakąś melodię kaboklerską pełną nikczemnego smutku. Żeby już wreszcie lunął deszcz! Obok męża usiadła kobieta i zaczęła śpiewać głosem gdzieś z bebechów. Odurzony wódką Grzeszczeszyn począł kiwać się nad stołem. Należało przerwać tę zabawę. Wstałem i powiedziałem:

— Moi panowie, jedźmy! Mamy kapy, w razie deszczu nie zmokniemy!

Wójcik wyraził zgodę, ale Grzeszczeszyn zawołał:

— Nie, panowie! Tak wesoło, posiedźmy jeszcze!

Wójcik i ja wybiegliśmy w duszną i pociemniałą przestrzeń, z uzdami w rękach poplącać konie. Pasły się o jakieś paręset metrów od domu. Wróciliśmy z końmi i z dworu krzyknęliśmy na Grzeszczeszyna aby wyniósł siodła i pelegi. Przyniósł je gitarzysta. Zaczęliśmy siodłać. Po niebie przewalały się brudne, opuchłe chmury. Wszedłem do domku, aby zapłacić za obiad i wywołać Grzeszczeszyna. W ciemnym kącie ujrzałem buraczaną plamę sukienki, podszedłem bliżej, rozległ się kobiecy chichot i rozróżniłem Grzeszczeszyna, który był tak zajęty chciwym obmacywaniem kobiety, że kiedy począłem wściekle krzyżeć na niego, aby nieopanowane bydlę jakiej biedy nam tu nie naprowadziło! - mógł przecież wejść mąż — nawet wtedy nie mógł od niej się oderwać, tylko dalej manipulował rozdygotanymi łapami po grzesznym ciałku groteskowej rozpustnicy z tego pustkowiecia. Szarpnąłem go za ramię:

— Puść pan ją, bo wejdzie ten małpizson i postrzeli pana!

Podniecony i rozjąkany odpowiedział:

— Idź pan, wyjdź pan jeszcze trochę... zagadaj pan męża... błagam pana!

Nie wiedziałem, czy śmiać się czy drzeć włosy z wściekłości i sprać mordę temu draniowi. Kobieta — rzeczywiście — stała potulna i z miną, że: „no cóż, mam akurat przy sobie... pozwolę”.

Z dworu doleciał nas odgłos, coś w rodzaju suchego trzasku z którego miał się urodzić potężny huk. Huku nie było, sam trzask. Szarpnąłem Grzeszczeszyna tak silnie, że aż jęknął zdziwionym jakby tonem. Kobieta zapiszczała i klasnęła w dłonie. Uff, bodajby mnie los uchronił od tego obiadu! Od protokolowania tego wszystkiego! Pamiętam, że schodząc z ganku po schodkach i ciągnąc Grzeszczeszyna za rękę jak zadąsanego wałkonia, pomyślałem sobie o tym wszystkim, że przecież fantazja pisarza jest czymś nieudolnym wobec sztuczek, jakie może nam znienacka pokazać rzeczywistość, nawet w tak wyblakłych warunkach, jak tu.

— Co to za trzask? Ciągłe ciemno, jedźmy, cholera! — krzyknąłem naraz do Wójcika.

Odpowiedział, włączając na konia: — Jakiś piorun, ale diabli go wiedzą... nie huknęło!

— Włóż pan na konia! — wołam do Grzeszczeszyna.

— Zaraz przyjdę, zostawiłem tam kapelusz...

— Już ja go panu zaraz przyniosę.

— O, ja wiem... byle tylko nie ja! — posłyszałem za sobą jego płaczący głos.

Upiło się zwierzę i nic więcej. W progu stał babsztyl z założonymi rękami i wierciła mnie czarnymi ślipiami.

— *Siapeo, siapeo, a ki*<sup>87</sup>... — zaskrzeczała.

Podala mi kapelusz, wsadziłem go na głowę Grzeszczeszyna z przykłąpnieniem i kiedy już siedziałem na koniu, przypomniało mi się, że zapomniałem zapłacić tej... tam. Złaziłem z konia i mówię — bardziej w stronę Grzeszczeszyna — wyjaśniająco:

<sup>87</sup>*Siapeo, siapeo, a ki* (fonet. z port.: *chapéu, chapéu, aqui*) — kapelusz, kapelusz, tutaj. [przypis edytorski]



— Muszę jej zapłacić, psiakość, zapomniałem...

— Tak, ja już znam takich, co zapominają jak trzeba... i co kolegom wydrapują dzięwuchy spod....

Nie słyszałem, co tam dalej mówił, tylko stanąłem na ganku i zacząłem wywoływać kobietę. Stała w ciemnym progu i śmiała się. Pokazałem jej banknoty. Potrząsnęła głową, że nie chce. Położyłem dziesięć milreisów na widocznym miejscu i podbiegłem do konia.

— Nie szczełaby pan głupstw! — wrzasnąłem do ucha Grzeszczeszynowi.

Popędziliśmy ścieżką w czerni, w stronę mostu. Usunął nam się z drogi jej mąż i krzyknął:

— *Ate logo, senhores*<sup>88</sup>!

Jechał cię sęk, sutenerze z dżungli! Przeskoczyliśmy most jak szatani i jechaliśmy dalej galopem, z powiewającymi niby skrzydła, połami kap. Wreszcie solidny piorun przerwał tę atmosferyczną obstrukcję, błyskawice zaczęły krajać niebo i chlusnęło takim łachem wody, że aż konie przysiadły na zadach. Skręciliśmy w krzaki, zeszliśmy z koni i trzymając je za uzdy, przykucnęliśmy blisko siebie, nakryci kapami, niby brunatne kopce. Lało z taką siłą, że czuliśmy ciężar spływającej wody po plecach. Pod kapami było ciemno i śmierdziało wypitą kaszasa. Wyjąłem papierosy, poczęstowałem i zaczęliśmy puszczać sobie dym w nosy.

— Pan to jest jakiś jak nie z tego świata — szepnął do mnie Grzeszczeszyn z wymówką.

— Siedz pan cicho lepiej, na wszystkich postojach będziesz pan bajzle urządził! — krzyknąłem.

— Oj, panowie! Dajcie spokój, bo przecież i tak mało nie skończyłem ze śmiechu — wykrztusił Wójcik.

— Pan to jest taki zazdrosny o wszystkie baby... pies gnata nie zje i drugiemu nie da — wtrącił znów Grzeszczeszyn.

— Uspokój się pan, mówię panu... Jesteś pan nieopanowany erotoman!

— O, już zaraz takie naukowe określenia... na drugi raz niech pan się lepiej nie wtrąca!

Nie miałem już sił przemawiać się z nim dalej. Buty nasze po kostki pływały się w kałuży. Zerknąłem spod kapy na świat. Gdyby nie szum deszczu i kanonada piorunów, człowiek z fantazją mógłby pomyśleć, że znajdujemy się na dnie jakiegoś stawu. I nagle — jakby wstrzymana gestem jakiegoś dyrygenta — cała ta awantura ucichła; coś niewidzialnego zdmuchnęło z nieba chmury, na mokrą roślinność padły promienie słońca, zaśniło, błysnęło tu i ówdzie, konie uniosły lby, słowem zrobiło się jak po burzy z tymi wszystkimi akcesoriami: „ożywcze powietrze, zapachy, krople opadające z listka na listek”. Zegarek wskazywał godzinę piątą. Przewidująca dłoń Wójcika odwróciła pelegi włosiem pod spód, dzięki czemu nie zmokły i uchroniły siodła.

Człapaliśmy w pogodnych usposobieniach, w słońcu, ptaszki gdzieś gdzie się odezwały, deszcz zdawał się splukiwać wrażenia z kapitońskiego domku na Faxinalu.

— Oj, chłopcy, chłopcy! — wykrzyknął z wesołym pobleżaniem Grzeszczeszyn.

Ano, dzięki Bogu, że nasz donżuan nabrał humoru! Jedziemy dalej niby jacyś partyzanci; i diabli wiedzą, czego my tu szukamy w tej ogromnej krainie. Badacze i podróżnicy? A toć przejeżdżamy miejsca zbadane! Może obyczaj? Żeby to chociaż pomieszkać trochę między tymi wszawymi Indianami; ale kto by na to miał ochotę! Zwykle włóczęgi, obji-lasy, oto kto my jesteśmy. Popędziliśmy znów żwawo, aż bryzgi błota padły na wilgotne krzaki. Obojętnie, ze zwieszonymi głowami, uskoczyli nam z drogi: dwie Indianki i jeden Indianin. Ciemnieje, robi się chłodno, monotonne podrywki na koniu zwalczają zmęczenie, po głowie snują się marzenia; chciałoby się usiąść z czysto ubranymi, dowcipnymi ludźmi, pogadać, pośmiać się... I po co się ty tłuczysz po tych wertepach, młody człowieku? Bieda cię jaka wyrwała z kultury, zdarzenie lub potrzeba? Oh, głupio i mętnie, i nieciekawie, jak nieciekawie są te dwa zady końskie, pokryte zwisającymi z ramion moich towarzyszy kapami. Pokazały się dwa zapamiętane znaki: zwalony i najeżony sękami pień piniara, potem dwie olbrzymie, zrosnięte ze sobą imbuie. Zaznaczyła się bliskość zagrody Potyrały. Ci dwaj przede mną ożywił się, zaczęli mówić przytłumionymi głosami o jakimś wendziarzu, co chce zostać prefektem i nie wiadomo czy zostanie... Koń mi

<sup>88</sup>*Até logo, senhores* (port.) — do zobaczenia, panowie. [przypis edytorski]

się potknął, poprawiłem się w siodle, coś mnie uwierało... Stanęliśmy. Jędrus wyskoczył z latarką...

— A, zara wam portung otworzę!

Zatoczyłem się na zdrętwiałych nogach, koń odszedł ode mnie gdzieś w ciemność, wszedłem do izby. Tak samo jak i wczoraj, tylko jacyś nowi ludzie. Piją szimaron. Witam się kolejno; między kilku palącymi, rozgadanymi chłopami rozpoznaję jednookiego, tego co podjeżdżał do Psychy w chwili naszego odjazdu. Wysoki, smagły i zbójcecki, z błyszczącym — jakby i za to utracone — okiem, podał mi rękę nie przerywając tego, co mówił. Wydał mi się jakiś potrzebny, toteż zapytałem Potyrałę na boku, jak się nazywa.

— To jest Dąbski, możecie się z nim zabrać do Candido de Abreu. Skupywał konie na handel i teraz wraca do domu.

Znalazłem sobie miejsce obok Dąbskiego i zaraz ujrzałem, jak Grzeszczyszyn coś go tam wypytywał z rozbieranymi oczkami. Jakże różnie wyglądali ci dwaj; jeden zuchwały, hajdamacki; drugi jakiś mdły, przechytrzony. Między kolanami Dąbskiego stał znany mi już z widzenia, dwunastoletni chłopak i z śmiałą, poważną miną rozglądał się po obecnych. Kilku mężczyzn ustąpiło nam miejsca przy stole i zasiedliśmy razem z Dąbskim i jego synem do kolacji. Dąbski spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem: drwina pomieszana z szacunkiem. Jadł kilka minut łapczywie, mrużąc jedyne oko, czasem odsuwał na brzeg talerza kawałek mięsa i wskazywał go chłopakowi. Był brudny, jak to ludzie prości w podróży; skudłane włosy nosiły ślady przygodnych noclegów, zgrubiałe, przeżarte brudem palce łakomie rwały pajdy chleba. W pięciu tworzyliśmy przy stole osobne towarzystwo, bo pozostali mężczyźni, sąsiedzi Psychy siedzieli pod ścianą dyskretnie i pili szimaron, paląc ciągle i gadając o swoich codziennych kwestiach. Dąbski odsunął pusty talerz, popił kawę, odsapnął i począł krajać fumę na papierosa. Spojrzał na mnie jakoś boczkim i zapytał:

— Pan niedawno z Polski?... z jakiej guberni?

— Mieszkam w Warszawie, panie Dąbski.

— A lubelskiego nie zna pan? Ja z lubelskiego, na Tatarach mieszkalem, na folwarku u Borzęckich służyłem i stamtąd tu wyemigrowałem. Zna pan lubelskie?

— Sam Lublin znam, lubelskiego nie!

— A teraz chce się pan trochę przejechać po Brazylii... Grzeszczyszyn mi mówił... my teraz z końmi będziemy jechać do Londriny, z dziesięciu chłopów. Jedni końmi pohandlować, drudzy wywiedzieć się o ziemię, bo tam teraz kolonizacja ciągnie, do Anglików... ziemia tam dobra. Tylko że droga to ciężka, bez wygod, *pikadami*<sup>89</sup>, spania marne, do życia sama tylko pasoka, ryż z fizonem od święta i kawa. Zapłacicie, to wam o siodła się wystaram, a co do koni, to już mniej kłopotu, bo kilkadziesiąt, całą *tropę*<sup>90</sup> będziemy prowadzili. Jak tylko pogoda zaniesie się na stałe, zaraz chłopci mają zjechać od Hervalzinho, u mnie się mają spotkać i zaraz jedziemy w selve. Tylko namyślcie się panie, bo powiadam wam, że będzie ciężko, utrudzicie się. Droga jest mało znana, przez ogromne lasy i znają ją tylko bracia Sawczuki z Hervalzinho, którzy już ze dwa razy tamtędy jechali. Namyślcie się dobrze, tobyśmy jutro wyjechali do Candido, tam mam dom, moglibyście pomieszkać, aż tamci zjadą i hajda. Dla nas im więcej ludzi, to tym lepiej, bo i broń pewnie macie, a strony dzikie. No i co powiecie?

Porozumiałem się wzrokiem z Grzeszczyszynem co do tej gratki, bo zarówno jemu, jak i mnie, taka właśnie podróż się uśmiechała. Może się nareszcie coś zobaczy w tej Brazylii. Ostatnie słowa Dąbskiego brzmiały zachęcająco. Do rozmowy wtrącił się Wójcik:

— Ja myślę, że to będzie dla was najlepsze, poznacie kawał kraju, a trochę niewygód tylko dobrze wam zrobi. Gdybym miał czas, sam bym się z wami zabrał. Radzę wam korzystać z okazji!

— Ja chętnie z wami pojadę — powiedziałem do Dąbskiego.

— No to zabieramy się jutro na razie do Candido z Dąbskim, tu nie ma się co namyślać — wtrącił Grzeszczyszyn.

— W drodze się jeszcze co do różnych rzeczy namyślimy — powiedział Dąbski, ziewając.

<sup>89</sup>*pikada* (z port. *picada*) — droga leśna. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>*tropa* (port.) — stado koni lub bydła. [przypis edytorski]

Słowem sprawa ułożyła się jak najpomyślniej. Byliśmy tak pomęczeni, że trudno było dalej roztrząsać ten temat. Rozeszliśmy się senni, każdy na nocleg jaki przygotowała Potyrałowa. Leżałem już rozebrany w swoim wczorajszym pokoju, kiedy przyszedł do mnie Grzeszczeszyn w kalesonach, cały rozchełstany, drapiący się, po czym przysiadł na łóżku i zaczął mówić:

— Ja panie, o tej samej drodze myślałem, tylko że we dwóch byłoby nam ciężko. W czepkach żeśmy się rodzili. Ale teraz panie, musimy się trzymać jak bracia, bo to towarzystwo nie wiadomo jakie, a naród zuchwały, skoro się na takie drogi puszcza. Musimy dobrze uważać, żeby nas nie wykołowali. W Candido trzeba broń dobrze oporzędzić, amunicji nakupić, bo nie wiadomo, co wypadnie. Nie bój się pan nic, już przy mnie włos panu z głowy nie spadnie. Bylebyś pan tylko się mnie jako doświadczonemu podporządkował. Może być polowanie, mogą się i bandyci przytrafić. Co, śpisz pan?

Odpowiedziałem sennie, że właśnie zasypiam.

— No to śpij pan, zdrowo, mocno. Dotychczas były same duperelki, teraz się dopiero zacznie. Gute nacht, panie Łóniłowski!

Szu, szur... poszedł.

Nowy dzień okazał się wietrzny, przezroczysty i choć bez słońca — białawy. Dużo jest smutku w takim dniu i człowiek wrażliwy czuje się sieroco i skłonny jest do spełniania dobrych uczynków. Leniwie ubrałem się, umyłem niechętnie i wyszedłem na podwórze. Okazało się, że jest dość późno — około dziewiątej. Przy żłobach stało kilka koni i burów, chrupiąc kukurydzą. Koło tych zwierząt chodził Grzeszczeszyn, patrzył im na kopyta, zaglądał w mordy, odskakiwał, doskakiwał... Za sztylpą miał wetknięty jakiś patyk. Tak zajętego nie należało zaczepiać. Dąbski z chłopakiem głośno przemawiali się o coś z Potyrałą, chłopak podskakiwał, okręcał się na pięcie, też nic mi do nich. Wiaterek śmieci poganiał, kury sennie gdakały, obie papugi skulone i nastroszone siedziały na herwowym drzewku, chwilę wypatrywałem małpy, w końcu postanowiłem pójść na śniadanie. Przy płocie stał Wójcik z trzema końmi, więc podszedłem do niego:

— Szarawo dzisiaj jakoś — zagadnałem.

— A to i lepiej bo będzie wam chłodniej jechać. Ja tu myślę czy te habany związać czy jak, bo jeszcze mi nie pójda!

— Niech pan je weźmie na linkę i trzyma przy siodle swojego konia, to najprościej!

Posłuchał mojej rady, kiwnął głową, ale ja nie byłem zadowolony, że się w to wtrąciłem. Niesmak, ironia... co ty mieszczuchu o tych sprawach możesz wiedzieć!

— Bardzo żałuję, panie Wójcik, że się musimy rozstać — odezwałem się z przekonaniem.

Położył mi rękę na ramieniu i pokazał swoje nieładne zęby w miłym uśmiechu.

— A, jeszcze się tam kiedy spotkamy... w Kurytybie, albo bodaj i w Polsce! Jak się pan tak przejedzie selwą, poje byle czego, ochwaci tym przereklamowanym egzotykiem brazylijskim, to pan dopiero uzna piękność tamtego kraju. Ludzie — panie — zachwycając się Brazylią mają na myśli Rio de Janeiro, a Rio ma niewiele wspólnego z interiorom, jest piękne, a więc całkowicie inne... Bądź pan zdrów! Trzeba mi ruszać, bom tam żonę i dzieci zostawił... Szkoda, że nas wczoraj ta burza chwyciła, bobyśmy pojechali lepiej zobaczyć Faxinal, chociaż, diabła tam! Wszędzie on jednaki!

I pojechał sympatyczny pan Wójcik, a ja poszedłem do izby, począłem jeść i pić w oćmie, wprost przykry samemu sobie. Przez otwarte drzwi gapilem się na podwórze. Dąbski krzątał się koło koni, rozsunał im równo kukurydzą w żłobie.

Grzeszczeszyn siodłał siwego bura, kolaniem oparł się o jego brzuch i ściągał popręg. Zastanowiłem się, skąd wzięły dwa siodła i zaraz ze wzruszeniem przyszło mi do głowy, że to Grzeszczeszyn wystarał się o nie u Potyrały. Należało to wyjaśnić. Dopilem kawę i podszedłem do niego.

— Skąd pan dla nas wykombinował siodła?

Odwrócił do mnie zaczerwienioną z wysiłku twarz.

— Potyrała pożyczyl do Candido de Abreu, a stamtąd ma mu je przywieźć pocziarz, Dolski. Już nic się pan nie bój, wszystko będzie gut!

Wciąż te pożyczki — pomyślałem z niechęcią. Należałoby już w końcu pokupować co należy. Pochyliłem się nad siodłem przeznaczonym dla mnie; było ogromnie zmarnowane i brak było do niego futrzanej pelegi.

- A pelegi nie ma?  
— Jest tylko jedna, będzie pan musiał podłożyć sobie kapę.  
— Którego konia mam sobie osiodłać? — zwróciłem się do Dąbskiego.

Wskazał mi kościstą kobyłę i roześmiał się drwiąco:

- Wytrzyma pod panem, a w domu ją się podkarmi!

Było nieco upokarzające jechać na takim szkielecie, ale trudno! Z zazdrością spojrzalem na czerwoną pelegę Grzeszczeszyna. Osiodlałem swoją kobyłę, odszedłem i obejrzałem się; przyglądała mi się badawczo i z lękiem. Przykro. Obok mnie przebiegł Jędruś pędząc ogromną, spasioną świnię.

- A gdzie! *Desgrasado*<sup>91</sup> *kapado*<sup>92</sup>! Gdzie gnasz, ścierwo...

Oparłem się o okno kuchni i poprosiłem Potyrałową o rachunek za dwa noclegi i jedzenie. Miała przygotowaną cyfrę dwudziestu milreisów. Zapłaciłem z niechęcią. Nie ze skąpstwa, ale trochę gościnności... coś... tego. Chłopak Dąbskiego siedział oklep na koniu i odpędzał całą tropę od żłobu w stronę bramy. Zapamiętałem, że kiedy pierwszy raz zobaczyłem Dąbskiego, miał trzy konie i jednego bura; teraz pognało przed nami siedem koni i dwa bury, nie licząc tych, na których siedzieliśmy. Obrotny handlowiec, swoją drogą! Na tym krótkim i niezamieszkałym odcinku od Psycha do Potyrały dokupił jednak kilka sztuk.

Jechaliśmy słuchając monotonnych okrzyków małego Dąbskiego:

- O! O! Ooo!... O, o, ooo!

Zwierzęta często przystawały na uboczach, pojadały takuarę, skręcały nagle w las. Trzeba było je znów spędzać na drogę, w czym mimo woli brałem udział.

- O! O! Ooo!...

W końcu jednak jechaliśmy spokojnie, pędząc przed sobą zgodne stado. Było chłodno i zwilgotniała droga nie puszczała kurzu. Najpierw ukazał się jakiś znajomy zakręt, potem widziane jary i kiedy z daleka zabieliły się domki Conde la Guicha, wiedziałem, że to wczorajsza trasa. Nie rozmawialiśmy i jedyne odgłosy to były: „O! O! Ooo!...”, oraz gniewny lecz rzadki okrzyk Dąbskiego. Wjechaliśmy na tereny Indian, ukazał się cmentarz. Było — było... Zapiał kogut, wiadomo — szopa blisko... Jazda dalej... most z dachem, domek kapitoński — porozumiewawcze mrugnięcie Grzeszczeszyna w moją stronę — łączka, piniory, stop! Tutaj Dąbski zarządził odpoczynek. Poziadaliśmy z koni. Zdeterminowany, położyłem kapę pod płótem i usiadłem sobie.

— Niech tam pana *jararaca* nie dziabnie w zadek! — zawołał wesoło Grzeszczeszyn, wchodząc do domku, gdzie zacerwieniła się sukienka wiadomej istoty.

Nagle uświadomiłem sobie moje męczeństwo. Począłem kłąć pod nosem na całego. Już ja się tam więcej nie pokażę! Odgrzewane widoczki, tak! Może i wczorajsza sytuacyjka też się powtórzy, taka a taka mać! Rżał przecież, jak wchodził, a tamta też mignęła. Posępnie patrzyłem w dal. Ten i ów z koni tarzał się, jakiś bur idiotycznie zakwiczał czy zawył... Oto i los mój, nerwowy jestem czy co? Siedziałem tyłem do domku i posłyszałem za plecami energiczne kroki. Ujrzałem pochyloną nad sobą, wąsatą, ognistą twarz. To stał „kapiton” od Indian.

— Dlaczego pan nie wejdzie do środka? — mówił przyjemnie, choć po portugalsku... — Podobno byli tu panowie wczoraj, niestety, nie wiedziałem... proszę bardzo, przekąsimy coś.

Zapraszał tak przekonującym tonem, że podniosłem się trochę zawstydzony i wlałem do znanego mi już pokoju. Przy stole poważnie rozmawiali Dąbski i Grzeszczeszyn, kobieta smażyła coś przez ścianę, „kapiton” prosił mnie siadać, usiadłem, rozejrzałem się, po chwili kobieta przyniosła jajka, chleb, butelkę... — a niechże to szlag trafi!... — kaszasy! Postawiła to, ale jakaś zarozumiała, bez cienia wczorajszej wilgotności. Jej mąż siedział pod oknem i zamiast grać na gitarze strugał kawałek drzewa. „Kapiton” był w typie huźra węgierskiego; żywe oko, przystojny! Był bardzo uprzejmy, podsuwał, częstował. Długo wykręcałem się od picia, naklonił — wypilem. Brr. Zaczął mi stawiać śmiałe pytania:

- Polacy? Mocni w Paranie? Pracowity naród, umieją przetwarzać?

<sup>91</sup>*desgrasado* (port.) — nieszczęsny, przeklęty. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>*capado* — kastrowany wieprz. [przypis autorski]

Potakiwałem. Wizyta ta odbyła się bez *pointy*, chociaż moje przewrażliwienie oczekiwało, że coś się stanie. Dopiero teraz, kiedy je obcierał, zauważyłem, że Dąbski ma wąsy kasztanowe, kozackie — w dół. Dziw! Te wąsy prosiły się przecież, aby je widzieć. Coś mi jest.

— *Até logo, muito obrigado, senhor capitão*<sup>93</sup>.

Odjechaliśmy dziarsko, w tętnie wielu kopyt, gnając tropę przed sobą. O! O! Ooo! I ja w tym — groteskowy *gaucho*<sup>94</sup>. Było południe, słońce bladziutko słało się po świecie. Wyjechaliśmy na dość szeroką drogę, po obu stronach ściany lasu, było... było... nic nowego! Podeszło, spod kopyt tropy wzbijały się lekkie tumany czerwonego kurzu, co to będzie, jak na fest wyschnie. Jadąc, myślałem o takich sprawach, o których się najlepiej myśli w przytulnym gabinecie, z telefonem pod ręką, z możliwościami. Myślałem więc o kulturalnych sprawach, a wszystko wokół — wprost inaczej. Trzęsionka na koniu, kurz, tajemne dale, zwisający z siodła Grzeszczyszyn, chłopak: O, o, ooo!... Dąbski, ustawicznie skręcający papierosa. Może to i zdrowo, takie: inaczej! Ale tam — grzeczni, przyjemni ludzie, koledzy, myśl ciekawa... I gdyby to wojna — myślę — front, potrzeba jakaś gwałtowna... a tu jedziesz, dokąd? Po co? Ach, to przykre „po co?”.

Dąbski zrównał się z moim koniem, począł gadać, wspominając:

— Nie zna pan lubelszczyzny, szkoda — brata tam miałem, był stangretem u komisarza policji, w samym Lublinie... też go pan nie znał? To był piorun nie chłop, ale raz, zgrzany, napił się zimnego piwa i umarł tak głupio... U Borzęckich folwark był ładny, ale na podłej człowiek był służbie... teraz mam więcej ziemi niż cały ten folwark i sam sobie pan... wolny człowiek! Tylko żona... oj, ta to aż skowyczy za krajem... Córki, panie, go nie lubią... czują tylko pismo nosem; że tam bida, i niewola dla chłopca, i podatki... Wiadomo, kraj potrzebuje... Dziewczyny... jak szóstki — panie! Spójrzy na chłopca — kolana trze! Ano, wydam... i posag dam, byle tylko nie jaki latek. Wdały się w ojca, choć ślepy! Ale ja lepiej widzę niż inny z dwoma... wybili — panie! W bitce, szkotą, ale ja go całego wpakowałem do ziemi! Tak, cztery lata temu... Te, Michał! Gdzie bury leżą! Pognaj no za nimi. O! O! O!... Czekać pan, bo się sukiny w kapuejrę rzuciły.

Pocwalał naprzód. Grzeszczyszyn huknął wesoło, obrócił się w siodle, nogi mu zwisły na bok burą, po babsku.

— To jest jazda, panie! Wesoła... nie bój się pan nic.

Spojrzałem na niego pustym wzrokiem i zapaliłem papierosa. Tropa uporządkowała się, Grzeszczyszyn usiadł jak należy, jechało się dalej w kurzu i w spokoju. Krajobraz zmienił się; granatowe plamy lasów cofnęły się do tyłu, na spotkanie oczom wybiegła przestrzeń, ukazały się drzewa pomarańczowe, ukryte między nimi chałupy; czerniły się spalone rosy, przejechaliśmy most, rozwidlały się drogi, skręciliśmy w prawo, ożywiło się. Przed jakąś zagrodą Grzeszczyszyn zatrzymał burą i przez zwiniętą dłoń huknął w stronę chałupy:

— Hej tam, *o de casa!*... Hej tam z domu!

Przez okno widać było ludzi przy posiłku, porwali się od stołu, biegli do Grzeszczyszyna; mężczyzna, dwie kobiety, dzieci...

— Ano, powiedzcie mi, jak się to drzewo nazywa, bo go nie znam!

Mężczyzna z gołą głową obtarł rękawem usta, zdziwił się, przygarbił, jedna z bab ujęła się pod boki, mężczyzna zachichotał i rzekł:

— Nazywa się ono *loco*<sup>95</sup>, oto teraz wiecie?...

Całe towarzystwo zatoczyło się od śmiechu.

— No, nie żartujcie, przecież pytam! — powiedział Grzeszczyszyn już niepewnym głosem, ale zaraz szarpnął konia w bok, bo chłopcy zaczęli zbierać z ziemi pomarańcze. Jedna z nich trafiła Grzeszczyszyna w plecy, mój koń także dostał w brzuch, uskoczył. Dąbski wrzeszczał:

— Co panu padło tu, czy co! Co to było?

Grzeszczyszyn odwrócił poczerwieniałą twarz i syknął:

<sup>93</sup>*Até logo, muito obrigado, senhor capitão* — Do widzenia, bardzo dziękujemy, panie kapitanie. [przypis autorski]

<sup>94</sup>*gaucho* (port) — południowoamerykański pasterz była, odpowiednik północnoamerykańskiego kowboja. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>*loco* — głupiec. [przypis autorski]

— Eh, to chamstwo...

— Jak to chamstwo!... Czego pan ludzi rusza od jedzenia i kpiny sobie pan z nich wyprawia... pokazuje pan na drzewko herwowe i pyta pan, jak się nazywa! Co to, sam pan jedzie?

Wtulił głowę w ramiona i jechał. Zrównałem się z nim i krzyczę mu do ucha:

— Pan naprawdę chce oberwać... to miało być coś wesołego, co?!

— Ale panie, ja naprawdę nie poznałem, że to herwowe — rzekł potulnie.

— Pan jest idiota, rozumie pan! — krzyczałem. — Dobrze panu odpowiedzieli. Oto jak się to drzewo nazywa... już niech mi pan tylko tutaj aby nie przesoli!

Puściłem go naprzód. Zdenerwował mnie zdrowo. Doprowadził do wybuchu. Psia-krew! Co to za stwór jakiś dziwny. Po raz nie wiem który postanowiłem go zbić przy jakiejś okazji. Uspokoił się. W pewnej chwili napotkałem wzrok Dębskiego; pokazał palcem na czoło. Tropa znów zawieruszyła się gdzie nie trzeba i całe to zdarzenie zamazało się. Po jakimś czasie podjechał do mnie Grzeszczyszyn i zaczął bąkać:

— Ja to — wie pan — z ciekawości... myślę, a nuż coś ciekawego, zapiszę, zbieram nazwy do książki o Brazylii... Jestem impulsywny, nie zastanawiam się... to, panie, chamy... myśleli, że z nich kpię... musieli wszyscy wybiegać? Nie wystarczyłby jaki chłopak?... Wszedłbym od razu do chałupy, ale zwyczaj... trzeba wpiery wywołać z domu... Niech pan o tym zapomni... To chamy, panie!

W oczach mu jednak igrał jakiś ironiczny płomyk i ten jego płaczliwy głos też był jakby drwiący. Cóż to za dziwny człowiek jest ten Grzeszczyszyn... a jeśli kiedy wyprowadzi mnie z równowagi... obawiałem się tego... jak postąpi jeśli dam mu pięścią w szczękę? To było niepokojące. Tymczasem uspokoił się i nawet rzucił coś wesołego w stronę Dębskiego. Po chwili wyjaśnił mi, niepytany, że jedziemy po linii kolonii Palmital. W pewnym miejscu, w dole szarzały zabudowania młyńskie i dzwonił tartak. Uwijali się ludzie, błyszcząca rzeczka. Martwota wyraźnie usuwała się z krajobrazu.

— To Polacy — szepnął mi Grzeszczyszyn tonem pocieszenia.

Z drzew wystrzeliła nagle wieżyczka. Dąbski krzyknął wesoło do syna:

— Ganiaj Michałek do chałupy, matka z pyzami czeka!

Droga poszerzała nagle, przemieniła się jakby w trakt, w poprzek którego przebiegał pas domów, malowanych przeważnie wapnem na biało i krytych często czerwoną dachówką. Tam gdzie „ulica” spotykała się z traktem, stał wielki, na wysokich fundamentach dom, z piętnem dzikiej prowincjonalności na obitych blaszanymi reklamami ścianach, z drzemiącymi przy słupach końmi, jucznymi burami, kręcącymi się między nimi ludźmi ubranymi z fantazją, w zawadiacko przewiązanych chustkach na szyjach, z szkikotami, zwisającymi z przegubów rąk, z rewolwerami wystającymi lufami spod marynarek. Zbójcecki urok wiał od tej wendy. Ludzie stojący w drzwiach patrzyli na nas ciemnym wzrokiem spod wyszmelcowanych kapeluszy; obawiałem się, że rzucą jakieś ironiczne słówko, że trzeba będzie: „do korda<sup>96</sup>, panowie!...” A najbardziej niepokoił mnie Grzeszczyszyn, który wyraźnie pokazał im ręką banana i zarechotał rubasznie, na co w odpowiedzi gruchnęła salwa śmiechu ze strony — tak mi wyglądał — bandytów i dały się słyszeć wyrazy:

— *Que isto, barbaridade! Desgrasado luoco... hehehe!* (Co za przekłety głupiec... blondyn...).

Grzeszczyszyn zdjął kapelusz i zawołał:

— *Como vae, rapazes! Bom dia!* (Jak się macie chłopcy! Dzień dobry!)

Znów się zaśmiali, któryś odpowiedział: *muito bem*.<sup>97</sup>, ale już Dąbski nacierał koniem na Grzeszczyszyna i krzyczał:

— Jedź pan, jedź pan! Znów pan zaczynasz!

Skręciliśmy w ulicę i zaraz naprzeciw wendy, spomiędzy dwóch stojących blisko siebie domów, wybiegła smągła dziewczyna w kusej sukience i otworzyła nam bramę, wołając: „O, tato przyjechali!” Zsiadliśmy z koni. Dąbski zaczął się całować z tęgą kobietą, uściśnął smągłą dziewczynę, przyleciała druga, też ją uściśnął, zaczęły się okrzyki, zapytania, gwar, śmiechy. Chcąc przeczekać powitania, wyszedłem przed bramę i rozejrzałem się

<sup>96</sup>kord (starop.) — krótki miecz. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>muito bem (port.) — bardzo dobrze. [przypis edytorski]

po mieście. Domów mogło być z pięćdziesiąt, ciągnęły się wzdłuż szerokiej ulicy, która ginęła za wzniesieniem. Całe to Candido de Abreu ziało brudem i zaniedbaniem, słowem głuchą i nędzną prowincją. Jedyne koło wendy panował pewien ruch, dalej martwota, samotnia. W Polsce spotyka się często takie beznadziejne, żydowskie miasteczka.

Ha! — pomyślałem sobie — miejscowość znów mi się udała, nowy paciorek do mego czarnego różańca. Wróciłem na podwórze. Przywitałem się z rodziną Dąbskiego: z żoną, tęgą, chytrą kobietą o nieufnym wzroku, z chudymi, czarniawymi córkami, które przy podaniu ręki zakrywały sobie usta i ponuro spuszczały oczy, następnie z pięcioletnim chłopakiem na pulchnych, krzywych nogach, który uciekł na mój widok świecąc gołym tyłkiem. Wszystko to zaraz zniknęło w mrokach jednej z chałup, a my trzej i Michałek poczuliśmy zdejmować siodła z koni. Zaraz jednak Dąbski pozostawił tę czynność tylko nam dwóm, bo Michałka posłał po kukurydzę, a sam zaczął spędzać gryzące się, kwiczące i podenerwowane głodem zwierzęta pod słomiany dach na czterech słupach. Podczas tej czynności, wydawał nam polecenia:

— Siodła zanieście do tej chałupy, co po schodkach! A zawróćcie konie, bo idą na portrere, a jeszcze czas!

Słowem dostaliśmy się w tak zwany z rosyjska — *plen*<sup>98</sup>. Zaniósłem swoje siodło i wózek we wskazane miejsce. Było to jakieś ciemne i cuchnące przepierzenie, za którym widziałem obszerną sypialnię z kopiastymi łózkami, czysto zamiecioną i posypaną piaskiem podłogą. Ale w tej norze stało tylko jakieś wyrko, po kątach wałało się nieco sprzętu końskiego i na drewnianych kozłach stała niecka, pokryta wilgotnym, zakrwawionym płótnem. Właśnie ta niecka i rzemienie tak cuchnęły. Schodząc ze schodków postanowiłem zachowywać się niezależnie. Zatrzymałem się na wprost kuchni, pełnej dymu i kłótni. Zajrzałem tam. Chłopak z gołym tyłkiem stał na czworakach na stole, jedna z dziewczyn strugała jakieś korzenie, druga zmywała naczynia. Dąbska coś warzyła, stojąc przy normalnej kuchni z fajerkami, co mnie zdziwiło w porównaniu z dotychczas widzianymi kuchniami. Na mój widok trochę przycichło, powiedziałem parę słów przeproszenia i wycofałem głowę na świeże powietrze. Posłyszałem słowa wypowiedziane znanym polskim tonem:

— Ty flejtuchu, ociec przyjechał, to ci kiecki podedrze i wsypie za to wszystko, coś tu nabroiła!

Przed plotem zebrała się grupa mężczyzn komentując ze śmiechem stado koni i uwiłajającego się pośród nich, wykrzykującego Dąbskiego. Grzeszczyszyn siedział na siodle, na ziemi i palił. Zaproponowałem mu spacer w głąb podwórza, tam zieleń się trawa i rosły drzewa. Powstał, powiedział, że tylko zanieś siodło, zaniósł, wrócił i poszliśmy przed siebie, omijając starannie zady burów. Tutaj było cicho, powiedziałbym, nawet romantycznie. Rosły drzewa pomarańczowe, słała się delikatna trawka, a w trawce złościły się kule pomarańcz. Z daleka dochodziły okrzyki Dąbskiego i kwiczenie burów, a z przeciwnej strony przytłumione, ale charakterystyczne chrząkanie. W tę też stronę poszliśmy. W milczeniu zatrzymaliśmy się przed drewnianym ogrodzeniem okalającym błotny dół, pełen porozwalanych, tucznych świń. Spojrzałem z boku na Grzeszczyszyna. Zdawał się coś rozpamiętywać.

— Pamięta pan, tam... w Baraderei? — spytałem cicho.

Odwrócił twarz do mnie, pokiwał głową i powiedział:

— Tak, to było głupie zdarzenie... A wie pan, ja lubię świnię, zwłaszcza takie tuczne kapady... to jest bogactwo każdej gospodarki, chłopski dobrobyt, a mnie na chłopie zależy.

Przemilczałem w obawie, aby nie rozpętać społecznych zwierzeń Grzeszczyszyna.

— Śmierdzi — powiedziałem po chwili — chodźmy.

— Śmierdzi, śmierdzi, ale potem smakuje — powiedział tkliwie.

Spacerowaliśmy wśród drzew, Grzeszczyszyn był jakiś cichy, zadumany, aż zaczął powoli:

— I oto przemierzyliśmy szmat drogi. Poznał pan osiedla ludzkie, ich obyczaje...

— Nic nie poznałem, to wszystko było nic — przerwałem mu szybko.

— Poznał pan, poznał, nawet pan sam o tym nie wie, a dopiero jak to się w twórczość przyoblecze, to wówczas pan to odczuje... i wspomni pan Grzeszczyszyna... ale nic,

<sup>98</sup>plen (z ros.) — niewola. [przypis edytorski]

to dopiero część znikoma, pierwsza faza. Teraz z kolei czeka pana egzotyizm tego kraju, dżungla, niebezpieczeństwa, niewygody... i tu dopiero wykaże się pański hart, czy pan to wszystko zniesie. Tu jest ostatni cywilizacyjny posterunek, ostatnie skupisko ludzkie, dalej zaczną się ostępy, dzicz... i dlatego jeszcze raz panu powtarzam: niech ja mam posłuch u pana, bo tylko pod moim kierownictwem zbada pan niezbadane głębie zazdrośnie ukrytych przez puszcze tajemnic. Niech pan to sobie zapamięta...

— Ach, będziemy sobie jakoś radzić, drogi panie Grzeszczyszyn, teraz chodźmy do Dąbskich, może dadzą nam co zjeść, zresztą zmierzcha się już... napiłbym się szimaronu.

Zgodził się, poszedł ze mną w stronę kuchni, ale skupiony jakiś, rozmyślający. W mroku słychać było chrupiące kukurydźce stado, nieco wyżej, za płotem, na tle światła w wendzie poruszały się sylwety, słychać było podniecone głosy, śmiechy — kabokle pili. Z kuchni buchnęło gorąco, zapach tłuszczu i podniesiony głos Dąbskiego:

— Będziemy tu gnili na jednym miejscu, maleitą się paśli, a cały naród na angielskie ziemie wali, działki skupuje i wielu chłopu już zarobiło, bo ziemia w górę idzie!... Konie popędzę, trzy razy tyle za nie dostanę, com tu zapłacił, a ty sobie pysk drzesz, że ja tylko za włóczęgą się uganiam i o chałupie nie myślę! A co ja chałupę będę gryzł, kiedy mnie do handlu ciągnie, a com się dorobił to na handlu, na karośnictwie... nie pamiętasz?!

Na to płaczliwy głos Dąbskiej:

— Dużo mi tu przywieziesz... bydło ci w borach poginie, na ziemi cię oszukają, jeszcze mi będziesz dziewczynę w lasy ciągnął, gdzie tyle samego chłopu jedzie... zmarnujesz nas ze szczętem, zmarnujesz, ty włóczykiju cholerny!

— Gadaj sobie, gadaj! — odkrzyknął zachrypniętym i zmęczonym głosem Dąbski.

Weszliśmy nieśmiało do środka i skromnie przysiedliśmy przy oknie, za stołem.

— Kolację lepiej przygotuj, bośmy głodni! — powiedział Dąbski i przysiadł się do nas.

Na stole kopciała lampka naftowa, przykręciłem ją trochę i w mdłym świetle spoglądałem na krzątające się kobiety, jednocześnie prawą nogą usuwając ciężar, który mi się na nią walił. Mimo cholewy, poczułem w łydce jakieś szczypanie i powiedziałem z sykiem:

— Co tam może być pod stołem, pies, czy co u licha!

— Waluś, wylaż spod stołu! — wrzasnęła jedna z dziewczyn i przypadła do podłogi.

Wyciągnęła spod stołu trzepocącego się Walusia, kującego ją obcęgami po głowie. Wszyscy jakby poweseleli. O ile Dąbski zachowywał się wobec nas swobodnie i nawet traktował nas nieco z góry, o tyle rodzina jego czuła się zażenowana naszą obecnością, zwłaszcza dziewczęta, nie odpowiadały nawet na pytania, tylko chowały głowy w ciemne kąty. W ogóle nie panował tu nastrój szczerej, swobodnej chłopskiej rodziny kolonistów, raczej nieufność granicząca z pokorą. Czulo się jednak byłą służbę folwarczną, bez indywidualności, jaka cechuje gospodarzy. Poza tym było tu niechlujnie, śmierdziało pomyjami. Cała rodzina była brudna, poplamiona i obszarpana. Dąbska postawiła na wilgotnym, pokrytym zadziarami stole, talerze z kawałkami pływającego tłuszczu, smażonego mięsa, blaszaną miskę z cuchnącą karbolem *mandioką*<sup>99</sup> i poplamione rdzą, żelazne łyżki. Jedliśmy we trzech, Dąbski posadził sobie na kolanie Walusia i co chwila wsadzał mu do ust łyżkę z mięsem, czasem zamiast w usta trafiał mu w szyję i całe podgardle dziecka razem z brodą omaszczone było obficie. Trzymałem się jednak dziarsko i jadłem, starając się nie patrzeć na Walusia. Dąbski garścią wytarł usta, poskubał w wąsach i odezwał się do żony:

— Milji na pasokę nagotowałaś?

— A jest w pajorze.

— No to trzeba będzie zarznąć ze dwa koguty i przygotować do pasoki, żeby wystarczyło jej na całą drogę... Michał, przynieś mi pai<sup>100</sup>... i worek na pasokę trzeba wyprać, słyszysz!

— A słyszę, przygotowuję, zdechnij tam w selwie, żeby cię już więcej moje oczy nie ujrzaly, ty bandyckie nasienie... Lepiej złap siekiery i całą rodzinę wymorduj, niż masz ją pomału zamęczyć... pierwej mnie cholera tu na środku izby powali, niż ja powiozę dzieci na tę twoją cholerną Londrynę, ty psie diabelny!

<sup>99</sup>*mandioka* — potrawa z bulw manioku. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>*paja* (z port. *palba*) — słoma. [przypis edytorski]



— Oj, zamilcz ścierko jedna, zamknij mówię ci mordę, bo jak złapię jakiego draga i gnaty połamię... ty źmijo, kto tu rządzi! Tylko mi moich zamiarów nie bechtaj... mówię ci!

Nie powiem, aby ta budująca rozmowa pomagała trawieniu. Było mi mdło. Dąbska zaczęła szlochać przy kuchni, Michał przyniósł paję, Dąbski krzyknął:

— Coś przyniósł, złodzieju! Zgniłą paję przyniosłeś, jak ja to będę palił!

I trzepnął chłopaka w głowę aż mu kapelusik spadł. Michałek zawył i śmignął z chaluży na dwór. Jak na powrót po kilkutygodniowej nieobecności ojca rodziny, pierwsze chwile spędzone w jej gronie wydały mi się dość osobliwe. Grzeszczeszyn pochylił mi się do ucha i szepnął:

— Widzisz pan, to nie jest byle co, to pionierska kłótnia, Dąbski jest typem zdobywcy, posuwa się naprzód i te kłótnie są charakterystyczne dla pionierów kolonizacji. Tak, mówię panu.

Trudno było szepem dyskutować, więc nic nie odpowiedziałem, tylko jeszcze zwróciłem się do Dąbskiego, nie licząc się z jego gniewem:

— Wie pan, po tej całej podróży warto by się już położyć... czy mógłby mi pan wskazać, gdzie będę spał?

Wrzasnął znad palców skręcających papierosa:

— Słuchaj no, każ pościelić gościom, spać chcą!

— Jeden może spać tu, w kuchni, a drugi w komorze, Julka, pościel no w komorze!

Porozumiałem się z Grzeszczeszynem. On woli w kuchni! Wygramoliłem się więc zza stołu, powiedziałem dobranoc, na co mi nikt nie odpowiedział i wyszedłem na dwór. Chłodny podmuch podkreślił zaduch, jaki panował w kuchni. Przez otwarte drzwi nad schodkami widziałem krzątającą się przy świecy Julcię. Myśl, że będę musiał spać obok krwistej niecki i pośród uprzęży nie wydała mi się przyjemną, ale wolałem to niż kuchnię. Kuchni tej nie lubiłem. Z podwórka dochodziły szmery pasących się koni, czasem zadudnił krótki galop, w wendzie śpiewali, ktoś wołał wódki, ale wokół wszystko spało pod zagwieżdżonym niebem. Julcia wyszła i wskazała ręką na komorę. Wlazłem tam, wy-rko było jako tako posłane, rozebrałem się przy świecy, zgasilem ją i wyciągnąłem się jak długi. Przez szpary dachu widziałem gwiazdy, w uprzęży coś szurnęło, kura gdaknęła pod podłogą. Spojrzałem w bok, tutaj też były szpary, widziałem fragment kuchni; klócili się tam, ale już po cichu, z popłakiwaniem, z przerwami. Całe szczęście, że noc jest ciepła — pomyślałem, ale na wszelki wypadek otuliłem się kocem i kapą, po czym usnąłem po dźwięcznym: „Ty cholerniku”...

Obudziłem się w wesołych smugach słońca przeciekającego przez szpary mego schronu, z dołu dochodził gwar, okrzyki, ale cały ten ranek wioskowy ukazywał nędzę mojej sypialni. Leżałem na jakiejś pryczy, na podłodze było pełno piasku i śmiecia, nad niecką brzęczały eskadry much. Słowem — dno. Odwróciłem się twarzą do ściany i obserwowałem życie kuchni. Na środku przeciągał się Grzeszczeszyn i mówił do kogoś niewidzialnego. Rankami, po śnie, człowiek ten wyglądał jak szmata, którą należało wyprać. Bose dziewczyny w kusych sukienkach co chwila wychodziły lub wchodziły do kuchni, niosły jakieś wiadra, miski, słowem utrzymywały kontakt między podwórzem a kuchnią. Na progu przysiadł sympatyczny żółty kundel, został kopnięty nogą Julki, odszedł, wrócił i znów rozwalił się jak długi pod progiem. Podeszła do niego kura z wyciągniętą szyją, dziobnęła go w ucho, warknęła, odeszła oburzona, gdacząca. Tyle zaobserwowałem i postanowiłem wstać. Ponieważ zanosilo się na życie domowe, więc zamiast butów z cholewami włożyłem gumowe pantofle i zamiast koszuli piżamę, z góry obawiając się zwrócenia uwagi na siebie. Wyszedłem na schodki, rozejrzałem się: jasno, letnio... Poprosiłem Julkę o wodę do mycia, wskazała mi pod ścianą wiadro i miskę. Po toalecie wszedłem do kuchni, powiedziałem „dzień dobry”, Dąbska odpowiedziała to samo, ale tonem zagniewania, natomiast Grzeszczeszyn:

— No, i jakie było śpiu? Bo moje dobre!

Jakiś żargon: śpiu!

— Chodź się pan trochę przejść, ładnie jest dzisiaj.

Wysliśmy na podwórze, włóczyły się po nim bury i konie, Dąbski reperował kosze kalgierowe<sup>101</sup>, wszyscy pracowali, krzatali się koło wyprawy. Koło wendy stały już senne konie z kolorowymi plamami peleg na grzbietach. Jakiś bosy kabokło częstował drugiego tytoniem, dachy świeciły w słońcu, niebo było przezroczyste, błękitne i bezkresne. Chciałem wyjść na drogę, ale Grzeszczyszyna ciągnęło coś między drzewa, poszliśmy tam i stanęliśmy nad dołem ze świniami, bo mimo niechlujstwa działały się tam różne rzeczy i ciekawie było patrzeć na to ich świńskie życie.

— Jak z tuszy będą mogły ledwie chodzić, to wtedy zbierze się kilku gospodarzy i zapędzą je na sprzedaż; wezmą pieniążki, pohulają, wrócą i zaczną nowe hodować — objaśniał mnie ze słodyczą w głosie Grzeszczyszyn.

Podniosłem z ziemi pomarańcz i cisnąłem w leżącą świnie; zerwała się z chrząkaniem, podniosły się inne i zrobił się rejwach.

— O, nie rób pan tego! Cóż panu szkodzą biedne zwierzęta — powiedział Grzeszczyszyn z wymówką.

Odszedłem od plotła zawstydzony. Byłem w swawolnym nastroju, potrząsnąłem drzewo, na głowę i ramiona Grzeszczyszyna spadło kilka pomarańcz, obruszył się, zaczął we mnie ciskać, uciekłem do kuchni, na śniadanie. Nie powinienem go tak spoufalać, pomyślałem siadając do stołu. W tej chwili dostałem pomarańczą w czoło i jednocześnie posłyszałem głośny śmiech Grzeszczyszyna. Stał w progu i celował drugą... schyliłem się pod stół i wołałem, żeby przestał, ale cisnął, lecz nie trafił... miałem rację. Usiadł obok mnie, klasnął w dłonie i zawołał:

— Dacie jeść, pani Dąbska, bo jak nie, przeniesiemy się do innego pensjonatu.

— A idźcie, tylko nie zapominajcie wziąć starego ze sobą... żeby już raz skonał!

U, zaczynało się. Istotnie, przyszedł Dąbski i od razu posypały się przekleństwa i wyzwiska. Płacz. „Pionierska kłótnia”, niech ją grom strzeli! Do śniadania akompaniował nam płacz Dąbskiej, potem przyszło lekkie ukojenie, które Dąbski przerwał takim oto zdaniem:

— Kapadę będę dzisiaj bił, wybierz no jakiego z Julką!

— A toć pełna niecka mięsa z tego, co to chorował... I na co będziesz bił nowego?

— Słuchaj cholero, co ci mówię! Chłopcy tu zjadą, to im się sprzeda... na handel, rozumiesz!

Znów zaczęli wrzeszczeć, przemawiać się... Wybiegłem na podwórze. Tu usiadłem na jakimś pniaku i pałac, rozmyślałem o tym wszystkim, aż w końcu porwał mnie gniew i polazłem znów między drzewa. Marne jest to moje życie tutejsze, myślałem, ale biorę szkołę, nie ma co gadać. Myślałem jeszcze gorzej, w myśli tłukły mi się paskudne wyrazy, parę nawet powiedziałem na głos, ale wreszcie się uspokoiłem i wróciłem na schodki, tam usiadłem i zadałem sobie straszne pytanie: co ja tu będę robił i jak długo potrwa mój pobyt tutaj? I zrobiło się ciężko na duszy. Pomyślałem, czy by nie pójść na miasto, ale odłożyłem to do jutra, bo mi się butów nie chciało wciągać i koszuli także.

Przypędyły jednak świnie, związały jej tylne nogi i pomyślałem: czy potraktować to jako rozrywkę, czy też uciec od widoku, jak będą zarzynali. Ale zezwierzęcenie nabyte w tej podróży wzięło górę i postanowiłem być świadkiem tej śmierci. Przewrócono biednego świńskiego eunucha na bok (kwiczał przenikliwie, aż do bólu w krzyżu) i Dąbska przyklękała na nim, ale zaraz wstała i kląkł Dąbski — lewą ręką przyciskając uszy do ziemi, w prawej ręce trzymał nóż. Dąbska oparła się rękami o tylne nogi świni, która — szara, zaokrąglona, kwicząca nieziemsko, drżąca tłusto — łypała rozszerzonym, błyszczącym oczkiem. Teraz podbiegła Julka z miską gorącej wody i starannie, rzekłbym — pieśczołtliwie, obmyła podgardle tą wodą. Dąbski z całej siły wbił nóż w to obmyte miejsce (na chwilę przymknąłem oczy) i wbity nóż przekręcił kilka razy. Świnia charknęła głucho i jakby z ulgą. Dąbski wyciągnął nóż i Julka podstawiła miskę pod dziurę ze spływającą powoli, ciemną krwią. Oko zaszło mgłą, charkania przycichły. Teraz Dąbski wstał. Zwierzę konało szybko i jakby chudło w oczach. Podszedł kundel, powąchał i nastroszył się, po czym warknął i odskoczył w bok. Dąbska pociągnęła za tylne nogi trupa w stronę kuchni. Rzecz była skończona. Wówczas Dąbski spojrzął na mnie i powiedział takie zdanie po portugalsku, które w tłumaczeniu na polski brzmi: „Świnia zdechła śmiercią

<sup>101</sup>kosze kalgierowe — juki. [przypis autorski]

przemocy!” Po czym poszedł w stronę dachu na słupach, pod którym stał długi żłób. Zza węgła domu wychynął Grzeszczyszyn rozglądając się z lękiem.

— Czy już po wszystkim? — spytał mnie dziwnym głosem.

— A, co, nie widział pan tego?

— O, panie... trzeba nie mieć serca, żeby móc patrzeć na coś podobnego — powiedział znacząco.

— Ma pan rację, ale byłem tak bardzo ciekaw — odpowiedziałem słabo i pokornie.

— To daje dużo do myślenia — powiedział jeszcze i odszedł między drzewa ze spuszczoną głową.

Tymczasem na powietrzu, pod ścianą odprawiano sekcję świni. Między płatami mięsa lyskały półce tuszyczki. Panowało ożywienie, cała rodzina krzątała się tam. Pachniało surowym mięsem. Poszedłem do komory i ległem na wyrku. Tutaj było cicho przynajmniej, w tym moim kąciuku. Leżałem paląc i rozmyślałem o sprawach powszednich. Na podwórku ktoś wrzasnął po dziecięcemu i zapłakał, wszczął się ruch. Wyjrzałem. Bur, siwy, ten na którym jechał Grzeszczyszyn, kopnął tylnymi kopytami Walusia, ale nie za mocno, bo Walus trzymał się na nogach i darł się boleśnie, ale zdrowym krzykiem, przy czym goły tyłek trząsał mu się zabawnie. Wróciłem na wyrko. Kobięcy głos z kuchni:

— Masz draniu swój handel! Masz konie, co mi dziecko skrzywdziły! Ty ścierwo, byku, bizunie jeden!

— A zamknij mordę, mówię ci babo! Zawsze trzymałem bury, niech się pętał pęta!

Tak, pensjonat mój nieco hałaśliwy — myślałem sobie... Niech go tam! Raptem otworzyłem szeroko oczy, przymknąłem je i znów rozwarłem, po czym struchlałem. Na listwie przeciwległej ściany lazło coś okropne, włochate, wielkie jak pięść. Po chwili uświadomiłem sobie, że to ogromny pająk, ptasznik. Nieopanowanie chwyciłem za rewolwer, ale wsadziłem go tylko do kieszeni i boczkami wybiegłem z komory. Trząsałem się wewnętrznie ze strachu, ale podszedłem do Dąbskiego i spokojnie powiedziałem:

— Chodź pan do mojej komory.

Poszedł, spojrział, wyszedł, wrócił z kamieniem i rzucił z bliska w pająka. Następnie patykiem wyrzucił go na dwór i powiedział z wymówką:

— Sameś pan tego nie mógł zrobić, tylko odrywać mnie od roboty!

Wyszedłem na podwórko i okręciłem się kilka razy w kółko, w niezdecydowaniu. Przyznałem w duchu, że boję się leżeć tam, ale co będzie z nocą? Postanowiłem odszukać Grzeszczyszyna. Stał przed świńskim płotem, wpatrzony, niby w ogrodzie zoologicznym. Odwołałem go, nie zbliżając się tam:

— Panie, koło mojego łóżka zobaczyłem ptasznika, Dąbski go zabił.

— No to co? Przecież nie jest pan ptaszkiem, co ma ptasznik do pana, nie ugryzie... otrułyby się panem.

Nie wiedziałem, czy przyjąć te słowa jako obrazę, czy jako uspokojenie. W milczeniu poszliśmy do kuchni. W jakimś mieszkaniu trzeba jednak posiedzieć. Usiedliśmy za stołem i przeżuując nudę przyglądaliśmy się czynnościom Dąbskiej. Przesuwała garnki, dolewała, odlewała i widoczne było, że myśli o podróży swojego męża do Londynu. Ludzie prości często mają takie miny, że wiadomo co myślą. Siedzieliśmy obok siebie, dwaj wałkonie, przymuszeni i połączeni węzłami obrzydliwego próżniactwa. Ale ratunek wpadł mi w oczy niespodzianie. Obok, na półce stała pokratkowana ceratka od warcab i pudełko.

— Grasz pan w warcaby? — zapytałem go z lękiem, że nie gra.

— Pftu... w warcaby!... Nawet w szachy, tylko skąd je wziąć.

Zdjąłem z półki warcaby i ożywił mi się do tego stopnia, że Grzeszczyszyn zapytał Dąbskiej:

— Czy pozwoli pani użyć ich, bo chcemy się rozerwać?

Popatrzyła na nas zdumiona:

— A grajcie sobie, tylko jak mój stary w to wlezie, to o robocie zapomni i całymi dniami będzie grał... a tu do drogi jeszcze nic nie przygotowane.

— Przecież pani zależy na tym, żeby nie jechał — powiedziałem, rozkładając kamienie<sup>102</sup>.

— A, bo pewnie... byk chce się powłóczyć, markotno mu w domu.

Na szczęście na tych słowach skończyła, a mnie Grzeszczyszyn obojętnym tonem zaproponował trzy kamienie for:

— Pan pewnie o tej grze nie masz pojęcia?...

Zrzekłem się for i pograżyliśmy się w grze.

— Czy bicie obowiązkowe, czy też fuchy bierzemy — przerwał nagle.

— Bicie obowiązkowe, bij pan.

— A w tył wolno bić?

— Nie, tylko naprzód!

— No, bo z panem to nie wiadomo.

Wygrał pierwszą partię i zostawił mnie z dwoma zamkniętymi kamieniami. Nie pysznił się zwycięstwem, tylko fiuknął obojętnie, z przekonaniem o mojej nieudolności we wszelkich kombinacjach. Drugą partię też przegrałem. Rozstawialiśmy kamienie w milczeniu. A wokół było upalne południe, Dąbski ze swymi kombinacjami, z pionierstwem... był ruch, krzątania, żywy inwentarz... solenie zabitej świni... brud był i kurz, i smród, i czekanie... i Brazylia była. Przyszedł Dąbski, zgrzany, głodny, gotowy do kłótni i zawołał:

— Obiad, prędeż!...

Przyglądał się grze, radził, nabrał szacunku do Grzeszczyszyna, obiecał wieczorem z nim zagrać. Podano obiad: karbol-mandiokę, kawałki mięsa w polewce tłuszczu, zimne mleko w dzbanku; komu mdło, może dostać kawy. Łaziły po nas lepkie, leniwe, niełękliwe muchy, w ogóle lepko było. W ręce kąsały małe muszki, miniaturowe oski, *borasiudy*, ręce puchły, wściekle swędziały. Wszystko to w towarzystwie duchoty, skwaru kuchennego. Przykrości te opadły na nas nagle, w to południe, aniśmy się spostrzegli. Na stół znów wysunęły się warcaby, Dąbski pokibicował, ale żona wygnała go do roboty, znów się przemówili. Grać trzeba było, to był ratunek przed rzeczywistością. Zacząłem kombinować. Grzeszczyszyn pochylony nad szachownicą czochrął palcami włosy, łupież się sypał na szachownicę, zdmuchiwałem go.

— Psiakość, zaraz... zaraz... jakby panu tę damkę... ale łupieżu się nabawiłem...

Krople potu wystąpiły mu na czoło:

— Coś pan nagle zrobił się taki chojrak! Jeszcze się zobaczy! Jeszcze się zobaczy!

Grzeszczyszyn przegrał tę partię i chwilę patrzył na mnie niedobrym wzrokiem:

— Po tym obiedzie, psia kość, człowiek taki ociężały!

Rozpoczęliśmy jeszcze raz. Przejrzałem jego system w tej idiotycznej grze i z zadowoleniem zasuwałem mu jedną partię po drugiej. Wewnątrz musiał przeżywać piekło, policzki mu płonęły, robił głupie ruchy. Na domiar wszedł Dąbski trochę odpocząć, napić się szmaronu i zawołał od progu:

— O, to ja nie wiedziałem, że pan Grzeszczyszyn taki macher od damki... ile pan zapchnął temu panu?

Niestety, właśnie sytuacja była taka, że ja miałem dwie damki a Grzeszczyszyn cztery pionki na linii tych damek. Napiliśmy się szmaronu, Grzeszczyszyn przegrał jeszcze raz w obecności Dębskiego, który wstał i powiedział:

— A, to tak... no to z panem zagram wieczorem.

I wyszedł. Zaproponowałem, żeby przerwać i pójść się trochę przejść. Grzeszczyszyn wstał, uśmiechnął się mdło i boleśnie, ja poszedłem naciągnąć buty, przycesałem się trochę i wyszliśmy na ulicę.

— Idźcie odwiedzić Brzezińskiego, on mieszka koło kościoła, zapytajcie się, to wam pokażą! — krzyknął za nami Dąbski.

Zaproponowałem Grzeszczyszynowi żeby wstąpić do wendy i napić się piwa. Na miasto opadł zmierzch i chłód, słychać było czyste odgłosy z daleka, krzyki dzieci, dźwięk gitary i smutny śpiew. W wendzie stało kilku interesantów; kabokło oglądał *fajsę*<sup>103</sup>, naciskał ostrze paznokciem aż dźwięczała. Dwóch piło w kącie piwo i półgłosem rozpra-

<sup>102</sup>kamienie — tu: pionki do warcab. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>fajsa — rodzaj narzędzia rolniczego przypominającego kosę w połączeniu z siekierą. [przypis edytorski]

wiali. Wenda pachniała charakterystycznym zapachem wszystkiego, za ladą, koło drzwi stał *winchester*, kręcił się tam także wysoki, opalony blondyn, Niemiec, z którym sobie uciałem pogawędkę na temat tego miasta, popijając piwo. Przy pożegnaniu podaliśmy sobie nawet dłonie. Poszliśmy ulicą pod górę, w stronę kościoła. Minęliśmy spacerowiczów, może z dziesięciu mężczyzn, palących i rozprawiających głośno. Kilku z nich miało na sobie kurtki piżam, które dziwnie nie licowały z dolną częścią stroju, z szerokimi spodniami, wpuszczonymi w cholewy butów z ostrogami, z solidnymi, skórzanymi pasami na brzuchach. Usunęliśmy się pod płot, bo właśnie z góry nadjeżdżał galopem, na koniu, jeździec w wielkim kapeluszu; czarnooki, powieściowy. Skończyła się pochyłość i ujrzelśmy samotny, drewniany, na niebiesko malowany kościół, wokół porastała trawka, stało kilka budynków, coś pomiędzy chałupą a szalasem, a dalej w półkoło mazały się zarośla. Widok był smutnawy i gdyby nie mrok, wyglądałby jeszcze smutniej. Przechodził jakiś nucący kabokło z fojsą na ramieniu, zapytaliśmy go gdzie mieszka Brzeziński. Wskazał palcem na najbliższe krzaki i poszedł.

— A może nie chodzić do tego gościa... po co znajomości robić, i tak stąd wyjedziemy, co?

— Dlaczego... trzeba ludzi poznawać, psychologię emigrantów. Ten Brzeziński to był nauczyciel z Kurytyby, a teraz jest tutaj fiskalem! Zawsze Polak na urządzie, chodź pan, pogadamy!

Za krzakami ukazał się drewniany, przygarbiony domek w rodzaju willi letniskowej. Weszliśmy w śmierdzący kocim łajnem, ciemny i wilgotny korytarzyk, potarłem zapalkę w poszukiwaniu drzwi. Dostojewsko tu było bardzo i niezgodnie z atmosferą zewnętrznego świata. W końcu drzwi otworzono, w progu stanął smukły, zgrabny blondynek, z wąsikami — paniczek, szlachetka. Zaprosił metalowym głosem do środka, chłodno rad, grzeczniusi. Między zwałami książek i papierów, obok kubka z łyżeczką i talerza z resztkami jakiejś kaszy, stały dwie świece i w ich posępnym blasku zauważyłem, że blondynek ma niebieskie, wielkie i śliczne oczy. Wyrażam się o nim ironicznie, ale jako krępy brunet fizycznie wprost nie znoszę takich udanych ludzi, którzy już z tytułu swojej urody odnoszą się do bliźniego bardzo z góry, choćbyś ich nawet miał ochotę ratować z wilczego dołu. Był to typ skończenie endekoidalny. Zapytał, kto i co, po czym prosił siadać. Siedział sztywno, badawczy, z chmurą na czole. Wydawało mi się, że na dworze jest śnieżycza, bruk, dorożki. Rozmowa była dość sztuczna, a kiedy niezręcznie zapytałem go, czy w tej dziurze nie tęskni mu się za krajem, odpowiedział z nagłym ożywieniem i mniej sztywnie:

— O, panie! Równie dobrze mógłbym tęsknić za całym światem... obcy mi jest ten kraj... obcy mi jest jego ustrój... wcale nie czuję się Polakiem... Jestem Brazylijaninem... wstydę się swego pochodzenia!

— A dlaczegoż to wstydzi się pan tego? — zapytałem gniewnie.

— To wstrętny naród, mój panie... ohydny... cysterna wad...

— Mógłby pan jednak nie angażować mnie, choćby z tytułu mojej wizyty, w swoje sympatie... należało po prostu powiedzieć: „Nie, za krajem nie tęsknię!”.

— Oh, on tęskni, drodzy panowie, tylko on się tego wstydzi... tylko, że my wszyscy za inną Polską tęsknimy... panowie, przestaśmy o tym mówić!

To mówił człowiek w sutannie, który wyszedł nagle z drugiego, ciemnego, pokoju. Był ładny, gładki blondyn, uczesany na jeża, z rumieńcami na policzkach, z orlim noskiem, słowem typowy młody ksiądz. Brzeziński powiedział:

— Pozwolą panowie, ksiądz Kiefta.

Ou, zrobiło się nagle ciekawie... Ksiądz zainteresował się mną, pytał, chodził koło stołu żywo, sutanna szeleściła, płomyki świec pochylały się w odwrotnym kierunku od szeleszczącej sutanny; zrobiło się surowo i teologicznie. Z miejsca wpadliśmy w sedno dyskusji, bez wstępnych rozmów. Na twarzy Grzeszczeszyna ukazał się zachwyt, powaga i skupienie. Siedział oparty ramionami o brzeg stołu i oczka mu biegały za przemierzającym pokój księdzem; słowem wyglądało to tak, jak gdyby Grzeszczeszyn przyglądał się partii tenisa, bo i głową też ruszał. W pokoju mazało się żółte światło, Brzeziński siedział przy stole sztywno i konspiracyjnie; w swoim kubraczku, z twarzą agronoma i Słowianina wyglądał trochę na młodego powstańca... Ksiądz mówił i lyskał migdałowymi, skośnymi oczami:

— O, tak! Bohaterzy przedzierzgnęli się w satrapów... katolickie tradycje... szczytne tradycje ziemiaństwa... wszystko to zanika w tym kraju... jedynie Poznańskie, ta twierdza kultury polskiej... stoi na straży zanikającej kultury! Lecz odwróci się ten porządek... A pan?

Pochylił się nade mną patrząc przenikliwie:

— A pan może jest właśnie zwolennikiem istniejącego porządku, co?

— Przecież ksiądz przed chwilą zaproponował, aby przestać o tym mówić... przyszliśmy tu odwiedzić pana Brzezińskiego i jeśli chodzi o mnie, nie mam ochoty mówić o tych sprawach! Co to zresztą księdza obchodzi „co ja?”

Ksiądz znieruchowiał i spojrzał na mnie bystro i czujnie. Wstałem od stołu i zacząłem mówić głośno:

— Ja dość dużo słyszałem o działalności księdza na tutejszym terenie i to, co w tej chwili słyszałem, potwierdza wicherzycielskie skłonności księdza. Ja z góry zaznaczam, że jestem przeciwnikiem kleru, ale dyskusje mają jakiś sens, kiedy są prowadzone na odpowiednim poziomie i choćby tam, w Europie... Tutaj to nie ma sensu i zasadniczo nie jestem specjalnie źle usposobiony do kleru na terenie Brazylii, ale wiedząc coś niecoś o agitacyjnej i zbyt energicznej działalności księdza, chciałbym tylko zadać pytanie, czy system buntowania ludzi, wytwarzanie kwasów i wszelkich awantur jest misją kapłana? Czy nie byłoby wskazane nie wychodzić poza kwestie religijne, nie wtrącać się do codziennych spraw kolonisty, który ostatecznie zbyt wiele sobie zawdzięcza, aby mógł pozwolić na patronowanie mu? Tutaj ksiądz powinien chrzczyć, udzielać ślubów, spowiadać, odprawiać msze i w ogóle w chwilach wolnych zajmować się np. hodowlą pszczół, słowem dawać przykład spokojnym trybem życia, a nie hasać konno z rewolwerem pod sutanną od kolonii do kolonii, wiecować przed kościołem, jednym słowem: szerzyć zamęt, jak to ksiądz tutaj czyni! Dajcie tym chłopom odetchnąć wreszcie... nie traktujcie ich jak Murzynów, po misjonarsku! Oni nie potrzebują nawracania!

— Ach, więc pan jest z tych! Wolnomyśliciel... umhu... No, brawo!

Ciskał się po pokoju jak czarne ptaszysko. Teraz wstał Brzeziński i zaczął nerwowo:

— Więc pan myśli, że ja po to się usamodzielnilem i wyrzekłem polskości, zdobyłem zaufanie władz brazylijskich, ja, emigrant polityczny, żeby teraz wysłuchiwać od byle przyjezdnego pismaka podobnych tyrad! Będę rad, jeśli ta wizyta się skończy!

Chwyciłem kapelusz i w drzwiach powiedziałem:

— Panie Brzeziński, za to, co pan tu powiedział, powinienem pana po prostu spruć na kwaśne jabłko! Jest pan bezczelnym renegatem, nędzną kreaturą i pański przyjazny stosunek do księdza Kiełty daje mi wiele do myślenia o duchowieństwie polskim na terenie wychodźstwa w Brazylii... Jest pan zaskoczony, prawda? No i co? Nic, przysiadł pan, do widzenia, jest pan nędzny szmatławiec!

Wyszedłem, nie oglądając się. Szedłem przez krzaki, w ciemności, bardzo wzburzony i jakby upokorzony sytuacją, która mnie zmusiła do wysłuchania tego draństwa. Przecież to było paskudne i niepotrzebne. Znowu okoliczności zmusiły mnie do reagowania na bredzenia wykołojonego łajdaka. Jeszcze ja się doigram jakiegoś zabójstwa. Schodziłem szybko w dół. W ciemności jarzyły się światła, było ciepło, słychać było szmery rozmów, śmiechy... panował łagodny spokój, wypoczynek. W rozdrażnieniu śpieszyłem do swojej kryjówki, z myślą, aby się prędko położyć i usnąć. Minąłem pełną pijanych wrzasków wendę i zaraz zabrzmiały wściekle okrzyki z kuchni Dąbskich. Ogarnął mnie wstręt i niepostrzeżenie przemknąłem się do swego legowiska. Długo leżałem w zdeterminowaniu, nie mogąc zasnąć. Hałasy kuchni ucichły i po chwili cała rodzina mijiała mnie posępnym korowodem, udając się ze świecą na spoczynek. Pochylił się nade mną Dąbski i widząc, że nie śpię, zapytał:

— Co to, bez kolacji pan dzisiaj? Jak tam było u Brzezińskiego?

— To jakieś bydlę, ten pański Brzeziński — odpowiedziałem gniewnie.

— To wielki szlachcic... inteligent, wstydzi się Polski, ciągle o tym mówi... A coście się przemówili?

— Głupstwo, trochę go tam obrugałem...

— Dobrześ pan zrobił, bo to kawał drania.

Zza pleców Dąbskiego wychylił się z niewyraźną miną Grzeszczyszyn, spojrzał na mnie ciekawie, jakby mnie spotkał jakiś krwawy wypadek.

— Dlaczego pan ze mną nie wyszedł, tylkoś został pan z tymi szelmami? — warknąłem znad koca.

— E, bo pan się po nich tak przejechał... przecież to ksiądz, panie!... A Brzeziński, to urzędnik brazylijski... krzychał, że pociągnie pana do odpowiedzialności!

— Pytam się pana, dlaczego pan ze mną nie wyszedł... gdzie ta pańska sztama?

— Ale, pan taki porywczy... z ludźmi trzeba trochę dyplomacji... musiałem ich ugłodzić, żeby tu panu jeszcze nie narobili bigosu! Dobranoc, jutro pogadamy!

— Idź pan spać, panie Grzeszczeszyn, niech pana szlag trafi!

— Ale pan porywczy... ojej! Zaraz szlag... broniłem pana... przecież to sługa boży, święcenia kapłańskie posiada.

Wyszedł, mruczając coś jeszcze. Grzązłem coraz bardziej. Żeby już w końcu ruszyć dalej. Kiedy zeszedłem rano na śniadanie, stałem się przedmiotem ogólnego zainteresowania. Była niedziela, kuchnia jako tako uprzątnięta, nastrój próżniactwa. Piłem kawę, pełen jeszcze niesmaku z wczorajszej wizyty i przysłuchiwałem się informacjom Dąbskiej tycającym się Brzezińskiego.

— Jego tu, panie, nie lubię... to, panie, świętuch taki, żyje ze starą megierką, co mu pierze i żyć gotuje... a tchórz! Co on tu miał ze dwa miesiące nazad!...

— Przestałabyś obszczekiwać lepiej, bo cię jeszcze pociągną do świadczenia — wtrącił Dąbski.

— A cóż to mam panu nie powiedzieć! Niech to rozpowie, gdzie potrzeba! I świadczyć będę, nie widziałam to, czy co!... Akurat to było popołudniu, szyla tam w oknie od drogi, co to widać wszyciusieńko, co się w wendzie dzieje. Ano stał tam Brzeziński z tym Nikiem... bandyta to, *valenton* znany w całym Candido... Pili tę kaszasę i gadali, aż patrzę jak ten Niko nie zdzieli szikotą Brzezińskiego przez pysk... I krzyczy: „A ty przeklęty Polaku! Ja cię tu zaraz utłukę!”... Zataczał się, wyjął szmita i dalej go mierzyć w Brzezińskiego. A ten przeskoczył błady jak płótno za ladę i tam stoi, a trzęsie się... A był w wendzie przyjaciel Niki, delegat policji... zasłonił sobą Brzezińskiego i krzyczy: „Niko, ja ci to mówię, zostaw go!” I jak tylko to powiedział, zaraz huknęło i delegat zwałił się na podłogę. Wtedy Niko ciska rewolwer, drze się za włosy i płacze i krzyczy: „A, com najlepszego zrobił, mojego przyjaciela zabiłem... Teraz, to ja tu całe Candido powystrzelam!” I pognał do domu. A Brzeziński już przedtem wymknął się i poleciał gdzieś! Niko poleciał do domu, tam zawołał na kochankę, żeby mu wyniosła kule i winczester, ona mu wyniosła, naładował i krzyczy: „Teraz ja wymorduję wszystkich ludzi!” I czeka na ulicy. A naprzeciw nic nie wiedząc, szedł jego przyjaciel, jeden negier i woła: „A ty Niko, co stoisz z winczesterem na ulicy? Na kogo polujesz?” A ten nic, tylko zmierza się do niego z winczesterem. Wtedy negier prędko wyjął szmita i cały magazyn w niego wpałkował. Zaraz też wyjechał w lasy. Na drugi dzień pochowali Nika i delegata. A Brzeziński gdzieś przepadł jak kamień w wodę. To dopiero mąż polazł po nocy nad rzekę, krzychał do niego po polsku i ten wylazł z krzaków, a podobno trzął się cały, płakał i męża całował po rękach, żeby go tylko nie wydał Nice. Dopieroż jak się dowiedział, że Niko nie żyje, tak zaraz wrócił do domu i na drugi dzień już tu paradował, wykrzykiwał, a męża to nawet nie poznawał. Przyjechała policja, to zeznał, że nie chciał Nice przyznać racji w czymś tam i z tego poszło. Od tej pory mąż mu się nie kłania, a on to i mało nawet się pokazuje, bo tu wszyscy naśmiewają się z niego, że taki tchórz i choć miał broń przy sobie, to taki i szlachcic pozwolił się przez takiego łamagę *kabukra*<sup>104</sup> prać szikotą po pysku, niby jaki *buro*<sup>105</sup>. A Kiełta to tylko do niego, to jego jedyny przyjaciel... bo by go tu nikt nawet przenocować nie chciał.

Słuchaliśmy tego wszyscy w milczeniu, tylko Grzeszczeszyn się wiercił i nawet raz zaproponował Dąbskiemu partię warcab, ale ten miał właśnie ochotę ze mną zagrać. Zaczęliśmy grać, Dąbska jeszcze dorzuciła kilka niepochlebnych uwag o Brzezińskim, ale mimo, że mój stosunek do tego człowieka był wiadomy, jednak gadanina Dąbskiej nie pogrążyła go zbyt. Mogłem zaliczyć raczej na korzyść Brzezińskiego, że jako urzędnik nie strzelał do pijanego awanturnika, lecz zamierzał tę sprawę załatwić prawdopodobnie inaczej. Zresztą to wszystko, co tu się ostatnio działo, miało dość podejrzaną, patologiczną

<sup>104</sup>*kabukier* — kabokło; człowiek o niskiej kulturze. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>*buro* (z port. *burro*) — osioł. [przypis edytorski]

cechy. Co do mnie, gniewał mnie każdy nieopanowany wybuch i po czymś takim czułem się jak po nieprzespanej nocy i nadużyciu trunków. Na razie, w ten niedzielny, słoneczny poranek przegrywałem z Dąbskim w warcaby, w ciszy, w westchnieniach Grzeszczyszyna, który obserwując grę, bódł mnie brodą w ramię. Kobiety poszły do kościoła słuchać kazania księdza Kiełty. Mimo wrogiego ustosunkowania się do tego duchownego, pragnęły się rozerwać i popatrzeć — co tu gadać, to ma swój pieprzyk — na ładnego chłopca w sutannie. W oczekiwaniu na posunięcie, obserwowałem Dębskiego. Umył się, ale zmył lekką powłokę pyłu, pokrywającego istotny, wżarty w ciało brud, który się teraz pokazał w solidnych ilościach na widocznych miejscach ciała. Zauważyłem, że chłopcy kolonistów mają ręce przeżarte sympatycznym brudem ziemi, są to spracowane, szlachetną substancją nasiąknięte dłonie, karki ich są ogorzale i pobróżdzone czarnymi zasiekami z ziemi, ale to jest brud konieczny, brud z czegoś wynikający, natomiast Dąbski był cuchnący i niechlujny, słowem, jeśli chodzi o higienę, był gorszym wydaniem mego lepszego, z wiecznymi kupkami nawozu w kąciach oczu, Grzeszczyszyna. Oto, jakimi myślami byłem zajęty, przegrywając do Dąbskiego w warcaby i nasłuchując dalekich kwików świń, wachając świeży zapach gnojówki i opędzając się od jadowitych „borasiud”, które cięły tak bezustannie, że przestało to zwracać uwagę, tylko opuchnięte, pokwitłe wrzodzikami ręce, przypominały o istnieniu tej tortury. Zresztą te wszystkie jady od ukąszeń owadów, mają z czasem przestać działać, skoro tylko organizm się przyzwyczai. Godzina była wczesna, odpoczynek niedzielny był dla mnie jakąś drwiną, mimo gry nastrój był ospały, toteż kiedy Dąbski zadowolony z wygranych kilku partii, zaproponował nam, abyśmy ja i Grzeszczyszyn pojechali konno do odległego o kilka kilometrów Palmitalu, gdzie będzie można odwiedzić kolonistów polskich, skwapliwie się na to zgodziłem. Poszedłem się ubrać do drogi, Grzeszczyszyn stał w drzwiach i mamrotał coś w niezdecydowaniu co do tej wycieczki. Przerwałem mu energicznie, żeby nie marudził i poszedł wybrać jakie dobre konie. Okazało się, że siodła Potyrały są już zabrane przez poczciarza. Dąbski wyciągnął jakieś wysuszone i poszarpane siodła. Trzeba było sztukować popręgi; w końcu jakoś usadowiliśmy się na koniach, Dąbski wytłumaczył nam, jak mamy jechać i ruszyliśmy drogą między krzewy. Jechaliśmy szybko, Grzeszczyszyn nucił coś smętnego, w pewnym miejscu napotkaliśmy gotujących pod prymitywnym szalasem kilku robotników Indian, którzy wynajęli się do karczowania terenów. Siedzieli w kuckach przy ogniu. Ich słomiane, okrągłe kapelusiki jakoś sztucznie tkwitły na długich, czarnych i sztywnych jak druciki włosach. Jeden stał tuż przy drodze i ostrzył fojsę, a na nasz widok uskoczył na bok, ponuro lysnąwszy sennymi oczami. Minęliśmy ich ze słowami: *bom dia*, spotkaliśmy jeszcze wóz z odświętnie ubranymi babami we wzorzystych chustkach na głowach, pozdrowiliśmy je po polsku, odpowiedziały, zaśmiały się, po czym skręciliśmy w leśną ścieżkę, która miała nas — według objaśnienia Dąbskiego — wyprowadzić skrótem prosto na kolonię. Ścieżka wiła się wesołym lasem, upstrzonym refleksami słońca, pełnym paproci, wilgotnego gąszczu wijącego się między pniami. Konie biegły żwawo w dusznym zapachu roślin. Grzeszczyszyn ścinał fakonem zwisające nad głowami gałęzie takuary, czasem coś powiedział swoim zwyczajem nie bardzo z sensem, ale na ogół jechało się dość przyjemnie. Po pół godzinie tej jazdy ukazała się droga i wzdłuż niej biegnące chałupy. Zjechaliśmy w dół, ku tej drodze i zaraz zobaczyliśmy jadących naprzeciw dwóch jeźdźców i w jednym z nich bez trudu poznałem Janickiego, który siedział na koniu w swym brązowym ubraniu i długich spodniach. Począł kiwać ręką i kiedyśmy podjechali do siebie, przywitał się z radością, jak gdyby żadna scysja między nami nie miała miejsca. Drugi podróżny miał na sobie mocno sfatygowaną garderobę, policzki ozdobione bujnym zarostem, ponad którym błyszczwały młode i wesołe oczy. Ten jegomość powiedział mi głośno swoje nazwisko, które znałem ze słyszenia jeszcze z Kurytyby. Nazywał się Gruda i wiedziałem, że od kilku miesięcy podróżował po interiorze, wysłany przez konsulat w celu spisania nazwisk wszystkich emigrantów i ich majątków. Z zawodu był instruktorem nauczycielskim i miał opinię energicznego młodego człowieka z głową na karku. Zaproponował nam, żebyśmy jechali z nimi do kolonisty Słonika, gdzie dadzą nam jeść i będzie można swobodnie porozmawiać. Zawróciliśmy i brodac począł mi opowiadać swoje wrażenia z trzymiesięcznej włóczęgi po rozrzuconych w Paranie koloniach. Nazwisko moje jako autora nie było mu obce i zdawał się być rad z naszego spotkania. Wyrzucił z siebie



mnóstwo propozycji; żeby po południu pójść z nim na zebranie szkolne, żeby przenocować w Palmitalu i w ogóle obiecał mi, że się nie będę nudził. Janicki z Grzeszczyszynem jechali z tyłu i Janicki w pewnej chwili powiedział do mnie:

— Zapomnijmy sobie, co tam było w Terezynie i nie miejmy do siebie żalu.

W odpowiedzi odwróciłem głowę z uśmiechem i kiwnąłem przyjaźnie ręką. Przecież żalowałem mego nieopanowanego postępu. Jechaliśmy dalej w przyjaznej atmosferze. Gruda powiadomił mnie, że jest w Palmitalu już drugi dzień, że mieszka u Słonika, który jest tym interesujący, że po raz trzeci dorobił się majątku na fabrykacji kaszasy i jest typem twardego człowieka. Zsiadliśmy z koni przed przyzwoitym domem, nieco dalej stało jeszcze kilka zabudowań, wszystkie otoczone drzewkami pomarańczowymi. Wszędzie widać było czystość i dostatek. Mimo swego reumatyzmu i sześćdziesięciu lat, Słonik wyszedł do nas opierając się na lasce i gościnnie zaprosił do środka. Był to szpakowaty, wygolony mężczyzna o minie gospodarza całą gębą. Przedstawił nas swojej żonie, czterdziestoletniej, pyzatej i ruchliwej kobiecie, pokazał nam dwóch dorosłych synów, których widać było przez okno, pochylonych nad nogą bura, po czym zaprosił do wybielonego, jasnego pokoju, zawołał o poczęstunek i mimo bólów w kościach, co chwila mówił coś wesołego. Po raz pierwszy w tej podróży, rozmowa przy stole interesowała mnie. We wszystkim, co mówił Słonik, czuło się czystość i godność myśli przyzwoitego gospodarza i człowieka, którego naturalność stosunku do życia jest czymś niezmiernie solidnym i rozumnym. Opowiedział mi, jak tracił i jak dorabiał się. O Polsce wyrażał się bez obłudnej ckliwości, twierdził, że jest Brazylianie polskiego pochodzenia, że pewien zapasik sentymentu i ofiarności do rodzinnego kraju ma, ale właściwie Brazylia, która go kilkadziesiąt lat po macierzyńsku traktuje, daje mu wolność, poczucie człowieczeństwa i dobrobyt, ta właśnie Brazylia jest rzeczywistą jego ojczyzną.

Obiad był obfity, smacznie przyrządzony i czysto podany. Ale fale skwaru przyplwające z otwartych okien, zmuszały do szybkiego oddychania ustami. Wszyscy byliśmy jacyś rozprażeni, czerwoni i spoceni na twarzach, ubranie uciskało ciało, a tu zamiast gdzieś odpocząć, należało pójść na zebranie do szkoły. Właśnie było południe, solidna kanikuła niedzielna; wyjrzałeś z domu, rozejrzałeś się i od tego, co widziałeś, serce ci się ścisnęło dziwnym bólem. Zagrody tonęły w rozczochranej, zrudziałej gęstwie krzewów, nad tym wypłowiałym światem snuła się melancholiczna, wapienna i przejrzysta mgielka: wszystko zdawało się dyszeć w męce jednostajności, niby coś, co rwało się do życia, a co leżało powalone uciskiem spływającego z nieba żaru. Ani żywej duszy, sama skwarna cisza i udręka. Czerwone pasemko drogi smużyło się w oddali. Suchą, porośłą badyłami ścieżką wyruszyliśmy w stronę czystego i kształtnego budynku szkolnego. Szliśmy w milczeniu, oszołomieni gorącem: małowólna czwórka objedzonych ludzi. Opadły mi refleksje i wstydy. Nie powinienem się był wczoraj tak unosić; należało raczej wymownym milczeniem dać im do zrozumienia, że nie podoba mi się to, co mówią i wyjść bez awantur. Koło budynku szkolnego ożywiło się. Przychodziły kobiety z dziećmi na rękach, szły dziewczęta w kolorowych sukienkach z kwiatkami we włosach, w białych pończochach i czarnych pantoflach z klamerkami; szli mężczyźni schludnie i odświętnie, przeważnie czarno lub szaro odziani. Wszyscy wchodzili do szkoły i sadowali się w ławkach, w chłodnej, wybielonej sali z przystrojonymi zielenią ścianami. Zajmowali miejsca twarzą do podwyższenia z desek. Zrobiło się pełno, na estradzie usiadł Janicki i swym głośnym, wiecowym tonem, począł mówić:

— Przyjechałem tu do was, bracia, aby jako kierownik junackiego okręgu nawoływać was, abyście dzieci swoje zapisywali do „Junaka”, które to stowarzyszenie ma na celu utrzymanie polskości w sercach młodzieży emigracyjnej i wychowanie w duchu sportowej tężyzny. Zebraliśmy się tutaj także, aby wskrziesić waszą szkołę, która parę miesięcy temu zamarła wskutek braku sił nauczycielskich. Dlatego proponuję, abyście się, bracia, w tej sprawie wypowiedzieli. Kto chce mówić, niech podniesie rękę do góry.

Ten i ów podniósł rękę, zaczęły się kolejne przemówienia, z których wynikało, że z trudem wybudowana szkoła stoi pustką, że władze Centralnego Związku Polaków w Kurytybie wcale się Palmitem nie interesują, nauczyciela nie przysyłają, a dawny był zły, źle uczył i bił dzieci etc. etc.

Na estradę wyskoczył Gruda i drwiąco zaczął wypominać, że tak zamożna kolonia nie potrafi utrzymać nauczyciela, poprzedniemu nie płacili, co mu się należało, kobiety robiły

intrygi, wtrącały się do nauki i powodowały się osobistym stosunkiem do nauczyciela. Teraz nikt tu nie chce przyjechać. Ponieważ za dwa tygodnie rozpoczyna się kurs nauczycielski w Kurytybie, wobec tego muszą wybrać spośród młodzieży kilku kandydatów na nauczycieli, zaopatrzyć ich w trochę grosza i wysłać na ten kurs, w ten sposób będą mieli nauczycieli spośród swoich.

Ludzie zaczęli się naradzać, kogo by wysłać. Zgłosiło się trzech jako tako umiejących czytać i pisać młodzieńców, których w końcu postanowiono wysłać, z tym, że po dwóch miesiącach wrócą jako nauczyciele. Na estradę wyszedł teraz mały, wąsaty o chytrych oczkach człowieczek i począł się skarżyć, że ich kolonia jest jakby naumyślnie zaniedbywana przez czynniki kurytybskie. W zeszłym roku zwiedzał kolonie dygnitarz z Polski, gdzieś pod Candido zląkł się deszczu, zawrócił i nie zobaczył tej kolonii. Instruktor rolny raz tylko na cały swój pobyt zjechał do Palmitalu, później zajeżdżał często, ale do Conde la Guicha, poradził jakiś swój system do siania lnu, pojechał, całe zbiory według jego wskazówek wzięli diabli, nie pokazał się więcej, pisali, nie odpisał — jakby naumyślnie. Ktoś miał interes do konsulatu, tłukł się kawał drogi aż do samej Kurytyby, poprzedni konsul urzędował tylko godzinę, był zmęczony, nie przyjął interesanta, w korytarzu tylko się pokazał, poprawił monokl i wykręcił się od rozmowy. Teraz jest podobno nowy, lepszy konsul, ale my już nie pojedziemy tam po radę, bośmy stracili zaufanie do tej naszej opiekuńczej placówki!

Skarżono się dalej, podawano wymowne fakty i czułem, że ci wszyscy ludzie mówią prawdę. Mówiono coraz ogniościej. Tutaj, chwała Bogu, misjonarze nie mają dostępu, ludzie tutejsi wiedzą, jaki to element księży buszuje wśród wychodźstwa polskiego. Co i rusz przyjeżdżają jacyś działacze, nawołują do utrzymania ducha polskiego, każdy mówi co innego, ale jak potrzeba jakiej praktycznej rady, to się wykręcają jak mogą. Znow wyszedł Gruda, prosząc, aby mu pomogli w spisie ludności, że to potrzebne aby wiedzieć ilu Polaków jest w Brazylii, ale kiedy powiedział, żeby mu podali, co kto ma, ktoś się podniósł i odpowiedział, że to pewnie jaka podatkowa machlojka i że do niczego podobnego ludzie się namówić nie dadzą. Wszczął się gwar, za i przeciw, domysły, jakieś dziecko głośno zapłakało, dziewczęta chichotały, w końcu Gruda wytłumaczył bezinteresowność swojej misji, wziął papier i ołówek, po czym ludzie kolejno zaczęli mu dyktować swoje nazwiska i majątności. Tymczasem upał zelżał, ludzie wyszli przed szkołę, młodzi do dziewcząt, starzy posiadali gdzie kto mógł, zaczęły się pogwarki, śmiechy. Gruda miał pracę mozolną; pomagali mu Grzeszczeszyn i Janicki. Wielu nie przyszło, obecni mówili za nich. Zapominali imion, mylili się w ilości inwentarza, jękali się, obracali czapki w palcach, klócili się, kpili jedni z drugich, ale z tych wszystkich ludzi emanowała szczerłość, solidarność, słowem na podstawie tych kilku godzin spędzonych wśród kolonistów, nabrałem jak najlepszego o nich pojęcia. Już teraz na pewno wiedziałem, że chłop-kolonista to najszlachetniejszy element polskiego wychodźstwa w Brazylii. Wszystko reszta, cała półinteligencja, było to nadgniłe, marne psychicznie tałałajstwo. Obstała mnie grupa gospodarzy, częstowali tytoniem, pytali o Polskę, musiałem im opowiadać najrozmaitsze sprawy ich pierwszej ojczyzny. Statystyczna praca Grudy miała się ku końcowi. Ściemniało się, koloniści rozchodzili się do domów, mały, wąsaty, o chytrych oczkach prosił, abyśmy zaszli dziś jeszcze do niego, wymówiliśmy się jednak koniecznością powrotu do Candido. Wyszliśmy z sali, wąsaty zgasił świece, zamknął szkołę, pożegnał nas serdecznie i rozeszliśmy się. W drodze do domu Słonika, uważając w ciemności, aby nie wpaść gdzie nie trzeba, rozmyślałem z rzetelną satysfakcją, że widać, nie mam zbyt czarnego spojrzenia na ten świat, skoro całe to popołudnie spędziłem bez nudy i pesymizmu, chociaż nic specjalnie ciekawego w tej szkole się nie działo. W drodze Gruda opowiadał mi, jak odnalazł grób podróżnika polskiego, Chrostowskiego. Kości zebrał do kupy i zaznaczył miejsce, gdzie ma stanąć pamiątkowy kamień. Ni stąd ni zowąd, Grzeszczeszyn wtrącił pochmurnie, że powinien był na zebraniu wygłosić przemówienie, ale czuł się zmęczony, wobec czego, żeby Gruda i Janicki nie mieli mu tego za złe. Nikt mu na to nie odpowiedział, tylko Gruda trącił mnie łokciem w bok. Dziwny jegomość swoją drogą z tego Grzeszczeszyna, powie czasem coś takiego ni przypiął ni przyłatał. Mimo ciemności wiało od niego niezadowolaniem. Kolacja u Słonika zakończyła się wypróżnieniem kilku butelek pomarańczowego wina i raptem dwaj konkurenci na terenie działalności

społecznej: Gruda i Grzeszczyszyn, posprzeczali się gwałtownie, spadło to na nas niby wiosenna ulewa, wśród wściekłych okrzyków na temat jakiegoś księdza Myszk. Grzeszczyszyn wybiegł z pokoju, osiodłał konia i pojechał zlorzeczając w ciemnościach. Gruda, śmiejąc się histerycznie wybiegł za nim, na dworze pochwyciły go torsje, wrócił, napił się wody i zwał się w ubraniu na posłanie przygotowane na podłodze. Wszystko to stało się tak nagle, że zarówno Janicki jak i ja, obaj mocno napici, przeszliśmy nad tym do porządku i dalej recytowaliśmy sobie wiersze rozmaitych poetów. Cały wieczór do późna w nocy przeszedł nam niby jakieś otumanienie czy choroba, do tego stopnia, żeśmy rano pamiętali szczegóły piąte przez dziesiąte. Gruda nie mógł sobie przypomnieć, o co mu poszło z Grzeszczyszynem, a myśmy także nie byli w stanie mu tego zreferować. Z ciężkimi głowami rozstaliśmy się w upalny ranek na rozstaju, oni pojechali w prawo, ja w lewo, pełen wstrętu do pomarańczowego wina i pełen chęci wymazania tego dziwaczego wieczoru z pamięci. Na oczach miałem jakby brunatną zasłonę, świeży, przesłoneczniony i rozkrzyczany cykadami las przejechałem szybko, wyjechałem na drogę, mignął mi szalas z Indianami, jeszcze trochę i znalazłem się na podwórzu Dąbskich.

W kuchni pod oknem Dąbski grał w warcaby z Grzeszczyszynem, który spojrzał na mnie wzrokiem pełnym wyrzutu i z powrotem pogrążył się w grze. Była dziesiąta rano, gwar i krzątania. Ohydnie zatruty, z niesmakiem w ustach, poprosiłem Dąbską o mleko. Podała mi poszczerbiony kubek. Na pytanie Dąbskiego: „Ano, jak tam było?”, odpowiedziałem niewyraźnie i chciwie ległem na swym wyrku. Zasypiałem w odmętach wstrętu do samego siebie. Przebudzenie o nienormalnej porze dnia ma w sobie przykre cechy nieporządku i przejmujące zniechęcenie. Była trzecia po południu, zwlokłem się ze schodków, spojrzałem na niebo — mleczna, upalna nicość. Na podwórku rozlegały się okrzyki, ciężki loskot gwałtownych podrywów końskich i tupot kopyt. Pachniało palonym włosiem. Ospale wychyliłem się zza węgła i ujrzałem całą rodzinę w komplecie, zgrupowaną koło żelaznego garnka z rozżarzonymi węglami, w którym tkwił gruby pręt żelazny. Dąbski przy pomocy Michałka łapał konie, ustawiał je tyłem do podwórka, Michałek zasłaniał ręką lewe oko konia, wówczas Dąbski wyjmował z węgla pręt z literą D na końcu i ostrożnie przytykał ten koniec do zadu zwierzęcia. Koń lub bur raptownie podrywał zad do góry, z wypalonego miejsca szedł śwąd, po czym zwierzę w nieopanowanych ruchach odbiegało w głąb podwórka. Widok ten orzeźwił mnie nieco. Podeszedłem bliżej. W tej chwili Grzeszczyszyn z błyszczącymi oczkami zawołał:

— Daj no pan, panie Dąbski, ja trochę pomarkuję!

Dąbski podprowadził siwego bura pyskiem do żłoba, ale bur jakby coś przeczuwał, przysiadł na zadzie i bił tylnymi kopytami w powietrze. W końcu Dąbski ściągnął go za ude, przyslonił oko i Grzeszczyszyn z prętem w ręku począł się skradać do gładkiego zadu bura. W tej pozycji, z przygryzioną dolną wargą, Grzeszczyszyn dziwnie się scharakteryzował, cała jego psychika zdawała się uosabniać w tym strasliwym skradaniu z narzędziem boleści. Zrobił wypad prawą nogą, niby szermierz i żelazo jak rapier zbliżył do sierści, ale zanim dotknął, bur gwałtownym ruchem obrócił się na tylnych kopytach, stanął dęba, i kwicząc z otwartym pyskiem i wyszczerzonymi zębami, niby bestia apokaliptyczna, opadł wzniesionymi kopytami na słaniającą się, drobną figurkę amatora-oprawcy. Rozbiegliśmy się w popłochu, jak przed opadającym z góry granatem, po czym, gdy się obejrzałem, zobaczyłem uciekającego bura z pochylonym łbem, podrzucającego bez ustanku zadem, a za nim biegł Grzeszczyszyn z rozwianym włosiem i wyciągniętym prętem. Więc jakoś się, widać, uchylił od stratowania i teraz biegł za zwierzęciem, pełen pragnienia zemsty. Buchnął szczery, nieopanowany chichot, Grzeszczyszyn zawrócił i energicznym ruchem wsadził pręt do węgla, po czym zawołał:

— Dawajcie mi drugiego, ja was nauczę markować!

Z następną ofiarą, wychudłym, zabiedzonym koniem, poszło mu łatwo. Podeszedł do mnie, opuszczając rękaw koszuli:

— Takie to panie, sprawy... Nie zapijać się z działaczami spod ciemnej gwiazdy, a umieć pracować... więcej życia, życia!

Przykro mi dotknął tym zdaniem. Rzeczywiście nie należało bić w nieopanowanej wściekłości Janickiego, a potem także nie należało popijać z nim i recytować wierszy. Ale ja w tym kraju bardzo się zmieniłem. Za wendą podniósł się tuman kurzu, rozległy

się okrzyki i nawoływania podobne do okrzyków pastuchów pędzących trzodę. Zaraz też Dąbski podbiegł do bramy z okrzykiem:

— Sawczuki jadą!

I na podwórko zaczęły wbiegać konie i bury, po czym wjechało także może z ośmiu opalonych i obrośniętych chłopów, którzy wśród rżenia i hałasu poczęli złazić z koni i witać się z Dąbskim. Przysiadłem pod ścianą i z zadowoleniem obserwowałem ten mały tłum ludzi i zwierząt. No więc nareszcie, na wszystkim co było — krzyżyk! Teraz nowe, może bardziej interesujące życie. Spośród ośmiu mężczyzn od razu wyróżniłem czterech najbardziej energicznych i ruchliwych. Dwóch miało czerstwe, szerokie twarze o wesołych i rozumnych oczach, krępi, dość tężdy, w portkach trzymających się na paskach pod nieco wystającymi brzuchami. Dąbski zaraz mnie przywołał, przedstawił i wyjaśnił, że właśnie ja i Grzeszczyszyn mamy razem odbyć podróż. Uśmiechnęli się wszyscy, jeden powiedział:

— Aby nam panowie tylko po drodze nie poumierali z niewygód, a wszystko będzie dobrze.

Zaraz też poszli się krzątać koło koni, poić je, obłuskiwać przyniesioną przez Julkę kukurydzę. To byli bracia Sawczukowie. Wrażenie dodatnie. Pozostali dwaj — ruchliwi: smagły, o dzikawym spojrzeniu, obrośnięty kakoblo oraz drobny, żyłasty, może sześćdziesięcioletni, ale krzepki wąsacz, ciągle podkręcający swe żółtkę od tytoniu wąsy i żartobliwie nawołujący. Pozostali czterej, chuderławi i jacyś przygaszeni, przysiedli z węzełkami pod płotem i cicho coś sobie opowiadali. Na ruchliwe, przepełnione podwórko opadał wilgotny zmierzch, z kuchni dymiło i skwirczało, szły zapachy jadła, smażonego mięsa. Cała tropa — jakieś czterdzieści pięć sztuk — czerniła się niewyraźnymi sylwetkami na tle podwórza. Wypoczywający pod płotem chłopci podnieśli się i zagnali swoje konie do leżących w kupach kaczanów kukurydzy. Pilnowali, stojąc, aby cudze nie podjadały ich części. Zwierzęta podzieliły się na grupy i chrupały twarde ziarna kukurydzy. Dąbski zaprosił braci Sawczuków do kuchni, pozostałym kazał wynieść na dwór kawy, ci powymowali z węzełków żywność, na środku podwórza rozpalili ognisko, obsiedli je i pojadali, przemawiając się od czasu do czasu żartobliwie. Żyłasty wąsacz wyciągnął z torby butelkę z kaszasa, rozkraczył się, lewą rękę oparł o biodro i dłuższą chwilę ciągnął z butelki. Otrząsnął się i zawołał:

— Ach, ty, moja towarzyszeko, dość cię będzie na dziś!

Przysiadł koło ognia i coś tam wesoło pogadywał. Sawczukowie usiedli obok nas przy stole i ciągnęli szimaron. Obaj byli głodni, żartobliwie przekomarzali się z Dąbską, że jej męza ożenią w Londrinie i osiedlą, tak że życie Dąbskiego zacznie się od nowa. Dąbska gospodarowała, poganiała córki do roboty i nic im nie odpowiadała. W czasie kolacji zaczęli z Dąbskim omawiać szczegóły podróży, z czego wynikało, że jeśli wszystko gładko pójdzie, za osiem dni będziemy w Londrinie. Między mną a Sawczukami od razu zapanował przyjazny nastrój. Ciekawi byli wieści z Polski, musiałem im w skrócie opowiedzieć całą historię niepodległości od osiemnastego roku. Słuchali ciekawie i starszy, blondyn zawołał wesoło:

— A, tośmy teraz nie byle jakie Polaki... A tu w Brazylii trzeba się mocno trzymać, żeby takiej potężnej ojczyźnie wstydu nie narobić!

Grzeszczyszyn zdawał się być nieco zazdrosny, że tak długo podtrzymywałem rozmowę. Palił, postękiwał niecierpliwie, aż w końcu palnął:

— Jak będzie wojna i Niemcy z bolszewikami znów rozbiorą Polskę, to tu będzie druga, nie?

— Ej, kraczecie, panie! — powiedział młodszy Sawczuk. — Już my byśmy chyba na pomoc tam pojechali własnym okrętem; żyje się tu w oddaleniu, bo tak wypadło, ale jakby co do czego przyszło, tośmy zawsze Polacy!

Rozmowa przeszła na tematy cen produktów, słuchałem tego z ciekawością i przyjemnie zauważyłem, że każda rozmowa z kolonistami, byleby nie dotyczyła księży, nauczycielstwa i stowarzyszeń, ma w sobie jakiś zdrowy sens i urok rzeczowości. Zrobiło się późno i roztrząsając jeszcze jutrzejszy wyjazd, rozeszliśmy się spać. Rozbierając się, słyszałem słowa Dąbskiego:

— Julka, a przyszykuj się aby do drogi!... Dziewczynę muszę mieć z sobą, bo w drodze się przyda, a jak mi przyjdzie w Londrynie posiedzieć dłużej, to choćby uprać, ugotować... nie będę sobie najmował baby.

W odpowiedzi rozległo się zawołanie Dąbskiej:

— Och, ty diable uparty, dziecko mi będziesz włócił tyli świata, pośród samych chłopów... Żeby cię pokarało, ty cholerniku zatracony!

Ale Dąbski nic już nie odpowiedział, tylko przeszedł moją kłitkę, udając się na spoczynek. Przez szpary widziałem refleksy ogniska na podwórzu i niektóre twarze chłopów w czerwone światło. Szedł stamtąd głuchy gwar, jakby jakiego obozowiska. Nagle przycichło, ktoś coś mówił i po chwili zabrzmiał z początku cichy i coraz głośniejszy śpiew z chropowatych gardzieli chłopskich. Wrażenie biwaku żołnierskiego spotęgowało „O mój rozmarynie!” a później „Miała matka trzech synów...”. Słuchając tych pieśni, czułem się jakoś swojsko i uporczywe dotychczasowe wrażenie obcości opuściło mnie. Śpiewali z pół godziny, potem jeden głos zaczął mówić i usypiając słyszałem:

— ...tośmy wyszli przed chałupy, a tu ta cała komediancka procesja wylazła zza kościoła. Idą poprzebierane za różnych świętych, w jakichci kieckach i śpiewają... Aż tu podlatuje Golasowa do Matki Boskiej i jak nie zacznie wykrzykiwać: „A tać to Ołdakowa! I patrzcie ją! Za Matkę Bożą się przebrała... a bez cały rok każdego chłopca... którego tylko chciał i nie chciał dopuszczała i trzymała... a byle mocno... Dopieroż w widowiska pasyjne za świętą się robi!” Śmiechu było... dopiero Ołdakowa jak nie podciągnie kiecek, jak nie zacznie uciekać! Pośród świętych, jak im tam... ruch się zrobił, poczęli się rozchodzić i tak już więcej tych pasyj na naszej kolonii nie wyprawiali...

Ubiarałem się szybko, podniecony dzisiejszą wyprawą. Na podwórku wrzało. Dąbski umocowywał kalgiery do burów, były to wielkie kosze naładowane szpadlami, fojsami, przeróżnym towarem gospodarskim, który Dąbski wioził na handel. Niektóre konie były już osiodłane, chłopci kręcili się w podwórzu, sprawdzali swoje kalgiery, poprawiali. Dąbski wskazał mi siodło i konia. Pobiegłem do kuchni, zjadłem coś na stojąco, z komórki wyciągnąłem worek, wsadziłem w niego wszystkie drobiazgi i poszedłem siodłać. No, gotowe! Zapłaciłem Dąbskiemu za siodło i pobyt przez te parę dni i poszedłem szukać Grzeszczyszyna. Natknąłem się na niego w głębi podwórza, stał obok konia pod drzewem i oglądał rewolwer.

— Cóż — mówię — jedziemy zaraz?

— Jedziemy — odpowiedział surowo — tylko pamiętaj pan, com mówił o towarzyskiej solidarności w podróży, bo to nie będzie przejażdżka taksówką w Aleje z dziewczynkami. Teraz się zacznie las!

— Jakoś tam będzie — odpowiedziałem i pomyślałem: aleś ty bracie nudny drań...

Pośród tupotu kopyt końskich i z całego gwaru wyodrębnił się płacz Dąbskiej. Tymczasem już Julka siedziała na zgrabnym burze, w czystej sukni i kapelusiku zawadiacko wsadzonym na głowę. Minę miała nijaką, raczej ponurą i zaciętą.

— No, chłopcy! Wszystko gotowe! — krzyknął starszy Sawczuk. — Jedziemy, jedziemy, bo już późno!

Sprawdziłem, czy mój worek mocno się trzyma w tyle siodła i badawczo przyjrzałem się mojemu wierzchowcowi. W zamieszaniu nie zauważyłem go; to był siwy bur. Odwrócił łeb i przyglądał mi się ze złośliwą ironią. Krzyknąłem w stronę Dąbskiego:

— Nie chcę tego diabła, daj mi pan jakiego konia, przecież jest ich dość!

— Jedź pan na burze — odkrzyknął. — Lepiej pana będzie niósł, bo wytrzymałszy, a panes ciężki chłop!

Ha, trudno! Wsiadłem nawet dość gładko. Musiałem czekać, jeszcze się wszyscy nie przygotowali. Dąbski ucinał sobie ostatnią kłótnię z żoną, ale jednocześnie wyciągał ręce, aby ją uściskać, ona znów odskakiwała, biegł za nią, chłopci się śmiali. Spojrzałem w górę; kilka *corv* zataczało łuki na czystym, zdającym się zapowiadać niezgorszą spiekotę, niebie. Nareszcie Dąbska i młodsza dziewczyna otworzyły na oścież bramę i całe towarzystwo ludzi i zwierząt wysypało się na trakt. Zauważyłem, że jedzie z nami również Michał, wyglądający na wielkim koniu niby jakiś pakunek. Ludzie z wendy wybiegli i przekrzywiali się, życząc dobrej podróży. W głębi mignął mi Brzeziński, pogardliwie i ironicznie zerkając na mnie. Z podwórza dochodził jeszcze głos Dąbskiej:

— A wróć, ty diable przekłety!... I na dzieci uważaj, bo ci łeb rozwałę, jak wrócisz!

Wśród nawoływań, zajeżdżając tropę z boków, pilnując, aby trzymała się razem, wyjechaliśmy na dość szeroką drogę, minęliśmy jeszcze kilka zagród, po czym przejechaliśmy

małą rzeczkę, droga opadła i otoczył nas mroczny i nastrojowy las. Jechaliśmy gęsiego a co najwyżej po dwóch, na pół porosłą pikadą, ocierając się o wystające z obu ścian dżungli ostre krzewy i suto porastające tuż przy drodze pnące takuary. Z przodu co chwila słychać było nawoływania niewidocznych jeźdźców, którymi oddzielona była, co kilka sztuk, tropa. Od kilkunastu minut w palcu prawej nogi odczuwałem dokuczliwe, piekące swędzenie. Rozmyślałem w związku z tym, że przy najbliższej okazji zdejmę but i zobaczę, co to takiego. Jazda odbywała się w porządku, las pachniał mocno i duszno, obie strony drogi porastały jakieś najrozmaitsze gatunki roślin, tak, że metr dalej już nic nie było widać, tylko gdzieś tam ujrzyć można było pień drzewny okręcony lianami. Nieco wyżej wyraźnie rysowały się ogromne drzewa, obrośnięte mnóstwem pasożytniczych roślin i konary tych drzew łączyły się w górze, ciągnąc się ciemnozielonym dachem ponad ścieżką. Niektórzy pokrzykiwali wesoło, inni wciągnęli się w rozmowę o swoich sprawach, monotonicznie, niby w wagonie kolejowym, aby się droga nie dłużyła. Tuż za mną jechała córka Dębskiego; czarna, zła i poważna. Miałem nawet ochotę pogawędzić z nią, ale widząc jej minę, zaniechałem. Godziny sączyły się jedna za drugą, co pewien czas poprawiałem się w siodle, to znów myślałem o bólu w nodze, przypominałem sobie dawne historie z dzieciństwa i jakoś byłem zajęty. Mimo, że droga ciągle była jednakowa, nie nużyła. Dżungla zajmowała drobiazgami: tu gałąź wiła się skręcona, jakby w jakim bólu, gdzie indziej zaszemrało coś w gęstwie, to znów grupa kwiatów barwiła się wysoko na konarze drzewa, kopyta końskie z trzaskiem miażdżyły suche poszycie ścieżki, jechało się powoli, kołyszaco. Miejscami, kiedy droga ciągnęła się równo, widziałem na przedzie Grzeszczeszyna z podniesionym fakonem, jak ścinał zwisające mu nad głową girlandy takuary. Człowiek ten starał się ustawicznie podkreślać słowem lub czynem swoje istnienie. W dole, koło kopyt bura coś nagle zaskuczalo, bur opuścił łeb tak nisko, że nagle zrobiło mi się jakoś pusto bez tego łba; przechyliłem się w dół i ujrzałem na ziemi żółcącego się miniaturowo kundla Dąbskich. Zastanawiałem się chwilę, czy by go nie wziąć na siodło, ale jakoś sprytnie przemknął się między kopytami i podreptał, klucząc żółto, naprzód. Spytałem się Julki, czy będzie nam towarzyszył aż do samej Londriny, na co mruknęła:

— A czort go wie, *kaszoro*<sup>106</sup> przekłete! Bury go zademca!

Hm, małowówna to była istota. Nagle na przedzie zobaczyłem tłoczącą się tropę i jeźdźców na poszerzonej nagle ścieżce. Konie wyciągały szyje, tupiąc kopytami w miejscu, stłoczone i złe. Tam, gdzie polna przestrzeń się zwężała i przechodziła znów w ścieżkę, stali obaj Sawczukowie tamując dalszą drogę i młodszy wołał:

— Ej, wy tam od końca! Liczcie tropę, ile ich tam macie!?

Za mną stały cztery konie, niecierpliwie przestępując w miejscu, za nimi stał koń z jeźdźcem i to był koniec. Policzyłem je z tymi, które miałem przed sobą i krzyknąłem: „Dziewięć!” Następny policzył je ze swymi i podał dalej. Liczba wciąż rosła i wreszcie dobiegła do Sawczuków w cyfrze czterdziestu siedmiu sztuk. Wszystko było w porządku i Sawczukowie odwrócili się plecami, ruszając w dalszą drogę. Nagle spomiędzy stłoczonych zwierząt wyrwała się roślina i piękna kobyła wiśniowego koloru, z długim, jasnym ogonem i nim się kto zorientował, boczkiem przecwałowała mimo nas i wydostawszy się na wolną drogę, galopem zniknęła za zakrętem i po chwili nawet tętent jej ucichł. Zaraz Dąbski krzyknął do Michała:

— Ganiaj żywo za kobyłą i bez niej mi nie wracaj!

Chłopak zawrócił, zdziesiął konia batem i przytrzymując kapelusz pognął za zbiegłą kobyłą. Cała tropa wolno ruszyła naprzód. Ten i ów komentował ucieczkę konia, Dąbski ciągle krzyczał w moją stronę: „A co, nie widać go tam?” Ale za nami w głuchoj ciszy łączyły się obie ściany dżungli, pochłaniając ścieżkę. Ustawiczne kiwanie się na burze przyprowadziło mnie o senność, odczuwałem ból w krzyżu, noga ciągle piekła, ale wszystko razem niepozbawione było pewnego uroku. Gdzieś zaszczekał pies, mignął mi nawet kilka razy, bury na jego widok wyciągały szyje jak gęsi, słychać było monotoniczny chrzęst, brzęczenie żelazni w którymś z kalgierów. Dąbski ciągle zapytywał, czy nie widać Michała ze zgubą. Grzeszczeszyn w pewnej chwili wyrósł ponad wszystkich, wykrzywił do mnie poufnie twarz, widocznie stanął w strzemiączkach, aby popatrzeć czy jestem. Spojrzałem na zegarek; wskazywał trzecią. Prawa strona dżungli zdawała się przeredzać, *tropa* po-

<sup>106</sup>*cachorro* — pies po portugalsku. [przypis autorski]

biegła żwawiej, pokazała się kapuejra, potem polanka, na polance ogrodzenie i dymiąca spod dachu chałupa. Skręciliśmy w stronę tej zagrody. Widziałem teraz wszystkich wyraźnie, jeźdźcy jechali po obu stronach tropy, aby się nie rozbiegła, z piaszczystej dróżki zrywał się lekki tuman kurzu. Tymczasem ci na przedzie już zsiadali z koni, na udeptanej przestrzeni przed chałupą stały dwa długie i wysokie żłoby, niektórzy już rzucali do nich kukurydzę, którą wyciągali z bocznej szopy, konie obstały żłoby, bury kopały, wszczął się gwar i ruch. Dotychczas jeszcze nie widziałem gospodarzy tej ranszy, ale okazało się, że polecenie co do kukurydzy wydała siedząca w kuchni samotna i stara kobieta. Zdjąłem siodło z bura i na razie przywiązałem do zbutwiałego płotu, po czym poszedłem do starszego Sawczuka i zapytałem go o kukurydzę dla mego bura.

— Wynieś pan sobie z pajora kilkanaście kaczanów i później pan za nie zapłaci ile tam wypadnie!

Wlaziłem do przewiewnej szopy, na pół pełnej, aż po poszycie, kukurydzy, wyciągnąłem ze dwadzieścia kaczanów i troskliwie zacząłem karmić bura. Jadł obojętnie i stojąc koło niego, myślałem sobie: Ej, ty mi jeszcze braciszku coś w tej podróży uszykujesz! Spojrzałem w bok. Koło szopy stał Grzeszczyszyn i gorącą, brunatną wodą (skąd on wziął już gorącej wody, pomyślałem) zmywał grzbiet swojego konia. Podeszedłem do niego i spytałem:

— Po co pan to robi?

— A żeby się nie odparzył — odpowiedział fachowo.

Spojrzałem na grzbiet swojego bura. Grzbiet jak grzbiet, trochę wilgotny. Nie, nie będę go żadną wodą polewał. Rozejrzałem się, nikt tego nie robił.

— A z czym ta woda? — krzyknąłem jeszcze do Grzeszczyszyna.

— Z herwą, panie, z herwą... ja umiem chodzić koło zwierząt!

Chwilę byłem niezdecydowany, ale doprawdy nikt tego nie robił. Zwierzęta uporządkowały się po obu stronach żłobu, kabokło z groźną miną rozpałał ognisko, ktoś mu pomagał, obok leżał pies Dąbskiego z wywieszonym językiem, chłopcy poczęli kłaść naokoło ogniska kapy i pelegi, po czym układali się na nich, postękując. Nad ogniem ustawiono drążek z kociołkiem, chłopcy rozwiązywali węzłki, wyciągali z nich woreczki z ryżem i fizonem, kawałki słoniny — zabierano się do gotowania posiłku. Zauważyłem, że tylko mój bur je osobno. Wygląda to jakbym się oddzielał, pomyślałem, ale nie mam jeszcze praktyki w tych sprawach, a pytać się o wszystko Grzeszczyszyna — nie chce mi się. Wszedłem do chałupy; była to jakby marna i brudna stodoła bez żadnych sprzętów, a na podłodze leżała gruba warstwa pyłu. Z belek zwieszała się pajęczyna i cuchnęło moczem. Na starej skrzyni stał odwinięty worek z czymś niby mąka z czarnymi kawałkami czegoś. Obok worka stał Dąbski z córką i Grzeszczyszyn, w rękach trzymali łyżki i pojadali z tego worka.

— Jedz pan pasokę — powiedział do mnie Dąbski. — Nie masz pan pewnie łyżki... Julcia, skoczno do kalgiera po łyżkę! Sprzedam panu łyżkę... kawa jest w dzbanku, będziesz pan u mnie na kuchni, a potem się policzymy! Ale tego Michała nie widać, będę musiał czekać, aż wróci... jedz pan! To pożywne, tłuczona kukurydza z suszonym mięsem i kogutem; zawsze takie jedzenie bierze się w drogę, bo najdłużej się nie psuje, a pakowne i sytne.

Pobiegłem do swej torby, przytaszczyłem ją do stodoły, wyjąłem blaszany kubek i talerz, usypałem sobie na niego trochę tej pasoki, w kubek naląłem kawy i stojąc, zacząłem jeść. Było to nawet dość smaczne, suche, w smaku podobne do tartej bułki; kogut z jakimś innym mięsem trochę urozmaicał jałowość tego, a kawa zwilżała sypkość. Julka zjadła niewiele, ja też po kilku łyżkach byłem syty. Kawa trochę mnie rozruszała. Dąbski poradził mi, abym sobie przygotował tutaj możliwie najlepsze miejsce na nocleg. Zaciągnąłem do kąta trzy podłużne deski, których stało kilkanaście opartych o ścianę, na deski rzuciłem worek i kapę, po czym wyszedłem na dwór.

Słońce rozlewało się krwisto nad ostro rysującym się pasmem lasów, wokół otaczała nas przycajona puszcza, powietrze było rześkie, przedwieczorne, chłopcy przy ognisku gawędzili półgłosem, z szopy wyszedł żyłasty wąsacz, znów się rozkraczył, pociągnął z butelki, otrząsnął się i powiedział:

— Ech! ty mocna... pocieszycielko moja rozmowna!

Kucnął przy ogniu z kawałkiem chleba i słoniny w rękach. Rozłożyłem kapę i położyłem się na niej przy ogniu, obok Sawczuków. Kaboklo mieszał łyżką w kociołku i mówił kiepską polszczyzną:

— ...Alberto tam posid a ojca w kasa<sup>107</sup> niebył... no Alberto sprzedać jeko krofa za dwieście milóf... ojciecz wracza, krofy nima... gdzie krofa... sprzedana... idzie do co kupił i ze smita zabije krofa i mówić... jak Alberta taka ladra<sup>108</sup>... to krofa nikogo będzie...

Odłożył łyżkę, pogłaskał psa i w zadumie skręcał sobie papierosa. Kilku chłopów, przejętych opowiadaniem, westchnęło. Spytałem starszego Sawczuka, kto to jest ten kaboklo?

— On żonaty z naszą siostrą... nasz szwagier... dobry chłop, tylko gadać się jeszcze po polsku nie nauczył!

Chciał jeszcze coś mówić, ale raptem wyciągnął szyję i zawołał:

— A co mu, cholerze jest, że się tak pokłada!

Pod płotem leżał koń, próbował wstać, znów się kładł, trząsał łbem i robił wzdętymi bokami. Obaj Sawczukowie podbiegli do niego.

— Musi się czego obżarł i wzdęło go — rzekł któryś z chłopów.

Tymczasem Sawczukowie ciągnęli konia za ogon aby się podniósł, wreszcie z trudem wstał, przegiął szyję i nozdrzami obwąchiwał prawy bok. Chwiał się przy tym na nogach i drżał na całym ciele. Wszyscy zerwali się od ognia i obstąpili chore zwierzę.

— Przegnać go, to mu popuści — radził ktoś.

— Nie, lepiej go zaprowadzić do wody!

Młody Sawczuk chwycił kija i począł nim zmuszać konia do biegu. Szedł z trudem, ciągle obwąchując bok. Sawczuk założył mu uzdę i zaprowadził do pobliskiej, błotnistej sadzawki. Koń chwilę wahał brudną wodę, w końcu wlaź i położył się, przeginając boleśnie szyję. Ktoś przyniósł butelkę z kawą zmieszaną z jakimś płynem, konia wyprowadzono z wody i Sawczuk począł mu wlewać butelką płyn do pyska. Znów go poganiano. Kaboklo chwycił noża i lekko podciął mu podogonie. Spłynęło trochę krwi. Koń wrócił na podwórze i powalił się między żłobami, dysząc ciężko. Szwagier Sawczuków uderzył go kijem, poderwał się, ale nie wstał, tylko począł się tarzać na grzbiecie i przewalać z boku na bok. W końcu wstał i łaził niezdarne po podwórzu, ciągle dysząc i co chwila obwąchując prawy bok. Przykro było patrzeć na biedne zwierzę. Ludzie zajęli miejsca przy ognisku i stamtąd przyglądali się koniowi. Po kolei nakładali sobie z kociołka ryż z fizonem, jedli i popijali kawą. Koń zdawał się czuć lepiej, podszedł nawet do żłobu, ale tylko sapnął, że aż ziarnka kukurydzy rozprysły się, i odszedł. Z wolna przestano zwracać na niego uwagę. Zaczęły się pogawarki i prześmichy. Najwięcej mówił wąsacz, do którego mówiono Belcik. Był to śmieszny chłop. Opowiadał jakieś historyjki z japońskiej wojny, wiedziało się, że na niej nie był, ale słuchano go chętnie, prowokowano, aby gadał więcej.

Ściemniało się, blaski ognia migwały po twarzach ludzkich, kładły się po podwórzu. Dwie kuje z szimaronem krążyły z rąk do rąk. Podszedł Grzeszczeszyn, przecisnął się bliżej ognia, wyciągnął rękę po kuję i zawołał:

— Dawajcie tu, nalewajko!

— A nie bądźcie tacy prędcy, bo wołacie jak w wendzie o piwo!... — krzyknął Belcik.

Grzeszczeszyn cofnął rękę i mruknął coś pod nosem. Zaczęło się opowiadanie historyjek, zasłyszanych jeszcze w kraju, długich i bez pointy, zabawnie nieudolnych i niedowcipnych. O żołnierzu rosyjskim, który poszedł aż do samego cara, o księdzu, popie i rabinie, który z nich mądrzejszy. Potem przyszły nieprzyzwoite: jak dziad wędrowny zaszedł do chałupy i dowcipnie z żoną gospodarza się przespał. Wśród zapachu dymu, w trzaskach płonącego drzewa i pąsowych refleksach ognia, w serdecznej bliskości, paląc i pijąc lekko podniecający szimaron, słuchało się tych prostackich bajd z czystym uczuciem prostoty i naturalności atmosfery. Z puszczy dobiegał czasem pokrzyk nocnego ptaka, mocno i dźwięcznie kuły żaby i odgłos ich był uderzająco podobny do dwóch na zmianę bijących młotami w rozpalone żelazo — kowali. Ci polscy chłopcy z całym swoim urokiem surowości i tężyzny, na tle tej dzikiej głuszy, przy ognisku, z twardą poczciwą mową i szczerymi, niegolonymi twarzami, wywierali na mnie wrażenie serdecznej

<sup>107</sup> *casa* — dom. [przypis autorski]

<sup>108</sup> *ladrao* (port.) — oszust; [też: złodziej; red. WL]. [przypis autorski]



braterskości, pobudzali pogodę ducha, czuło się bliskość swoich, rodactwo. Nie było tu nudnych, parszywych rozmów dotyczących jakichś mętnych spekulacji w imię fałszywie pojmowanej pracy społecznej; wszystkich tych załganych i wzniosłych tematów: „Macierzy” „Religijności”, „Braterstwa”, całej tej mętnej i nieudolnej propagandy w celu zachowania polskości kolonisty, który tę polskość czuje mocno i po swojemu, i podświadomie obrusza się, kiedy wmawiają w niego różni karierowicze emigracyjni to, co czuje w krwi, i zgrubiałymi rękami ustanawiając sobie byt na obczyźnie, pogardza w głębi duszy tymi wszystkimi „działaczami” i „prezesami”, dybiącymi na stłamszenie z takim trudem nabytej indywidualności i swobody. Słuchając ich, patrząc na nich, czułem szczerą i bezgraniczną siłę i czystość ducha tych ludzi. To był człowiek wiadomy, prosty jak bochen razowego chleba, jak pracowicie wydarty tej twardej ziemi łan zboża. Przy tym ognisku zacząłem wyczuwać sens pięknej, życiowej misji polskiego chłopaka-kolonisty w Brazylii. Spojrzałem na Grzeszczyszyna. Jego kostropatą twarz oblewała czerwona luna ognia, nos mu jeszcze bardziej zachodził na usta i ostro odcinał się od reszty zasłuchanych twarzy. „Gadajcie sobie chamy... znam ja was, znam na wylot... umiem z wami obcować”. Skorzystal z chwilowego milczenia i zaczął mówić:

— Tak, moi ludzie... siedzicie sobie tutaj jako wolny naród, ale pamiętajcie, że wasze dziady batem na pańszczyźnie po grzbietach brały, a wy tutaj za prędko żeście się usamodzielnili! Będziecie się buntować księżom, co samą dobroć z sobą niosą, to przyjdą z Polski różne nowe dziedzice i znów popadniecie w niewolę... a tam już coś szykują... żeby wszystką, co jest do sprzedania ziemię w Brazylii kupić, tutaj was zdrowo mocno za łeb wziąć; podatkami, spekulacjami i wódką... w długi popadniecie... majątków się wyzbędziecie, a dalej na zarobek do tych dziedziców! A jak misjonarze chcą was od tego uchronić, chcą pouczyć i wychować w gromadnym duchu, abyście kupą byli silni, to wy tych księży traktujecie jak najgorzej... A to wam tylko powiem, że ta Polska, co jest teraz, to nie prawdziwa Polska... ale chociaż rządzą nią Polaki, to inne, złe... które kraj chcą mieć dla siebie na własność!

Smutno zwiesił głowę. Rozległ się śmiech Belcika, który zabrał głos:

— Ależ wy panie dziobaty gadacie jak jaki księży najemnik! I głupio! Jak to mogą być złe Polaki, które naród z niewoli wyrwały i do dobrobytu i znaczenia we świecie doprowadziły! Jakże to może być, kiedy tu — słyhać — i ministra w Rio polskiego mamy, i konsula w Kurytybie, za złotego trzy mile płacą, przez radio o tej Polsce ciągle gadają, a listów to mi krewniaki spod Mińska Mazowieckiego nie przysyłają? Toć my wiemy, jak tam jest! A żadnych dziedziców to my się nie boimy, bo niech sobie ziemi skupują, ile chcą, dla wszystkich wystarczy, chociaż słyszę, że te ziemie skupują dla nowych emigrantów, co mają przyjechać z Polski! A jakby, to i co nam zrobią, kaszasa w Brazylii tania, wystarczy dla nas i jeszcze tych dziedziców poczęstujemy... co tam gadacie o jakimś rozpiciu... A i tak wy, panie, nawet bajacie jak jaki nieuczony, ni do składu ni do sensu... niewolą nas będą straszyć, co ja mam sześćdziesiąt alkrów ziemi, koło setki świń, dwie chałupy, trzy córki wyposażyłem... koni kupa... o, i jeszcze sobie jeżdżą jak jaki pan po podróżach, ziemi nowej w Londrynie dokupić.

— A co się tak Belcik przechwalacie swoim majątkiem — krzyknął wesoło starszy Sawczuk. — A myśmy to od was gorsi! Ten pan to chyba mocno napił się czy co, że tak gada! Słuchać tych misjonarzy! A toć to jakieś wycirusy przyjechały i na skórze chłopaka chcą się pożywić! Kogo mamy się tam bać... toć taki Kiełta ino o żebractwie myśli... jakby tu jeszcze nowy grosz wyciągnąć! Niech tam się pożywią czasem przy nas. Dla bab tylko oni potrzebni, bo rozrywek na koloniach niewiele, a baba zawsze lubi przy niedzieli się wystroić, pokazać co ma na sobie i z innymi porajcować, misjonarskiego bajania posłuchać!

Ten i ów z chłopów jeszcze coś zagadał na ten temat, pośmiali się trochę z Grzeszczyszyna i z wolna przeszli na opowiadania wesołych historii, nie zwracając na niego uwagi. Patrzyłem na Grzeszczyszyna, starając się wyczytać z jego miny, co myśli. Twarz miał pogardliwie odętą i patykiem szturchał węgle w ogniu. Co chwila wzruszał ramionami, pociągał nosem i w końcu niepostrzeżenie wypelzł poza krąg otaczających ognisko. Ogarnęła mnie senność, podniosłem się ociężale i poszedłem do chałupy. Obok skrzynki ze świecą stał Grzeszczyszyn i przeciągał się kapryśnie, niby dziewczyna z rana i po wyjściu z kąpielni. Przy ogniu zagrzałem się i teraz było mi zimno, na domiar palce u nogi dokucz-

liwie mnie swędziały. Przesiadłem obok świecy i zacząłem ściągać but. Grzeszczeszyn stał w rozpiętej koszuli, ziewał, drapał się w piersi i patrzył na mnie z nieukrywaną antypatią. Milczeliśmy jednak. W kuchni, za ścianą, ktoś westchnął. Pokuśtykałem i zajrzałem przez niedomknięte drzwi. Pośrodku, na glinianym wzniesieniu tliły się drzewne polana i w ich nikłym blasku widać było śpiące na ławach kobiety. Zawróciłem, usiadłem i zacząłem oglądać palce u nogi. Tuż pod paznokciem wielkiego palca czernił się nikły punkcik otoczony różową obwódką.

— Co to może być takiego? — zwróciłem się do Grzeszczeszyna.

— A, daj mi pan spokój. Pedikiurzysta jestem, czy co?!

Usiadł, ziewnął szeroko i przyglądał mi się niedobrym wzrokiem. Wyciągnąłem szpilkę z kołnierza koszuli i zacząłem nakłuwać czarny punkcik. Czynność ta sprawiała mi bolesną przyjemność. Wyciągnąłem po chwili „bisza” razem z jajkowym woreczkiem, zaraz odkryłem innego i w końcu doszukałem się siedmiu sztuk tego paskudztwa.

— Panu by się przydał lokaj w tej podróży — szepnął Grzeszczeszyn zjadliwie.

— Kto wie, może jeszcze pana zgodzę, jak się pan będzie dobrze sprawował — odciąłem się.

Wstał i zaczął mówić z jakimś wściekłym sykiem:

— Tylko niech pan sobie za bardzo nie pozwala, bo ja w nerwach jestem nieobliczalny!... Panu to chamstwo dogadza i myśli pan, że razem z nimi huzia teraz na Grzeszczeszyna!... a niech ja się tylko rozchoruję w tej drodze, to w całej Paranie będzie huczeć... Jeszcze ma się za mną kto ująć, nie myśl pan!

Począł szybko chodzić i nerwowo skręcał papierosa. Postanowiłem już się do niego nie odzywać. Wciągnąłem but, położyłem się na deskach, nakryłem się kapą i przez zamknięte oczy przyglądałem się temu ananasowi, przypominając sobie jednocześnie książkę jakiegoś Anglika, który twierdzi, że istnieje rodzaj mężczyzn, którzy psychicznie przechodzą w formie szczątkowej okresy podobne do periodów kobiecych. Obserwuję już prawie miesiąc Grzeszczeszyna, hipoteza ta wydała mi się dość prawdopodobna. Przypomniałem sobie jego zachowanie w Iraty... biedaczysko! Istotnie przechodził jakieś gnilne nastroje. Palil, przysiadł, wstawał i w rudawej barwie świecy wyglądał odrażająco. Chwilami przystawał i patrzył na mnie z miną, jakby zamierzał podskoczyć i kopnąć mnie. Atmosfera była taka, że mocno ująłem pod kapą rewolwer. W tej chwili wszedł do izby (czy stodoły? diabli to wiedzą!) mały kabokło w czapce z daszkiem i fuzją pod pachą. Rozejrzał się jakby węsząc i cichutko przemknął do kuchni. Zauważyłem, że w rękę trzymał za ogon pancernika. Koszmar, psiakrew! Grzeszczeszyn zgasił świecę i wyszedł. Postanowiłem chwilę czuwać, ale zaraz zasnąłem.

Ranek urodził się pod znakiem koni. Mianowicie koń Dąbskiego nie wrócił, natomiast chory koń wyzdrowiał. Obejmując to umysłem, sprawa jest na remis. Dużo o tym mówiono przy ogniu, a Dąbski był bardzo zgryziony. Chłopiec także nie wrócił i nie wiadomo, czym bardziej Dąbski się gryzł. Postanowił czekać na obydwóch. Grzeszczeszyn był w usposobieniu wprost radosnym; gwizdał, kręcił się koło koni, zaglądał im tu i ówdzie, oceniał wiek i siłę, kilkakrotnie nawet zajrzał w zęby... Zagadywał chłopów i nie zrażał się ich lekką rezerwą w stosunku do siebie. Do mnie się odzywał jakby nigdy nic. Taki to już dziwny był człowiek. Wsypałem w siebie kilka łyżek pasoki, zalałem ją wrzątkiem kawy i powoli zabrałem się do siodłania bura. To co widziałem wokół siebie podczas tej czynności, napępniało mnie na razie uczuciem pogodzenia z losem i dobrą wewnętrzną aurą. Tropa żrąca przy żłobach, chłopci pojadający przy ogniu i żebrzący na tylnych łapach kundel, i rozkraczony Belcik pijący swą porcję kaszasy, wszystko to było czyściutko wyzłocone słońcem i tchnęło radosną rzeczywistością. Belcik odjął butelkę od ust, potrząsnął nią w stronę Grzeszczeszyna i powiedział:

— Lepsza ona — mój dziobalu — od was, pocieszycielka ta moja... Nie grozi dziedzicami, o nie!

Grzeszczeszyn uśmiechnął się jakimś stłuczonym śmiechem i pochylił się nad psem. Pomyślałem sobie, ile też ten Belcik wiezie ze sobą wódki, skoro zawartość faszki zdaje się nie mieć końca, pomyślałem również, że cieszy mnie przymusowy postój Dąbskiego, bo mimo że nie absorbował zbyt w drodze, to jednak chwilami drażnił mnie swoją fornalską psychiką. Przed chałupę wyszedł mały kabokło i dziwnie nikle i obrzydliwie odcinał się od grupy przy ogniu. Zresztą chłopci poczęli się zrywać z ziemi, jeden zajął

się zmywaniem naczyń, inni nakładali kalgiery na bury, siodłali konie, wynosili posłania z noclegu w szopie. Zapłaciłem kabokłowi dwa milreisy za kukurydzę dla mego bura, po czym usadowiłem się w siodle i czekałem, aż wszyscy będą gotowi do drogi. Aby uniknąć tego, co się zdarzyło Dąbskiemu, chłopci uwiązywali niespokojniejszym zwierzętom dzwonki u szyi. Wreszcie Sawczukowie wsiedli na konie i cała wyprawa ruchomym sznurem ludzi i zwierząt wcisnęła się w leśną dziedzinę. W chłodnym, orzeźwiającym półmroku, wypoczęte konie rwały się do szybszego biegu, leśna ścieżka napelniła się odgłosami dzwonek, brzęczeń luźno umieszczonych przedmiotów w kalgierach, okrzykami, dudnieniem kopyt, wesołą wrzawą. Belcik lekko podochocony swoją ranną porcją, wyśpiewywał ochryple nieprzyzwoite teksty rosyjskich piosenek, zawracał koniem, dogadywał, znów pędził naprzód. Już teraz wiedziałem, że ten wesoły pijaczyna stanie się zmorą i udręką Grzeszczyszyna, bo co i raz koniem na niego nacierał, zaglądał w oczy, stroił miny do tyłu i nawet głośno krzyknął coś o karakułach; miało to związek z nierównością lic Grzeszczyszyna. Ale Belcik powoli przycichł, przycichła także cała tropa; jechało się teraz wolno, teren stał się nierówny, ścieżka gęsto porośla, pełna kryjomych jam, zawalona co kilkaset metrów na pół zgniłymi pniami, lub też zarosła w poprzek takuareą, tak że trzeba było się schylać, aby nie zawadzić szyją o te naturalne szykany. Ranny, orzeźwiający urok dżungli począł z wolna zanikać; z gęstwy wionęło dusznymi waporami, zgnilizną i próchnicą. Siodło uwierało lędźwia i dopiekało. Nad uszami koni unosiły się drobne owady i duże, brunatne bąki ciężki żądłami do krwi i tak przylegały do ciała zwierząt, że mazały się pod dłońią krwistą mazią. Jazda stawała się coraz bardziej dokuczliwa. Na przedzie ciężki fakonami takuare i rozhuśtane, ostre końce łodyg uderzały po twarzy i szarpały ubranie. W pewnym miejscu przerzedziło się i zaczęliśmy zjeżdżać w rozległy jar, pochyla, zawaloną korzeniami ścieżką. W skwarnej i sennej ciszy wyłoniła się spomiędzy krzewów nędzna szopa, przed którą stał brodaty, dziko obrośnięty człowiek w portkach i koszuli. Wiało od niego samotnością i niesamowitym opuszczeniem. Przesłaniając dłońią oczy od słońca, patrzył na nas, wyprostowany, nieruchomy. Zagadnąłem jadącego przede mną Belcika, kto to jest, ten pustelnik. Odpowiedział mi, że to trędowaty. Po chwili straciliśmy go z oczu. Groza była w tym obojętnym ominięciu nieszczęśliwego. Znów wchłonął nas cuchnący jednocześnie zgnilizną i surowizną, mroczny, przesłaniający zrosniętymi konarami las. Podenerwowane parną dusznością i kąsaniem owadów zwierzęta zbaczały z drogi, zaszywały się w zaroślach, dzwoniąc niewidzialnie dzwonekami u szyi. Ten i ów z jeźdźców parł konia w gęstwę, ploszył uciekinierów, podróż stawała się opieszala i mozolna. Bury zawadzały kalgierami o drzewa, wciskały się między nie, nie mogąc ruszyć dalej, kalgiery się obluźniały, trzeba było schodzić z koni, poprawiać. Ludzie obcierali chustkami pot z twarzy i karków, a wabione potem małe muszki oblepiały policzki i nie plosząc się, ginęły pod rozcierającą je dłońią. Byłem tak zajęty mnóstwem dolegliwości, ciąglem poprawianiem się w siodle i opędzaniem od owadów, że nie było wprost czasu nudzić się monotonią tej drogi. Za koszulę przedostały mi się paprochy ze zwisających gałęzi i świerzbiły rozgrzaną skórę. Bardzo rzadko mignął się ptak i poza rojem owadów nie widziało się innych stworzeń. Ścieżka się rozszerzyła i stanęliśmy nad małym strumykiem. Tropa tłoczyła się, pijąc wodę. Niektórzy pozłazili z koni, poprawiali siodła i podciągali popręgi. Byłem tak zmęczony i odurzony dusznością, że nawet nie chciało mi się złączyć z bura. Chciał pić, ale nie mógł przedostać się do wody, więc na razie osunął się spokojnie na ziemię, niby wielbłąd. Z niezdecydowaną miną stałem rozkraczony nad błogo mrużącym oczy bydłem. Przelazłem przez niego, odwrócił ode mnie łeb z wyniosłą pogardą i rozwałił się jeszcze wygodniej. Nie lubię być przedmiotem czyjejś wesołości, toteż bezradnie, w gniewie, przysłuchiwałem się docinkom kolonistów.

— Połóż się pan obok niego! — krzyknął podochocony ogólnym nastrojem Grzeszczyszyn.

Przyjrzałem mu się uważnie i zaraz umilkł. Podeszedł starszy Sawczuk i powiedział:

— Czyj to bur? Dąbskiego... Zwierzęta są pomęczone, trzeba będzie panu dać konia. Weź pan sobie tego, co wczoraj chorował, to dobry koń!

Chwyciłem uzdę i podbiegłem do pojącego się konia. Bura rozsiodłałem, wymierzyłem mu solidnego kopniaka. Wstał i z gracją podeszedł do strumyka. Tropa ruszyła

Podróż, Droga, Las

naprzód i siodlając konia przez chwilę zostałem sam na ścieżce. W obłokach muszek, odpędzając natarczywe bąki, stałem pełen zapiekłego gniewu i zniechęcenia. Nad błotem koło strumyka krążyły barwne motyle, niby skrawki perkalu. Niechętnie, z obolałymi łędwiami, wgramoliłem się na konia i szybko ruszyłem naprzód. Dogoniłem tropę i pogrzyłem się w monotonię jazdy. Nagle droga zrobiła się okropna. Zwierzęta brnęły po kolana w błocie, człapały pod górę, obsuwały im się kopyta. Bury z kalgierami kładły się na suchszych miejscach i bite, z trudem wstawały. Rozpoczęło się piekielko. Siodła obsuwały się, ludzie poprawiali je, w końcu wielu zeszło i piechotę prowadziło konie za uzdy. Pikada tak porosła, że trzeba było ciąć gałęzie fakonami. W końcu wszyscy pozsiadali z koni, bo na wysokości piersi rosły pnącza i uniedostępniały jazdę, zawadzając o głowy. Po godzinie takiej jazdy pod górę, koń mój pokrył się płatami piany i robił bokami. Zatrzymałem się, abysmy odpoczęli i przez ten czas tropa tak się oddaliła, że już nawet nie słyszałem odgłosów. Spojrzałem w górę. Ledwie widzialna pikada, zavalona bryłami tłustego blocka, wrzynała się w splątana pochyłość. Zauważyłem, że pewien rodzaj bąków trzyma się tylko na wysokości brzucha końskiego i kiedy pochylony wspinałem się po brunatnej mazi pod górę, na twarz moją przypuściły gwałtowny szturm te rozbrzęczone, ohydne owady. O ile jadąc na koniu miałem — mimo duszności — czym oddychać, to na tej wysokości zalewały mnie duszne fale zgniłych wyziewów, muchy oblepiały złane potem policzki, potwornie gorący zaduch tamował oddech i drapał w gardle. Posuwałem się wolno w mrocznej męce, nad głową sterczało poszycie z pnączów, przesłaniając niebo. Szedłem jak w jakim podziemnym korytarzu. Serce mi waliło, całe ciało piekło, zacząłem się ślaniać i kilkakrotnie upadłem na kolana. Ogarnęła mnie determinacja i wlokłem się w osłabieniu, z szumem w głowie. Koszmar ten trwał z półtorej godziny i w końcu pochyłość się skończyła, błoto znikło i pokazała się droga mniej zarośnięta. Wsiadłem na konia i popędziłem, uchylając głowy przed rosnącymi poziomo pułapkami z lian i takuary. Dobiegł mnie gwar tropy, mignął zad koński, i po chwili przyłączyłem się do tropy. Po godzinie odsłoniła się porosła kapuejrą, z plackami nikłej trawy, wolna i bezdrzewna przestrzeń z na pół rozwaloną ranszą o dachu z wysuszonej trzciny. Nad tą polaną, między rzadkimi piniorami, snuła się popołudniowa, tęskna i dzika cisza. Dżungla otaczała ją czarnym i posepnym murem; na tej jasnej przestrzeni czuleś się jak na dnie wielkiego pudła. Tropa szybko biegła w stronę ranszy, konie z rozwianymi grzywami i wydłużonymi szyjami kąsały się, bury kopały zadami, wszystko zdawało się być podniecone, po samotni rozbiegł się gwar, zabrzmiały okrzyki: „O, o, ooo!”

Wszystko skupiło się koło opuszczonej ranszy, zaczęło się odjuczenie burów, zdejmowanie siodeł. Sawczukowie wyrzucali z kalgiera kaczamy kukurydzy na ziemię, kaboklo i Belcik rozpalali ogień, Grzeszczeszyn już zdążył przygrzać trochę wody i zmywał grzbiet swojego konia. Niektórzy prostowali kości, przeciągali się, skręcali papierosy. Wszystkie zwierzęta w grupach jadły z ziemi kukurydżę. Obsiedliśmy ognisko, pomęczeni i nieskorzy do rozmów. Jeden Belcik wykrzykiwał z ochotą, ale ten był już po swojej porcyjce. Podszedłem do Sawczuków i powiadomiłem ich o mojej sytuacji żywnościowej w związku z rozstaniem się z Dębskim oraz jego workem z pasoką. Postanowili mnie dopuścić do wspólnych zapasów, a co do kosztów, to jakoś się później obliczymy. Usiadłem przy ogniu. W kociołku już bulgotała kolacja, gryzący dym wionął na twarze. Słońce ociekało przezroczystym różem i cała okolica zdawała się omdlewać w pysznych barwach. Niebo pokryło się pierzastymi obłokami i uroda usypiającego świata zdawała się strząsać z ludzi i zwierząt brudne zmęczenie przebytej drogi. Dojeżdżając do ranszy, zauważyłem jasne koryto niewielkiej rzeczki, więc wyjąłem z torby mydło i ręcznik, po czym udałem się w stronę tej wody. Nagi, zanurzony po szyję w chłodnej wodzie, rozmyślałem o dziwnie konspiracyjnych się niebezpieczeństwach tego kraju. Oddalony byłem od obozu o jakie dwieście metrów i gdyby w tej chwili z zarośli wychynął tygrys<sup>109</sup> lub puma, zginąłbym tego pięknego zmierzchania, jak cielę z przegryzionym gardłem. Ale zarośla nieruchomo pławiły się w cudnych barwach zachodu, w powietrzu tylko drgał kłęb komarów i z obozu biegly głuche szmery.

<sup>109</sup>tygrys — wedle określenia tubylców, właściwie — jaguar. [przypis autorski]

Wymyty i rześki wróciłem do ogniska. Bełcik stał pochylony koło swego młodego bura i szmatką umaczaną w kreolinie<sup>110</sup> przemywał mu rojącą się od białych robaków ranę w zgięciu, gdzie się łączy noga z piersiami. Stałem, przysłuchując się wyrzekaniom Bełcika:

— A gdzieś ty sobie, gówniarzu, taki nabytek zawałił... Pewnie o przeciętą takurę zawadziłeś girę, diabli potomku!... A tu macie ich... jakaś świnią jajka uroniła i już małe padalce dobrały się do obiadu... A bodajże was! Też nie miałeś się gdzie, czorczie, pocharatać, tylko w takim ruchomym miejscu! A okulej mi, ty wieprzu! Gdzie, gdzie, ośli synu!

Zatrute robaki wypadły z rany, w końcu Bełcik uderzył bura w zad i kucnął przy ogniu. Zwierzęta porozłaziły się po polanie skubiąc trawę. Tu i ówdzie, w ciszy wieczoru, leniwie jęczały dzwonki. Chłopi nakładali sobie na talerze fizon i ryż, posypywali mąką z mandioki, mieszały i gęstą potrawę polewali tłuszczem z małego rondelka. Szwagier Sawczuków mówił, jedząc powoli:

— Piec laty ja jechało tęty i tu... na tij ranszi onsa zagryźć nam bur na spaniu... w noczi... To newim czy teros tako nie pedzie...

— Ja mogę spać na dworze i pilnować, tylko dajcie mi jeszcze jednego szmita. Już ja mu dam bura!... Polowałem na tygrysy w Matto Grosso, wiem jak je podchodzić — wtrącił Grzeszczeszyn i zaraz umilkł, bo Bełcik spojrzał na niego wymownie.

— Oj, mój ty księży towarzyszu, śpij lepiej w ranszy, to ino cię bisze obleżą, a na dworzu i po nocy, to was tygrys od bura nie odróżni i jeszcze mu się potem dziobate synki urodzą...

— Mógłby pan trochę liczyć się ze słowami, panie Bełcik, bom dla was nie jakiś tam wycirus, żebyście sobie mną gębę wycierali!

— A bo po co się, panie, pchacie na tygrysa, kiedy tu od was są może odważniejsze, a nikt się tam tak do niego znów nie pali!

— Lepiej się nie przemawiajcie, dobre ludzie, tylko zakrzątnijcie się koło posłania, bo jutro wcześniej trzeba wyruszyć — odezwał się starszy Sawczuk.

Odpoczywając i paląc, chłopcy jeszcze z godzinę wylegiwali się wokół ogniska, w końcu ten i ów, ziewając i przeciągając się, układał sobie posłanie w ranszy. Zajęliśmy całą przestrzeń tak, że jeden leżał obok drugiego. Mimo zmęczenia długo jeszcze sączyły się w ciemnościach leniwe pogwarki, świeciły się ogniki papierosów, tak, że usnąłem z obawą przebudzenia się w płomieniach. Istotnie zerwałem się wczesnym rankiem i kiedy wyszedłem przed ranszę, całą polankę ogarniały pąsowe płomienie chłodnej jutrzeńki. Ciemne smugi nocy rozstrzelały się w leniwej ucieczce nad ścianami dżungli i nocny jeszcze powiew sunął cicho ponad znieruchomiałym światem. Dziwność widoku potęgował jeszcze siedzący nieopodal z podwiniętymi nogami Grzeszczeszyn. Odwrócony był do mnie tyłem i zdawał się oczekiwać wschodu słońca. Łagodny wietrzyk poruszał jego rozczochrane włosy. Tak mnie sobą zadziwił, że krzyknąłem:

— Co jest z panem? Jak długo pan tu siedzisz? Przeiębisz się pan!

Odwrócił się do mnie, cały w czerwieni i niesamowity, chwilę patrzył, jak się patrzy na nietaktownego ordynusa i powiedział wolno:

— Czy i to panu przeszkadza, że podziwiam Boga objawiającego się w tym cudzie porannym?... Czyżby i to pana drażniło? Wolałby pan zapewne, abym to boskie poczęcie się dnia spędził w przesiąkniętej chłopskim smrodem ranszy?... Pozostaw mnie pan w spokoju, bardzo proszę!

Odszedłem skonfudowany i natknąłem się na wychodzącego z ranszy, zaspanego kabokla. Popatrzył chwilę na sylwetkę Grzeszczeszyna, zamruczał coś i zabrał się do rozpalania ognia. Robiło się coraz czerwieniej, ludzie otrząsali się z niewygodnego snu, wylazili jeden za drugim z ranszy, Bełcik przeciągnął się i zawył, ziewając, po czym chwycił kawałek drzewa i cisnął nim w Grzeszczeszyna, mówiąc:

— To ci kapłan jakiś turecki... albo myśliwy, czeka na tigra!

Pocisk upadł obok Grzeszczeszyna, ale on nawet się nie poruszył. Chłopi obcierali twarze chustkami, rozglądali się po świecie i ziewali. Poszedłem z Sawczukami nad rzeczkę i tam umyliśmy się. Wróciliśmy do ognia, chłopcy pili szimaron na czczo, grzejąc

<sup>110</sup>kreolina — silny środek odkażający, stosowany w weterynarii. [przypis edytorski]

się w kuckach przy ogniu, nakryci aż na głowę kapami. Grzeszczeszyn stał przed lustreczkiem zatkniętym w szparę ranszy, czesał się, cichy i smutny. Kilku chłopów poszło z Sawczukami spędzać tropę z nocnego pastwiska. Słysząc było ich nawoływania w krzakach, rozległy się dzwonki, słońce zalało chłodnym blaskiem polanę i w górze z wrzaskiem przeleciało kilka papug. Ludzie z wolna zaczęli się rozgrzewać i krzątać koło śniadania. Z krzaków wyłoniła się tropa i niechętnie, ze zwieszonymi łbami, zbliżała się do ranszy. Poganiali ją chlōpi. Kiedy się zbliżyli, jeden powiedział:

— Ano, jednego cholery bura brakuje, gdzieś się nam skrył.

Z daleka słyszałem nawoływania Sawczuka i poszedłem w stronę jego głosów. Włóczył się od krzaka do krzaka, rozgarniał liście, wołał i kłął na przemian.

— Czyj to bur? — zapytałem.

— A mój, diabeł przeklęty!

— Miał dzwonek?

— Miał, ale co mu tam dzwonek! Przyczai się gdzie w krzakach i nie poruszy łbem, choćby go tam nie wiem jakie gady cięły!

Poczęstowałem go papierosem i we dwóch poszliśmy w stronę dżungli.

— Wie pan co — powiedziałem po chwili — może strzelić w powietrze, to przelęknie się i zadzwoni?

— Strzelaj pan, ale psu na budę się nie zda... on tu gdzieś, para jedna, stoi, czuję go.

Wyjąłem rewolwer i strzeliłem w powietrze. Dzwoneczek odezwał się tuż, w kępie krzaków, obok których staliśmy. Rozsunęliśmy gałęzie. Stał z miną jakby zawiedziona. Dzwonek lekko mu się poruszył na szyi. Ze zwieszonym łbem i jakby w zdeterminowaniu, wysunął się z krzaków. Sawczuk począł go prać po zadzie gałęzią, ale on szedł opieszale, smutny jakiś i z miną: „Ano, trudno! dałem się nabrać”. Na widok kukurydzy pomknął szybciej i wetknął pysk między kaczany. Chłopi jedli śniadanie, podszedłem do ognia, także zjadłem i jakiś rozleniwiony wczesnym wstaniem, z bolącymi kośćmi, zabrałem się do siodłania konia. Po kwadransie wyruszyliśmy i zaraz zaczęło się żmudne przedzieranie przez zarośniętą, ciągle gubiącą się pikadę. Co chwila pokrzykiwano sobie w tej gęstwie ilość zwierząt, słysząc było trzask łamanych i ścinanych gałęzi, konie kąsały się w ciasnocie, posuwaliśmy się w kłębach natarczywych, boleśnie kłujących owadów. Musiałem zdjąć kapelusz i wcisnąłem go pod siedzenie. Pomiedzy przeróżnym zielskiem pokazała się gęsto drzewiasta paproć i rozmiar jej sprawiał wrażenie sztucznych drzew. Na przedzie ciągle przecinali splątane lodygi, tamujące przejście. Ich ostre końce wlokły się po ramionach, kaleczyły twarz i niby kłębowisko rozjuszonych gadów, doskakiwały do oczu, złośliwie zawadzały o strzemiona, zatrzymywały i szarpały. Po dwu godzinach tej męki pikada zaczęła się raptownie opuszczać w dół, i w dole, prześwitując poprzez liście i lodygi, ukazała się z dziko obrosłymi brzegami, leniwa i jakby przyczajona rzeka. Zjeżdżaliśmy do niej długim, pojedynczym szeregiem i kiedy koń zamoczył przednie kopyta w wodzie, zadarłem głowę do góry i zobaczyłem serpentyną zjeżdżających w dół, przesłoniętych jeszcze krzakami, jeźdźców. Po chwili wszyscy byli już na brzegu i nie przeszkadzając pojącym się zwierzętom, rozglądaliśmy się po sobie, jak po jakiej walnej przeprawie. Znajdowaliśmy się teraz w głuchej selwie i ponad tą obojętną wodą, między rozbuchanymi i przelewającymi się od bogactwa roślinności ścianami dziewiczej puszczy, zdawały się drzeć wieki całe bez przemian, nieogarnięte czasem. Każdy odgłos wydawał się czymś obcym i brutalnym w tej skondensowanej ospałości. Zwierzęta powoli, węsząc, zapuszczały się w rzekę. Woda z cichym pluskiem ocierała się o ich brzuchy. Chłodna perspektywa dali wodnej nasuwała lękliwą myśl, że za chwilę znów się trzeba będzie pograć w dusznym i broniącym dostępu gąszczu. Przeprawialiśmy się powoli i w milczeniu. Ciszę przewiercił chrapliwy skrzek tukana, przelatującego na przeciwległy brzeg. Konie orzeźwione wodą nerwowo wspinały się po stromym brzegu i nie zwracając uwagi na zwisające poprzecznicę lian, ostro rwały naprzód. Jazda stała się niebezpieczna. Zdawało się, że ktoś złośliwie porozpinał łapki z lian i splecionej takuary w poprzek pikady. Przecinanie ich zajęłoby dużo czasu, więc przejeżdżaliśmy pod nimi, pochylając się w siodle do przodu. Ciernie *nia pindo* szarpały odzież, jakby wzbraniając przystępu. Rozhuśtane wici takuary siekły po twarzy. Godzina uwagi podczas tej piekielnej jazdy wyczerpała mnie do tego stopnia, że przed oczami zaczęły mi latać kolorowe platy. Nagle posłyszałem za sobą głos Grzeszczeszyna:

— Ej, panie Łóniłowski, zgubiłeś pan worek!

Odwrociłem się i w tej chwili poczułem na szyi ucisk zdzierający mnie z konia do tyłu. Uchwyciłem się obiema rękami lian, instynktownie pochyliłem głowę do końskiego ogona i gwałtownie wstrzymałem konia. Po chwili, kiedy przeszło oszołomienie, wyprostowałem się w siodle i obejrzałem się w tył. Niedaleko huśtała się jeszcze gruba, szorstka liana. W odległości kilku metrów leżał mój worek. Grzeszczeszyn zarykiwał się, przyłożywszy policzek do szyi swego konia. Podjechałem do niego wolno. Z daleka słyszałem okrzyki, żeby nie tamować drogi.

— Nie widział pan tej liany? Oh, oh! Bo skonam ze śmiechu, jak Boga Kocham! Ależ pan komicznie wyglądał!...

— Nie widziałem...

— Oh, oh... Co pan znów taki jakiś, przecież jażem tej liany nie powiesił... worek panu spadł, to zawołałem...

Ręka z batem aż mi zadrgała, żeby strzelić tego łajdaka przez pysk. Miał wytłumaczenie tym workiem, ale jasne jest, że lianę również widział. Przestał się śmiać i mówił, jękając się:

— Panie... tylko niech pan się nie zapomina... lepiej niech pan się zastanowi przed swym czynem... w podróży tak się nie godzi!... Ja... bo worek....

Zsiadłem z konia i przymocowałem worek w tyle siodła. Grzeszczeszyn ścinał fakonem zwisające liany i mówił:

— Patrz pan, o! Już jej nie będzie... Nie trzeba być takim porywczym... O, już cholera ścięta!

Wsiadłem i podjechałem do niego.

— Panie Grzeszczeszyn! Pomijam to, że mógł mnie pan przyprawić o kalectwo, a tutaj nie ma warunków do leczenia. Ale ja pana obserwuję. I jeśli jeszcze raz przyłapię pana na jakiejś złośliwości w stosunku do mnie, to nie będę pana bił batem, tylko zastrzelę pana. W każdym bądź razie uważaj pan i staraj się w razie czego bronić.

Mrużył oczka i dębał w ucho. Zaznaczyć muszę, że temu, co mówiłem, przysłuchiwał się starszy Sawczuk. Zwróciłem się jeszcze do niego:

— Będzie pan łaskaw pamiętać, że otrzęgałem pana Grzeszczeszyna wobec pana.

Sawczuk odpowiedział:

— Ja to wszystko widziałem i za taki kawał już ja bym się rozprawił z tym, co by mi to zrobił. I zamiast ratować pana, jeszcze się śmiał. Tak nie idzie, nie!

Ale cóż! Skarcony rozglądał się po wąskich ramach puszczy i gwizdał. Co do mnie, byłem rozeźlony. Upalna i mozolna przeprawa, wypadek z lianą i mina tego faceta; wszystko to wytworzyło we mnie jakieś toksyny... słowem, mógłbym tego Grzeszczeszyna zarzynać tępym nożem. Na domiar, pikada znów prowadziła pod górę, zrobiło się bardzo stromo i ogarnęło nas parne ciepło. Wszyscy zsiadli z koni. Posuwaliśmy się w napiętym od wysiłku milczeniu. Pole widzenia nie przekraczało pół metra, a myśl, że się jest tak zaszytym w gąszczu, przejmowała jakimś obrzydliwym lękiem. Z tyłu usłyszałem pocieszający szept Sawczuka, że to już ostatnia góra i nazywa się Marumby. Domyślałem się, że nie jest to ta sławna brazylijska Marumby, ale ogrom tego kraju sprawiał, że nazwy często się powtarzały. Słysząc było szybkie oddechy ludzi i zwierząt, co chwila ktoś się ślizgał, słysząc było przekleństwa. Ogarnęło mnie gniewne otępienie i walczyłem z przemożną chęcią, aby położyć się w tym błocie. Obok siebie usłyszałem takie, pomieszane z sapaniem, słowa Grzeszczeszyna:

— Wiedz pan... o tym... że w całej... Brazylii nie ma... grzybów... a przecież taka... żywna gleba...

Ogarnął mnie jakiś rozpaczliwy wstyd. Bez słowa wspinałem się dalej, opędzając twarz od nieznośnie bzykających muszek. W końcu ktoś ponad nami zawołał:

— Ołaboga, nareszcie!

Po chwili wszyscy znaleźliśmy się na szczycie. Z ulgą wsiadłem na konia i zapatrzyłem się na przebytą drogę. Ponure i rozfalowane lesiste góry ciągnęły się w nieskończoność, pokrywała je popielata mgła i straszliwy smutek unosił się nad pospolitą jednostajnością tej przestrzeni. Ten nierówny obszar leśny nużył wprost oko. Natomiast przed nami, w dole, rozpościerał się teren jakby weselszy, lasy były przerzedzone jasnymi plamami trawiastych płaszczyn i cały ten widok łagodził spojrzenie pewną różnorodnością. Konie zaczęły

schodzić po takiej spadzistości, że przechylny do tyłu, sztywno stałem w strzemionach. Siodło przesunęło się nieomal na kark koński. Przygotowany byłem, że za chwilę koń obślizgnie się po rozmokłym gruncie i przygniecie mnie swoim ciężarem. Nieznośne napięcie z wolna jednak mijało, pikada przechodziła w wąską i nieco piaszczystą drogę, droga ta wyprowadziła nas na równinę. Tropa, w tumanach kurzu biegła między kapuejrą, a słońce, którego nam brak było w dzisiejszej przeprawie, gwałtownie zaczęło przypiekać i wysuszać przesiągnięte leśną wilgocią ubrania. Gdzieniedzie majaczył posępny pinior, niby ogromny niedoskubany patyk, wsadzony ręką jakiegoś pomyłonego olbrzyma. Cała okolica mieniła się zrudziałyymi zaroślami. Tropa pędziła z łoskotem w obrzydliwie, sucho prażącym słońcu i w kłębach przenikliwego, czerwonego pyłu. W tym śmierdzącym kraju wpada się w skrajne ostateczności. Raz leją się z nieba potoki, potem znów ogarnia cię pełna miazmatów rozparzona łaźnia dżungli, a kiedy wysuniesz głowę na niezalesioną płaszczyznę, słońce razem z obłokiem złośliwego pyłu zdaje ci się wwiercać do mózgu. Ta wstrętna, nieopanowana przesada klimatu i przyrody brazylijskiej! Pory roku zdają się istnieć tylko dla nazw, gdyż różnica między zimą a latem jest minimalna. Słyszałem, że kiedy w Kurytybie, dziwną igraszką natury, spadło w nocy nieco śniegu, cały stan Parana mało nie oszalał z dumy. Też mają snobizmy!

Wszyscy staraliśmy się jechać na przedzie, aby uniknąć tego obrzydliwego pyłu i wszyscy tłoczyli się na wąskiej drodze, nacierając na siebie końmi. Niektórzy jechali wprost przez kapuejrę. Nagle wyłoniły się przed nami dwa pasma równo biegnącej obok siebie drogi, przedzielonej trawiastym wzniesieniem. Był to mocno ubity, gładki tor wyścigowy. Wjechaliśmy nań z ulgą, bo zaraz kurz ustał. W oddali wyłonił się jakiś budynek i przestrzeń usiana pniami ściętych piniorów. Sawczuk krzyknął, że zbliżamy się do Sao Sebastiao i żeby ukryć, kto ma na wierzchu, broń, bo może się przyczepić delegat policji. Było to nieco śmieszne. Delegat policji na pewno by się nie ośmielił zaczepić kilkudziesięciu uzbrojonych mężczyzn i to w takim pustkowiu. Pochowaliśmy jednak broń; jedni pod kurtki, inni do kieszeni. Wjechaliśmy na szeroką ulicę, która mogła zawdzięczać to określenie kilku chałupom, rozsianym w hojnych odległościach jedna od drugiej. Mieliśmy krzyż z wiszącym Chrystusem, którego tusza i zagniewana mina zmusiły mnie do obrócenia się w siodle. Chrystus był prawie naturalnej wielkości człowieka i stopami nieomal dotykał ziemi. Dziwność jego polegała właśnie na tej wielkości i tuszy oraz na wyrazie twarzy, który zdawał się mówić: „Dokąd tu będę tkwił! Słońce praży i gapią się na mnie przejezdni!” Ruch tej miejscowości zdawał się ograniczać do kilku psów włóczących się środkiem drogi z podtulonymi ogonami. Psy te były jasnożółte i zdawały się być wypłowiałe od ohydnego skwaru, jaki zalewał i niejako koncentrował się specjalnie w zasięgu tych kilku ruder. Ludzi, jak dotychczas, a zwłaszcza delegata policji, nie było widać. Całość tchnęła podłością i niechlujstwem. Budynkiem odsłaniającym się z oddali okazała się wenda z samotnym, czarniawym grubasem w piżamie, który siedział na taburecie przed wejściem. Sawczukowie podjechali do niego, coś tam pogawędzili, grubas wskazał sztywnym ramieniem na pół otwartą furtkę w ogrodzeniu i przez tę furtkę wjechaliśmy na obszerny dziedziniec. Zsiadłem z konia i od razu przysiadłem na pierwszej z brzegu belce. Nie miałem sił walczyć z ogarniającym mnie lenistwem, wobec czego postanowiłem rozsiodłać konia za chwilę. Za równiutko biegnącym parkanem rozległ się wściekły tętent i wzdłuż niego przejechał galopem efektownie odziany kabokło, ze wspaniałą ostrogą na prawej, bosej nodze, z furkoczącą, czerwoną chustką na szyi, w polatanej, pstrej dżokejce. Siedziałem tak, rozkoszując się odpoczynkiem i jednocześnie przejęty głębokim wstrętem do tej antypatycznej, zięjącej skondensowanym ubóstwem i nudą okolicy. Kilku chłopów poszło do wendy i po chwili wrócili z koszami pełnymi kukurydzy. Zwierzęta się wytarzały, po czym zgodnie ustawiły się wzdłuż żłobu z kukurydzą. Grzeszczeszyn namaszczał grzbiet swojego konia szmaronem i co chwila pytając spoglądał na mego osiodlanego konia, to znów na mnie. Mierzył mnie, między innymi, swoją pieczołowitością wobec zwierząt, w której podświadomie wyczuwałem kompleks pastucha i ekonoma jednocześnie. Nigdy nie przeszedł obok zwierzęcia spokojnie, zawsze musiał je klepnąć i obrzucić fachowo troskliwym spojrzeniem. Cudem kilkakrotnie uniknął kopnięcia bura, zawsze znalazł jakieś powiedzonko na rozgniewane kłapanięciem zwierzę, w rodzaju: „No, ty by-



ku! Jeszcześ nieomansowany...<sup>111</sup> żebyś się nie zabrał do ciebie... na, żryj!” I podawał mu — wszystko jedno, co: kawałek drzewa albo kaczan kukurydzy bez ziaren. Od kilku minut chciałem już rozsiodłać konia, ale ponieważ widziałem, że go to drażni, więc zwlekałem. W końcu podszedł do konia i zaczął rozwiązywać popręg, mówiąc:

— Oj, panu toby się zdał jaki rower, bo ze zwierzętami to się pan nie umiesz obchodzić. Przecież się — biedak — odparzy.

Rozsiodłał konia i poklepał go po zadzie.

— Wysmaruj mu pan grzbiet szimaronem! — krzyknąłem.

— A cóż to, jestem pański służący... wysmaruj pan sam.

Podniosłem się, nie chcąc kontynuować dialogu. Wenda łączyła się tylnym wejściem z podwórzem, ale obok stała wielka stodoła, zbita z desek, które odstawały od siebie, tworząc szerokie szpary. Wnętrze szopy było zawałone jakimiś gratami, w kącie leżał spory kopiec kukurydzy. Kilku chłopów odwalało graty pod ściany, przygotowując wolne miejsce na nocleg. Tam też zaniósłem siodło, wyszedłem, pomogłem szwagrowi Sawczuków przy rozpalaniu ogniska, połamane trochę gałęzi i zorientowawszy się, że jestem tu prawie zbyt czysty, wyszedłem za furtkę i skierowałem się do wendy. Otyły brunet w piżamie stał za ladą i zawzięcie wzbraniał kredytu kabokłowi w dżokejce. Zauważyłem, że strojniś był pijany i uparcie dowodził, że nie wyjedzie bez dwóch butelek kaszasy, bo umarł mu brat, ma „pustą noc” a nie ma pieniędzy. Wenda nawet — jak na taką pustac — była dość obficie zaopatrzona. Na widok skrzynki z jajami, z przyjemnością pomyślałem o zmianie kuchni. Kazałem sobie odliczyć czterdzieści sztuk, kupiłem również dwa kilo podejrzanego kielbasy, dwie butelki kaszasy i kilkanaście twardych bułeczek. Wszystko to poleciłem wynieść na podwórze na pół zaklejonej brudem dziewczynce. Sam przysiadłem na ławeczce i popijając ciepłe i zwietrzałe piwo przysłuchiwałem się sprzeczce pijanego kabokla z wendziarzem. W pewnej chwili do wendy wszedł bardzo wysoki, chudy i opalony człowiek, ubrany na pół po wojskowemu. Zaczęła się rozmowa, której przysłuchiwałem się z opuszczoną głową i przymrużonymi oczami, poruszony nieco jej treścią. Jegomościa, który wszedł, zostawił tutaj przed dziesięciu dniami oddział lotnej policji, celem dopilnowania wyroków. Wyroki te dotyczyły przestępców, zamieszkujących Sao Sebastiao i okolicę, a polegały na ścinaniu piniorów. Od jakości przestępstwa zależała ilość piniorów. Co kilka lat policja odwiedzała te odległe strony i nakładała ryczałty za wszystkie nagromadzone przez ten okres przewinienia. Nie opłacało się wlec kogoś przez dżunglę za kradzież czy bójkę. Kary te były natury psychologicznej i pozytywnej, biorąc pod uwagę lenistwo kabokłów i wyrąb przestrzeni. Skuteczność tej metody widziałem przez drzwi w postaci pni ściętych drzew. Dwóch morderców policja zabrała do więzienia w Prudentopolis. Dziwność rozmowy, której się przysłuchiwałem, polegała na tym, że wendziarz nie odrobił swego wyroku i tłumaczył się tym, że jest chory na serce, a kabokło, któremu zapłacił za ścięcie sześciu piniorów, nie wywiązał się jeszcze ze swego zobowiązania. Wendziarz postawił koło wykonawcy butelkę piwa i opędzając się przed pijanym kabokłem, delikatnie przekomarzał się z egzekutorem. Rozmowa prowadzona była w ten mniej więcej sposób:

— Ej, zrób ty swoje, bo ja nie mogę dłużej czekać.

— Kiedy mnie też oszukano... gruby jestem.

— Ja cię proszę, weź piłę, weź siekierę i wykonaj!

— Pinior może poczekać, przyjdzie na niego czas!

— Wykonaj karę, a będziemy w zgodzie!

— Kiedy mówię ci, poczekaj... cierpliwości!

— O, cierpliwości!

Wtem wendziarz wpadł na zręczny pomysł i zaproponował pijanemu kabokłowi, że jeśli podpisze zobowiązanie na ścięcie sześciu piniorów, dostanie dwie butelki kaszasy. Zgodził się skwapliwie, przygotowano umowę, że w przeciągu tygodnia drzewa będą ścięte, kabokło podpisał, wziął wódkę, wskoczył na konia i odjechał galopem, wydając triumfalne okrzyki.

Odurzony piwem i tą rozmową zapłaciłem, co się należało i poszedłem na podwórze. Koszyk z moimi wiktuałami stał w stodole. Wszyscy obstąpili rozpalone na podwórzu

<sup>111</sup>nieomansowany — nieujeżdżony. [przypis autorski]

ognisko; kilku pilnowało kociołków z gotującym się posiłkiem, inni pili szimaron, gawędząc cicho. Zapropnowałem przyrządzenie jajecznicy pod wódkę, ktoś skoczył do wendy po garnek, inny pokrajał słoninę, tak, że po kwadransie było już po obfitej uczcie. Towarzystwo poweselało i zaczęły się żarty, najrozmaitsze wesołe wspomnienia kolonistów. Drzewo w ogniu trzaskało, sypało skrami i luna odcinała się od ogarniającego świat zmroku. Słońce o tej porze dziwnie zachodziło: wielkie, niby czerwonym winem napełniony pęcherz, tkwiło ostrą płamą na horyzoncie i w promieniu metra koncentrowało dookoła gęstą czerwień, która ostrym koliskiem wrzynała się w krawędź popielistego stropu. Przez chwilę okolica spłynęła tym popielistym zmierzchem i tylko ten krwisty krąg niezależnie barwił się na niebie. Powiał szybki, nerwowy wiatr, czerwone kolisko opadło nagle w las, wiatr ucichł i mroczna cisza zamazała wszystko, co widzialne. Wszystko to odbyło się w przeciągu kilku minut, bez żadnych efektów przygotowań, bez pąsowych blasków na ziemi i bez normalnego nastroju, jakie towarzyszą zachodom słońca.

Belcik ciągnął swoją opowieść:

— ...mówię mu: „Chłopie oddaj swoje mile na bank, tam ci pokwitują i będziesz miał pewne!...” A on nic, tylko zakonnicom to wszystko zawiózł na przechowanie i bez żadnego papirka pozostawił. Ano dobrze. Kiedyś po tym napadło go na rosie dwóch pijanych kabokli, fojsą zadziabali i tyle po nim. Syn jego idzie do zakonnic i powiada: „Oddajcie no pieniądze, co je tu ociec złożył, bo już nie żyje a ja spadkobierca”. Na to mu przelożona: „Ojciec twój po prawdzie pieniądze pozostawił, ale wyznaczył je na dobroczynne cele i nam prawo rozporządzić nimi pozostawił”. Ja byłem jeden świadek, co wiedziałem, że chłopina chce gdzieś swoje grosze upewnić, ale znów wywinęły kota ogonem, że mu się odmieniło i światłość pańska poradziła mu przeznaczyć te pieniądze na dobre cele. Kto to wie, może sobie i te siostry dobrze zużytkowały tę sumę, ale po prawie to tak jest, że dziecko zawsze dziedziczy po ojcu czy tam innej rodzinie.

Chłopi zaczęli wywlekać swoje zdania na ten temat, aż przerwał im szwagier Sawczuków:

— Wy, polski ludzi są pracowite i głupi czasem też... Jedin było taka — zebrał dziewinę konty i zawióz cicho na jetneko wendziasza i postawił tam bes kwita... Chcze on późni kupić karosę a ten wendziasz mófi ić ti głupi... które piniendze ti chcesz... hahaha! I nieodebrał jech... nie!

Mimo tych faktów wiedziałem, że w sprawach pieniężnych panuje wśród kolonistów zaufanie i że często pożyczają sobie pieniądze bez pokwitowań i z dobrym skutkiem. Powoli rozmowa przeszła na plotki bardziej humorystyczne. Starszy Sawczuk, opowiedział, że bogaty wendziarz, Paul, Polak z Marechal Maller, rządzi wśród tamtejszej kolonii polskiej niby jaki dyktator i ogromnie jest surowych obyczajów. Pewnego razu przyszła do wendy żona nauczyciela i kazała sobie pokazać materiały na suknie. Paul wyrzucił na ladę kilka sztuk, ale kobiecie nie podobały się te gatunki, więc zapytała Paula: „Nie ma pan czegoś lepszego?” „Nie, dla pani tylko to!” „A pani aptekarzowa kupiła niedawno bardzo ładny materiał”. „A wie pani, ile aptekarz zarabia? No, a ile pani mąż zarabia? Acha... Może pani sobie wybrać tylko z tych!”

Innym razem zmęczona upałem i drogą kolonistka weszła do wendy i poprosiła subiekta o szklanekę wina za dwieście reisów. Subiekt nalał wina, ale podskoczył Paul i krzyknął: „A wody to się nie może napić? Wino jest tylko dla tych co mają na nie, a jej mąż winien mi trzysta milreisów!” O tym dzielnym Paulu krążyła pogłoska, że w nocy zebrał chłopów i z rewolwerami i oskardami poszli rozbierać kaplicę, a później z tego materiału położyli fundamenty pod kolegium. Pomyślałem sobie, że przy okazji trzeba będzie odwiedzić tego Paula. Z wolna rozmowy zaczęły się rwać, ktoś wstał, ziewnął, zaraz też wszyscy zaczęli wchodzić do stodoły, porozkładali posłania i legli pokotem. Leżeliśmy w ciszy, tylko Sawczukowie i Belcik opowiadali zabawne historyjki. Ktoś westchnął i zamruczał żałośnie w ciemności:

— Oj, wszów my tu kurzych i biszów nałapiemy, że później z rok w nafcie przyjdzie się moczyć!

Na to ktoś:

— Będzie ich tu, będzie!

Leżałem na wznak, wpatrując się w drżące w szparach między deskami dachu gwiazdy, w jasnozielony księżyc. Sztuczność tej naturalnej dekoracji była wprost drażniąca. Począ-

lem sobie robić bilans doznań z ostatnich dni. Od chwili wyjazdu z Candido do Abreu wrażliwość moja znacznie otępiała. Pobudzony kilkoma łykami kaszasy umysł dopiero teraz począł sobie zdawać sprawę, że jednak taka przejażdżka przez dżunglę nie zdarza się często i powinienem być silniej reagować na to, co widziałem. Ale musiałem przyznać na swe usprawiedliwienie, że monotonne kołysanie się w siodle od rana do późnego popołudnia w mocno ograniczonym zasięgu wzroku, który w promieniu kilku metrów napotykał ponurą jednostajność dżungli z przedzierającymi się zwierzętami i kiwającymi się plecami towarzyszy, nie dawało znów zbyt bogatego materiału do obserwacji. Kilka mozolnych przepraw w błocie i duszności również podziało otępiająco. Na postojach czułem się tak zmęczony, że ledwie mogłem ogarnąć znużonym umysłem charakter pejzażu lub zachowanie się moich towarzyszy. Ci zresztą, poza specjalnie przyciągającym moją uwagę Grzeszczeszynem, sympatycznymi i pełnymi energii Sawczukami oraz ich flegmatycznym szwagrem i lekko podnieconym wódką Belcikiem, nie byli specjalnie interesujący, raczej szarawi i małowówni, bez cech charakterystycznych, podobni do siebie w zachowaniu i nieciekawi. Nie było wprost okazji do jakiegoś naszkicowania ich psychik. Rano wstawali, pili szimaron na czczo przy ogniu, jedli fiżon z ryżem, popijali kawę, doglądali swych zwierząt, wsiadali i jechali dalej, by znów pogadać o byle czym, zjeść kolację i ułożyć się do snu. Oprócz Sawczuków i ich szwagra wszyscy przebywali tę drogę po raz pierwszy, jechali w klimacie pewnego ryzyka, na niewiadome, z chęcią zakupienia nowych terenów w nieznannej części kraju, w obawie, że im to się nie uda, ziemia i warunki okażą się nie według ich myśli. Co do mnie, odczuwałem pewną przykrość, że jadę właściwie bez konkretnego celu. Literacko ta podróż dawała moim zdaniem niewiele. Psychologia człowieka rysowała mi się słabo na nieciekawym tle przyrody. Byli tak zaabsorbowani podróżą, że nie odślaniali się specjalnie. Zapewne ze względu na porę roku, (wrzesień, a więc ledwie wiosna, która właściwie mało się różniła od innych okresów), dżungla nie przedstawiała się zbyt powabnie. Przede wszystkim żywotność minimalna. Widziałem zaledwie kilka ptaków, trochę motyli i mnóstwo dokuczliwych owadów. Zwierzęta uciekały przed człowiekiem, kryły się gdzieś w niedostępnych głębinach lasów. To prawda, że ze szczytów drzew (też prawie zawsze były one przesłonięte bujnymi splotami pnączów) zwisały kwietne ogrody, mieniły się wspaniałymi barwami pasożytnicze storczyki, a zielone wiszary łączyły drzewa fantastyczną siatką. Ale i to w końcu poczęło nużyć wzrok. Legendarna groza brazylijskich żmij i węzów ukrywała się przed moim wzrokiem, lub też pogrążona jeszcze była we śnie zimowym. W to mi się nie chce wnikać, fakt, że gadów nie widzę. Przykro jest siedzieć na kilku seansach nawet najbardziej ciekawego filmu, a mój film był w dodatku nużący jednakowy. Ten Grzeszczeszyn też się jakoś zamazał psychicznie. Dawniej był wydajniejszy. Mimo to jednak często i wbrew woli, szukam wzrokiem tej niepospolitej postaci. Przecież symbolizował typ społecznika pośród wychodźstwa polskiego w Brazylii. Znałem kilku przedtem: „radykałowie”, „emigranci polityczni”, nieuznający systemu, niewyżyci, powydalani z pułków byli wojskowi, klerykałowie, wszystko to wyrzucone przez ocean na brazylijski brzeg tałałajstwo, zmuszone stworzyć w swym nadgniętem sumieniu jakąś mętną idejkę, aby ukryć swe żalose wykolejenie, aby tylko żerować na pracowitym mrowisku chłopskiej emigracji.

Zresztą Grzeszczeszyna w tej chwili w szopie nie ma. Widzę go siedzącego przy ognisku i zaczytanego. Co czyta? Bóg raczy wiedzieć! Kilkakrotnie widziałem jakąś zzieleniałą od starości książkę w jego rękach. Coraz bardziej mi się zacierał, aż w końcu przymknąłem oczy. Obudziłem się około szóstej rano, raczej zmęczony niewygodnym noclegiem w ubraniu. Wszyscy byli już na podwórzu, stodoła tchnęła brudem i smutkiem, ogarnęło mnie zniechęcenie i gwałtowna tęsknota za cywilizacją. Na zwiniętym w kłębek posłaniu Grzeszczeszyna leżała brudna książka. To mnie nieco zaciekawiło; podszedłem i wziąłem ją do ręki, przeglądając kartki. Był to romans polskiego autora, Pawła Staśki<sup>112</sup>. Zainteresowały mnie podkreślenia na wielu stronicach. Na przykład zdanie: „Cóż to jest miłość?! — Miłość to żądza, to zlepek ciał... mamidło szalone...!” To zdanie było dwukrotnie podkreślone. Odrzuciłem książkę i wyszedłem na podwórko. Szykowano się do odjazdu. Szybko wypilem resztki zimnej kawy, zakrzętnąłem się koło konia, bur jakiś wierzgnął,

<sup>112</sup>Staśko, Paweł (1892–1943) — popularny w Dwudziestoleciu autor powieści romansowych. [przypis edytorski]

musnął mnie lekko po pośladku, nieopanowanie odkopnąłem mu, ale nie trafiłem, zaraz wskoczyłem w siodło i znieruchomiałem w apatii. Ale ocknąłem się wkrótce, ponieważ prawa moja noga nie znajdowała oparcia. Spojrzałem w dół: brakowało strzemienia. Głośno powiadomiłem wszystkich o tym braku, niektórzy zaczęli szukać, sam zląłem i począłem zaglądać we wszystkie możliwe dziury. To zagubione strzemię w końcu zaczęło opóźniać wyjazd, wszyscy czekali, aż się znajdzie. W stodole nie było takiego miejsca, którego bym nie przetrząsnął i kiedy zniechęcony podszedłem do konia, strzemię leżało obok, na ziemi. Wiedziałem na pewno, że przedtem go tam nie było. Umocowałem je, wsiadłem i pojechaliśmy. W drodze zacząłem głośno monologować na temat pewnych durniów, którzy robią idiotyczne kawały podczas podróży i że z tych kawałów nikt nie ma ochoty się śmiać. Musiał to uczynić ktoś bardzo głupi i podły. A przy tym także tchórzliwy. Ten ktoś dał przykład, że obok rzekomo poważnych myśli o uszczęśliwieniu ludzkości poprzez religijną propagandę, może istnieć nikczemna i złośliwa ochota szkodzenia komuś za pomocą podobnie parszywych dowcipów, opóźniających wyjazd całej wyprawy.

— Moi panowie! — zakończyłem. — Oto na co się naraża taki kretyn! Musi bez słowa wysłuchać wszystkich obelg, jakie tu w jego kierunku wygłaszam i nie ma odwagi przyznać się do swego postępku. Jest to taki a taki, jego matka taka a taka! I oto słucha i nic poradzić nie może!

Wszyscy ryczeli ze śmiechu, tylko jeden milczał. Siedział półdupkiem na siodle i pochylony nad końskim karkiem, starał się wysunąć na czoło tropy. W końcu uważałem za stosowne przerwać ten wykład, bo gęste obłoki kurzu ogarnęły nas czerwonym płomieniem. Po pewnym czasie spostrzegłem, że pejzaż uległ zasadniczej zmianie. Po obu stronach czerwonej drogi ciągnęły się obszary porosłe tak zwanym *faxinalem*, czyli karłowatymi drzewkami i gęstymi krzakami. Gdzieniedzie wystrzelały obdarte piniory. Było to wprawdzie przyjemniejsze niż koszmarnie przedzieranie się puszcze, ale za to zdrowo przypiekało słońce i kurz dawał się we znaki. Postanowiłem pognać konia naprzód i pozostawić kurz w tyle. Tak też uczyniłem. Z wolna faxinal przeszedł w gęstą paproć wysokości człowieka, która urozmaicała nieco jazdę pierwszym moim zetknięciem się z bujnością rośliny, którą dotychczas widziałem w minimalnych ilościach.

Więc teraz oko miało do czynienia z samą tylko paprocią, pośród której wila się czerwona struga drogi. Staralem się ciągle trzymać na przedzie i po pewnym czasie pograżyłem się w fantastycznych rozmyśleniach. Przyszło mi do głowy, że oto jadę tak, nie oglądając się, a kiedy wreszcie przyjdzie mi ochota obejrzeć się, to ujrzę za sobą zupełnie obce twarze. Albo na przykład oddział samych Grzeszczyszynów. Aż mnie lęk ogarnął i zaraz obejrzałem się. Jechali swoi, dziękować Bogu! Stworzeń żadnych nie było, tylko gdzieś w pobliżu rozległ się poufały i bezczelny gwizd ptaka. Naigrawający się prawdopodobnie, że muszę oto jechać pośród samej paproci. Niebo ziało obojętną spieką. W paprociach coś zatrzeszczało, ale okazało się znajomym mi burem. Otaczała nas cisza i cały kraj wylegiwał się w słońcu. Skracałem sobie czas obserwacją drogi, bo a nuż coś się na niej ukaże. Żeby los był łaskaw i pozwolił chociaż maleńką, najmniejszą żmijkę. Przecież tyle ich tu jest. Ciągłe ktoś umiera od ukąszenia. Ale nic: paproć i rozpalony do białości strop niebieski nad głowami. Aż nagle pokazały się ptaki, tak zwane *Alma de Gato*, jak mnie ktoś kiedyś objaśnił. Siadały na paprociach, kołysały się, ulatywały przed nami, znów siadały. I tak ciągle. Prawdopodobnie przedtem przejeżdżaliśmy teren zabroniony dla tych ptaków. Nie chce mi się nawet ich opisywać. Ptaki i koniec. Dobrze, że się chociaż w końcu pokazały. Tuż obok mnie jechał Belcik, który zagał rozmowę pytaniem, czy mi się tu podoba? Odpowiedziałem, że mi się bardzo podoba. Zaczem pograżyliśmy się w rozmowach o porach roku w Brazylii, o nazwach drzew, kiedy się sieje i kiedy się zbiera. Dowiedziałem się, że teraz właśnie, we wrześniu, ryby umykają w górę do małych rzek, a w marcu, na zimę wracają do wielkich rzek. Że owoce pinióra trwają od maja do lipca i jest to ważne, ze względu na pożywienie dla zwierząt, a zwłaszcza świń. Nabrałem nieco przekonania do pinióra. Dalej Belcik informował mnie, że wiosna trwa od 22 września, a lato zaczyna się 22 grudnia, i tak dalej co kwartał aż do nowej wiosny. W zimie, w połowie sierpnia sieje się kukurydzę aż do połowy grudnia i to jest najlepsza pora do siania wszystkiego, oprócz zbóż, jarzyn i kartofli. Siew żyta i pszenicy trwa od maja do lipca, kartofli tylko w sierpniu i w lutym, jarzyny zaś o każdej prawie porze roku.

Ryż sadi się od połowy września do końca października. W ogóle żniwa przypadają na listopad, a kukurydzę zbiera się od maja. Dalej mówił mi nazwy drzew: *curtica*, *pinbor*, *imbuia*, *credo*, *canella*, *guaviroba* i tak dalej. Ograniczoność krajobrazu sprawiała, że informacje te żywo mnie interesowały. Bełcik mówił o tym jakoś smacznie, po chłopsku. To była jego dziedzina i znanstwo. Dorzucił także bardzo słuszną uwagę, że jadąc na przykład koleją w Polsce, widzi się przeważnie same uprawne ziemie, łany zbóż, natomiast budynki rzadko. Inaczej jest w Brazylii: przez okna wagonu migają co i raz jakieś samotne domostwa, natomiast widomego znaku, z czego zamieszkujący je ludzie żyją — nie widać. Sama kapuejra, lasy albo ugór. Rzadko ukaże się gdzieś w lasach pogorzelsko rosy lub zielony placek zboża. W głosie Bełcika brzmiała szanowna powaga, kiedy mówił o tych sprawach. W siodle trzymał się prosto, nogi zwisały mu swobodnie, bez strzemion. Starzec ten wyglądał jakoś tak praktycznie i twardo, a w słowach jego wyczuwało się prostą mądrość człowieka ziemi. O Brazylii wyrażał się z żartobliwym sentymentem. Przytoczył mi dwa przysłowia, które według niego charakteryzowały ten kraj.

Kabokło mówi: *Nao sei, nao quero saber e tenho raiva quem sabe!* (Nie wiem, nie chcę wiedzieć i gardzę tym, który wie!). Lub też: *Todos no Brasil mandam, ninguem abedece e tudo vae bem!* (Wszyscy w Brazylii rozkazują, nikt nie słucha i wszystko idzie dobrze!).

Zgodziłem się z opinią Bełcika i dodałem od siebie, że według mnie, człowieka świeżo przyjeźdnego z Europy, Brazylija dziwnie jakoś ogłupia i sam choćby język ma w sobie jakiś bakcył otumaniający. Nie wiem, czy mnie Bełcik dobrze zrozumiał, ale dodał, że ci wszyscy koloniści, którzy chętniej używają języka portugalskiego niżli polskiego, to przeważnie diabła warte typy. Pograżony w tych roztrząsaniach, zauważyłem nagle, że paproć się skończyła i bujne krzewy znów biegły wzdłuż drogi. Także słońce pożegnalnie zarysowało się na niebie i zawisło niedaleko zamglonego pasma lasów. Mimo późnego popołudnia, nie czułem zbyt wielkiego zmęczenia. Widać już się przyzwyczaiłem do trzymania się przez cały dzień dzielnie na koniu. Znów wyłoniły się jakieś paskudne budyneczki, które minęliśmy obojętnie, tak, że pomyślałem z przykrością, jaka też przestrzeń dzieli nas od noclegu. Ale Sawczukowie mieli swoje znane z dawnych wypraw postoje. Parę kilometrów od Santa Cruz (tak się nazywała ta obskurna dziura) zjechaliśmy po nagim, gliniastym gruncie do małej kotlinki, gdzie mieściła się prymitywna fabryka pingi i cukru<sup>113</sup>. W powietrzu unosiły się mdłe wonie, a cała ta instytucja zdawała się być ściśle spojona pokładami brudu, dzięki czemu nie zawałiła się jeszcze zmurszała chata, stodoła oraz kilka marnych klitek, pośrodku których mieścił się drewniany kierat obracany czterema parami wołów w jarzmie. Jeden z właścicieli wtykał pęki trzciny cukrowej między dwa walce, z których ściekał gęsty, brunatny płyn. Drugi poganiał woły, których ilość i powolna, ale skoncentrowana energia wydawała się niewspółmierna do skutku w postaci sznureczka cieczy. Obaj kabokle wyglądali jak przebrani w obszarpane portki, brudne koszule i słomiane kapelusze — chuderławi Żydzi. I całe domostwo nosiło charakter jakiejś śmierdzącej olejarni gdzieś spod Lubomli. Wszystko to przedstawiało się jakoś lepko i syropowato, widok był tropikalny i jakby wysmażony w tym rowie. Kilka półnagich bachorów przewalało się na kupie wytłocznym, które gnily i cuchnęły. Kabokle powitali nas nie odrywając się od kieratu, jeden wskazał Sawczukom stodołę i miejsce, gdzie będzie można rozpalić ogień, po czym melancholijnie pograżył się w swej czynności. Z powodu ciasnoty kilku chłopów wypędziło zwierzęta poza ogrodzenie, w rzadki las nieopodal. Turystycznie nastroszony Grzeszczeszyn począł zaraz fotografować ze wszystkich stron fabryczkę, przy czym podszedł do kabokli, aby ich upozować, pozostawiając aparat na ziemi. Kiedy wrócił, ujrzał aparat obstępiony bachorami, a kiedy je rozpędził, aparat ukazał się w formie strzępów i bebeczków. Gestem rezygnacji dał znak kabokłom, aby rozluźnili swe usztywnione członki, na co obaj powrócili do swych czynności, wybuchając niefrasobliwym i beztroskim huraganem śmiechu. Tu się czuło Brazylię! Niechby gdzieś w Europie dzieci rozszarpały aparat fotograficzny. Awantura, odszkodowanie! Tutaj wszystko się odbyło na wesoło. Dzieci to świętość. Grzeszczeszyn w milczeniu przysiadł pod parkanem, w zdeterminowaniu skrobiąc się w łepetynę. Prawdopodobnie aby mu złagodzić ból, jeden z kabokli postawił przed nim wiaderko z produktem własnej fabrykacji, mianowicie z owym płynem z kany, tak zwaną *guarapá*. Grzeszczeszyn przyniósł sobie

<sup>113</sup>*canna* — trzcina cukrowa. [przypis autorski]

garnuszek i w posępnej zadumie czerpał z wiaderka i pił. Chłopi także przynieśli naczynia i popijali. Spróbowałem i ja. Było to mdłe, ciepłe i słodkawe paskudztwo. Poplułem trochę i poszedłem w górę, wzdłuż równiutko wykopanego rowu z wodą. W pewnym miejscu przysiadłem, zdjąłem buty i zanurzyłem nogi w chłodnej wodzie. Zapaliłem sobie i rozglądałem się wokół. Na świecie zapanowała tak zwana odwieczność, słońce już kierowało się do zejścia z widnokrzęgu i kojącą ciszę przerywało wstrętne skrzywienie kieratu. Jaka ona tam jest, ale wszędzie widziało się czystą przyrodę, natomiast ilekroć spojrziałem w dół, na te ociążale poruszające się bydłeta, przejmowało mnie obrzydzenie. Nagle zdrętwiałem i przez głowę przemknęła mi myśl: oho, jestem gotów! Obie nogi okręciło coś śliskiego i zimnego. Och, Boże drogi, Boże! Wciągnąłem je na powierzchnię i nie! Gołe, zwyczajne męskie nogi, białe i niewinne. Przytknąłem nos do samej wody i zapuściłem badawczy wzrok. Nieco czarniawe dno, bez niczego. Podumałem trochę, że pewnie nerwy, że mi się wydawało, i wciągnąłem buty. Niechętnie zszedłem na dół, ktoś mi wetknął w rękę kuję z szimaronem, wypilem, zjadłem trochę wiadomej strawy, po czym wlałem do stodoły, okręciłem się kapą i ległem na kupie kukurydzy. Patrzyłem na ludzi przy ognisku, omawiali swe plany co do Londriny; wół przeraźliwie zaryczał — przejmująco, przeciągle i tęsknie, jakby skarżąc się na swe bezpłciowe życie. Było już ciemno i zwierzęta powinny być zwolnione z jarzma; ta pracowitość obu kabokli niepokoiła swą niezwykłością w tym kraju. Przysłuchując się tym wieczornym odgłosom, rozmyślałem sobie, jak to w tej nieznannej Londrinie odbiję sobie z nadwyżką wszystkie niewygody tej podróży. Posunąłem się jeszcze dalej. Jak się zachowam po powrocie do kraju? Obojętnie usiądę w kawiarni między kolegami i na pytania w rodzaju: „Jak tam było?” odpowiem obojętnie: „Świetnie czyszczą buty, w miastach... siadasz na wysokim fotelu, mały Murzynek kłęka ci u nóg i...” Tyle tylko! Żadnych wynurzeń. Podobnie rozmyślając, pełen obrzydzenia do otaczającej mnie rzeczywistości, zasypiałem na kupie kukurydzy. Ranek podźwignął się ze sztuczną energią, po to aby znów rozmazać się w skwarnej jednostajności dnia. Rozpoczęło się żmudne poszukiwanie złośliwie przyczajonych gdzieś w zaroślach burów. Nie chciało mi się brać w tym udziału, więc chcąc sobie skrócić czas do wyjazdu, wałęsałem się w pobliżu miejsca postoju. Z dołu dobiegał mnie skrzyp kieratu, z daleka pohukiwania i okrzyki chłopów. W nieprzyjemnej żółtości już dopiekającego słońca, między wysuszonym zielskiem, powłóczyło się leniwie kilka brunatnych świń, a dwa wynędzniałe psy z obojętną rezerwą nie odstępowały mnie ani na chwilę. Otoczenie to skłoniło mnie do pewnych obserwacji. Psy były wychudłe, z wyblakłymi oczami i zdawały się chwiać na długich, cienkich nogach. Grzbiety ich pokrywały małe wypukłości z ropiejącymi otworami, przez które przeświecało różowe mięso. Akurat przechodził obok mnie Belcik z uzdą w ręku, więc zapytałem go, na co te psy cierpią. Nie odpowiedział mi, tylko podszedł do psa, wprawnie nacisnął dwoma palcami guz i z ropiejącej dziury wystrzelił calowy, tłusty i biały robak z czarnymi oczkami. Pies cieniutko zaskuczał i odbiegł.

— To jest plaga zwierząt w Brazylii, nazywają się *berny* — wytłumaczył mi Belcik i znikł w krzakach.

Niejednokrotnie już zdarzyło mi się widzieć krowy pokryte całymi koloniami tego paskudztwa. W Brazylii istnieją specjaliści zamawiacze, którzy podobno odczyniają na odległość pokryte pasożytami zwierzęta i zaklinano mi się, że o pewnej porze dnia jak na komendę, wszystkie *berny* wypadają spod skóry. Te psy nasunęły mi porównanie, że właściwie cała ta Brazylia jest jakaś zaropiała i naszpikowana wszelkim podskórnym i zewnętrznym świństwem. Nędza i brud w słońcu sprawia szczególnie ohydne wrażenie. Asenizacja tego kraju odbywa się naturalnie. *Corvy*<sup>114</sup> oczyszczają ziemię z padliny, a świnię z kału i śmiecia. Świnie są tak wścibskie i bezczelne, że skoro załatwiający się człowiek powstanie z kucek, śladu nie ma z tak zwanego „długu naturalnego”. Opowiedziano mi kiedyś groźne zdarzenie, że jakiś pijany kabokło zdrzemnął się i opadł we własne łajno, a kiedy się ocknął, cechy jego męskości znajdowały się w żołądku świni. Cały kraj pełen jest jakiegoś wyrafinowanego paskudztwa. Syfilis to wesoła i niewinna dolegliwość. Przez palce u nóg przedostają się jakieś mikroskopijne bakcyle, które wędrują do żołądka i powodują chorobę, zwaną *ankilostoma*. Skutki nie są tak groźne w istocie, ile wyobrażeniowo procesy przyczyn. A należy jeszcze dodać takie upominki, jak kleszcze, *bicho do*

<sup>114</sup>*corvo* (port.) — wrona a. kruk. [przypis edytorski]

pe, wszy kurze, jadowite muszki, moskity, wreszcie korona tych plag: malaria. Trzeba by doprawdy przezyczyć ten kraj, aby go polubić. Można się spotkać z argumentem, że przecież jednak ludzie tu żyją! Żyją, ale jak? Wyświechtane zdanie, że do wszystkiego można się przyzwyczać, nie świadczy jeszcze o tym, że nie powinno się unikać przykrości!

Kiedy wróciłem do „obozowiska”, zwierzęta już były w komplecie i wyjazd opóźniała wstrętna kłótnia kabokla, który poza noclegiem i kukurydzą, upominał się o zapłatę za wczorajsze wiadro guarapy. Sawczukowie zdawali się wstydzic wobec mnie tej zachłanności tubylca, w końcu coś mu tam zapłacili, ale kiedyśmy już mieli wyruszyć, przyszedł mi do głowy perfidny pomysł. Wyjąłem aparat i sfotografowałem fabrykę z wołami, kabokli i w ogóle całość. Następnie zapytałem się, ile żądają za pozwolenie sfotografowania? Jeden z nich odpowiedział mi tonem hojności, że za to nic. Na to ja:

— A Indianie brali od nas!

Poruszyli się, jakbym ich oblał wrzątkiem.

— My nie Indianie, *desgrasado estrangeiro*<sup>115</sup>! — krzyknął ten od guarapy.

— Ano nic, myślałem, że jak za guarapę, to i za to. Przepraszam was i uspokójcie się!

Wsiadłem na konia, znacząco poprawiłem rewolwer i odjechaliśmy żegnani wściekły mi okrzykami tych koboklerskich handelesów. Było bardzo późno, około dziesiątej z rana i od razu ruszyliśmy dość ostro, tym bardziej, że droga jakoś szerzej i weselej biegła przez dżunglę, ale i las był jakby nie tak skołtuniony, gęstość jego posiadała pewien umiar, który dozwalał objąć okiem pole widzenia, coś zauważyć, odróżnić. Przede wszystkim nie czuło się nad głową ciężaru poplątanych pnączów i przykrego mroku, wzrok wzniesiony ku górze nie napotykał oporu, widać było niebo i zdające się je podpierać bujne czuby drzew. Urodę i egzotyzm tego dziewiczego lasu podkreślało życie stworzeń. Co chwila niezgrabnym lotem przelatowały z gałęzi na gałąź skrzeczące tukany, wrzaskliwe papugi targały również dostojną ciszę, smukła i zgrabna dzika kura biegła długą chwilę przed nami, aż uskoczyła w bok, w gęstwę. Wysoko, z gałęzi zwisały podłużne worki gniazd ptasich, spod nóg końskich zrywały się różnobarwne roje motyli i drgały w powietrzu niby kolorowe skrawki perkalu. Grzeszczyszyn jechał obok mnie, żałośnie rozwodził się nad stratą aparatu, z wolna począł mnie zasypywać mnóstwem najrozmaitszych informacji dotyczących tajemnic dżungli, kazał mi zapisywać to, co mówił, a w końcu wskazał na jakiś krzak i powiedział:

— Niech pan zawsze pamięta! Jeśli tego koń się nażre, to za dwie godziny już po nim!

— Niech pan mi takich rzeczy nie opowiada. Od kilku dni ciągle widzę konie zrywające listki tego krzaka — powiedziałem.

— Ach, to coś innego... przecież różne rośliny są do siebie podobne... A wie pan, co konie najbardziej lubią? To liście palmy!

— No tak, ale chyba rzadko je jedzą.

— Ależ panie... ciągle, ciągle!

— Panie, przecież liście palmy rosną na samym czubku drzewa, więc jakże koń tam dostanie!

— A, to im się zrywa... a to im się zrywa, panie drogi... tak!

— No to niech pan zerwie... dam panu po milu za każdy liść, zgoda?

— Proszę pana, ja tak wysoko wleźć nie potrafię, ale są specjaliści...

— Panie, uspokój się pan... znów pana dzisiaj coś napada!

Roześmiał się swym zmiętym śmiechem i podjechał nudzić Sawczuków. Czasem żał mi było tego chłopca. Jeśli chciał na przykład oczy rozszerzyć ze zdziwienia, wówczas zezował, bo te jego maleńkie, skisłe oczka nie chciały się rozszerzać. Jeśli chciał się uśmiechnąć, zamiast uśmiechu pojawiał się cierpki grymas. Pragnął być żwawy i rześki, a potykał się. Z siodła zwisał, a udawał zucha i dobrego jeźdźca. Był to jegomość bardzo nieudany. Przypuszczam, że na przykład w Warszawie nadawałby się na sprzedawcę dewocjonaliów w budce przed kościołem. Mógłby także przed główną pocztą sprzedawać jakąś „Sztafetę”<sup>116</sup>.

Nagle świat poszarzał i na wolnej przestrzeni odsłoniło się nagle, niby fatamorgana, małe, przycupnięte miasteczko. Był to widok niespodziany i nieco niesamowity. W sennej

<sup>115</sup>*desgrasado estrangeiro* (port.) — przeklęty obcokrajowcu. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>„Sztafeta” — gazeta wydawana przez Obóz Narodowo-Radykalny. [przypis edytorski]

ciszy południa odezwał się dzwon kościelny i w tej puszczy, na szarej plamie pustkowie, między tułącymi się chałupkami, wyłonił się wyraźnie niewielki kościółek z wyraźnie migocącymi świecami na ołtarzu, z ludźmi wychodzącymi ze środka i nakładającymi kapelusze na głowy. W kłębach kurzu zbliżaliśmy się coraz bliżej, omijając niebiesko pomalowany kościół. W powietrzu ciągle wibrowały dźwięki dzwonów. Wjechaliśmy między parkany, ulica była pusta, jakieś brudne dziecko z palcem w ustach smutno na nas patrzyło, opierając się na łbie siedzącego psa. Kościół mieliśmy po lewej stronie, tam też było widać niewielką grupę ludzi, którzy zresztą nie zwracali na nas uwagi. Słońce się skryło i zrobiło się jakby kto popiołem sypnął. Nie zdarzyło mi się nigdy odczuć podobnie smutnego nastroju. Atmosfera miasteczka miała w sobie jakieś specjalne piętno wegetacji. Jechaliśmy przez nie bez zatrzymania. Na drzwiach na półprzymkniętej wendy zobaczyłem przyklejony papier z napisem: „Dzieciom nie wolno uprawiać żadnych gier ani zabaw”. Dalej, na parkanie widniał inny napis: „Mieszkańcom zabrania się urządzania balów i wyścigów”. Zaintrygowany, podjechałem do starszego Sawczuka i spytałem go, co to wszystko znaczy?

— To miasteczko nazywa się Maryland. Jakiś bogaty Anglik zakupił te wszystkie, co pan widzi, tereny, na własny koszt pobudował to całe miasteczko i pozwala je zamieszkiwać tylko tym ludziom, którzy będą trzy razy w tygodniu chodzić do kościoła i podporządkują się tym przepisom, co je pan wyczytał. Każdy ma prawo uprawiać trochę wydzielonej mu ziemi, kaszasy ani pingi w ogóle nie wyrabiają... i tak sobie żyją, jak bydłeta w niewoli.

Zapusciliśmy się z powrotem w las, minęliśmy kilka spalenisk po rosach, jakieś nagie drzewo zamajaczyło posępnym, wapiennym szkieletem. Droga na krótko zepsuła się, znów otoczyły nas: mrok, gęstwa i parność. Kiedy wynurzyliśmy się z tej łaźni, znów ukazał się tchnący majestatyczną ciszą bór, słońce nieśmiało pasmami przenikało poprzez górną gęstwę i kładło się na pnie i pogmatwane zawilce. Odzywały się ptaki, ale jakoś ciszej i rzadziej. Przyglądając się szalonej obfitości i w bolesnych skrętach porastającej podnóża pni roślinności, jakimś rozczapierzonym korzeniom, na pół przelamanym drzewom, przegniłym pniom obrosłym wściekłą bujnością, doświadczałem wrażenia, że znajduję się w jakiejś wielkiej rupieciarni przyrody, że wszystko co martwe i nie do użytku zostało jakąś potężną dłonią zwalone między rozpasaną żywotność i zatrząsienie lody, pnączy, kwiatów i paproci. Na zgniliźnie porastało nowe życie, wszystko zdawało się rozpychać i brutalnie piąć ku górze w milczącym wrzasku i tłoku, porastając poprzez siebie, deptając słabszych, starając się wyścibić ku słońcu i ku górze choćby jakiś pęk, jedną gałązkę. I wszystko to zdawało się pocić, wydzielając skondensowaną woń przyplływającą do nozdrzy w różnych odcieniach, często po prostu w smrodach, zawsze wiercąca, mocną, nigdy łagodną, lecz drażniącą powonienie. Niedobry czar nie męczył, raczej denerwował i podniecał. Chciało się jakiejś planowości, jakiegoś rozważnego porządku, a nie tej dzikiej pychy i niechlujnego bogactwa. Taką dziedziną wiodła nas bez końca wąska pikada, czasem podniósł się czyjś śpiew i milkł nieudanie, zatrząsł się śmiech, wybuchła rozmowa, zabrzmiał okrzyk, lecz rwało się to wszystko i czas zdawał się wlec nieznośnie w rytmie kroków końskich. W pewnej chwili przedarły się do nas skądś, z głębi lasu, jakieś przytłumione wołania, powoli nabierały siły i wyrazu, aż w końcu wyraźnie słychać było nieregularne okrzyki:

— Olej... joj! Hu! Eło! Eło!

Na twarzach Sawczuków zauważyłem pewne zakłopotanie, kiedy zatrzymali się i spojrzeli na jadących w tyle. Głosy niewidzialnych ludzi słychać było już w pobliżu, a wraz z nimi dobiegał głuchy, tajemniczy trzask i dudnienie. I wbrew moim oczekiwaniom, głosy te z wolna zdawały się oddalać. Coraz bardziej. Sawczuk zawołał:

— Ej, niech to diabli! Tropa świni idzie przed nami! Wyminąć ich nie sposób, a piorun wie, gdzie się jakie wolne przejście nadarzy. Późnośmy wyjechali, a teraz znów świnię nas zatrzymają i chyba po nocy zajedziemy na nocleg! Jedźmy naprzód, może się da co zrobić!

Ruszyliśmy i po kilkunastu minutach na wąskim pasie pikady ujrzyliśmy posuwające się powoli aż do mdłości, stłoczone i zalewające pole widzenia, tłuste, brunatne świnię. Pośród nich włókł się obszarpany Murzyn, gardłowo co chwila wykrzykiwał, na co odpowiadał mu z daleka ktoś niewidzialny. Już sam widok tej wstrętnej opieszłości przejmował potwornym zmęczeniem i nudą. Murzyn jadł jakieś brązowe świństwo; apatycznie oglądał się na nas co pewien czas, wypędział świnię z zarośli i zdawał się być rad naszemu



położeniu. Co prawda, Sawczuk coś tam wyklinał i groził, że mu całą tropę roztratuje i porozpęda, na co znów cuchnąca figura odpowiedziała, że będziemy musieli zapłacić odszkodowanie za pokaleczone bydłeta. Zaczął się koszmar powolnego wleczenia, niby za jakimś pogrzebem. Konie poczęły się denerwować, dreptały w miejscu, rzucały się w bok. Brak tylko było marsza żałobnego, byłoby rytmicznie. W nozdrza wwiercał się ciepły zaduch trzody, i potraktowałem to jako karę za wyżej wymienione wyrzekania na naturalne zapachy puszczy. Jakby dla pograżenia mnie w abnegacji jeszcze bardziej, Belcik poinformował mnie, że taka świńska tropa robi nie więcej niż czternaście kilometrów. Robiliśmy mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów dziennie, wlokąc się na koniach i teraz wydała mi się nasza jazda rekordową wobec tego nieszczęścia, któreśmy napotkali. Grzeszczeszyn szedł obok konia, co chwila klepał po tłustym zadzie którąś ze świń, jedna nawet mu się położyła u nóg jakby w oczekiwaniu bardziej wyrafinowanych pieszczot. Jest to fakt znamieny dla naszego powolnego posuwania się, skoro nasz wielbiciel nierogaczyny mógł się spokojnie wyczulić ze swą przygodną sympatią. Zresztą Murzyn opieszalym uderzeniem bata spędził mu ją spod palców. Żalodne i upokarzające było to nasze posuwanie się naprzód. W końcu bury poczęły się ostro niepokoić, kilka z nich wlaźło między świnię, rozpoczęły się wierzgania i kwiki. Z przodu wyłonił się między brunatnymi cielskami drugi poganiacz, kabokło, i zakomunikował nam, że niedaleko płynie rzeczka i tam będziemy mogli ich wyminąć. Z godzinę jeszcze posuwaliśmy się w mroku i smrodzie, w końcu pikada poszerzyła się znacznie przy niewielkiej rzeczce, więc popędziliśmy szybko konie, starając się nadrobić stracony czas. Tymczasem ściemniło się zupełnie, tak, że już nie można było odróżnić drzew i jechaliśmy tak, jak nas prowadziły konie. Głodne i zmęczone zwierzęta gryzły się, przystawały co chwila, zbaczały powodując zamieszanie. Snuła się między nami atmosfera złości, co chwila ktoś kłął, zawadzał głową o gałąź, bił konia batem i nie widząc się wzajemnie, ludzie wiercili się na koniach w bezsilnej wściekłości. Jakby dla spotęgowania tej udręki, zaczął padać deszcz i teraz na dobre wszystkich ogarnęło coś w rodzaju szału. Chłopi byli zaniepokojeni możliwością zaginięcia burów z kalgierami, których w ciemności nie można było się doliczyć. Deszcz zamiast uśmierzyć rozgorączkowanie tropy, podsycił jeszcze zamęt. Ta jazda po omacku była wprost ohydna. Tak się jakoś zdarzyło, że jechałem — sądząc po okrzykach w tyle — na przedzie tropy. Tuż za plecami słyszałem człapania, szmery i oddechy tłoczącego się stada. I oto nagle twarz moja zetknęła się z czymś szorstkim i twardym, zaraz potem uczułem gwałtowny ucisk do tyłu i w tej chwili spadłem z konia. Jednocześnie w kilku miejscach ciała poczułem bolesne uderzenia kopyt, próbowałem wstać, ale głową uderzałem o ciepłe i wilgotne brzuchy zwierząt, więc tylko zakryłem twarz rękami i począłem krzyczeć. Gdzieś z góry usłyszałem czyjś okrzyk:

— Stać! Zatrzymajcie się, ktoś zawadził głową o pień i leży na ziemi... zdepczą go bury!... Zaświećcie zapalkę!

Zrobiło się cicho, wylęknione zwierzęta stąpały w miejscu, ciągle dostawałem uderzenia kopyt, udało mi się usiąść, posłyszałem trzask zapalki, w nikłym świetle ktoś się nade mną pochylał, w tej chwili wstałem i jednocześnie w szmerze padającego deszczu posłyszałem obłąkańczy chichot i potem okrzyk Grzeszczeszyna:

— Toć to pan Łóńiłowski leży pod burami! Hehehe! A to mu się dostało... hahaha, bo skonam ze śmiechu... Żyje, żyje! O, jak Boga Kocham... a to dopiero opera!

Obok stał Belcik i trzymał mnie pod ramię. Gwałtownie wyciągnąłem rewolwer z pochwy i czekałem aż przy następnej zapalce mignie mi twarz Grzeszczeszyna. W tej chwili posłyszałem nad uchem chrapliwy głos Belcika:

— Dajże pan spokój temu idiotcie... przecież to wariat, cholera... Lepiej mu pan później nakładziesz po pysku... co pan będzie krew przelewał... przecież to nienormalne bydło...

W tej chwili ktoś zapalił zapalkę i zamajaczyła mi rozbawiona gęba Grzeszczeszyna. Trzęsącą się ręką wycelowałem w tę twarz, ale Belcik gwałtownie nacisnął mi rękę z bronią do ziemi i jednocześnie zgasła zapalka. Posłyszałem dwa głosy: „Panie, panie, bo pan zgnijesz w więzieniu... com panu zawinił...” I zaraz drugi głos Belcika: „Właż pan na konia i schowaj pan szmita... Weź się pan w kupę... Bardzo pana pocharatało?”

Ledwie usadowiłem się w siodle, kiedy raptem natarł na mnie koniem Sawczuk i zadyszonym głosem począł mówić:

— Niech pan mi zaraz odda szmita... Co pan chce zrobić?... Uspokoi się pan, to później go panu oddam i pogadamy...

— Nie dostanie pan rewolweru... niech pan będzie spokojny... już nic temu łajdakowi nie zrobię, jedźmy dalej!

— Niechże pan na rany Boskie, nie robi żadnej hecy... daj pan słowo!

— Daję panu słowo, że nie będę do niego strzelał, już mi przeszło... jedźmy!

Zaczęliśmy brnąć dalej. W tyle panowała wyczekująca cisza. Po lewej stronie obok mnie jechał Sawczuk, a po prawej Bełcik. Obaj starali się mnie uspokoić. Czulem się zresztą doskonale spokojny i jakiś przepalony wewnętrznie. Całe ciało miałem obolałe. Rozmyślałem sobie, że oto o krok byłem od zabójstwa i chociaż nie uczyniłem tego, to jednak wewnętrznie zamiar ten był ustalony. Na skutek wstrętnej okoliczności i zdenerwowania, byłbym tego głupca ukatrupił. Bo przecież tylko głupota była całą jego winą. Zamiast przyjść mi z pomocą w momencie, kiedy lada chwila mogłem dostać śmiertelne kopnięcie, zaczął się śmiać. Zdawałoby się, że to jeszcze nie jest powód do morderstwa, ale gdyby komukolwiek zdarzyło się znaleźć w podobnej sytuacji, impulsywnie uczyniłby to samo. Zresztą w tej chwili cały ten incydent zdawał mi się być obcy i oddalony, zwłaszcza, że w czerni nocy pojawiły się upiorne mgławice i zza ledwie otartych mdłym seledynem drzew, dały się słyszeć jęki i syki pełne tajemnej grozy. I nagle odsłonił się widok tak niesamowity, że myśl o jego realności i świadomej przyczynie była przykrą. Po zasnutych oparami, czerwono oświetlonej przestrzeni, powłóczyły się niekształtne i białawe widma pośród syków i trzasków. Prócz tego przestrzeń upstrzona była czerwonymi rozdarciami i boleśnie powykęcanymi szkieletami opalonych drzew. Wiało od tego drażniącym odorem spalenizny. Drobną deszcz polewał to niewygasłe spalenisko i podnosił fantastyczną grozę oparów, strzępiących się pośród syków i na pół zwęglonych konturów drzew. Przejeżdżaliśmy mimo tego sugestywnego pobojuwiska w posępnym milczeniu. Na słabo oświetloną drogę kładły się podłużne cienie zwierząt. Po chwili znów ogarnęły nas ciemności i nastrojowe widowisko pożaru pozostało w tyle. W mój podniecony tym widokiem umysł wdarło się trzeźwe zdanie Sawczuka:

— Deszcz mu w samą porę przygasił rosę, to i zaraz będzie mógł sadzić!

Wkrótce w ciemni zadrgało nagle światelko i po chwili zatrzymaliśmy się nad jarem z przycupniętą na brzegu chałupą kabokla. Mimo deszczu, który zresztą ledwie popadywał, rozpalono dwa ogniska i przy świetle zapalonych wiechci liczono zwierzęta. Jakimś cudem nie brakowało ani jednego. Kiedy wszyscy skupili się wokół ognisk przy szimaronie, stanąłem w środku i powiedziałem:

— Wszyscy byliście świadkami, co mi się przydarzyło. Każdy z was zrozumie, że zachowanie się pana Grzeszczyszyna było nie tyle podle, ile idiotyczne. Trochę mi przeszkodziło, kiedy chciałem strzelić do niego, a także sam nieco się opanowałem. Faktem jest, że chciałem strzelić i mogę o tym powiadomić najbliższy posterunek policji. To już jest załatwione. Ale powiedzcie mi, czy według was, powinienem sprawić lanie tej pokrace, czy też nie? Jakby któryś z was uczynił?

— Kiedy panie, przecież to jest przygłup... Najlepiej go zostawić w spokoju — odezwał się starszy Sawczuk.

— A ja bi go zbil... to mężczyzna... to buro — wtrącił szwagier Sawczuków.

W tej chwili zdarzyła się najmniej spodziewana i właściwie przykra scena. Grzeszczyszyn zaczął mówić ze swego miejsca przy ogniu jakimś skamlącym głosem:

— Panie kochany... obaj jesteście Polacy na obczyźnie... w takiej pustyni... Daruj mi pan... jam nerwowo, a jeszcze ta droga mnie dobiła... Roześmiałem się, ale wierząc mi pan, że niezdrowo... Tak śmiesznie tam się pan gramolił... Pan jest dobry chłop, ja pana lubię i szanuję, a że czasem w drodze... jak tak się ciągle jest ze sobą... Przecież ja wiem, że nie strzeliłby pan do mnie... Napij się pan szimaronu... niedaleko już Londrina... Zapomnijmy o tym!

Właściwie tym odezwaniem całą sprawę wyczerpał. Mimo woli przysiadłem przy najbliższym ogniu i chwyciłem kuję z szimaronem. Nikt się już w tej sprawie nie odezwał, zresztą ludzie byli półprzytomni ze zmęczenia i zaraz po kolacji podnieśli się od ognisk. Włożyłem razem ze wszystkimi do brudnej i pustej szopy, otuliłem się wilgotną kapą i położyłem się w kącie. Usnąłem momentalnie.

Słoneczny ranek sprawił, że całe wczorajsze piekielko wydało mi się niedobrym snem. Co prawda, podczas siodłania konia (a zauważyłem, że podczas tej czynności myślę intensywnie i realnie) przeszła mi przez głowę przykra świadomość, że to wczorajsze zdarzenie stało się ciemną kartą mojego życia. Ale kiedy sobie uprzytomniłem, że to wszystko działo się w przeciągu kilkunastu sekund i pod wpływem szoku nerwowego, wówczas darowałem sobie połowę winy, a drugą połowę przelałem na Grzeszczeszyna. Zwłaszcza, że surowe życie obozu od samego rana ujęło mnie w swe karby.

W związku z opóźnieniem spodziewaliśmy się przyjazdu Dąbskiego. Interesowało to i mnie także, ponieważ winien mu byłem bura, który szedł sobie zresztą swobodnie w tropie, oraz zapłatę za siodło i być może jeszcze za coś, czego nie pamiętałem. Widocznie ten koń zatrzymał go na dłużej. Osiodłałem konia, napiłem się jeszcze trochę kawy (śniadanie zjadłem już dawno) i zacząłem sobie spacerować między zwierzętami, unikając starannie kopnięcia i Grzeszczeszyna. Widać było, że kabokło, u którego zanocowaliśmy, był zamozny i dość gospodarny, co mi się rzadko zdarzało widzieć. Miał niezłą chałupę, osobną kuchnię, dwie stodoły, wszystko to otoczone solidnym parkanem. Trochę z nami podowcipkował, nie chciał wziąć pieniędzy za kukurydź i w ogóle zachowywał się po pańsku. Bosy, w połatanych portkach i wyszmelcowanej koszuli, drapał się po zmierzwionej łepetynie, pełnej drobnego śmiecia, co mu nie przeszkadzało zachowywać się wobec nas dumnie i z grzeczną rezerwą. Z tyłu, z portek, sterczał mu wielki jak szabla fakon. Przewracał wielkimi, czarnymi ślepiami i z cywilizacyjnego punktu widzenia przedstawiał się — biedactwo — w gruncie rzeczy fatalnie. Przykro było pomyśleć, że ta barwna, soczysta i słoneczna Brazylia rodzi tak nieudanych synów. Pożegnał nas szerokim i pańskim gestem prawej dłoni i pod pachą mignęły czarne kudły z rozdartej koszuli.

Od razu dało się zauważyć, że od Sao Sebastiao okolica zmieniła swój charakter i po krótkiej nudzie obszaru paproci, puszcza z głuchych i mrocznych ostępów przerodziła się w barwną i egzotyczną dziedzinę. Jechaliśmy szeroką drogą między ścianami lasu, po miękkiej warstwie opadłych, rudych liści, sprawiających wrażenie romantycznej alei w zapuszczonym parku na jesieni. Na drzewach lyskały storczyki i orchidee, nakrapiane, niepokojąco piękne i dziwaczne stwory, drapieźnie przyczajone w cienistych wnękach gałęzi i zdające się drwić z mojego chciwego i zachwyconego, europejskiego spojrzenia. Z gałęzi zwisały całe kwietne ogrody i z fantastyczną beztróską bogactwa i urody, przrzucaly się w girlandach z drzewa na drzewo. Ta dzika, barwna i szeroka uroda puszczy ukazała się nagle, jakby pragnąc nagrodzić nam nasze poprzednie, żmudne — niby w jakimś tunelu — przedzierania się. Po tych wszystkich uciążliwościach, poziomych drzewach, wymyślnych pułapkach, cierniach i zaduchu, puszcza zdawała się zrezygnować z obrony i obrazować swoim przepychem słowa w rodzaju: „Skoroś już się tu przedostał braciszku, toś zuch i patrz teraz...”

Resztki mego pozytywizmu co do przyrody brazylijskiej zaczęły się tu gwałtownie odradzać. Przede wszystkim umiar, a nie jakieś pyszałkowate i bez gustu popisywanie się bogactwem, niby nuworysz pierścieniami na grubych paluchach i złotym łańcuchem na brzuchu. W zatrzęsieniu kwiatów i barw przejawiała się pewna fantazja. Była to bujność uregulowana i nie krzycząca. Brakowało mi tylko węży, małp... słowem tego wszystkiego, co obiecuje fama tego kraju: „Z żywych stworzeń tylko ptaki i owady... proszę szanownego pana... Na razie nie możemy więcej... może później...”

Niełatwo się zachwycam, ale skoro wpadnę w ten stan, to już wyczerpująco. Okno mego pokoju w Rio de Janeiro wychodziło na półdziki ogród i często, rankiem budził mnie najbardziej misterny cud przyrody — koliber. Ten rozterkotany czar, uosobienie najwdzięczniejszej energii, ilekroć wpadał do mego pokoju i mgiełką koloru skrzył się pod sufitem, zawsze wprowadzał mnie w stan najczystsze go zachwytu. Bawił niedługo, jakby tylko naprowadzić mnie chciał na myśl w rodzaju: „Przecież widzisz mnie... i jakże tu nie wierzyć?”... po czym odlatywał rozedrganą smużką do wirujących nad kwiatami towarzyszy. W tym pokoju wiodłem przykre i tęskne życie, ale ilekroć zdarzało mi się widzieć kolibry, popadałem na cały dzień w radosny nastrój. Sądzę, że gdyby zamiast Grzeszczeszyna ukazywały się choćby z rzadka kolibry, książka ta byłaby jednym peanem na cześć Brazylii. Widać te kolibry to miejskie istotki, bo w tej podróży ich nie widziałem. A szkoda. Zamiast posępnych roztrząsań trwałbym cały dzień na koniu w podziwie i zachwycie. A może teraz nie pora na nie? Nie wiem, nie jestem przyrodnikiem ani or-

nitologiem. Co mnie obchodzi pora! Ten kraj posiada złośliwy talent koncentrowania rzeczy pięknych w pewnych miejscach, kosztem nużącej jednostajności innych terenów. Tak jest z Rio de Janeiro. Książki o Brazylii powiadają o tych skondensowanych urokach, natomiast przemilczają mdły nastrój interioru.

Puszczą, którą teraz przejeżdżaliśmy, oprócz szeregu dodatnich cech, ukazała mi parę fragmentów swego plastycznego humoru. W pewnym miejscu napotkałem brodate drzewa. Po prostu, z gałęzi zwisała się sucha zieleń, przyprószona siwizną i w kędziorach majestatycznie opadała ku ziemi. Dalej ukazało się tak upozowane drzewo, że wyglądało niby olbrzym zastygły w figurze mazura. Gdzie indziej dwa drzewa zdawały się chwycić konarami za bary. Nad szczupłą, kokieteryjną palmą pochylała się gruba gałąź, jakby ją całując i błogosławiąc na podróż. Czasem na drodze sterczała gałąź i zdawała się mówić: „Stój, coś ci powiem!”

Tak więc, jazda stała się niespodzianie przyjemnością. Na skutek zbliżania się do celu podróży, ludzi opanował realny humor, objawiający się w śpiewach i przekomarzeniach. Na zakręcie ujrzelśmy czystą tablicę z wyraźnym napisem: „Fazenda<sup>117</sup> Whitakera”. Doskonała, uroczyście ocieniona droga przypominała udrekę przedzierania się przez dżunglę i jednocześnie przejmowała dziwnym żalem za mozołem i wysiłkiem. Wypominała swą łatwość. Po południu ściany puszczy urwały się i wyjechaliśmy na jasnozielony camp<sup>118</sup> porośły trawą i najeżony rdzawymi kopcami mrowisk. Sawczukowie podjechali do białego domku i zapytali stojącego w drzwiach człowieka, czy można będzie (oczywiście za opłatą, bo na terenie Whitakera) przemocować. Po uzyskaniu zgody, rozbiliśmy obóz nad czystą i płytką rzeczką, obok szałas składającego się z jednej pochyłej ściany splecionej z trzciny i z liści. Górna część tego dachu (i ściany jednocześnie — kłopot z określeniem!) opierała się na dwóch dragach. Siedział tam człowiek gładko ogolony, ale o spuchniętych policzkach i z workami pod wyblakłymi oczami, ubrany nędznie i jakoś stęchle. Jego brązowa marynarka — typowa marynarka włóczęgi — oraz jasne spodnie, były dokładnie wymięte, jak gdyby długo wyleżały się w jakimś schowku. Byłem pewien, że ten człowiek przebył dłuższy okres w szpitalu lub w więzieniu. Siedział w kontemplacji, z podwinętymi na krzyż nogami. Obok leżał brudny węzełek i laska z kościaną gałąką. Nasze przybycie nie wywarło na nim żadnego wrażenia. Zmienił tylko pozycję, wyciągnął się oparty na łokciu i leniwie zaczął gryźć żdźbło. Krzątaliśmy się koło zwierząt, rzucając pod jego adresem rozmaite uwagi. Nieopatrznie położyłem siodło w zasięgu pochyłego daszka, na co jegomość chwycił laskę i wyszturgał nią siodło poza granicę szałas. Zaraz położył się na wznak i zaczął nucić jakąś monotonną melodię.

Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że jest to ubogi Anglik. Melodia, którą nucił, była specjalnie angielska. Przy czym kwestia z siodłem nie dawała mi spokoju. Tymczasem rozpalono ognisko i umieszczono w nim kociołki. W pewnej chwili spojrzałem na twarz włóczęgi. Dyszał gniewnie i chciwie patrzył na kociołki. Ale skoro zauważył, że go obserwuję, odwrócił się, gwizdząc ciągle swą melodię. Mimo sytuacji przychylniej do nawiązywania rozmów, nikt się nie odezwał do niego słowem, a nawet po pewnym czasie przestano się nim zajmować. Wyjąłem z worka ręcznik i mydło, po czym poszedłem wzdłuż rzeki, do miejsca, gdzie przepływała między zaroślami. Rozebrałem się i ległem na wyszlifowanym dnie z kamienia. Ta niewygodna kąpiel na płyciznie trwała z pół godziny, po czym wymyty i rześki, wróciłem do obozu. Włóczęga ciągle nucił pod szałasem. Usiadłem przy ognisku, nałożyłem sobie na talerz fizonu z ryżem i zacząłem jeść, nie spuszczając z oka niefrasobliwej postaci pod szałasem. Usiadł i gdy pochwyliłem jego wzrok, zrobiłem proponujący gest ręką w stronę talerza. Obejrzał się za siebie, jakby szukając kogoś, kogo ten gest dotyczył. Zjedliśmy kolację, poszedłem z Sawczukami i Belcikiem nad rzekę, aby naciąć gałęzi na szałas. Wróciliśmy i zabraliśmy się do roboty. Zachodzące słońce okryło świat czerwienią i od rzeki powiało chłodem. Człowiek spod szałas wstał, wyjął z kieszeni zapalniczkę, przeciągnął się i ziewnął, po czym w kilku miejscach podpalił wysuszony dach. Po tym czynie podciągnął spodnie, podniósł węzełek i laskę, i po prostu poszedł sobie drogą wiodącą do lasu. Gwizdał. Dach szałas strzelił wesołym ogniem ku niebu. Sylwetka włóczęgi majaczyła w groteskowych podskokach na czerwonym tle, po

<sup>117</sup>fazenda — posiadłość ziemska. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>campo (port.) — pole. [przypis edytorski]

czym rozmasowała się na brunatnej ścianie lasu. I przypadek! Złośliwy Chaplin z brazylijskiej puszczy. Milczące zdumienie nasze przerwał okrzyk Grzeszczeszyna:

— A to sukinsyn! Podpalili szałas... ganiać go!

— A to sobie go pan ganiaj! — odpowiedział Belcik. — Wariat jakiś, tfu!

Kilku chłopów poczęło deptać gasnące resztki szałasów. Sawczukowie wyciągnęli osmalone drągi i przenieśli na miejsce, gdzie mieliśmy postawić nasz schron. Nikt nie komentował zdarzenia. Kiedy szałas był gotów, porozkładaliśmy kapy wokół ogniska i wsłuchani w nocny bulgot rzeczki, leżąc w rozedrganych poblaskach, w milczeniu piliśmy szimaron.

Jakoś nie zbierało się na żarty. Ludzie rozmyślali o swoich sprawach, a nastrojowy wieczór skłaniał raczej do wspomnień i roztrząsań, co się zresztą przejawiało w słowach, tęsknie wymykających się spod nastroszonych wąsów starego Belcika.

Wyciągnął się wygodnie i począł mówić:

— Jakie to my, te chłopcy polskie na ziemi pazerne. Każdy ma swoje niezgorsze gospodarki, każdy z nas, co leżymy tutaj, ma byt ustanowiony, osiadłą od lat rodzinę, a jeszcze nas ciągnie coraz dalej, coraz więcej ziemi nakupić i nowej roboty w ręce sobie napędzić. I że to wy, co młodszy... Ale i mnie starego chciwość na ziemię pędzi z wami. A jakem tu przybył, że czterdzieści roków temu będzie, to ino te łapy człowiek miał do roboty i nic więcej. A tak to wtedy było, że gdzie chłop polski przyszedł, tam nie było ani Boga, ani diabła, tylko bór okrutny i chłop polski. I co to potu z człeka się utoczyło, a i krwi nierządno, zanim to sobie jaki taki byt urządził. Usiadłeś pod wieczór przed chałupą i dopiero jak cię nie ułapi tęsknica za swoim narodem, to choć gryź te twarde ziemie, żadnej ulgi ci nie przyniesie. Zasluchasz się w głuchą puszcę, a tam ci się nie słowik odezwie, tylko *gabriuwa* zapłacze, piosneczki poszuka... I oto los twój, chłopie... zamieniłeś sobie słowika na gabriwę. Dzieciak ci woła kartofla, a ty mu wołasz: „Weź se *laranie*<sup>119</sup>, kartofli nie ma”. Wyrośnie ci to dziecko, a inne już jakieś... do obcego języka sposobniejsze... już tą puszcą nasiąkło. Jak się zbierzemy gdzie w kupie, na jakiej szuraskadzie<sup>120</sup>, a podpiję sobie, to im wołam: „Ja nie z tych Polaków, co to się na okręcie urodzili... ja w Wiśle kąpany!” A ci w śmiech! Później, jak szkołę postawili, wraca mi dziecko do chałupy i powiada, że mu nauczycielka wyciągnęła wesz z głowy i wsadziła do gęby i czekała, aż nie rozgryzie. Tak ci to chłopskie dzieci czystości uczyli! A jak się doczekałeś szkoły polskiej i gazety w swoim języku i majątku, i poważania, to cię znów gna w te lasy, nowe alkry skupować... takie już masz we krwi umiłowanie do ziemi, żebyś ją przepuszczał przez kiszki, jak glista jaka! A ta jest przyczyna, żeś się najpierw w tej pańszczyźnianej Polsce za gruntem wygłodził, a potem, jakeś już wolny był, to ci wiecznie go było brak, tylko żeś zawsze na cudzym tyrał. I dopiero tutaj odgrywasz się, chłopie i pracowicie żyjesz sobie jak wolny człowiek, a nie jak jakie zwierzę...

— Ano zobaczymy, jak to tam będzie na tej Londrinie... może jeszcze wrócimy na stare i wy, Belciku, po próżnicy gadacie! — wtrącił któryś z chłopów.

Stary uśmiechnął się drwiąco i chytrymi ślepiami zerknął w moją stronę porozumiewawczo. Tak, to prawda, że go tam bardzo nie zrozumieli. Nie podtrzymali tej rozmowy, ziewali, skłonni do milczenia. Nieopodal w krzakach odezwało się nagle wyraźne szczekanie, podniosłem się i odszedłem parę kroków, nasłuchując. Przy ogniu ktoś zakaszał, a Belcik zawołał:

— Siadajże pan, bo przez to pańskie opuszczone miejsce wiatr wpadł i dymem oczy ludziom zasypał... Czego pan tam nasłuchuje?

— Słucham skąd te psy, bo przecież chałupa jest w innej stronie!

— Jakie to tam psy... Żaby se szczełają! Siadajcie, panie, to opowiem, jakie ja miałem z żabami tarapaty.

Zająłem swoje miejsce przy ogniu, a Belcik zaczął mówić:

— Mnie kaczęta bardzo ginęły. Tom podpatrzył, że je — ścierwie jedne — żaby za łapki wciągają pod wodę, jak pływają. Takem sobie myślał jakby je tu wymarnować. Tylko gdzieś mi się chowały ciągle. Przyszła pora zimowa, a miałem ule z pszczołami. Kiedyś przychodzę koło pasieki, aż tu patrzę zza krzaków, żaba jak kapelusz, wspina się do dziury w ulu, puka łapą i rozdziawia paszczę, a głupie pszczoły sznureczkiem wpadają jej do gardła.

<sup>119</sup>*laranja* — pomarańcza. [przypis autorski]

<sup>120</sup>od *churrasco* — mięso pieczone na rożnie. [przypis autorski]

Zarazem do niej przypadł, ale mi wpadła w gęstwę. Dawno już się głowiłem, że mi tak pszczoł coraz więcej ubywa. To mnie już rozgniewało. Kiedyś zaglądam do pajora i patrzę... w kącie przycupły dwie żaby. Zbliżać się do tego paskudztwa obrzydliwie, a wielgaśne takie, że i zabijać je nijako. Przyczepiłem wiecheć do długiego patyka, umaczałem go w kreolinie i z daleka przejechałem żabom po grzbiecie. Po paru dniach dzieci znalazły je martwe, bo im kreolina grzbiety poprzegryzała. Później mi te pszczoły znów Alma de Gato wyjadały. Też juchy mądrale i prześmieszne w sposobach... Przychodzi ta zimową porą i pszczoły siedzą w ulach, wtedy Alma de Gato dziobie w ul, pszczoły wylatują popatrzeć, co to za gość im puka, a wtedy ptak je sobie spokojnie pojada. Tylko że tam, gdzie Alma de Gato się kręci, zawsze i kot koło takiego ula się kręci... Takie to jest jak zawsze we świecie... jedno drugie zjada...

A już chyba najbardziej okrutne stworzenie, to jest sam człowiek. Kiedyś, było to w niedzielę, wybraliśmy się z synem do puszczy popolować trochę. Aż tu nad głowami naszymi jak się nie podniesie wrzask... I zadzieramy łby do góry, a tam małpy po lianach uciekają przed nami, aż się liście tylko sypią... Mój syn przykłada strzelbę do ramienia i celuje w jedną małpę, co najniżej siedziała z małą małpką uwieszoną u szyi. Widzi stara małpa, że już nie zdąży uciec, to bierze małe w łapy, wyciąga przed siebie i lepkiem kręci, i pokazuje na to małe i prosi, jak człowieczek jaki, żeby jej życie darować. Aż mnie — starego — tak to targnęło za serce, że mówię do syna, aby spuścił strzelbę, a ten w tej chwili wystrzelił i małpa z małym czepiając się gałęzi, upadła nam pod nogi. Tylko tymi żalonymi ślepkami na nas patrzyła i jakby wypominała nam krzywdę. Zdechła zaraz i małe zabraliśmy do chałupy. Była u nas ze trzy lata, aż ją kiedyś dziewczucha przycisnęła drzwiami i zdechła... Tak po tym zastrzeleniu starej małpy, przysiągłem sobie nigdy już do małp nie strzelać, bo to tak jest, jakby się do człowieka strzelało...

Mimo, że wydawały mi się te historie trochę nieprawdopodobne, w głosie Belcika brzmiała nuta prawdy, a zresztą opowiadania te nie były pozbawione swego uroku. Zrobiło się już późno, szwagier Sawczuków i jeden z kolonistów zostali przy ogniu, inni ułożyli się rzędem pod szałasem.

Między dźwięcznie rozbrzmiewające poszczekiwanie żab wdarło się przenikliwe dzwonienie cykady, powiew od rzeki niósł te głosy urzekająco i sennie. Jednak leżąc na wznak pod tym pachnącym schnącą zielenią dachem, nie byłem skłonny do marzeń. Raczej zastanawiałem się nad brakiem moskitów w ciągu całej podróży, a zwłaszcza tutaj, w bliskości wody, spodziewałem się ich specjalnie. Nie ma. Plagi tego kraju omijają mnie wyraźnie. Także słyszałem że w kioskach mieszkańca lasu czy też podróżnika, roją się najrozmaitsze pasożyty. Mój żołądek zdawał się przechodzić najświetniejszy okres zdrowia. Zarówno umysł mój, jak i organizm reagują inaczej na Brazylię. Pełen zawodu, zasypiam owiany ciepłym zaduchem ciał moich towarzyszy.

Wczesnym rankiem szybko załatwiliśmy się z objuczeniem burów, osiodłaniem koni i śniadaniem, po czym od razu wjechaliśmy w okolicę poznaną śladami bytowania człowieka. Krótko przejeżdżaliśmy drogą w puszczy, zaraz wyłonił się faxinal i po niedługim czasie miejsce jego zajęły spalone tereny ros między rzadkimi krzewami. Ziemia była silnie czerwona, dość gęsto spotykało się wątłe palmy. Północ Parany zaznaczyła się od razu dość osobliwymi z wyglądu, sadzonkami kawy. Te rzadkie dołeczki z wątłą rośliną w środku, nakryte drewnkami na krzyż, wymagały zachodu i pieczołowitości od człowieka. Gdzieniegdzie widać było małe, ale schludne chatki kolonistów japońskich, budowane z gładkich i dość cienkich pni palm, czyli palmitów. Wpływ kultury północy Parany w porównaniu z południem, zaznaczał się przede wszystkim bogactwem i barwnością tego kraju. Na każdym kroku uwidaczniał się jasny, wesoły egzotyzm. Gładko ubita droga poznaną była słupkami kilometrowymi, w słonecznej dali widać było brunatne chatki pośród zwęglonych, oddzielonych żywą zielenią pól. Te czarne i zwęglone, pozornie martwe obszary, zamiast odpychać swym posępnym wyglądem, podkreślały raczej twórczą pracowitość rąk ludzkich, co przesłaniało przykre wrażenie barbarzyńskiej gospodarki.

W pewnym miejscu napotkaliśmy znów pożar krzaków. Żar słońca zlewał się z ogniem ziemi i buchał gorącym wichrem w naszą stronę. Głośnie trzaski pękającej w ogniu taktu, wściekle skłębione pośród dymu płomienie, cała ta oszalala zagłada soczystej roślinności, zdawała się rwać w bezsilnej wściekłości, że nie może pójść dalej, że spryt

człowieczy umiejscowił ten żywioł w wyznaczonych granicach. Przygotowanie do palenia rosy odbywa się w ten sposób, że w oznaczonym miejscu podcina się fojsą krzaki tuż przy ziemi, po czym przeznaczony do spalenia teren oddziela się od reszty wycięciem określonej granicy z krzaków, tak że ogień nie ma dalej dostępu.

Przejechaliśmy mimo tego małego piekła i zaraz z rozmaitych refleksji wyrwała mnie informacja Grzeszczyszyna:

— Panie, mamy do Nova Danzig tylko czternaście kilometrów!

— Nie czternaście, ale trzy! Po czym to pan sobie tak wspaniale obliczył?

— Jak to! Przecież słupy wskazują!

— Uspokój się pan! Słupy wskazują odwrotny kierunek do fazendy Whitakera, biegną od Nova Danzig, nie widział pan widocznie tablicy... Dlaczego mi pan ciągle zawraca głowę swoimi mylnymi informacjami!? Trzeba wpierw sprawdzić! Ciągłe się pan wykretynia, psiakrew!

— O, proszę pana... proszę pana! Niech pan się tylko nie zapomina. Gdzie pan się właściwie chował?

Na to słuszne pytanie nie zdążyłem mu odpowiedzieć, bo na zakręcie ukazał się ciężarów samochód i cała tropa rozstrzeliła się w panice po obu stronach drogi. Samochód minął nas ciągnąc za sobą czerwony welon kurzu, i kiedy kurz opadł, zobaczyliśmy w odległości całą naszą tropę pędzącą w popłochu, niby stado dzikich mustangów na stepach prerii. Chłopi pognali w stronę uciekinierów, a ja stałem na drodze, rozmyślając, jakim to instynktem zwierzęta uniknęły kalectwa. Widziałem, że rozbiegły się po obu stronach drogi, w miejscu, gdzie akurat były sadzonki kawowe, wobec czego powinny sobie połać nogi w dołkach, które były pokryte drewniakami. Ślady kopyt było widać, ale między dołkami. Zostałem na drodze sam na sam z Grzeszczyszynem, który odjechał kilka metrów, zsiadł z konia i usiadł pod palmą. Wyciągnął rewolwer, położył go na kolanach i pytająco patrząc na mnie, znieruchomiał ze skrzyżowanymi rękami.

Droga była zupełnie pusta. Zsiadłem również z konia i właśnie miałem zamiar pójść trochę naprzód, kiedy Grzeszczyszyn zawołał:

— Panie, niech pan się do mnie nie zbliża, bo ja widzę, że pan ma jakieś złe zamiary co do mnie!

Nic nie mówiąc, przeprowadziłem konia obok niego i usiadłem o jakieś kilkanaście metrów od tej zmory. W tej idiotycznej sytuacji przesiedziałem z godzinę. Wreszcie pojawili się chłopci, pędząc tropę i zaraz przyłączyłem się do nich.

Po półgodzinnej jeździe wjechaliśmy między świeżo pobudowane domki, do schludnej, niemieckiej kolonii Nova Danzig. Tutaj zatrzymaliśmy się przed wendą i kiedy wszedłem do środka i usiadłem przy ladzie, pomyślałem z bezmierną ulgą, że to już jakby właściwie koniec tej groteskowej podróży. Pijąc piwo, patrzyłem na to, co się działo przed wendą. Młody, o okazałych kształtach Niemiec w białym ubraniu, w panamie i w sztylpach, przyglądał się ze znawstwem koniom, kręcąc trzcinkę w palcach. Sawczukowie demonstrowali mu konie, jeżdżąc po małym placu. Po chwili obok Niemca przystanęło jeszcze kilku kupców i rozpoczął się handel, zagładanie koniom w zęby, jazda na nich. Bury z kalgierami drzemały ze zwieszonymi łbami przy płocie, podkreślając upalny charakter ospałości tego południa. Koło wendy przejechały dwie blondynki na koniach, w angielskich siodłach i w korkowych hełmach, w butach z cholewami i sportowych koszulach z krótkimi rękawami. Te dwie białe amazonki obudziły niejako moje poczucie przynależności do europejskości i zaraz zacząłem rozmawiać z czysto ubraną Niemką zza lady. Krótko poinformowała mnie, że stąd do Londriny jest szesnaście kilometrów i że niedługo powinien jechać w tamtą stronę samochód. Nova Danzig jest młodą kolonią niemiecką, ma zaledwie dwa lata. Z uznaniem pokiwała głową, kiedy jej powiedziałem, jaką drogą przyjechałem tutaj. Z pewną satysfakcją przyjąłem, że nie pytała dlaczego nie przyjechałem koleją, tylko tłukłem się przez dżunglę. Zimne piwo w to upalne południe nieco mnie rozmarzyło. A więc wystarczy tylko wsiąść w samochód i za pół godziny będę w Londrinie! Cudne!

Tymczasem Sawczukowie sprzedali kilka koni i razem z Niemcem weszli do wendy i od razu zaczęły krążyć kolejki z kaszasą. Przepiłem kilka razy, po czym Belcik zaproponował mi, abym pojechał z nim i jeszcze z kilkoma do ich działek, odległych o dwa

kilometry. Po kilkunastu minutach byliśmy na miejscu. Okazało się, że na działce Belcika gospodarowali już dwaj jego synowie i że stary przyjechał tu, aby dokupić jeszcze więcej ziemi. Prymitywność szalasu, porozwalane garnki i popielisko wskazywały na nietatwe życie młodych ludzi i brak kobiecej ręki. Byli to dwaj ogorzali mężczyźni, wymordowani karczowaniem puszczy, ale weseli. Popiliśmy trochę szimaronu, po czym życząc sobie nawzajem wiele dobrego pożegnałem się z nimi z gorącym poklepaniem po plecach. Jakby na zakończenie, w powrotnej drodze koń mi się spłoszył przed autem i tak gwałtownie poniósł mnie w krzaki, że omal nie spadłem. Z wendy na mój widok wybiegł Grzeszczeszyn i zawołał:

— Rany Boskie, gdzie pan się szwendasz? Przecież auto już czeka! Jejejej!

Osadziłem rozdygotanego konia i w gniewie huknąłem Grzeszczeszynowi, żeby sobie poszedł raz do diabła i nie zawracał mi głowy swoim natręctwem. Po krótkiej sprzeczce, Sawczukowie przyjęli dwadzieścia milreisów tytułem zwrotu kosztów podróży, po czym poleciłem ich opiece konia Dąbskiego i siodło. Napiliśmy się jeszcze piwa, obiecując sobie, że się jeszcze kiedyś spotkamy, po czym rozstaliśmy się wzruszeni, przyjaźnie i serdecznie uściskawszy sobie ręce. Wpakowałem worek do chuderlawego Forda, zająłem miejsce i czekałem na Grzeszczeszyna, któremu urwał się pasek od sztylpy i właśnie przy nim coś manipulował.

— Siadaj pan, bo pojedę sam! Sztylpę możesz pan sobie naprawić w czasie jazdy.

Powiedział coś: „A... aaa... racja!” i usiadł obok. Ruszyliśmy. Wychyliłem się i poma-chałem kapeluszem stojącym przed wendą chłopom. Nawet to rozstanie było mi nieco przykre. Obok mnie siedział człowiek, z którym bardzo pragnąłem się rozstać, a jednak zamiast pożegnać się z nim i odjechać sam, siłą przyzwyczajenia zawołałem go do auta i oto znów byliśmy razem, a nawet bliżej siebie niż zwykle.

Auto szybko jechało po czerwonym pasie bitej drogi, między symetrycznymi rzędami kawowych drzewek. Ten schludny porządek po zatrzęsieniu puszczy sprawiał mi szczerze zadowolenie. Po półgodzinnej jeździe wjechaliśmy między gęsto ciągnące się wzdłuż szerokich ulic, drewniane, niemalowane budynki i auto zatrzymało się przed czymś w rodzaju baraku z napisem: „Bar e hotel Tico-tico”. Nie rozglądałem się po Londrinie, tylko szybko poprosiłem tęgiej kobiety o pokój. Poprowadziła mnie ciemnym korytarzykiem, między ścianami z nieheblowanych desek i wskazała mi klitkę o zwisających na pordzewiałych zawiasach drzwiach, pełnych szpar i sęków. Wnętrze komórki w świeżo wybudowanym śpichrzu czy jakimś lamusie. Stało tu wąskie łóżko i kostropaty stół. Żółtawe ściany pełne były zadziór i zamazanych zastygłą żywicą sęków. Zdjąłem ubranie, włożyłem piżamę, zabrałem mydło i ręcznik, po czym wyszedłem na korytarzyk, do drugiej takiej komórki z prysznicem. Po kąpeli położyłem się do łóżka i usnąłem z zamiarem obejrzenia Londriny wieczorem.

Obudziły mnie jakieś piski przez ścianę. U mnie było ciemno, ale w sąsiednim pokoju świeciło się światło i przeciekało do mnie przez szpary. Bez trudu odgadłem, że Grzeszczeszyn dobiera się do jakiejś dziewczyny. Po chwili usłyszałem skrzyp drzwi i kobiecy głos: „Niech pan lepiej obudzi kolegę i przyjdźcie razem na kolację!” Zaraz też usłyszałem pukanie do moich drzwi i głos Grzeszczeszyna:

— Wstając, zupę dają!

Ubrałem się i poszedłem do jadalni. Zjedliśmy obaj kolację w niewyraźnym nastroju. Byłem w rozterce, bo nie wiedziałem, jak się po tym wszystkim ustosunkować do tego chłopca o tak niepewnym charakterze. Podczas jedzenia wywnętrzał mi się, że podoba mu się ta apetyczna pokojówka i że jeśli tej nocy nie odwiedzi go, to nie jest sobą. Dziewczyna właśnie stawiała potrawy na stole i kiedy jej się przyjrzałem, musiałem przyznać, że jest dość ładna i świeża. Nie dziwiłem się Grzeszczeszynowi. Po miesiącu celibatu, temat ten był bardzo na czasie. Na razie zachowywałem się wobec Grzeszczeszyna chłodno i dość grzecznie.

Wychodząc, zatrzymaliśmy się krótko w barze, przy kieliszku whisky. Tęga gospodyni tego lokalu, Niemka, poinformowała mnie uprzejmie, że nie tak dawno bawił w Londrinie książę Walii, który ponad wszystkie przyjęcia z szampanem przedkładał wieczory spędzone w jej barze. Dorzuciła mi jeszcze kilka pikantnych historyjek w związku z po- bytem popularnego Anglika, po czym pożegnałem się uprzejmie i wyszliśmy przed bar.



Miasteczko żarzyło się mnóstwem odosobnionych świateł i w ciepłej miękkości wieczoru snuły się dźwięki muzyczne z szeroko otwartych, o jasnych wnętrzach, restauracji i sklepów z lodami. W smugach świateł majaczyły sylwetki spacerowiczów. Pogoda odpoczynku po pracowitym dniu zdawała się delikatnie unosić nad tym uroczym miasteczkiem. Przed nami widniał rozjaśniony bungalow, niby statek na rzece w pogodną noc. Brzmiało od niego muzyką i wewnątrz krążyły tańczące pary. Na tarasie snuły się sylwetki mężczyzn i kobiet i razem z muzyką dobrą aurą wionął ten dom. Szliśmy powoli po miękkiej, niebrukowanej ulicy. Wszędzie panowała atmosfera młodości tego miasta i charakterystycznego ożywienia świeżo przybyłych ludzi. Zajęliśmy stół w lodziarni i znad porcji lodów obserwowaliśmy ruch tego lokalu. Wbiegło kilka Japonek w kimonach i z tłumioną poządlivością poczęły lizać lody w małych rożkach z wafli. Postąy chwilę, jakby dla zachowania pozorów grzeczności, po czym wolno wyszły na ulicę. W ogóle na ulicy widziało się różnorodny tłum, przeważała jednak liczba Japończyków. Po godzinie znów wyszliśmy na ulicę. Ponieważ światło padało tylko z lokali, a więc od dołu — miasteczko było płytko oświetlone i domki majaczyły w łagodnych konturach. Słowa angielskie twardo brzmiały obok łagodnej japońszczyzny, czasem znów zarechotało przykre portugalskie zdanie i dysonansem otarło się o język niemiecki. Urok Londriny począł działać na mnie nieco oszalamiająco, więc odezwałem się do Grzeszczyszyna, że jeżeli ma ochotę gdzieś pójść, to niech się mną nie krępuje, bo ja idę do łóżka.

Rano zjadłem śniadanie sam, Grzeszczyszyna już nie było. Przy bufecie gospodyni wyjaśniła mi, jak się mam dostać do stacji kolejowej, skąd już prosto mógłbym pojechać do Kurytyby. Ze słów jej wynikało, że nie jest to takie proste. Należało jechać na przemian pociągiem i autobusem. Najbliższy autobus do miejscowości Jatahy odjeżdżał za godzinę. Zapłaciłem za nocleg, zapakowałem rzeczy do worka i wyszedłem na miasto. Urok wczorajszego wieczoru przemienił się w upalną ospałość. Przeważająca część ludności była na plantacjach. Patrząc na auta z tumanami czerwonego pyłu, na rzadkich i opieszale poruszających się przechodniów, odczułem przykrą nudę codzienności. Od strony wielkiego budynku kompanii szedł w moją stronę Grzeszczyszyn i już z oddali począł wołać, że bardzo mnie przeprasza, ale musi zostać, bo zameldował się w kompanii jako wydelegowany z konsulatu polskiego w Kurytybie i dziś jeszcze ma pojechać autem oglądać tereny.

— Przecież pan wcale nie jest wydelegowany przez konsulat.

— Aj, panie! To co? Muszę przecież obejrzeć te działki... od lat tkwię po uszy w kolonizacji, to mój żywioł!... Ta dziewczyna — ścierwo! — gdzieś mi wczoraj zwiła!... Pożycz mi pan sto milów!

Byłem rad przecież, że zostaje, ale prawem samoudręki chciało mi się, aby jeszcze trochę pojeździł ze mną. Sto milów dałem mu z ochotą... było mi nawet na rękę, że w ten sposób mogę wynagrodzić jego groteskowe przewodnictwo w tej podróży.

— Bądź pan zdrow! Miewaj pan dobre sny, wszystko co było, to nie my!... Wspomnisz pan jeszcze nieraz Grzeszczyszyna i kiedyś jeszcze się pan dowiesz, że obejmował on swoją głową wszystko to, co w tej Brazylii wymaga objęcia. W konsulacie niech się pan upomni o sto milów... może chce pan kwit?... Zaraz panu w kasie wypłacą. Czołem! Muszę wracać do kompanii, bo tam już dyrektor czeka na mnie z autem!

Pokurczony, drobiąc nóżkami w iks, począł się ode mnie oddalać na zniemuchomiałym w słońcu, zmartwiałym w upalnym uścisku, czerwonym tle miasteczka. Odchodził dominujący barwnik mego spojrzenia w tej podróży. Ale zawrócił jeszcze koślawym kroczeniem, przyłożył rękę do ust i krzyknął:

— Panie Łóniowski... A niech pan tam wspomni w jakiej swojej książce o Grzeszczyszynie... Byle chwalebnie! Byle chwa — leb...

\*

Wykupiłem bilet na stacji autobusowej i wcisnąłem się między różnokolorowy i ożywiony tłum pasażerów. Tłusta Murzynka obarczyła moje kolana połową ciężaru swojej wielkiej torby. Wóz nerwowo się poderwał i poniósł nas wesołą drogą w dół. Równe szeregi rosnących obok siebie niezależnie, w oddaleniu, drzewek kawowych umykały po obu stronach drogi nieruchomą siatką zieloności. Autobus zatrzymał się nad brzegiem rzeki,

poczekał na prom, w końcu prom podjechał, przewiózł maszynę z rozgadanyimi pasażerami na przeciwległy brzeg i wóz znów pomknął kawowym lasem. W miasteczku Jatahy siedziałem dwie godziny na stacji kolejowej, na peronie, czekając na pociąg. Jadłem banany, przesiąknięty nudną obcością wszystkiego, co się wokół mnie działo. Opieszalność brazylijskich łazików skłoniła mnie do rozmyślań o wczorajszym wieczorze w Londrinie, która poza urokiem rozwijającego się w szybkim tempie miasta, zwracała uwagę atmosferą poczynania się czegoś wielkiego, z zastosowaniem energii i pomysłowości europejskiej. Pociąg przywłókł się, zadzwonił jakoś bezsilnie i stanął. Kilka godzin jechałem krajem barwnym, między plantacjami ryżu, bawełny i kawy, z kolorowymi domkami i widoczną zamożnością. Nic ciekawego nie spotkało mnie w tej podróży, na postojach piłem kawę, w czasie jazdy paliłem w błogiej bezmyślności, nierad roztrząsać to, co było. Na stacji Cambara wynająłem prywatny samochód do spółki z wąsatym mulatem. Po godzinie jazdy ukazało się z daleka białawe, matowo drzemiące miasteczko Jacarezinho. Miało ono w sobie specyficzny charakter tropikalnej sennaści, ulice były prawie opustoszałe, domy tajemniczo pozamykane, drzemiące za zielonymi weneccjanami<sup>121</sup>. Auto stanęło przed domem z napisem „Hotel Paulista”. Rozczochrany i jakby zdziwiony moim przyjazdem chłopak, wyniósł mój worek do czegoś w rodzaju hallu, po czym powiadomił mnie, że patron zaraz się zjawi. Oparłem się o stół opięty zielonym sukniem i wsłuchałem się w stężoną ciszę tego domu. Na progu stanął człowiek z miną, jakby poczynił jakiś doniosły wynalazek. Był tęgi, wysoki i szpakowaty, z rozpiętą kamizelką na jadowicie czerwonej koszuli. Teatralnym gestem dłoni wskazał mi samobójczy pokój z wąskim przejściem koło łóżka, po czym oddalił się cichutko, jakby bojąc się kogoś obudzić. Pobiegłem za nim na palcach i zasugerowany jego zachowaniem, spytałem szeptem, kiedy odchodzi pociąg do Kurytyby?

— Prawdopodobnie nigdy, *caro amigo*<sup>122</sup>... nigdy!

— Dlaczego pan żartuje... przecież pytam wyraźnie... Pociąg... kiedy odjeżdża pociąg?

— Nigdy, a może kiedyś! W całym stanie Sao Paulo jest strajk... W Brazylii dawno już nie było rewolucji... Przyjechał pan ostatnim pociągiem z Jatahy do Cambara. *Si, senhor*<sup>123</sup>!

Ociekał lenistwem, ale zdawał się być nieco poruszony na wesoło moim przerażeniem. Wsadził palce w kieszenie kamizelki, unosił się na palcach i przyglądał mi się z sympatycznie ironiczną miną.

Wytarłem chusteczką spoconą z wrażenia twarz i, jak po wielkim bólu, przeszedłem do pokoju z przyłożoną chusteczką do czoła. Przede wszystkim położyłem się na łóżku i już wkrótce opanowała mnie całkowita rezygnacja. To nic, że mam przy sobie tylko osiemdziesiąt milów! I to także głupstwo, że miasteczko wydało mi się specjalnie obce. Ha, trudno! Rewolucja obejmie cały kraj, potrwa z rok. Ożenię się tutaj, zapomnę o Ojczyźnie... Będę Brazylijczykiem. Koniec!

Pod wieczór odezwało się we mnie nieco energii. Należało o wszystko dokładnie rozpytać. W hallu paliła się lampa, z jadalni dochodziły brzęki talerzy, nakrywano do kolacji. Przed hotelem siedziało kilkanaście osób na chodniku, w krzesłach rozmawiali o strajku. Szybko się zorientowałem, że byli to przeważnie zatrzymani strajkiem komiwojażerowie. Rozmowa ich była beznadziejna. Nic... będzie coraz gorzej. Począłem dawać znaki ręką stojącemu pośrodku mężczyźnie w rozpiętej kamizelce, ale ten spojrział na mnie ostro, pogroził... tak, wyraźnie pogroził... palcem, i dalej szybko wykladał swój pogląd na tę sprawę. Przysiadłem cicho na schodku i zapatrzyłem się na placyk, wokół którego, przed domami siedzieli zamyśleni mężczyźni w piżmach. W mojej gromadce nieco przycichło i wtedy szpakowaty krzyknął do mnie z odległości:

— Słucham cię, *cabalero*!

— Czy poczta i telegraf także są objęte strajkiem?

— A jakże... czemużby nie!

— A czy nie dałoby się wynająć jakiegoś prywatnego auta, które by mnie zawiozło do Kurytyby?

<sup>121</sup>za weneccjanami — chodzi zapewne o rolety zwane weneckimi, układane w fałdy. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>*caro amigo* (port.) — drogi przyjacielu. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>*Si, senhor* (port.) — tak, proszę pana. [przypis edytorski]

— He... Wszyscy, co tu siedzą, już przestali o to pytać... A to bogaci ludzie! Lata będą mieszkać u Giuseppe Ferronato... wzbogacą go i pozostaną jego przyjaciółmi do końca dni swoich! Nieprawdaż, *amigos*?

— Ach, *senhor* Ferronato, niech was Bóg zachowa dla nas jak najdłużej w przyjaźni, tylko niechaj wpieryw dozwoli nam pozalać nasze interesy — wtrącił ktoś z gości.

Giuseppe Ferronato przestał się widać bawić rozmową, bo nagle spowaźniał i wszedł do środka. Poszedłem za nim i gdzieś w kącie wyjaśniłem mu swoją sytuację. Nachylił mi się do ucha i szepnął:

— Odeśle mi pan, co?

— Być może, że mi wystarczy... strajk może się lada dzień skończyć... ale jeśli mi nie wystarczy, to zaraz po przyjeździe do Kurytyby odeślę panu.

— Tak, tak... niech pan odeśle!

Jasne jest, że pojął moją sytuację i nie chciało mu się o tym mówić. Poszedł do jadalni.

Kolacja składała się z wielu dań. Kiedy po zupie, zimnej przekąsce i rybie, Ferronato podszedł do mnie z półmiskiem makaronu, powiedziałem mu, że mam dość. Wtedy wyprostował się, uniósł półmisek do góry i powiedział do wszystkich:

— *Senhores!* On ma dość! On nie chce jeść znakomitego makaronu z kuchni Giuseppe Ferronato! Co wy na to powiecie?

Goście przy stolikach zaczęli się śmiać i ktoś się odezwał:

— I ja też nie będę jadł makaronu... drogi Ferronato... za dobrze nas karmicie!

Giuseppe odszedł ode mnie, mrucząc:

— Niesłychane, niesłychane!

I tak zaczęły się wlec upalne, pełne przymusowego lenistwa, spania i obżarstwa dni mego pobytu w hotelu Giuseppe Ferronato w Jacarezinho. Po nocach źle sypiałem, cięty niemiłosiernie przez moskity. Ranki spędzałem w hallu na pisaniu wspomnień z podróży. Często, kiedy siedziałem zamyślony nad papierem, stawał cichutko w progu Ferronato, przytykał palce do czoła i z krzykiem doskakiwał do mnie. Straszyl mnie, a potem się śmiał. Po obiedzie, od dwunastej do piątej, upał powalał mnie na łóżko. Skoro się nieco ochładzało, piłem kawę i wychodziłem przed hotel. Wdawałem się w długie gawędy z moim żartobliwym przyjacielem. Był Włochem i kochał Garibaldięgo. Miał mi za złe, że nie znałem Włoch. Ucieszył się bardzo, kiedy mu powiedziałem, że czytałem Carduccięgo<sup>124</sup> w tłumaczeniu na język polski. Nie był głupi i straszliwie się nudził. Czasem znów siedzieliśmy obok siebie godzinami w milczeniu. Na chodniku mijala nas dziewczyna. Ferronato otrząsnął się z drzemki i mówił do dziewczyny, na przykład:

— He, mała! Zatrzymaj się... skąd masz takie śliczne piersi?

Albo:

— Odwróć się... pokaż oczy... Acha! Już wiem, dokąd idziesz... Pozwól się chłopcu pocałować... unikniesz dziecka!

Giuseppe Ferronato lekceważył Brazylijczyków, a ci starali mu się przypodobać. Kpił ze swoich gości na głos. Zauważyłem, że dziewczęta omijają go, kiedy siedzi na krześle przed swym hotelem. Opowiedział mi wszystkie plotki z całego Jacarezinho. Nie wychodząc prawie z hotelu wiedziałem, jak się któryś z przechodniów nazywa i czym się specjalnie wyróżnia. Giuseppe Ferronato opowiedział mi o bogatym Polaku, właścicielu połowy ulicy domów w Jacarezinho oraz czterdziestu tysięcy drzewek kawowych, niejakim Estanislau Cretti, ale odradził mi go odwiedzić, bo ten człowiek głośno wstydził się swego pochodzenia i kiedyś Giuseppe Ferronato zwymyślał go za to na jakimś zebraniu kupców. Powinienem był wprawdzie pójść i sprawdzić, ale wierzyłem poczciwemu Włochowi i nie poszedłem. Nie poszedłem także do dwu rodzin żydowskich z Polski, właścicieli sklepów galanteryjnych. Kiedyś Giuseppe Ferronato zaczepił jakąś dziewczynę i przedstawił mnie jej, tłumacząc, że jestem świeżo z Polski. Podala mi rękę z wyraźną niechęcią i próbowała mówić po portugalsku. Odszedłem od niej. Wszelka myśl przejmowała mnie niechęcią. Byłem apatyczny i wyczerpany nerwowo, a właściwie to niemal chory z nudów. Wieczorami próbowałem chodzić po mieście, ale denerwowały mnie rozchichotane dziewczęta i mężczyźni w piżamach. W dzień miasto było tak ospałe, że aż przejmowało męką. Często w białej i upalnej ciszy piały koguty. Były to straszne dni.

<sup>124</sup>Carducci, Giosuè (1835–1907) — słynny włoski poeta i publicysta. [przypis edytorski]

Po dziesięciu dniach, wczesnym rankiem chłopiec hotelowy począł dobijać się do mego pokoju, a kiedy mu otworzyłem drzwi, powiadomił mnie, że za dwie godziny odchodzi pociąg do Kurytyby. Z radości musiałem się położyć na chwilę.

Wyjechałem jako dłużnik kochanego pana Giuseppe Ferronato w sumie stu mil-reisów. Wczesnym rankiem następnego dnia wysłałem mu te pieniądze telegraficznie z zapewnieniem długotrwałej pamięci. Po południu spotkałem się z konsulem polskim w Kurytybie. Powiedział mi na wstępie:

— Przed czterema dniami wyjechał stąd ksiądz Kiełta z Hervalzinho. Przyjechał specjalnie w związku z pańskim pobytom w interiorze. Podobno nawyprawiał pan tam niesłychanych historii?...

## OD AUTORA

Z rocznego okresu mego pobytu w Brazylii książka ta obejmuje jeden miesiąc. Jest to niemal wierny pamiętnik podróży z południa na północ Parany. Jest to więc książka o Paranie i nie daje obrazu flory i fauny całej Brazylii, która na swym ogromnym obszarze podlega różnicom klimatycznym.

Drobna informacja dla Brazylian pochodzenia polskiego, zamieszkujących stolicę stanu Parana, Kurytybę. Nie sądzicie z zakończenia książki, że unikam oddania życia kurytybskiego. Jest moim ambitnym zamierzeniem przedstawić was wiernie i na innym miejscu poświęcę wam wiele wysiłku. Nie mówcie też: „Korzystał z gościnności wielu osób a potem je opisał, ładnie to tak!” „Co on powiada, że pociąg przyjeżdża o siódmej, kiedy przyjeżdża o siódmej piętnaście!” „Przecież tam nie ma, w tym miejscu nie rośnie palma!” „Skąd on widział bawełnę w Baradarei?”

Pamiętajcie, że to nieszlachetnie chcieć przekupić pisarza talerzem zupy albo kieliszkiem pomarańczowego wina. Dobrze, pociąg przyjeżdża o siódmej piętnaście, palma rośnie o pięć metrów dalej, na lewo. Ale bawełnę w Baradarei widziałem, uspokójcie się!

Jeśli istnieje gdziekolwiek człowiek nazwiskiem Grzeszczeszyn, zechce mi wybaczyć, że umieściłem go w tej książce. Mój Grzeszczeszyn jest wyobrażeniem osobliwego gatunku ludzi krążących po terenach emigracyjnych Ameryki Południowej.

Z. U.

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/unilowski-zyto-w-dzungli/>

Tekst opracowany na podstawie: Zbigniew Uniłowski, *Żyto w dżungli* z 32 ilustracjami, Wydawnictwo J. Przeworskiego, Warszawa 1936.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową w Warszawie z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki. Konsultacje z języka portugalskiego: Szymon Kowalski.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Stawiarska, Aleksandra Sekuła, Maria Świetlik, Paulina Chormańska, Wojciech Kotwica, Zuzanna Pyzikiewicz.

Okładka na podstawie: anonimowy, domena publiczna

ISBN 978-83-288-6373-6

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.